Rok XXVI.
Ogólnego zbioru Tom CI.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA.

1901.

DRUK. I LIT. JANA COTTY
7. Kapucyńska 7.

SPIS RZECZY.

str.

Zeszyt zawiera arkuszy 16.

Druk ukończono d. 16 marca 1901 r.

Nasi wychodźcy.

Wiek XIX zastał nas siedzących zwartą ławą. Człowiek żył i umierał tam, gdzie żyli jego ojcowie i pradziadowie, myśl jego nie zabiegała w dalekie kraje, i, jeśli zrządzeniem nieprzychylnych losów został wyrzucony z ojczystej ziemi, to zamieniał się na tułacza, który nigdzie miejsca nie zagrzał, a o rodzimym zakątku pisał

> . . . . Ty jesteś, jak zdrowie,
> Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
> Kto cię stracił . . .

Tułacz taki na obczyźnie o jednem tylko marzył, mianowicie o jaknajrychlejszym powrocie w ojczyste strony, ażeby tam, w pobliżu mogił przodków, złożyć kości swoje.

Zgoła inny widok przedstawia się oku naszemu z początkiem obecnego, dwudziestego stulecia, kiedy liczba osób, posługujących się mową polską, wzrosła prawdopodobnie do 18 milionów głów. Naturalnie, jądro pozostało tem, czem było ongi, t. j. trzyma się zwartą gromadą na obszarach, na których zastał nas wiek ubiegły.

Jedynie od północo-zachodu i zachodu, pod naciskiem zagonów niemieckich, zamiast jednolitej kiedyś przestrzeni, ukazały się poszarpane pasy, a niekiedy pozostały tylko strzępy terytoryalne. Natomiast, pod działaniem czynników ekonomicznych, tak wszechwładnie zabierających głos zwłaszcza w drugiej połowie wieku XIX, od rdzenia oderwały się mniejsze i większe gromady, ich członkowie, jako stado bocianów na żerowisku, rozbiegli się w różne strony, a w niektórych punktach usadowowili się większemi oazami, stwarzając tam nowe ogniska życia kulturalno-narodowego. „Wędrówka ludów" nowoczesna, która poczęła się z rozwojem udoskonalonych środków komunikacyi, porwała nas w swój odmęt, osiedla w obu Amerykach, pędzi do Australazyi, sadowi w Afryce południowej, rozprasza po różnych punktach Europy zachodniej. To wychodźtwo po zarobek przybierało u nas niekiedy w ostatnich dziesięcioleciach charakter kompletnej zarazy moralnej. Tak było za czasów głośnej gorączki brazylijskiej, kiedy kilka dziesiątków tysięcy osób, zwabionych obietnicami agentów, naoślep jechało do nieznanej obczyzny, nie przygotowanej na ich przyjęcie. Obieżysastwo, które mniej więcej przed laty dwudziestu zrodziło się na Śląsku i w Poznańskiem, dzisiaj objęło płomieniem swym prawie wszystkie powiaty Królestwa, leżące w pasie pogranicznym, oraz wiele, znajdujących się w dalszej odległości. Według lekkiego obliczenia, z wiosną około 50,000 osób opuszcza Królestwo i zajmuje miejsca, opróżnione przez rodaków poznańskich, będących jeszcze w dalszej wędrówce za chlebem. W r. 1899 z Galicyi wyszło około 75,000 obieżysasów, z których aż piąta część powędrowała do Danii, a w gminach górskich w domu pozostali starcy, kaleki i kobiety z niemowlętami u piersi! Ze Śląska i Poznańskiego jeszcze liczniejsza gromada „wywędrowców", jak tam niekiedy o nich mówią, wyrusza w świat z rozpoczęciem robót wiosennych w polu, rozlewa się po całych Niemczech, a więc pracuje i w Alzacyi, i w Meklemburgii, zapuszcza się do Danii, a nie wprawi mnie to w podziw, gdy za lat kilka prasa przyniesie wiadomość, iż szuka zarobków we Francyi. Na miejsca, opróżnione przez obieżysasów w Królestwie, napływają rodacy z innych stron kraju, oraz „bandosie" galicyjscy. To przesuwanie naszych pierwiastków etnicznych z miejsca na miejsce, pomimo posiadanych obecnie rozmiarów, znajduje się chyba dopiero w stanie zarodkowym, a jakie wyda owoce w dalszej przyszłości, o tem trudno powiedzieć cokolwiek w chwili dzisiejszej.

Wędrówka po zarobek w obrębie naszego narodu posiada wyraźnie zarysowujący się kierunek. Pierwsza połowa wieku XIX

oraz wieki poprzednie przekazały nam tradycyjny *Drang nach Ost*, będący wyrazem społecznym dla wypadkowej całego ówczesnego stanu Niemiec. Hasło to, tułające się po dziś dzień w programie hakatystów, zostało odmienione przez nowoczesny potok życia, prący nas oraz częściowo Niemców na zachód. A ten kierunek przedstawia również wynikową całego ogółu czynników ekonomicznych, tak samo, jak ongi rzeczy stały z parciem kolonistów niemieckich na wschód. Otwarcie dla wychodźców europejskich krajów zamorskich wyżłobiło przed ludami naszej części świata rozległy upust, a niejednakowy poziom zarobków odgrywa w potoku emigracyjnym tę samą rolę, co spadek powierzchni gruntów w kształtowaniu się łożyska rzeki, t. j. wyznacza obu kierunek upustowy. Anglik opuszcza ojczyznę i szuka szczęścia w Ameryce północnej, w Australazyi i Afryce południowej. Jego miejsce zajmuje częściowo Niemiec, a częściowo idzie za jego śladem i osiedla się w różnych punktach antypodów. Miejsce, opróżnione przez Niemca, zapełnia nasz obieżysas, a pewna liczba rodaków, porwana przez potoki wychodźcze, płynie do krajów zamorskich, w których sadowi się Niemiec. Prąd ten emigracyjny oswabadza nas od niebezpieczeństwa, które jeszcze przed laty 30 — 40 tak silnie zagrażało naszemu obszarowi etnograficznemu od zachodu, a jego skutki ujawniają się w trudności, jaką napotyka rząd pruski w swoich zamiarach „kolonizacyi wewnętrznej" i w sprowadzaniu osadników na ziemie polskie. Ale wędrówka za chlebem jednocześnie unosi cząstka po cząstce nas samych, a zataczając coraz szersze, a dalsze kręgi, z biegiem czasu może sprowadzić nieprzewidziane i nie zawsze miłe następstwa. Niektóre ludy, dzięki temu szukaniu zarobków za granicami ojczyzny, zwolna rozszerzają swój obszar etnograficzny: Włosi robią to na zachodnich i północnych krawędziach swego terytoryum narodowego, Czesi w obrębie krajów dawnej korony Ś. Wacława. Co do nas, najwyżej możemy zapełnić szczerby, dokonane we własnym naszym obszarze etnograficznym od zachodu.

Natomiast potoki naszych „wywędrowców" wylewają się zazwyczaj gdzieś w bardzo odległej obczyźnie i swoją obecnością użyźniają glebę kulturalną dalekich narodów.

Warto w krótkim zarysie przyjrzeć się osadom, które powstają na obczyźnie z pierwiastków swojskich, oderwanych od rodzimego kraju.

Stany Zjednoczone zajmują pierwsze miejsce. Ilu tam przebywa naszych rodaków, trudno podać nawet przybliżoną cyfrę. Podczas spisów wielu podaje państwo, z którego emigrowali,

a skutkiem tego ziomkowie nasi zacierają się w wykazach statystycznych, zaliczeni do obcych rubryk. Podczas mego pobytu w Stanach Zjednoczonych niejednokrotnie zapewniano mnie, że liczba Polaków w obrębie związku północno-amerykańskiego dosięga dwu milionów. Przytaczam tę liczbę na cudzą odpowiedzialność w braku innej, bynajmniej nie darząc jej zaufaniem. W każdym razie rozmiary zaludnienia polskiego w Stanach Zjednoczonych są bardzo znaczne. Świadczy o tem obfitość pism, wychodzących w naszym języku, w których liczbie znajdują się nawet gazety codzienne; świadczą o tem rozmiary dzielnic polskich w główniejszych miastach przemysłowych oraz w ogniskach przemysłu górniczego, budynki szkolne, niekiedy paropiętrowe kamienice, a nawet próby założenia wyższych zakładów, zabiegi „politykierów" amerykańskich około zjednania sobie podczas wyborów głosu rzesz polskich, wreszcie powierzenie Polakom niekiedy wysokich dostojeństw municypalnych. W takiem Buffalo, Milwaukee, Detroit, Toledo, istnieją olbrzymie dzielnice miejskie, zaludnione wyłącznie przez naszych ziomków, w Chicago zaś liczba Polaków ma wynosić około 200,000 głów, t. j. gród nad Michiganem byłby w chwili obecnej drugiem miastem na świecie co do rozmiarów przebywającej w jego murach ludności polskiej. Naprzekór powszechnie utartemu poglądowi, iż z natury swej jesteśmy ludem rolniczym, rodacy nasi, zapędzeni do Stanów Zjednoczonych, zaśrodkowali się głównie w miastach i utrzymują się z zarobków przemysłowych. Liczba rolników stanowi wśród naszych wychodźców amerykańskich procent bardzo nieznaczny, chociaż gleba tamtejsza im służy. Oglądałem w Dakocie północnej gromadkę fermerów polskiego pochodzenia: ruchy pewne siebie, mina butna, może nawet butniejsza, niż u dawnego szaraczka w zaścianku, głoszącego, iż szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, młode pokolenie, jak dąbczaki, zdrowe i silne, a patrząc na wyrostka, trudno byłoby się domyśleć, iż jego krewniakiem jest lękliwy wyrostek mazowiecki. Nie sądzę, ażeby uprawą roli trudniło się więcej nad kilka procentów wychodźców polskich. Co do Kanady, emigracya polska zaczęła do niej napływać dopiero w ostatniem dziesięcioleciu, przeważnie z pośród Mazurów pruskich, tych przodowników naszego zastępu wędrownego, torujących drogę żywiołom z pozostałych dzielnic. Jest ich tam wszystkiego około kilkunastu tysięcy, przyczem przeważna część usadowiła się w Manitobie i zajmuje się rolnictwem.

Drugiem ogniskiem naszem w krajach zamorskich jest Argentyna i cztery południowe prowincye Brazylii, a mianowicie Parana,

Rio Grande de Sul, prowincya Św. Katarzyny i Św. Pawła. Obrachunek, dokonany przed paru laty dla tylko co wymienionych dzielnic Brazylii, podawał liczbę naszych rodaków, tam przebywających, na 150,000 głów. Siedzą oni tam stosunkowo zwarciej, niż w Stanach Zjednoczonych i przeważnie utrzymują się z uprawy roli, posiadają pisma, szkółki i t. d. Rozmawiałem kiedyś z osobą, która była obecna pierwszym falom polskiej powodzi, napływającej do antypodów południowo-amerykańskich. Zapewniano mnie, iż rodacy nasi w otoczeniu brazylijskiem, mało kulturalnem i rozpróżniaczonem, odgrywają, a przynajmniej odegrać mogą doniosłą rolę pionerów postępu kulturalnego. W każdym razie przyszłość ich narodowa posiada tam, w Argentynie i Brazylii, więcej widoków powodzenia, aniżeli w Związku północno-amerykańskim, gdzie pod naciskiem wyższej kultury, działającej nie drogą przymusu, ale jedynie ofiarowywanemi korzyściami, widoki utrzymania samodzielności, są znacznie szczuplejsze.

Kolonie polskie na lądzie Nowej Holandyi są stosunkowo nieliczne, w każdym jednak razie zawierają prawdopodobnie kilka, a może kilkanaście tysięcy członków. Dobrobyt jest tam znaczny, myśl o powrocie, zdaje się, wywietrzała z głowy osadników. Jeszcze skromniejsza jest rozległość żywiołu polskiego w Nowej Zelandyi, a poziom pomyślności materyalnej jeszcze wyższy. „Mieszkamy— tak opisuje stosunki nowo-zelandzkie jeden z osadników—każdy na swoim gruncie. Kupiliśmy sobie las, wycięliśmy go i wypalili, zasieli trawą, budynki wystawiliśmy z własnego drzewa, dachy mamy pokryte blachami. Nie wszyscy mamy równe budynki. Jedni mają chaty z trzema izbami, drudzy z czterema lub pięciu. Tak samo z rolą. Jedni mają 70, drudzy 100 a nawet 200 morgów. Nie wszyscy mieszkamy w jednej wsi. Tu jest inny zwyczaj. Droga ciągnie się około kolei żelaznej, i co 2—3 mile angielskie znajduje się mała stacya. Od głównej drogi prowadzą z obu stron mniejsze. My mieszkamy rozrzuceni po tych drogach. Przy jednej i tej samej drodze ledwie kilku nas mieszka razem Polaków". Fermerzy australscy i nowozelandzcy pochodzenia polskiego zajmują się głównie mleczarstwem: ci ostatni miewają po 20—30, a nawet 40 krów, dochód z nabiału ciągną dobry, a wszyscy należą do tak rozpowszechnionych w tamtych okolicach związków mleczarskich, posiadających wspólną maślarnię. Okazało się, iż przy sprzyjających warunkach nasz włościanin nie ustępuje wychodźcom innego pochodzenia w umiejętności wdrażania się w karby wytwórczego zrzesze-

nia. W N. Zelandyi znajduje się zaledwie około tysiąca naszych rodaków.

Nie mamy dokładnych wiadomości o wychodźtwie naszych rodaków do Afryki południowej. Emigracya do Natalu podobno wzrasta silnie wśród Litwinów, z czego wnioskować dałoby się, iż i nasi ziomkowie osiedlają się w tym kraju. Posiadamy wiązankę cyfr jedynie dla Transwaalu, w którym przebywa kilkaset Polaków, robotników i rzemieślników. Zarabiają tam dobrze, po 200 — 240 rubli miesięcznie. Wprawdzie utrzymanie jest bardzo drogie, ale przy nizkim poziomie potrzeb każdy prawie coś odkłada i marzy o powrocie. Rodacy nasi, osiadający w Ameryce lub Australii, wyjątkowo myślą o powrocie. Opuścili oni kraj ojczysty na zawsze. Uitlanderzy polskiego pochodzenia w Transwaalu tymczasem uważają siebie za chwilowych gości na krańcach Afryki. Nie mogą jakoś zżyć się z przyrodą tamtejszą! „Niema tu ani lasów, ani rzek, niema ptactwa, które u nas tak wesoło szczebioce. Przez pół roku ani jedna kropla deszczu nie zwilża wysuszonej ziemi, obnażone skały i równiny wyglądają, jak pogorzelisko".

Rozmiary wychodźtwa polskiego w obrębie Europy trudniej dają się obliczyć. Wiadomo, że Wiedeń, Berlin, a w ostatnich czasach Londyn masowo przyciągają naszych rodaków, poszukujących zarobku. Podobno w Danii powstają osady polskie, jak mnie ktoś zapewniał, dobrze poinformowany o stosunkach zarobkowych obieżysasów, a fakt ten, iż w r. 1899 aż 15,000 obieżysasów z jednej Galicyi powędrowało do tego kraju, przemawia za dokładnością informacyi. Według obrachunku, bynajmniej nie przesadzonego, około 200 — 300 tysięcy naszych ziomków w ostatnich dwu latach corocznie opuszcza ojczystą wioskę w różnych dzielnicach naszego obszaru etnograficznego, ażeby rozbiedz się po świecie, a więc dostać się do Saksonii i Alzacyi, może przedrzeć się do Francyi, pracować w Danii, jesienią zaś te rzesze ciągną z powrotem, pospolicie niosąc z sobą oszczędności, wystarczające na zimę, a wiosną puszczają się znowu, jak jaskółki, na wędrówkę po zarobek. Ale nie wszyscy wracają pod strzechę ojców, bo tu i owdzie pozostawiają po sobie osady na obczyźnie. W Saksonii liczą one po kilka tysięcy głów, pod Hamburgiem istnieją polskie miasteczka, wreszcie w okręgu kopalnianym nadreńskim powstała obszerna oaza ludności polskiej, która wywołała ze strony narodowo liberalnej niemieckiej powódź broszur i pamfletów. „Jeszcze przed paru dziesiątkami lat — pisze Tony Kellen — nikomu nawet w głowie nie postała myśl, iż w prowincyach nadreńskich i w Westfalii mogą kiedykolwiek zjawić się

kolonie polskie oraz że silny prąd wychodźczy będzie doprowadzał do tych powstających ognisk nowe wciąż zasiłki ze wschodu. W siódmem dziesiątku obecnego stulecia spotykano Polaków w zachodnich dzielnicach państwa niemieckiego tylko wyjątkowo. Ale po wojnie niemiecko-francuskiej robotnicy pochodzenia polskiego jęli tłumnie napływać do okręgu kopalnianego nad Renem, okolicy, w której nastąpił silny przełom przemysłowy i zjawiło się zapotrzebowanie na siłę roboczą ze wszystkicn dzielnic Rzeszy i zagranicy. Liczba Polaków w chwili obecnej przewyższa cyfrę stu tysięcy głów. Jest to rzecz godna uwagi! W ciągu niespełna dwu dziesiątków lat olbrzymia rzesza osób obcego pochodzenia i obcej mowy nadciągnęła do rdzennie niemieckiej okolicy. Rzecz zaś ta tembardziej zasługuje na zastanowienie, ponieważ Polacy po większej części osiadają zwartymi zastępami i tylko o tyle komunikują się z Niemcami, ile warunki zajęcia i inne okoliczności zmuszają ich do tego. Te rozsadniki polskości, posiadające rozmaitą rozległość, są jakby pianą, wysyłaną przez nadciągającą powódź Słowiańszczyzny na ziemie niemieckie!" O szybkim wzroście oazy polskiej nad Renem dadzą najlepsze wyobrażenie cyfry statystyczne. Spis ludności, przedsiębrany przez rząd pruski w r. 1861, zastał w Westfalii tylko 16 naszych rodaków, w prowincyi zaś nadreńskiej nie znalazł ani jednego. W r. 1890 przebywa już w obu tych dzielnicach 30,000, w r. 1898 liczba ta podnosi się do 150,000, a według obliczeń jednego z pamfletów w przeszłym roku dosięgnęła 250,000! W niektórych kopalniach Polacy stanowią trzy czwarte całej liczby zatrudnionych robotników, a śród całkowitego zaludnienia powiatów tamtejszych — bardzo znaczny procent. W okręgu Gelsenkirchen stanowią oni 20% całej ludności, w Rechkinghausen 20, 22%. O wpływie Polaków nad Renem świadczą utyskiwania szowinistów niemieckich. Pozwolimy sobie przytoczyć jeden z ich głosów w dosłownym przekładzie:

„Stan kupiecki pozyskał sławę, iż dosięgnął niemożliwych granic w swej uniżoności przed *kuli* polskimi. W Gelsenkirchenie (tu następuje długa lista różnych miejscowości), nawet w Essenie, a rozumie się, i w Bochumie oraz w wielu innych miejscach z okien wystawowych rzucają się w oczy zwykle barwnemi literami ogłoszenia w języku polskim. Ażeby sprzedać swe śpiewniki, modlitewniki, kalendarze, przedsiębiorcy niemieccy wypierają się swej niemczyzny. Zamiast pokazania drzwi polskiemu sowizdrzałowi, nie umiejącemu posługiwać się mową niemiecką i żądającemu, ażeby w sercu

Niemiec rozumiano język, wywieszają oni szyldy z napisami: rozmawiamy po polsku!"

W ogólnej sumie prawdopodobnie od dwu do trzech milionów Polaków przebywa poza obszarem etnograficznym. Jeśli przyjmiemy ogólną liczbę członków naszej narodowości na 18 mil., to około jednej dziewiątej, a może nawet jednej szóstej naszego narodu znajduje się poza obrębem ojczystej ziemi! Jest to procent niezmiernie wielki! I całe to wychodźtwo jest dziełem zaledwie trzech ostatnich dziesiątków lat! Niektórzy po latach, dorobiwszy się mająteczku, powracają spędzić starość na ziemi ojców, wielu porzuca obczyznę w okresach zastoju przemysłowego lub zrażeni niepowodzeniami, lecz jądro wychodźców pozostaje na miejscu, gdzie znalazło zarobek i zwolna żegna się z myślą powrotu.

Nasuwa się pytanie, jaka przyszłość oczekuje wychodźców pod względem narodowym.

Jeden z wykształconych Polaków amerykańskich streścił przede mną własne spostrzeżenia w sposób węzłowaty, a dobrze malujący położenie. Rzekł on, że w pierwszem pokoleniu wychodźcy unaradawiają się, w drugiem pozostaje tylko miłość platoniczna względem ojczyzny europejskiej, wreszcie w trzeciem rozpoczyna się szybkie wynaradawianie. Zastrzegł on jednak, iż jego spostrzeżenia są oparte na doświadczeniu tych lat, kiedy liczba Polaków w Stanach Zjednoczonych była bardzo nieznaczna i kiedy oni sami nie stworzyli jeszcze własnych ognisk życia kulturalnego, lecz rozsypani pomiędzy obcym żywiołem ulegali z konieczności jego oddziaływaniu. Jakie losy czekają zwarte wychodźtwo chwili obecnej, co do tego obawiał się wygłaszać jakiekolwiek zdanie. Mniemam, iż nalepiej uczynię, idąc za tym przykładem. Natomiast zatrzymam się nieco nad pewnymi objawami życia kulturalno-narodowego na obczyźnie, wskazującymi, że wewnątrz oaz wychodźczych odbywa się napięta praca unaradawiania. Źródłem jej zasadniczem jest tęsknota za otoczeniem swojskiem, rodziną, przyrodą, a ta nostalgia zwolna wyrasta na świadome i silne uczucie narodowe. O tem zaświadczyć mogą płody poetyckie emigrantów. Naturalnie, mówię nie o utworach inteligencyi, ale o piosenkach, powstających wśród gminu wychodźczego. Zapisałem parę takich utworów, drukowanych w prasie nadreńskiej i gdzieindziej.

Parobczak, odchodzący z innymi do Westfalii, śpiewa:

... Już cię porzucam, Kasieńko droga,
Bo już mnie wzywa daleka droga.
W świat dziś pójść muszę, rzucić kraj kochany
I szukać pracy— ja, łzami zalany.
Nie dla mnie ty, kochana dziewczyno,
Nie moje usta dla twoich, jedyna,
Nie moje ręce dla twoich pracują,
Bo na obcej ziemi miedź i kruszec kują!

A oto piosenka, wyrażająca w sposób, może nie zbyt artystyczny, ale za to wzruszający swoją prostotą, tęsknotę za krajem:

Płyń, piosenko, płyńże dalej,
Goń w krainę naszą, goń,
Gdzie drodzy sercu zostali,
Dzwoń im tę nowinę, dzwoń!

Piosenka winna popłynąć ku ojczystej ziemi i zadzwonić tam nowinę, iż „wywędrowcy", pracujący w Westfalii, piosenkę polską całem sercem pokochali, oraz przypomnieć o tych, którzy tylko myślą są obecni ze swoimi:

Dzwoń, ach! dzwoń im tam z oddali,
O tułaczach polskich dzwoń,
Którzy nieraz już wzdychali
Za swą chatą, do swych stron!

Tułacze wzdychają i płaczą, a płaczą tak gorzko, iż ich oczy niejednokrotnie zachodziły krwią, a płacząc, spoglądali ku wschodowi i w westchnieniu swem byli z rodakami pospołu:

Byli duchem z naszą niwą,
Wpośród naszych miast i siół.

Piosenka powinna dolecieć, jak ptaszyna, do kraju i zanieść wiadomość o „wywędrowcach", ich smutku i zamiarach, a kończy się zwrotką, pełną naiwnej rzewności:

Dzwoń więc, piosnko, silnie dzwoń,
Gdy nasze serce rozpacz żre!
Ty z cierpieniem nas oswoisz
I osuszysz krwawą łzę!

A na zakończenie tego przeglądu gminnej muzy wychodźców jeszcze z ustęp z innej piosnki:

... A kiedy tu zbiorę
Grosza worek spory,
Wrócę, by wykupić,
Co straciły dwory!...

Poetów nazwano wieszczami ludów. Niewątpliwie, w tej poezyi obieżysasów mamy do czynienia z głosem ogółu wychodźczego. Tęsknota, która ich ogarnia na obczyźnie, zniewala do wzajemnego zbliżenia i potęguje życie zbiorowe. Powstaje samorzutna więź narodowa w postaci zrzeszeń, w większości przypadków organizujących zabawę. Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych byłem zdumiony obfitością stowarzyszeń i związków, a jeszcze bardziej prędkiem podwyższaniem się poziomu kulturalnego. Można tam oglądać przedstawienia amatorskie, których uczestnicy przed kilku laty zaledwie wyemigrowali, a schyleni nad sierpem w ówczesnym widzu budzili wrażenie istot, dla których kraina sztuki skutkiem ich nieokrzesania na zawsze pozostanie i pozostać musi obcą! Niestety, co do rozmiarów zrzeszonej więzi wychodźczej nie rozporządzamy dokładnemi cyframi. Wyjątek może stanowią Polacy nadreńscy. Według pamfletu *Die Polen in westphalischen Steinkohlen Bezirken* (1900), stowarzyszenia polskie nad Renem objęły około ośmiu tysięcy osób. Jeśli uwzględnimy, iż należą do nich tylko dorośli mężczyźni oraz że trzeba odliczyć Mazurów pruskich, łączących się we własne organizacye, okaże się, iż jakieś 20% pracujących, t. j. dorosłych wychodźców należy do towarzystw. Jest to liczba odsetkowa tak znaczna, iż wypisaliśmy ją z niejakiem niedowierzaniem dla własnego obrachunku. Podejrzywać możemy tylko jedno, a mianowicie, iż dla spotęgowania niebezpieczeństwa, mającego zagrażać Niemczyźnie, pofałszowano cyfry i podano rozmiary spójni zrzeszonej większe, niż są w rzeczywistości. Ale gdybyśmy nawet odsetki naszych rodaków, powiązanych w towarzystwa, zmniejszyli, a więc przyjęli, iż tylko 10% dorosłego pokolenia weszło w karby więzi, to i wtedy liczba odsetkowa pozostaje niepomiernie wielka, a istnieniem swojem świadczyłaby, iż pobyt na obczyźnie przyczynia się niezmiernie do zbliżenia ludzi, połączenia ich w ściślejsze gromadki i rozwinięcia solidarności wzajemnej.

Fakty te niezaprzeczenie składają wymowne świadectwo, iż prawdziwe było czyjeś spostrzeżenie, że pierwsze pokolenie wychodźców unaradawia się na obczyźnie.

K. R. Żywicki



Goethe: Mignon.

I.

Kto zna tęsknotę, ten zrozumie,
Jak cierpię biedna!
Wokoło radość w ludzi tłumie,
Smutna ja jedna...
Oczyma się przez błękit łamię
I łzy mię pieką;
Ach, ten, co kocha mię i zna mię,
Jakże daleko!
Piersi me płoną, we krwi szumie
Gnę się bezwiedna —
Kto zna tęsknotę, ten zrozumie,
Jak cierpię biedna!

II.

Nie pytaj więcej, milczeć muszę:
Tak każe obowiązku głos;
Otwarłabym przed tobą całą duszę,
Ale mi wzbrania los.

Gdy wraca słońca promienista władza,
Noc się rozjaśnia i dzień świta biały;
Ukryte źródło opokę rozsadza
I, hucząc, wolnym nurtem rzuca się ze skały.

Kto smutny, szuka piersi swego druha,
Tam się wypłacze biedny najswobodniej;
Mych ust przysięga strzeże; — Bóg jej słucha,
I tylko Bóg — może mię zwolnić od niej!

III.

Kto nie jadł w łzach swój chleb codzienny,
Kto na swem łożu w długie noce
Nie siedział, płacząc i bezsenny,
Ten nie zna was, niebieskie moce!

Wy nas stwarzacie i z ukrycia
Patrzycie, jak się winni stajem,
Na łup zgryzotom dając wzajem —
Bo winy mszczą się tu, za życia.

Winnemu ranna się jutrzenka
Zdaje otchłanią purpurową,
I cały obraz świata się rozpęka
Nad jego zawinioną głową.

IV.

Nie bierzcie, póki wam nie zgasnę,
Nie bierzcie mi tych białych szat!
Porzucam już to słońce jasne,
Idę w podziemny cichy świat.

A gdy wypocznę chwilę małą,
Oczom się nowy blask odsłoni;
Zostawię wówczas suknię białą,
Pasek i wieniec z mojej skroni.

Bo tam, gdzie Pańscy są anieli,
Nic ciał promiennych nie osłania,
I żaden rodzaj już nie dzieli
Świetlanych duchów zmartwychwstania.

Ileż to łez i smutków ile
Zmieniło wcześnie moją postać...
Wróćcie mi młodość po mogile,
I dajcie młodą wiecznie zostać!

V.

Kogo samotność znęci,
Ginie z ludzkiej pamięci;
Każdy coś kocha, gdzieś wyciąga ręce,
Jego zostawia udręce.

Zostawcie mię mej doli!
Mnie i samotność boli,
Bo i w samotnej chwili słyszę
Zmąconą w duszy ciszę.

Czy swą kochankę samą zastanie,
Skrada się, patrzy młodzian ostrożny:
Tak właśnie ku mnie, noc czy świtanie,
Skrada się smutek przemożny,
Skrada się ból, co mię krwawi,
I, ach! aż w grobie,
Gdy spocznę sobie,
Tam mnie samego zostawi.

Przełożył *A. G.*



OBROŃCA KRYMINALNY

a OPINIA PUBLICZNA.

Kiedy idzie o wykrycie przestępcy, o zebranie materyału do oskarżenia, o stwierdzenie faktu dokonanego przestępstwa i przypisanie spełnionego czynu danej jednostce, wtedy jest czynna władza państwowa: policya, sędzia śledczy, prokurator. Wspólnemi siłami gromadzą oni wszelkie dowody winy oskarżonego, badają najdrobniejsze szczegóły, wyciągają najrozmaitsze poszlaki i ze zgromadzonego materyału budują misterny gmach oskarżenia. Na zebranie poszlak winy składa się, oprócz osobistej inicyatywy poszkodowanego i jego stronników, jeszcze cała organizacya państwowa, złożona z wielkiej ilości specyalnie wykształconych ludzi, którzy przez długie lata zdobyli niezmierną wprawę w tropieniu przestępców. Oskarżenie rozporządza obszernymi środkami zebrania wszelkich dowodów: z początku wytrawni agenci policyjni, następnie wykształceni i doświadczeni prawnicy w osobie prokuratora i sędziego śledczego wytężają częstokroć wszystkie siły, ażeby zebrać jaknajwięcej danych, przemawiających przeciwko oskarżonemu.

Trudno więc wymagać, ażeby oskarżony stał bezbronny, z gołemi rękami, mając za jedyną tarczę to wewnętrzne przekonanie, że jest niewinny lub przynajmniej nie tak winny, jak tego dowodzi

oskarżenie. Człowiek, czujący i myślący, stanowiący cząstkę cywilizowanego społeczeństwa, do niedawna jeszcze korzystający ze wszystkich praw obywatelskich, nie może z poddaniem się i bez oporu oddać głowy pod miecz katowski, na którą może nie zasłużył. *Audiatur et altera pars*! Władza, ścigająca przestępcę, ma różnolite środki oskarżenia,— ten, kogo ścigają, powinien mieć niemniej różnolite środki obrony.

Ażeby się uchronić od uderzeń, powinien mieć hełm i pancerz, ażeby odeprzeć pociski, powinien posiadać tarczę. Takim hełmem i pancerzem, taką tarczą jest obrońca kryminalny. Wszystkie prawodawstwa dają go oskarżonemu, ażeby mu umożliwić odparcie fałszywych i złagodzenie zbyt ostrych zarzutów. Przeciw misternie zbudowanemu gmachowi oskarżenia wznosi on nie mniej misterną budowę obrony, ażeby zrównoważyć wagi Temidy, dorzuca ciężarek na tę szalę, która zanadto idzie w górę dzięki zbytniemu obciążeniu przez oskarżenie szali przeciwnej.

Wszyscy znamy i wszyscy niejednokrotnie oburzaliśmy się na średniowieczny proces śledczy i nieodłączne od niego ciemne piwnice i tortury. Ile setek ludzi cierpiało wówczas niewinnie, ile tysięcy ginęło w męczarniach za niespełnione zbrodnie! Samo imię inkwizycyi hiszpańskiej lub weneckiej rady dziesięciu dziś jeszcze dreszczem przejmuje. Nigdy może nie popełniono tylu niesprawiedliwości, nie przelano tyle krwi niewinnej, co w owych czasach. A dlaczego? Dlaczego w imię tak pięknych zasad, jak czystość religii i zbawienie duszy, spełniano tak straszne bezprawia? Oto dlatego, że inkwizycya uderzała na ślepo w oskarżonych, że każdy oskarżony był z góry uznany za winnego. Ten, na kim spoczęły oczy agenta śledczego, ginął bez ratunku, siepacze porywali go z domu, prowadzili do ciemnych lochów i tam albo bez sądu zamordowywali torturami, albo wydobywali przez męczarnie przyznanie się do win niepopełnionych, a przyznanie takie najzupełniej wystarczało do skazania. Czarna to karta w historyi ludzkości, tem czarniejsza, że trwała tak długo.

Ale nie sądzono jej istnieć wiecznie. Lepsze umysły zrazu nieśmiało, potem coraz otwarciej zaczęły występować przeciw systemowi sądownictwa tajnego; głosy Monteskiusza, Beccaria, Feuerbacha i innych rozbrzmiały po całym cywilizowanym świecie i znalazły echo w sercach i umysłach. Tajny, śledczy, oparty na torturach i wymuszonem przyznaniu się system zaczął powoli ustępować miejsca sądownictwu jawnemu i publicznemu; naprzeciw potężnej władzy oskarżenia stanęła nie mniej potężna obrona w osobie najzdolniejszych i najenergiczniejszych mówców.

Obecnie, w większości prawodawstw współczesnych, obrońca jest taką samą stroną w procesie, jak i oskarżyciel. Gdy ten ostatni zbiera, gromadzi i przedstawia sądowi dowody winy, obrońca wynajduje broń na odparcie tych zarzutów, paruje cięcia prokuratury, walczy z nią wszelkimi dozwolonymi przez prawo środkami. Bez obrońcy oskarżony częstokroć nie umiałby się bronić; choć nawet sam jest przekonany o swojej niewinności lub mniejszej, niż mu zarzucają, winie, nie umie wzbudzić tego przekonania w sędziach i niekiedy pada ofiarą wyroku zbyt surowego, a czasem zupełnie niesprawiedliwego, chociażby nawet wydanego w dobrej wierze. Sędziowie nie są istotami nadprzyrodzonemi, któreby dzięki natchnieniu przez Ducha Świętego odgadywały istotny stan rzeczy. Sędziowie to tylko ludzie, ulegający takim samym zewnętrznym wpływom, jak inni; mając przed oczyma tylko dowody winy, muszą wydać wyrok skazujący, bo nie zajrzą oni w serce oskarżonego i ocenią jego winę lub niewinność tylko z oznak zewnętrznych. Jeżeli samo tylko oskarżenie przedstawi swoje dowody, sąd musi przechylić się na jego stronę.

Ażeby umożliwić sądowi wydawanie wyroków bezstronnych, ażeby uzyskać przynajmniej względną sprawiedliwość wyroku, należy obok dowodów winy postawić dowody niewinności, oskarżeniu przeciwstawić obronę. Ale oskarżony rzadko kiedy umie sam odpierać zarzuty, „nie każdy – powiada Niemirowski [1])—może posiadać przymioty, potrzebne do bronienia się, a w szczególności dokładną znajomość praw, dar wysłowienia się, wreszcie umiejętność zachowania się przed sądem i bezstronność w ocenieniu swojej sprawy, tymczasem do obrony każdy ma prawo, tak jej potrzeba w naturę ludzką głęboko jest zakorzenioną, że niemowlę broni się, gdy je wiążą w powiciu, zwierzęta odpierają napaść, chociaż o prawach swoich uznania mieć nie mogą, a cóż dopiero mówić o człowieku, istocie rozumnej, stojącej nad wszechstworzeniem; tam, gdzie idzie o zachowanie praw jego najświętszych, możnaż mu odmówić prawa obrony? Wypada mu więc podać środki do użycia tego prawa, ile razy korzystać z niego zechce. Jedynym środkiem ku temu jest zastąpienie stron przed sądem ludźmi, znającymi prawo, którzy z całem umiarkowaniem i bezstronnością do wymiaru sprawiedliwości przez rzetelne przedstawienie rzeczy przyczynić się mogą". „Zasada

---

[1]) Pogląd dziejowy i zasadniczy na stanowisko obrońcy. Skreślił A. N. Warszawa, 1869, str. 4.

obrony spoczywa w prawie natury; wszystkie prawodawstwa, wsparte na poczuciu sprawiedliwości, uznać ją musiały, ona wprowadza zrównoważenie stron wobec prawa i daje rękojmię każdej z nich przeciw bezprawiu.

Środek ten dąży bezpośrednio do wymiaru sprawiedliwości i do wyjaśnienia prawdy, która często w zawikłanych stosunkach ludzkich zaciemnioną być może". „Napozór oskarżony—mówi profesor Fojnickij[2])—znając lepiej od innych okoliczności sprawy i będąc najbardziej zainteresowany w wywołaniu wyroku uniewinniającego, najzupełniej jest zdolny sam się bronić. Rzeczywistość jednak wcale nie potwierdza takiego przypuszczenia. Okoliczności sprawy są znane tym tylko podsądnym, którzy są winni, niewinnym są one nieznane. Obawa przed karą i hańba pościgu, a często samo otoczenie sądowe i obecność ludzi obcych wzruszają ich i rozstrajają tak dalece, że tracą zimną krew i panowanie nad sobą; nieznajomość treści i form procedury zmusza ich do powoływania się na okoliczności, nie mające nic wspólnego ze sprawą, i zamilczenia o szczegółach, które oni uważają za drugorzędne, a które mogą mieć ważne znaczenie dla sprawy. Nieznajomość prawa pozbawia ich możności obrony swoich praw i walki przeciw misternym budowom prawnym. Zdarza się przytem, że oskarżony, choć zupełnie niewinny, żąda kary czy to dlatego, ażeby, przyjąwszy winę na siebie, uwolnić kogo innego od odpowiedzialności, albo poprostu z rozpaczy, nieszczęść i rozstroju ducha. Jeżeli zwrócimy uwagę na wszystkie te okoliczności, to łatwo spostrzeżemy, że oskarżony przy pomocy własnych tylko sił nie może przedstawić sądowi wszystkich niezbędnych dla słusznego rozstrzygnięcia sprawy replik na skierowaną przeciw niemu tezę oskarżenia; prócz tego, im mniej jest on przygotowany do obrony, to jest, im jest niewinniejszy, tem trudniej mu walczyć z oskarżeniem. Proces, w którym oskarżony staje sam jeden wobec oskarżenia, zbrojnego we wszechpotężną pomoc państwa, nie zasługuje na nazwę rozpraw sądowych; zamienia się on w pościg".

Konieczność obrony w sprawach kryminalnych dziś nie może już nawet ulegać wątpliwości, a jednak nasza opinia publiczna zdaje się być innego zdania. Przypatrzmy się, jakich nabiera rozmiarów i w jakich rozwija się kierunkach ruch społeczny w stosunku do przestępcy i sądu.

---

[1]) Niemirowski *loc: cit.*, str. 1.

[2]) Fojnickij. Zaszczita w ugołownom processie. Żurn. Grażd. i Ugołow. Prawa. Kwiecień, 1885 r., str. 10 i 11.

Przedewszystkiem zwyczajni przestępcy, drobna „szara brać" złodziei kieszonkowych, oszustów na małą skalę, drugorzędnych awanturników i t. p. nie zwraca na siebie uwagi publicznej. Zbyt wielka jest ich ilość, zbyt spowszednieli, aby na nich zwracać uwagę. Opinia publiczna nie zajmuje się nimi wcale, nie broni ich ani potępia, przechodzi nad nimi do porządku dziennego.

Ale niech tylko zajdzie jakie sensacyjne przestępstwo, głośne zabójstwo, wielkie nadużycie pieniężne, niech na jaw wyjdzie szereg nadużyć urzędniczych lub długo tajone gniazdo zbrodni w ciemnym zaułku wielkiego miasta, — wnet wieść stugębna roznosi po całym kraju szczegóły i szczególiki przestępstwa; dzienniki brukowe z zapałem rzucają się na nowe źródło wiadomości; od wytwornych pałaców arystokratycznych do biednej izdebki robotnika, każdy, kto tylko ma choć odrobinę wolnego czasu, zajmuje się nowością; zjawia się mnóstwo wersyi, anegdotek, niezwykły fakt przechodzi z ust do ust, stanowi przedmiot niejednej rozmowy, doskonałą broń do zabicia czasu. Histeryczki dostają ataków nerwowych na samo wspomnienie o szczegółach przestępstwa; dewotki oburzają się na zgorszenie i oczekują kary boskiej na miasto i kraj, „w których się coś podobnego dzieje"; młodzi zapaleńcy ściskają pięści i żałują, że nie mogą w tej chwili własnemi rękami rozszarpać przestępcy; spokojniejsi poprzestają na tem, że życzą mu szubienicy lub ciężkich robót; starcy korzystają z nowości, ażeby rozprawiać i dowodzić, że w dawnych czasach było lepiej, „kiedy to ludzie byli mniej zepsuci, kiedy życie było tańsze i o mieszkanie łatwiej"; matki opowiadają dzieciom, „jacy to są źli ludzi na świecie", lalki salonowe raczą w rozmowie z tancerzem wyrazić z za wachlarza politowanie dla ofiar zbrodni; a wszyscy jednogłośnie narzekają na bezsilność sądów, na zbyt łagodne kary, niezdolne powstrzymać „strasznych zbrodniarzy" od potwornych czynów. Wszyscy jednogłośnie stają po stronie ofiar, wszyscy ciskają kamieniem potępienia na przestępcę.

Czasami znów bywa inaczej, czasem oskarżony staje się w oczach społeczeństwa męczennikiem, bohaterem nieomal, wszyscy oburzają się na prokuraturę i sądy, że śmią go sadzać na ławie oskarżonych. Ale takie wypadki należą do wyjątków, przeważnie zaś opinia publiczna zwraca się bezwzględnie przeciwko przestępcy. Mało się znajdzie jednostek tak odważnych, któreby się ośmieliły zaapelować od tego wyroku, rzucić w oczy ogółowi pytanie: „a może on nie jest tak bardzo winny? może jest niewinny zupełnie?" Ci nawet, którzy, lepiej znając szczegóły sprawy i niezupełnie ulegając

owczemu pędowi opinii, zdołali wyrobić sobie inny, dokładniejszy pogląd na sprawę, zwykle milczą, obawiając się, częstokroć słusznie, że opinia postawi ich pod pręgierzem na równi ze sprawcami przestępstwa.

Przeciwko adwokatowi, który podjął się obrony oskarżonego, zwraca się cała opinia, postępek jego zostaje uznany za godny potępienia, a on sam za człowieka, conajmniej nizko stojącego pod względem moralnym.

Skąd to pochodzi? dlaczego w naszem, napozór cywilizowanem i przejętem zasadami miłości bliźniego, społeczeństwie wytwarza się taka bezwzględność, taki pochop do potępienia bez wysłuchania obrony? Odpowiedź na to znajdziemy w zakorzenionem w człowieku od setek pokoleń poczuciu sprawiedliwości odwetowej, która na widok złego czynu każe nam przedewszystkiem ukarać winowajcę. Poczucie to jest tak ogólne, że niema chyba człowieka, któryby się niem chociaż częściowo nie rządził. Każdy, kto otrzyma uderzenie, w pierwszej chwili chciałby je oddać, każdy, kogo obrażą, chciałby również obrazić napastnika. Nie zawsze chęć swoją wprowadzamy w czyn, bo od tego powstrzymuje nas rozum, rozwaga, czasem niemożność lub obawa złych skutków, czasem pewne drgnienie tego, co zgodzono się nazywać „dobrem sercem", czasem poprostu bezwzględny rozkaz wszechwładnego „nie wypada", czasem inne jakiekolwiek pobudki, ale zawsze musi być coś, co powstrzyma naszą rękę od uderzenia, nasze usta od wypowiedzenia słów obrazy.

Być może, iż w tej chęci odwetu przeważającą rolę gra prosty odruch fizyczny — odruch muskułów i nerwów, spowodowany zewnętrznem podrażnieniem. Możemy w ten sposób objaśnić chęć odwetu, jeżeli sami jesteśmy przedmiotem napaści. Ale przecie ogólnie znany jest fakt, że ta sama chęć odwetu budzi się w nas nie tylko w chwili, kiedy sami ulegamy bezpośredniemu podrażnieniu, ale i wtedy, kiedy widzimy napaść na innych. Ktokolwiek, przechodząc przez ulicę, widzi, że duży i silny chłopak bije słabszego, temu mimowoli w pierwszej chwili przychodzi do głowy myśl, żeby uderzyć silniejszego, a przynajmniej go skrzyczeć. Uwolnienie bowiem krzywdzonego nie wystarcza nam, chcielibyśmy jeszcze złapać krzywdziciela i ukarać go na miejscu, a gdy tego nie uczynimy, doznajemy pewnego przykrego uczucia, które wynika z niezaspokojenia popędu. I znowu mniejsza o to, co nas od czynu powstrzymało, fakt chęci pozostaje niezmieniony. Tego już fizyologia nie objaśni refleksem, skurczem mięśni, reakcyą nerwów. To pozostały po naszych dzikich praojcach szczątek poczucia obowiązku zemsty, który

po upływie tysiącoleci uległ, jak wszystko, prawom rozwoju, ale nie zanikł, tylko przekształcił się pod wpływem tych idei, które z nim bezustannie walczyły. Człowiek pierwotny ciska kamieniem na napastnika lub rozbija mu głowę maczugą, dzisiejszy poprzestaje na piorunującem spojrzeniu lub zaciśnięciu zębów. Warunki się zmieniły, sposób wyrażania chęci odwetu zmienił się wraz z nimi, ale istota pozostała ta sama. W dzisiejszym człowieku cywilizowanym pod czarnym tużurkiem lub różowym stanikiem bije to samo głodne zemsty serce, jakie biło w nagiej piersi naszego praojca przedhistorycznego. Zemsta, która w dawnej Grecyi była rozkoszą bogów, dziś pozostała namiętnością ludzi.

A namiętność to silna, którą nie tak łatwo ugasić. Mścimy się, jak możemy, a przynajmniej chcielibyśmy się zemścić za każde najdrobniejsze złe, jakiego doznajemy, nie tylko za krzywdy, jakie nam wyrządzono, ale i za te, których ofiarą nie padliśmy i nie możemy paść. Chęć zemsty wybucha w nas wtedy nawet, kiedy widzimy, że jeden obojętny nam człowiek krzywdzi drugiego obojętnego nam człowieka, nawet, kiedy słyszymy o podobnej krzywdzie, kiedy wyobraźnia postawi nam ją przed oczy. Być może, iż poważną rolę odgrywa tu altruizm, współczucie dla niewinnie krzywdzonego, ale silniej od altruizmu porusza nas chęć odwetu za sprawioną nam pośrednio przykrość, za widok ran, za nieprzyjemną wiadomość o morderstwie lub kradzieży; kto wie, czy nie za to nawet, że przestępca, krzywdząc innych, przez to samo do pewnego stopnia zmniejszył poczucie naszego osobistego bezpieczeństwa, przypomniał nam, że i my także dziś lub jutro możemy paść ofiarą podobnej zbrodni.

Kiedy się rozejdzie wieść o przestępstwie, potępiamy zbrodniarza na zasadzie obiegającej miasto plotki, a nikt prawie nie pomyśli, że ten tygrys, nurzający się w niewinnej krwi, ten potwór o kamiennem sercu, prowadzący do ruiny setki rodzin, ażeby napełnić swoją kieszeń, ten lichwiarz, wysysający ostatnie soki z nieszczęśników, którzy potrzebowali kiedyś jego pomocy, — to także człowiek, mający takie samo prawo do życia i użycia, tak samo potrzebujący mieszkać, jeść, ubierać się i oddychać, jak my wszyscy, a w dodatku może daleko nieszczęśliwszy od tych ofiar zbrodni, które otaczamy takiem współczuciem.

Nikt nie spełnia zbrodni dla przyjemności, nikt nie kąpie się we krwi, ażeby nasycić oczy jej czerwonym kolorem, nikt nie podpala domu, ażeby się zabawić fajerwerkiem. A jeśli są nawet i takie nieliczne jednostki, które spełniają przestępstwa dla zaspokojenia dzikiej jakiej przyjemności, które z radością patrzą na płynącą

krew lub gorejący budynek, z rozkoszą słuchają jęku mordowanych ofiar, to wiemy przecie wszyscy, gdzie szukać dla nich miejsca: nie na rusztowaniu, nie na galerach, nie w kopalniach lub lochach, lecz w jasnej i wygodnej celi zakładu dla obłąkanych. Takiego przestępcy należy żałować serdecznie, litować się nad nim, ale nie odpychać i potępiać, leczyć go, a nie karać. Prawodawstwa karne wszystkich krajów oddawna już zrozumiały, że przyczyną najpotworniejszych zbrodni jest najczęściej choroba umysłowa, pod której wpływem człowiek staje się niepoczytalny, a spełniony przezeń czyn nieświadomy. Dzięki pracom uczonych badaczy, jak Esquirol, Despine, Lombroso, Emil Laurent, Kraft-Ebbing, Maudsley, Lacassagne i wielu innych, spadły kajdany z chorych umysłowo, z więzień przeniesiono ich do zakładów leczniczych.

Nie tylko jednak całkowite pomieszanie zmysłów może być przyczyną spełnienia zbrodni. Oprócz zdeklarowanej choroby umysłowej, wyłączającej wszelką poczytalność, medycyna, a za nią prawo karne, zna także stany połowicznej, częściowej nienormalności, w których czyny napozór zdrowego umysłowo człowieka nie mogą mu być poczytane za winę, jako spełnione pod wpływem chwilowego zaćmienia umysłu.

Zaćmienie to może być spowodowane przejściowemi fazami choroby umysłowej, podczas której człowiek, zupełnie napozór normalny, miewa chwilowe, niedostrzegalne prawie ataki obłędu, prowadzące częstokroć do spełnienia zbrodniczych czynów. Źródłem zaćmienia mogą być również wpływy epizodyczne: upojenie alkoholem, narkotykiem, długa bezsenność, nagłe przebudzenie się ze snu i t. p. Przyczyną zbrodni bywa także dziedziczne lub nabyte zwyrodnienie, będące skutkiem niektórych chorób fizycznych u rodziców lub u samego przestępcy, częstokroć pochodzące z systematycznego zatruwania organizmu alkoholem, nikotyną, morfiną, opium, meskalem, haszyszem.

Przestępstwa, spełnione pod wpływem nienormalności umysłowych lub fizycznych, nie należą do rzadkich wypadków, jakby to mogłoby się zdawać napozór. Wszak niedawno Lombroso poruszył cały świat uczony twierdzeniem, że każda zbrodnia jest chorobą, że przestępca stanowi odrębną istotę, wyróżniającą się od normalnych ludzi nie tylko psychicznemi, lecz i fizycznemi cechami i wskutek tych ostatnich od natury przeznaczoną do zbrodni. Teorya ta niewielu dziś liczy zwolenników, ale myśl, rzucona przez szkołę antropologiczną, nie przeszła bez śladu. Dziś nikt prawie nie wierzy, że każdy bez wyjątku przestępca jest człowiekiem nienormalnym, ale

wszyscy zgadzają się na to, że nienormalności fizyczne i umysłowe wytwarzają całe szeregi przestępców.

Przypuśćmy jednak, że dany przestępca jest człowiekiem normalnym, nie zwyrodniałym fizycznie, nie zaćmionym przez chorobę umysłową. Czy zawsze zasłuży on na bezwzględne potępienie za czyn spełniony? W naszych czasach, kiedy życie ludzkie uchodzi za największy skarb, największą zbrodnią jest zabójstwo, jako czyn, skierowany przeciwko najcenniejszemu dobru człowieka. A jednak czy zawsze zabójca zasługuje na bezwzględne potępienie? Czy rzucimy kamieniem na męża, który w przystępie rozpaczy zabija kochanka swojej żony? Czy potępimy ojca, który strzela do uwodziciela córki? Czy uznamy za złoczyńcę syna, który zmył krwią śmiertelną obrazę, rzuconą w oczy ukochanej matce?

Niema takiego czynu, ani takiego człowieka, któryby zasługiwał na bezwzględne potępienie, niema tak czarnej duszy, w której przy bliższem badaniu nie znaleźlibyśmy białego pasemka.

Złodzieje okradli stojący na uboczu dwór. Wysłano pogoń na na wszyskie strony, ścigający dyszą pragnieniem zemsty: jeśli rabusie dadzą się złapać, zapewne nie ujdą z życiem. A czy choć jeden z mścicieli pomyślał nad tem, z kogo się składa banda złoczyńców? Oto jeden z nich przed laty za niewielkie jakieś przestępstwo został skarany na więzienie z pozbawieniem szczególnych praw, a co za tem idzie, po odbyciu kary wyznaczono mu tak zwany „pobyt". Wysłano go do odległej mieściny i tam oddano pod dozór władzy miejscowej. Z początku miał on najlepsze chęci, chciał pracować, szukał zajęcia, ale nie znalazł. Wszystkie drzwi zamknęły się przed nim, od wszystkich progów odtrącono go ze wzgardą. W mieście, gdzie miał pobyt przymusowy, wszyscy wiedzieli o jego przeszłości i każdy obawiał się wpuścić go pod dach. Iść na zarobek gdzieindziej nie mógł, bo „pobyt" przykuł go do miejsca. Kilka złotych, otrzymanych przy opuszczeniu więzieniu, wyczerpało się prędko, nowego zarobku nie było, a tymczasem żołądek coraz głośniej dopominał się o swoje prawa. Droga uczciwej pracy była zamknięta, jałmużny nikt dać nie chciał; pozostawało jedno tylko wyjście—kraść. Drugi członek bandy — to podrzutek; znaleziono go w rowie przy drodze i wykarmiono resztkami pożywienia, których nie chciały jeść psy. Od małego dziecka sypiał na dworze, obchodzono się z nim gorzej, niż ze zwierzęciem, ledwie nauczył się chodzić i mówić, kazano mu pracować od świtu do późnej nocy, a w nagrodę za to obdarzano szturchańcami i wymyślaniem. O moralności nikt mu nigdy nie mówił, pojęcie własności było mu nieznanem: jedyną ety-

ką było dlań odrobić to, co mu kazano, i w ten lub inny sposób uniknąć szturchańców. Nareszcie, kiedy wyrósł i zaczął jeść więcej, niż dla niego przeznaczano, uznano go za darmozjada i wypędzono na cztery wiatry. I on nie znalazł zajęcia i musiał szukać środków do życia na nieprawej drodze. Trzeci miał chatę i kawałek gruntu, ale mu się jakoś nie wiodło: jednego roku bydło mu wyzdychało, drugiego grad wybił zboże, trzeciego chałupa się spaliła, a nie była zabezpieczona. Na życie i podatki zadłużył się u miejscowego lichwiarza, ale wobec ciągłych niepowodzeń nie mógł spłacić zaciągniętej pożyczki, procenty rosły coraz bardziej, wreszcie sprzedano mu grunt i zostawiono wraz z rodziną pod gołem niebem. Z rozpaczy poszedł „zalać robaka" i przepił resztki mienia. Wkrótce nie było za co kupić kawałka chleba. A tymczasem chora żona koniecznie potrzebowała lekarstwa, wynędzniałe dzieci wyciągały drobne ramiona, wołając: „jeść". Cóż było robić? Trzeba się było chwycić jedynej drogi, która przy szczęśliwym zbiegu okoliczności mogła wybawić z nędzy. Uczciwa praca nie dała chleba, trzeba było zwrócić się do kradzieży.

Urzędnik przywłaszczył sobie powierzone mu pieniądze. Złodziej! bij zabij na niego! Ale ten urzędnik ze swojej pensyi musiał utrzymywać żonę, sześcioro dzieci i starych zniedołężniałych rodziców. Na utrzymanie ośmiu osób miał czterysta rubli rocznie, to jest na osobę 50 rubli rocznie czyli 4 ruble 17 kop. na miesiąc! Przez długie lata żył, walcząc ciężko z wdzierającą się nędzą, ale kiedy przyszła choroba, kiedy trzeba było drogo opłacać doktora i lekarstwa, nie mógł nastarczyć. A tymczasem przez jego ręce codzień przechodziły setki i tysiące rubli, rulony złota i paczki tęczówek. Pokusa była silna, wziął jedną sturublówkę i z bijącem sercem zmienił ją, ażeby kupić wina dla osłabionej matki i ciepłe sukienki dla dzieci. Biorąc pieniądze, mówił sobie, że tylko zaciąga pożyczkę, spodziewał się, że wkrótce pokryje niedobór, ale nadzieje go zawiodły. Za pierwszą pożyczką poszła druga, trzecia. Wykryto nadużycie i oddano go pod sąd.

Matka zabiła swoje własne dziecko: zbrodnia, wołająca o pomstę do nieba! Ale ta matka to biedna dziewczyna, uwiedziona przez lekkomyślnego kochanka i porzucona na bruku wraz z małem dzieckiem. Pani, u której służyła, surowa cnota, spostrzegłszy, że dziewczyna jest w odmiennym stanie, wydaliła ją ze służby. Nieszczęsna przez kilka miesięcy tułała się tu i owdzie, nie mogąc ukryć coraz silniej uwydatniających się śladów chwilowego błędu, nieraz przymierała głodu, a na każdym kroku oblewała się rumieńcem hańby,

spotykając się z ludźmi, którzy, jak się jej wydawało, wszyscy przyglądali się jej z szyderstwem i śmieli się w oczy. Potem przyszła choroba — w brudnej i wilgotnej norze, aż nareszcie urodziło się dziecko.

Co ona zrobi z tem dzieckiem? Nikt jej nie przyjmie do służby, każdy wyrzuci, wyśmieje, dziecko przez całe życie będzie nieszczęśliwe, pójdzie na poniewierkę, nigdy nie zniknie mu z czoła piętno hańby matczynej. Za nią nędza, hańba i cierpienia, przed nią nędza i hańba jej i dziecka. A w dodatku gorączka, spowodowana przez chorobę, jeszcze powiększa wizyę spodziewanych nieszczęść. Jak się od nich uwolnić? Wystarcza jeden energiczny ruch. Dziecię leży na twardej podłodze i śpi. Jedno silniejsze naciśnięcie ręki, a wątłe to życie zgaśnie bez bólu. Nikt go żałować nie będzie. Śmierć będzie dobrodziejstwem dla niego i dla niej. Nacisnęła słabe gardełko. Po chwili opamiętała się, chciała przywrócić dziecię do życia, rozcierała je, chuchała. Zapóźno! Dziecię nie żyje, a ją posadzono na ławie oskarżonych.

Zerwijcie się z oburzeniem, wy, czułe istoty, którym łza kręci się w oku na widok zamordowanej kuropatwy lub wyjącego na łańcuchu psa, wyciągnijcie kurczącą rękę i rzućcie na tych zbrodniarzy kamieniem potępienia, jeżeli tylko wzniesiona ręka nie opadnie wam i kamień nie wysunie się z dłoni!

„W najohydniejszym przestępcy, — mówi Pepłowski [1]) — zawsze coś z godności człowieka, coś z ludzkich uczuć pozostaje. Te resztki człowieczeństwa jeszcze ocalenia warte, jeszcze współczucie obudzić zdolne, a cóż powiedzieć o tych rozbitkach życiowych nawałnic, których nie zatwardziała przewrotność, lecz zbieg twardych warunków w otchłań występku wtrąciły. Należy więc, spojrzawszy, twarz od nich odwrócić?"

Geneza każdej najczarniejszej napozór zbrodni kryje się w nieznanych ogółowi tajnikach; droga, którą szedł przestępca, niknie w pomroce. Na pierwszy rzut oka nie jedna zbrodnia wydaje się straszną, wstrząsającą całą istotą uczciwego człowieka, wołającą o jaknajprędszą pomstę, o jaknajszybsze, bezlitośne zgładzenie potwornego jej wykonawcy. Ale, jeśli rzucimy promień światła w ciemną krainę pobudek, jeżeli rozjaśnimy mrok panujący na drodze, która doprowadziła przestępcę do skalania rąk zbrodnią, częstokroć miejsce oburzenia i gniewu zajmą współczucie i litość nad nieszczę-

---

[1]) Adolf Pepłowski. Obrona w sprawach karnych. Przegląd literacki, dodatek do „Kraju" z dn. 24 grudnia 1887 (5 stycznia 1888 r.).

śnikiem, który, pchnięty fatalnym zbiegiem okoliczności, wyrządził większą może krzywdę sobie, niż innym.

Nie idzie za tem, ażeby zostawiać bez kary tych przestępców, których tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności wprowadził w krainę zbrodni. Kara jest złem, ale złem koniecznem. Dzisiejsze społeczeństwo obejść się bez niej nie może. „Dzisiejsza sprawiedliwość kryminalna — mówi Wahlberg [1]) — nie może jeszcze uniknąć zewnętrznego przymusu". Kara jest niezbędna, jeżeli już nie dlatego, żeby poprawić przestępcę albo zrobić go nieszkodliwym dla społeczeństwa, to dlatego przynajmniej, żeby pozostawieniem spełnionego przestępstwa bez kary nie upoważnić poniekąd innych do spełniania podobnych czynów, żeby nadać sankcyę prawu karnemu, które bez wykonania kary byłoby martwą literą, pustym dźwiękiem. Prócz tego kara jest potrzebna dla zaspokojenia tkwiącego w ludziach uczucia sprawiedliwości odwetowej, które każe społeczeństwu oburzać się na bezkarność przestępcy i tracić zaufanie do sądów, uwalniających winnego od odpowiedzialności.

Być może, iż przyjdzie chwila, którą przewiduje Letourneau[2]), kiedy „sprawiedliwość przyszłości nie będzie wcale karała, zajmując się tylko zabezpieczeniem społeczeństwa i, o ile możności, kształceniem". Ale nim taka chwila nastąpi, sądy muszą skazywać przestępcę na karę, muszą stosować całą surowość praw do tych, którzy swem postępowaniem przekroczyli granicę czynów dozwolonych. Postępki ich grożą ruiną dobrobytowi, a nawet bytowi społeczeństwa, społeczeństwo więc musi się bronić przeciwko swym wewnętrznym wrogom, musi walczyć z nimi za pomocą wszelkich możliwych środków, ale nie powinno nadużywać swej przewagi i znęcać się nad bezbronnym, związanym, rzuconym mu pod nogi przestępcą. Każdy, kto przekroczył przepisy prawa karnego, musi ponieść zasłużoną karę, ale nikt nie powinien cierpieć więcej, niż tego wymaga bezpieczeństwo publiczne, naruszone przez jego czyn przestępny. Łagodzić uderzenia karzącego miecza Temidy, wstrzymywać sądy od wymierzania zbyt ostrych kar, miarkować bezwzględną surowość prawa — oto zadanie obrony kryminalnej w tych nawet sprawach, w których oskarżony przyznaje się do winy i przyznanie to nie bu-

---

[1]) Wahlberg. Das Princip der Individualisirung in der Strafrechtsfhlege. Wien. 1869, str. 136.

[2]) Letourneau. L'évolution juridique dans les diverses races humaines. Paris. 1891, str. 511.

dzi wątpliwości. Obrońca nie powinien dowodzić niewinności winnego, uwalniać rzeczywistego zbrodniarza od kary za pomocą machinacyi i wykrętów [1]), ale powinien w każdym razie stanąć po stronie oskarżonego, wynaleźć wszystkie mówiące na jego korzyć okoliczności, złagodzić karę o tyle, o ile to się da zrobić bez uchybienia sprawiedliwości i etyce.

„W sprawach karnych — mówi Picard — odmowa obrony nigdy nie jest dozwolona... Jeżeli nawet oskarżony przyznaje się do winy swemu adwokatowi, to jednak i wtedy ten ostatni powinien zbadać wszystkie dowody, bo dla porządku społecznego ważniejszem jest przeszkodzenie skazaniu bez dostatecznych dowodów, niż skazanie winnego. Jeżeli wina jest pewną, pozostaje określić okoliczności łagodzące. Jeżeli nawet i tych niema, to w każdym razie obecność obrońcy jest pożyteczna, ażeby śledzić przebieg sprawy i wyciągać co się da na korzyść oskarżonego z tych wypadkowych i nieprzewidzianych okoliczności, które mogą się znaleźć wśród oskarżenia, nie ulegającego, na pierwszy rzut oka, odparciu". „Wobec tego, mówi dalej tenże autor, na widok adwokata, broniącego takiej sprawy lub takiego klienta, że w pierwszej chwili widza pewne zdumienie ogarnia, nie podejrzenie, ani nagana powinny przychodzić na myśl. Koledzy i sędziowie powinni sobie poprostu powiedzieć: on broni dlatego, że do niego pierwszego zwrócił się klient, że on wtenczas miał czas i że zrozumiał, iż byłoby niezgodnie z honorem profesyonalnym uciekać od niebezpieczeństwa i czekać na przyjście lepszego klienta". „W tem się przejawia szlachetna strona ludzkości— powiada Niemirowski — która obwinionemu wyznacza obrońcę, tak, że, gdy go wszyscy potępiają, ma on przynajmniej jeden głos za sobą przed wyrokiem" [3]).

A jeżeli oskarżony jest niewinny? jeżeli padł ofiarą fatalnej pomyłki, jeżeli podejrzenie pada nie na tego, kto spełnił przestępstwo? Czy i wtedy opinia potępi go z góry dlatego, że zebrano przeciwko niemu pewne poszlaki i że dzienniki ogłosiły go za sprawcę zbrodni. Czy i wtedy skażemy go bez wyroku na potępienie i od-

---

[1]) Uważam za stosowne zaznaczyć, że nie rozwijam tu kwestyi, jak należy prowadzić sprawy, jakich środków używać przy obronie. Określenie sposobu prowadznia spraw wychodzi poza obręb niniejszej pracy.

[2]) Picard. Paradoxe sur l'avocat, 1883, str. 71. Patrz Waśkowskij. Osnownyje woprosy adwokatskoj etiki. Petersburg. 1895, str. 19.

[3]) Niemirowski. *loc. ctt.*, str. 20.

bierzemy mu możność udowodnienia swej niewinności? Czy ten, na kogo zwrócą się oczy prokuratora i sędziego śledczego, o kim prasa poda niesprawdzone częstokroć wieści, ma już zostać bezpowrotnie skazanym? Po co w takim razie prowadzić szczegółowe śledztwo, po co oddawać sprawę do sądu, po co tworzyć drugą instancyę, upoważnioną do uchylenia skazującego wyroku pierwszej instancyi, po co wprowadzać do sądownictwa tak skomplikowane postępowanie kasacyjne i rewizyjne, skoro jedno tylko rzucenie podejrzenia, jedno pociągnięcie do odpowiedzialności ma wystarczać, ażeby człowieka uznać za winnego i potępić na wieki? Samo już istnienie długiej i skomplikowanej procedury w sprawach karnych dowodzi lepiej, niż dowody teoretyczne, że na to, ażeby uznać nieposzlakowanego obywatela za winnego przestępstwa, ażeby zastosować doń karę, należy przedewszystkiem dobrze rozpatrzeć wszystkie okoliczności sprawy, zważyć na czułych ważkach najdrobniejsze szczegóły, bezstronnie rozejrzeć się w położeniu, zwrócić na wszystko baczną uwagę i dopiero po szczegółowem zbadaniu orzec, czy zebrano w istocie dostateczną ilość dowodów, ażeby na ich zasadzie z czystem sumieniem uznać, że oskarżony jest winny.

„Zadanie sprawiedliwości kryminalnej — mówi Fojnickij [1]) — polega nie na tem, ażeby karać wogóle, lecz ażeby karać winnych. Skazanie niewinnego jest z nią w takiej samej, a nawet większej sprzeczności, niż uniewinnienie winnego". Życie, wolność i cześć człowieka to skarby tak cenne, że, kiedy one w grę wchodzą, o lekkomyślnem załatwianiu rzeczy nie może być nawet mowy. Dlatego też prawodawstwa obstawiły wyrokowanie w sprawach kryminalnych licznemi formalnościami, które nie są czczą formą, lecz dają pewną rękojmię oskarżonemu, że sprawa jego będzie wyświetlona wszechstronnie; dlatego też, nim o winie podsądnego zaczną wyrokować sędziowie, sprawa przechodzi przez wiele rąk: najprzód policya, następnie sędzia śledczy, później prokurator i izba oskarżeń mają władzę umorzenia sprawy (lub skierowania jej na umorzenie), i dopiero po przebyciu całej tej skomplikowanej drogi sprawa przechodzi przed kratki sądowe. I przed temi kratkami znowu powtarza się całkowite śledztwo, świadkowie zeznają to, co już mówili na śledztwie pierwiastkowem, biegli znów wyrażają swoje zdanie i prokurator przedstawia oskarżenia, dla których zrównoważenia ze strony podsądnego staje obrona.

---

[1]) Fojnickij. *loc. cit.*, str. 8 i 9.

Oskarżenie i obrona odgrywają rolę dwu stron w procesie; każda z nich oświetla sprawę z innej strony, każda zbiera inną kategoryę danych i przedstawia je sądowi, który dopiero na zasadzie obustronnego przedstawienia może stanąć po nad stronami i wydać sprawiedliwy wyrok. Pozbawić oskarżonego obrońcy, nie pozwolić adwokatowi stanąć po jego stronie, to znaczy naruszyć wymagania sprawiedliwości, przechylić szanse na stronę oskarżenia z uszczerbkiem bezstronności wyroku, powiększyć liczbę fatalnych pomyłek sądowych, kończących się skazaniem niewinnego. Czy tego żąda nasza opinia publiczna, potępiając adwokatów, broniących „niesympatycznych dla ogółu" przestępców?

Pomyłki sądowe dziś nie należą do nadzwyczajnych rzadkości: od czasu do czasu pisma ogłaszają nam smutny fakt ścięcia niewinnego i znalezienia następnie prawdziwego sprawcy zbrodni, od czasu do czasu umysły porusza wieść o wykryciu niewinności skazanego, który dzięki pomyłce sądowej od kilku lat jęczy w podziemiach lub kopie rtęć, przykuty łańcuchem do taczek.

A ile pomyłek pozostaje niewykrytych? ilu niewinnych zginęło, tak, że nikt nie wie i nie będzie wiedział o ich niewinności? A jeżeli sądy się mylą, jeżeli sędziowie specyalnie wykształceni i biegli w wyrokowaniu o winie i niewinności, częstokroć pomimo szczegółowego zbadania okoliczności sprawy, dają się uwieść zwodniczym pozorom i skazują niewinnego, to jakże można przypuścić, że nieomylną będzie opinia publiczna, znająca szczegóły przestępstwa tylko z przesadzonych, a często zupełnie fałszywych doniesień dziennikarskich lub przebiegającej z ust do ust plotki? Jakże można potępić człowieka na zasadzie takich danych, które zwykle rozpoczynają się od słów: „słyszałem, że", „mówią, że", „podobno"? Jak można strącać człowieka w otchłań potępienia bez zapytania nawet, czy zbadano dostatecznie okoliczności sprawy?

Zdanie *vox populi vox Dei* oddawna już straciło prawo obywatelstwa.

Nikt nie może przed wyrokiem sądowym twierdzić, że oskarżony jest winny, nikt nie może określić, jak daleko sięga jego wina. „Znaną jest — mówi Posner [1])—odpowiedź, jakiej udzielił dr. Johnson Boswellowi, gdy zarzucał mu, iż przyjmuje niedobre sprawy: „jakże możesz wiedzieć, czy sprawa jest dobrą lub niedobrą przed wydaniem wyroku?" A jeśli nie możemy być pewni winy oskarżo-

---

[1]) S. Posner. Adwokatura angielska. Gazeta sądowa z r. 1897. Nr. 7, str. 99.

nego, czyż mamy prawo narzucać to przekonanie o winie innym i potępiać adwokata, który, wbrew naszemu zdaniu, jest przekonany o niewinności swego klienta? „Gdyby ludzkość cała—mówi Pepłowski [1]) — z wyjątkiem oskarżonego i jego obrońcy, była zdania, że oskarżony jest winnym, póki oni dwaj zachowują swe o niewinności przekonanie, ludzkość cała nie więcej ma prawa zarzucać im własne zdanie, jak oni zmusić ją do uznania swojego". „Jakże nie pośpieszyć na ratunek tym — mówi dalej tenże autor [2]) — co, choć wszystkie na głowę ich walą się gromy, choć wszystko ich potępia, choć wszyscy urągają mniemanemu ich uporowi, oni przecież, to złorzecząc, to modląc się naprzemiany, trwale zapewniają o swej niewinności. Po wszystkie czasy nagradzano ratowanie ginących, hołd oddawano wybawcom. Nie śmierciż to obrona wydziera ofiary? I czy samej tylko śmierci? Czemże jest śmierć w wód lub płomieni falach, gdy ginący nawet cierpieć niema czasu, w porównaniu z okropnem konaniem oczekującego naprzód już oznaczonej katowskiej rzezi skazańca? Ileż straszniejszem od samej śmierci życie niewinnie na dziesiątki lat skazanego więźnia! Ile minut w godzinie, ile godzin w tych lat dziesiątkach, tyle ponawiających się wspomnień, pożerających mąk, krwawiącej serce rozpaczliwej niemocy. To uczucia człowieka, żywcem pogrzebanego w mogile, co, ocknąwszy się z letargu,

> Z wzdrygnieniem czuje, że robactwo toczy
> Odżyłe jego oblicze i oczy,
> I nie ma siły bronić swych wnętrzności!

Bronić, by wieka trumny nad żyjącym nie zamknięto, zerwać je, gdy przybite ręką nieopatrznego grabarza, wydrzeć piekłu ofiarę — oto zadanie obrońcy".

I tego szczytnego zadania mają się wyrzec obrońcy kryminalni, mają zostawić niewinnych na pastwę kata dlatego, ażeby wypadkiem nie uwolnić winnego od kary? Opinia publiczna każe adwokatowi przyjmować obronę w tych tylko sprawach, kiedy oskarżony jest niewinny, a jakże można takie sprawy rozpoznać? Jakie znaleźć kryteryum do określenia przy przyjmowaniu sprawy, czy ten, na kogo padło podejrzenie, jest w rzeczywistości niewinny lub mniej winny, niż mu zarzucają, czy też jest niepoprawnym, niegod-

---

[1]) Pepłowski. *loc. cit.*, str. 15.

[2]) *loc. cit.*, str. 16.

nym współczucia zbrodniarzem, kłamliwie zapewniającym o swojej niewinności. Jak z góry określić, kto jest winny, a kto nie? Gdzie znaleźć granicę pomiędzy sprawami, zasługującemi na obronę, a takiemi, które na nią nie zasługują? Ten tylko będzie miał prawo potępić obrońcę kryminalnego za przyjęcie tak zwanej niesłusznej sprawy, kto da temu obrońcy takie wagi, na których on w chwili pierwszego zjawienia się klienta będzie mógł zważyć jego winę i określić napewno, że oskarżony jest tak dalece winny, że nic nie można z czystem sumieniem powiedzieć na jego obronę. Jeżeli istnieją nawet tacy oskarżeni (o czem pozwalam sobie wątpić), to skąd wziąć wagi do zważenia ich winy? Skąd obrońca weźmie dane do potępienia tego, który przychodzi doń i mówi: „wszyscy zwrócili się przeciw mnie, sądy mnie ścigają, opinia publiczna potępia, ale ja jestem niewinny: broń mnie i udowodnij moją niewinność". Obrońcy w takim wypadku nie wolno odpowiedzieć: „i ja cię potępiam, nie jesteś godzien współczucia", nie wolno mu odepchnąć wyciągniętej ręki, błagającej o pomoc, nie wolno nie przyjąć sprawy do obrony. Bo na to on jest obrońcą, na to korzysta z praw, przysługujących temu zawodowi, ażeby być zawsze na usługi uciśnionych, stanąć po stronie tych, przeciwko którym wszystko się zwraca. Obawa przed uwolnieniem winnego od kary nie powinna wstrzymywać adwokata od przyjęcia obrony, bo on nie może wiedzieć z góry o winie lub niewinności tego, który twierdzi, że jest niewinny, albo o wielkości winy tego, który się przyznał do spełnienia zarzuconego czynu, a lepiej jest przecie uwolnić dziesięciu winnych, niż skazać jednego niewinnego.

Obawa przed głosem opinii publicznej nie powinna również powstrzymać adwokata od obrony, bo kto raz przyjął na siebie spełnianie pewnych obowiązków, ten powinien wytrwać na stanowisku, choćby nad jego głową huczały gromy. Kto nie ma dostatecznej odwagi do wytrwania na stanowisku obrońcy, niech przestanie być adwokatem, ale, póki nim jest, powinien stanąć w obronie każdego oskarżonego, który przyjdzie go o to prosić.

Przyjmowanie wszystkich spraw karnych bez różnicy — powiada Niewiadomski [1]) — jest prostym obowiązkiem adwokata, obowiązkiem, jaki nam nakłada stanowisko i specyalny charakter obrony, jako instytucyi prawa publicznego. W sprawach kryminal-

---

[1]) Niewiadomskij. Wiecznyje woprosy adwokatury. 1886. str. 55.

nych — mówi Waśkowskij [1] — udział adwokata jest pożądany z punktu widzenia interesu społecznego we wszystkich wypadkach, kiedy oskarżycielem jest prokurator. A więc, czy oskarżenie jest wątpliwe, czy nawet zupełnie pewne, wszystko jedno: podsądnego należy bronić, i adwokat nie może zrzec się obrony".

Jak wszystkie zasady, tak i ta nie wyłącza możliwości wyjątków. W niektórych, nielicznych wprawdzie, wypadkach, adwokat może odstąpić od zasady i odmówić obrony oskarżonego z wyboru. Dzieje się to wtedy, kiedy w grę wchodzą osobiste uczucia obrońcy, nie jako adwokata i człowieka, ale jako członka i przedstawiciela danej religii, partyi politycznej, narodowości. Żyd może odmówić obrony znanemu antysemicie, oskarżonemu o nieprawne uciskanie Żydów, Polak w Księstwie Poznańskiem może nie przyjąć obrony hakatysty, oskarżonego o uciemiężanie Polaków, zapalony przeciwnik rojalizmu we Francyi może nie zechcieć stanąć w obronie rojalisty, oskarżonego o spisek przeciwko ubóstwianemu przez obrońcę rządowi republikańskiemu. W takich wypadkach obrońca może odmówić swej pomocy, ale dlatego jedynie, że uczucia, w imię których odmawia, są tak silne, iż nie będzie on umiał wydrzeć ich z serca, stanąć ponad niemi i przedmiotowo bronić tego, kogo jego serce potępia nie jako zbrodniarza, lecz jako nieprzyjaciela. W każdym jednak razie będzie to tylko odstąpieniem od zasady, wyjątkiem, a wyjątki stwierdzają regułę.

W sprawach cywilnych adwokat może, a nawet powinien robić różnicę pomiędzy sprawami słusznemi a niesłusznemi i przyjmować te tylko sprawy, w których, według jego zdania, słuszność jest po tej stronie, która go wzywa. Bo rola adwokata w sprawie cywilnej jest zupełnie inna: widząc, że jego klient nie ma słuszności, adwokat-cywilista powinien nań wpłynąć, ażeby przerwał sprawę, uznał żądania strony przeciwnej, zrzekł się niesłusznych uroszczeń. Strona w procesie cywilnym może prowadzić sprawę lub jej zaniechać, może domagać zaspokojenia słusznych wymagań i zrzec się niesłusznych. Nie przyjąć sprawy cywilnej, która wydaje się adwokatowi niesłuszną, to znaczy odmówić swego współdziałania w sprawie, skierowanej ku skrzywdzeniu przeciwnika. Takiej sprawy adwokat nie powinien się podejmować, przeciwnie, obowiązek nakazuje mu wytężyć wszelkie siły, ażeby do niej nie dopuścić.

---

[1]) E. W. Waśkowskij. Osnownyje woprosy adwokatskoj etiki. Petersburg, 1895, str. 8 i 9.

Inaczej zupełnie w sprawach kryminalnych. Oskarżony nie występuje tu przeciw oskarżycielowi, jako strona czynna w procesie, od której zależy przerwanie sprawy kosztem zrzeczenia się niesłusznych uroszczeń; przeciwnie, oskarżony jest stroną, że tak powiem, bierną, jest poniekąd przedmiotem, o który toczy się sprawa, nie może on podług swojej woli zrzec się dalszego procesu, bo, gdyby mógł, to zawsze prawie zrzekłby się go bez wahania. Odmówienie obrony oskarżonemu nie jest umorzeniem niesłusznej sprawy, lecz, przeciwnie, zwiększeniem tylko jej niesłuszności przez pozostawienie własnym siłom tego, który nie czuje się zdolnym do obrony swoich praw i wzywa adwokata nie po to, żeby się wzbogacić cudzym kosztem, lecz żeby bronić się przeciwko napaści.

Uledz naciskowi opinii publicznej i nie przyjąć niemiłej dla ogółu sprawy — to znaczy w myśl nieuzasadnionego głosu opinii odmówić swej obrony temu, kto jej potrzebuje i ma prawo jej żądać. Wiemy, jak się tworzy nasza opinia publiczna i jak mało jest krytycyzmu w tak zwanym głosie ogółu. Czyż wszyscy mają mu ulegać bezwzględnie ze szkodą sprawiedliwości, z pogwałceniem zasad etyki i obowiązków powołania? Czy obrońcy mają pozostać nieczułymi na głos nieszczęśliwych, wzywających ich pomocy, na głos obowiązku i sumienia, dlatego jedynie, że za to mogą się spotkać z niesłusznymi zarzutami? Opinia publiczna niejednego już skrzywdziła i niejednego skrzywdzi jeszcze, ale to nie powstrzyma szlachetnych ludzi na drodze obowiązku, bo, im poważniejsze piętrzą się na niej przeszkody, tem większą ma wartość zwycięstwa.

Aleksander Mogilnicki.



Postępy techniki a kwestya społeczna,*)

Wrażenia z wystawy powszechnej w Paryżu.

Pokaźnie wystąpili na wystawie fabrykanci welocypedów i automobilów. Obydwa wehikuły są przykładem, jak szybko dziś doskonali się wynalazek, uznany za praktyczny w zasadzie. Początek welocypedu tkwi w „drezynie", wehikule pomysłu niejakiego Drais, leśniczego badeńskiego, z roku 1817: był to przyrząd, składający się z dwu kół, umieszczonych jedno za drugiem na jednej linii; na listwie, łączącej koła, było umieszczone siodełko, na którem siadało się, jak na koniu, i, odpychając się nogami o ziemię, wprawiano w ruch maszynę. Te wózki dwukołowe stały się potem narzędziem sportu. W roku 1855 mechanik francuski, Michaux, zaopatrzył tylne koła drezyny w korbę i pedał, i teraz jeździec poruszał nogą bezpośrednio koło. Potem Anglicy poczęli wyrabiać takie wehikuły z żelaza, i welocyped przybrał formę machiny o jednem bardzo wielkiem, drugiem — maleńkiem kółku; jeździec teraz poruszał się tem szybciej, im większy był obwód wielkiego koła w stosunku do koła, które opisywał pedał. Dalszem ulepszeniem było zaopatrzenie kół w szynę gumową, wskutek czego wstrząśnienia po nierównej drodze stały się mniej przykre; tak ulepszony—w roku 1878—welocyped rozpowszechnił się bardzo, jako narzędzie sportu, a po-

*) Ob. „Ateneum", luty, 1901.

części, jako środek lokomocyi, lecz jazda na nim była, bądź co bądź, zabawą karkołomną: jeździec musiał często zeskakiwać przed przeszkodą na drodze, a skok z wielkiego koła był często-kroć niebezpieczny. Zastosowano tedy inną zasadę: zamiast nadawać ruch bezpośrednio kołu, który wskutek tego nie może być szybszy od ruchu obracającej nogi, zastosowano transmisyę „przekładnię", składającą się z systemu kół zębatych i łańcucha, wskutek czego koło wehikułu obraca się o kilkakroć prędzej od korby, wprawianej w ruch; w ten sposób środek ciężkości został umieszczony niżej, równowaga była łatwiejszą, zeskakiwanie nie przedstawiało trudności, ruch zaś był szybszy; te rowery weszły w użycie w roku 1884. Po upływie lat sześciu zastosowano jedno jeszcze ulepszenie: szynę gumową zastąpiono kiszką gumową, napełnioną powietrzem, wskutek czego wstrząśnienia są zredukowane do *minimum*. Odtąd welocyped staje się narzędziem codziennego użytku, fabrykacya ich poważną gałęzią przemysłu, i ulepszenia następują po sobie bez przerwy. To też dziś normalny jeździec z łatwością może przebiedz na tym wehikule 30 kilometrów na godzinę.

Lecz, zanim jeszcze zdołano udoskonalić welocyped, technicy rzucili się do budowy wehikułów, w których siłę mięśniową ludzką zastępuje motor — automobilów. Wynalazek gumowej szyny kołowej pneumatycznej umożliwił ruch takich wozów po drogach zwykłych, a o zastosowanie motoru było już łatwo, i dziś walczą o zwycięstwo motory naftowe, benzynowe i elektryczne. W ciągu lat dziesięciu pokonano trudności techniczne, i dziś automobile, pędząc z szybkością pociągów pośpiesznych, pozwalają odbywać wygodnie dalekie podróże, a rozpowszechnienie dorożek i omnibusów automobilowych jest już tylko kwestyą kosztów siły motorycznej.

Oryginalny też jest system nowy, polegający na kombinacyi kolei elektrycznych dawnego systemu z automobilami: wagony biegną tu po drodze zwykłej bez szyn, lecz na kołach z kiszką pneumatyczną, a siły motorycznej dostarcza im prąd elektryczny, który biegnie po przewodniku, umieszczonym w górze wzdłuż drogi. Dla kolei podmiejskich ten system ze względu na zaoszczędzenie szyn może mieć wielkie znaczenie.

Pobieżny ten przegląd tryumfów przemysłu nowożytnego na wystawie dowodzi ogromnego powiększenia sił wytwórczych, bajecznie szybkiego wzrostu zasobów „energii społecznej". Niejednokrotnie już obecnie okazuje się, że formy prawno-społeczne są przestarzałe dla sił produkcyjnych. Nie cały zastęp zdobyczy wiedzy może mieć zastosowanie; zacięta walka współzawodnicza pobudza

wprawdzie technikę do wysiłków nieprzerwanych, lecz niejednokrotnie ta walka staje się przeszkodą wyzyskania zdobyczy tej techniki w całej rozciągłości. Powstają też na polu kapitalizmu nowe formacye społeczne i przejawiają się nazewnątrz nawet przy takiej okazyi pośredniej, jaką pod tym względem jest wystawa powszechna. Całe dziedziny przemysłu — jak przemysł chemiczny, części przemysłu kopalnianego i metalurgicznego i t. d. — występują, jako organizacye, syndykaty przemysłowe. Wystawa była naocznym dowodem płonności obaw, że syndykaty przyczynią się do zaniechania postępów technicznych. O tem dotychczas niema mowy. Syndykatowi zawsze będzie groziło współzawodnictwo z zewnątrz, jeżeli nie będzie podążał naprzód pod względem rozwoju technicznego, a żądza zwiększenia zysków w każdym razie działa nieprzerwanie. Przeciwnie, w pewnych wypadkach dopiero zasoby, jakimi rozporządzają zrzeszeni producenci, pozwalają poświęcić sumy znaczne na doświadczenia i próby kosztowne, jeżeli tylko jest nadzieja powiększenia zysków. Co najwyżej tam, gdzie utworzenie syndykatu doprowadza do monopolu faktycznego, skutek taki mógłby się okazać.

Ważniejszą atoli jest rzeczą, że ta nowa forma organizacyi przyczyniła się do zwrotu w kierunku protekcyonizmu. Cła ochronne sprawiają, że syndykat w danej gałęzi przemysłu może wyzyskać wewnątrz kraju całą swoją potęgę względem konsumentów, a mając do rozporządzenia prasę, wywierając wpływ na sfery rządzące, matadorzy przemysłowi, stojący na czele syndykatów, umieją narzucić opinii publicznej swoje poglądy na kwestye polityki handlowej. Otóż pierwsze wystawy powszechne poczytywano za potężne środki popierania idei wolnego handlu, i nie ulega wątpliwości, że wystawa paryska w tym tylko kierunku powinnaby działać na umysły. Pokazując nam wielkie zdobycze podziału pracy międzynarodowej i wskazując na nierozerwalny związek pomiędzy krajami pod względem interesów ekonomicznych, wystawa wzbudzać powinna w każdym bacznym obserwatorze przeświadczenie, że szranki ceł ochronnych, nie będąc w stanie zapobiedz już dziś ogromnej przewadze krajów wysoko rozwiniętych nad zacofanymi, stają się aż nazbyt często dokuczliwą przeszkodą w rozwoju, a zawsze stać się muszą czynnikiem, zaostrzającym przesilenia ekonomiczne. Zadziwiające postępy we wszystkich dziedzinach przemysłu, jakie wykazały ponownie Stany Zjednoczone, w znacznej części pochodzą stąd, że państwo to przedstawia układ ekonomiczny rozmiarów olbrzymich; jeżeli zaś porównamy z niem Europę, podzieloną na maleńkie teryto-

rya, odgraniczające się zazdrośnie od siebie sztucznymi szrankami celnymi, wojujące z sobą za pomocą taryf przewozowych i t. p., powstaje obraz wprost karykaturalny.

Tembardziej śmiesznemi wydać się musiały rozumowania we wstępach do niektórych urzędowych katalogów państw poszczególnych, w których popisywano się rezultatami postępu przemysłowego, a zarazem wychwalano opiekę, jaką państwo daje przemysłowi przez swoją politykę handlową, przez nakładanie ceł ochronnych. Nie usiłowano wszakże ani razu przytoczyć dowodów poważnych, że właśnie rozwój ten jest skutkiem owej polityki, poprzestawano na dowodzie logiki kuchennej *post hoc — ergo propter hoc*. Co zaś najzabawniejsza, że na wystawie powszechnej, będącej według orzeczenia ministra Francyi „świętem zbratania ludów na polu pracy", w pawilonie węgierskim, pomiędzy innemi, rozdawano broszurę, wydaną przez „królewskie ministeryum handlu", zawierającą tekst prawa z roku 1899, którego celem wyraźnym było utrudnienie współzawodnictwa zagranicznego z obejściem niejako traktatów handlowych. Nie możemy sobie zresztą odmówić przyjemności zacytowania z przedmowy do katalogu węgierskiego ustępu, który świadczy, do jakich dziwolągów doprowadza chorobliwe przecenianie „narodowego przemysłu": „*L'Esprit universel ne demande pas aux nations: qu'avez vous été? Il demande: qu'êtes vous? Le passé a ses gloires. Le crédit n'est accordé qu'au présent. Ce n'est pas avec des gloires passées qu'un peuple inscrit son nom sur le ciel, mais avec la fumée de cheminées de fabrique qui s'y dessine bien plus nette et distincte*". Pod wstępem owym podpisano nazwisko Maurycego Jokay'a; chcemy wierzyć, że to nie sławny powieściopisarz wysila się tak na korzyść — kredytu; gdyby tak było, potomności wypadłoby pomnik jego wznieść na giełdzie chyba, a giełda budapeszteńska... *sapienti sat!*

Nie, *l'esprit universel*, o ile wyrokować będzie o narodach ze względu na ich działalność w zakresie zjawisk ekonomiczno-społecznych, nie o kredyt je zapyta, nie napisy będzie odczytywał, jakie rzuca dym z kominów fabrycznych. Inny tu jest miernik — dzieła, dokonane na niwie społecznej, mające za cel szczęście powszechne wielkiej rodziny ludzkiej. Na wystawie powszechnej ta działalność miała się ujawnić w całej okazałości; tak przynajmniej głosi program oficyalny pana Picard: „W pałacu kongresów udzielono państwom i stowarzyszeniom miejsca dla popisu pod względem wszelakich *oeuvre social*", w „pałacu hygieny", którego połowę wszakże zajął militaryzm, wystawiono zdobycze nowożytnej hygieny.

O owej „wystawie społecznej” można słyszeć i czytać zdania nader rozbieżne — jedne pełne zachwytów, inne pełne rozczarowania. Co do nas, ani nie zachwycaliśmy się, ani nie doznaliśmy rozczarowania. Jedno tylko musimy zaznaczyć: na tem polu spodziewaliśmy się ujrzeć najmniej blagi, ujrzeliśmy najwięcej; a tu właśnie jest ona najszkodliwsza. Jeżeli np. fabrykant rozdaje broszurę „O zwycięstwach pokoju”, w której przytacza największe wynalazki wieku XIX, ażeby zakończyć, że wieńczy dzieło wynalazek maszyny do zabijania gwoźdźmi skrzyń, uśmiechamy się z filuta; lecz jeżeli podobne hece, reklamowane w stylu Barnuma, humbug bezgraniczny wystawia w dziale społecznym, budzi niesmak. A takiego humbugu było tu sporo.

Zaraz na wstępie stajemy w pałacu kongresów przed obeliskiem złoconym, który ma w sposób poglądowy przedstawić znaczenie ubezpieczenia robotników na wypadek choroby, kalectwa lub starości w Niemczech. Napisy głoszą, że taki obelisk, gdyby się składał ze szczerego złota, zawierając kruszczu 961,000 kilogramów, przedstawiłby wartość wypłaconych robotnikom od roku 1885 do 1899 z kas państwowych sum, mianowicie — 2,400,000,000 marek. Cyfra imponująca, lecz należałoby, — jak to czyni sumienny pedagog, posługujący się metodą poglądową, — przeciwstawić tym wielkościom inne pokrewne, np. wydatki tegoż państwa niemieckiego w tymże czasie na wojsko i marynarkę. Ten drugi obelisk musiałby wówczas zawierać 4,763,300 kilogramów złota, odpowiadając sumie 12,000,000,000 marek. Gdym patrzał na ten obelisk, który wieńczy orzeł niemiecki, przypomniał mi się skromny wypadek. Na bezludnem przedmieściu jednego z miast niemieckich spotkałem żebraka; sięgnąłem do kieszeni po miedziaki, gdy wtem, jakby z pod ziemi, ukazał się obok nas policyant w pickelhaubie, z wąsami, groźnie zaczesanymi do góry; wywiązała się pomiędzy nim a żebrakiem rozmowa następująca: Nie wolno żebrać! — lecz cóż uczynię, od rana nie jadłem, w domu żona chora, dzieciaki marzną. — Do roboty idź! — Oj, panie, gdybyś tak robotę dał, pewniebym ręki nie wyciągał! Ale jam kaleka. Murarzem byłem, spadłem z rusztowania, obydwie ręce złamane, wyleczyli niby, ale do roboty — co tam za ręce takie! — Więc dostajesz rentę, jako kaleka, łagodniejszym już głosem odezwał się junak w pickelhaubie.—A pobieram, panie, orzeczono, że zdolność moja zarobkowania jest zmniejszona o 50%, więc dostaję miesięcznie jedenaście marek siedemdziesiąt fenigów, akurat 39 fenigów dziennie, panie; no, a funt chleba, sam wiesz, panie, kosztuje 18, a nas pięcioro w domu. Miałem robotę niby, kazano mi

pilnować cegły, ale teraz od trzech miesięcy chodzę, szukam; gdzie tam, panie! zdrowych wyrzucają, kto tam cherlaka weźmie. A tu kobieta zachorowała. — Dostanie więc z kasy chorych — nieśmiało już mruknął junak. — Dostanie, panie mój, dostanie. Jak wiesz, przez pierwsze trzy dni nic nie dają, potem dostanie — na tydzień 4 marki 79 fenigów, to na komorne pójdzie, panie.

Coby też powiedział ten obywatel potężnego państwa niemieckiego, gdyby go tak zaprowadzić przed obelisk, reprezentujący 961,000 kilogramów szczerego złota, wypłaconego na odszkodowania? Cyfry są w porządku. W rzeczy samej wydano w ostatnich latach piętnastu w Niemczech 2,4 miliarda marek na renty dla starców, kalek i wsparcia dla chorych; lecz i ów żebrak nie skłamał, z cyfr urzędowych wynika bowiem, że renta dla inwalidów pracy w razie 50% niezdatności do pracy wynosi przeciętnie 48 fenigów dziennie, wierzymy więc żebrakowi, że jego renta wynosiła 39 fenigów, a jego żona, jeżeli zarabiała 9,58 marek tygodniowo, co jest zarobkiem nawet więcej, niż średnim, mogła pobierać w chorobie tylko 4,79 marki. Obelisk więc fałszu nie głosi bezpośrednio. Gdyby wszakże mnie polecono uwydatnić zapomocą metody poglądowej znaczenie ubezpieczenia niemieckiego, postąpiłbym inaczej: wystawiłbym straszydło wysokości dziesięciu metrów, wyobrażające nędzę niemiecką, a obok figurkę wysokości jednego centymetra — chociażby ze szczerego złota — wyobrażającą człowieczka, który z miną wspaniałomyślną podaje owemu olbrzymowi nędzy datek. I, zdaje się, taki wizerunek mniej kłóciłby się z prawdą.

Lecz nie, nie miałbym prawa odlewać tego człowieczka ze złota, w połowie musiałby on być z miedzi, gdyż połowa sumy, wydawanej na ubezpieczenie, składa się z groszaków, ze składek samych robotników. Z broszury bowiem urzędowej, rozdawanej na wystawie, dowiadujemy się, że na owe 2,4 miliarda marek składają się: pobrane od robotników składki — 1,164,4 milionów marek, pobrane od przedsiębiorców składki — 1,099,2 milionów, pomoc z funduszów państwowych — 150,2 milionów.

Z tem wszystkiem nikt nie ma prawa lekceważyć tej mojej statuetki, w połowie z miedzi, w połowie ze złota, i nie na pośmiewisko ją wystawiłem. Ubezpieczenie robotników w tej postaci, w jakiej istnieje w Niemczech, jest bezwarunkowo bardzo poważnym czynem społecznym, i Niemcy wyprzedziły ogromnie wszystkie inne państwa, lecz chodzi o to, że właśnie ta najdoskonalsza instytucya jest niedostateczną. Na dowód przyjrzyjmy się jeszcze kilku cyfrom wspomnianej broszury urzędowej. 1) Ubezpieczenia chorych:

Ubezpieczony płaci 2% zarobku dziennego, a przedsiębiorca dopłaca 1%; w razie choroby ubezpieczony otrzymuje połowę zarobku dziennego, lekarza i lekarstwo. Jest to bezwarunkowo pomoc bardzo poważna, lecz rodzina wyrobnika, pobierającego nizką płacę, wpadnie mimo to niechybnie w nędzę przy dłuższej chorobie. 2) Ubezpieczenie od kalectwa. Tu robotnicy składek nie płacą, lecz w razie nieszczęśliwego wypadku przez 13 tygodni koszta leczenia ponosi kasa chorych, a więc kasa, opłacana przez robotników w $^2/_3$ części, a dopiero później opłaca leczenie kasa, zasilana przez przedsiębiorców wyłącznie. Ze statystyki wynika, że przeciętnie, przy zupełnej niezdolności do pracy, renta wynosi dziennie 1,61 marki, czego bezwarunkowo nie można uważać za sumę wystarczającą na utrzymanie rodziny. Lecz ta przeciętna nie maluje oczywiście położenia dostatecznie; tysiące inwalidów pracy, których zarobki były niższe od przeciętnych, pobiera znacznie mniejszą rentę. 3) Ubezpieczenie na wypadek starości i niedołęstwa. Składkę w równej ilości opłacają robotnicy i przedsiębiorcy. Rentę otrzymuje robotnik, gdy dożył do lat 70, i renta ta jest zależna od ilości lat, za które opłacano składki, i od wysokości zarobku. Ponieważ ubezpieczenie to weszło dopiero w życie od roku 1891, starcy, dobiegający obecnie tego wieku, otrzymują oczywiście rentę bardzo skromną, wynoszącą przeciętnie w roku 1898 — 140 marek, a zatem bezwarunkowo za mało, by mogli z niej żyć. Nadto z tego funduszu wypłacają renty, jeżeli robotnik zniedołężnieje, stanie się niezdolnym do pracy, chociaż nie uległ nieszczęśliwemu wypadkowi; tu renta przeciętna wynosiła w roku 1898 — 130 marek rocznie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę drożyznę środków spożywczych i mieszkań w Niemczech, to cyfry przedstawią się bardzo a bardzo skromnie. W każdym razie o zażegnaniu nędzy niema mowy, jest tylko skromna pomoc,—to należałoby wypowiedzieć otwarcie, a nie chełpić się „obeliskiem ze szczerego złota".

Z tem wszystkiem w porównaniu z przeszłością ubezpieczenie niemieckie jest olbrzymim krokiem naprzód w zasadzie samej instytucyi: dawniej robotnik chory lub okaleczony musiał uciekać się do dobroczynności, obecnie zaś robotnik, opłacając składki do kas, ma zagwarantowane prawo, może żądać pomocy. Robotnicy biorą udział w zarządzie kas, wybierają swoich przedstawicieli; znaczenie tego samorządu pod względem społecznym jest olbrzymie.

Stopniowo poczynają dziś inne państwa wkraczać na drogę,

wskazaną przez Niemcy. Wystawa paryska dostarczyła zwiedzającym obszernego materyału porównawczego w tej sprawie.

Kwestyą, ważniejszą jeszcze od ubezpieczenia, jest kwestya ochrony zdrowia i życia robotników zapomocą prawodawstwa, normującego czas roboczy, urządzenie fabryk pod względem hygienicznym, przestrzeganie środków bezpieczeństwa pracy.

Jak wiadomo, na tem polu Anglia dała innym krajom przykład, i dotąd niewątpliwie pod wielu względami zajmuje ona pierwsze miejsce, a przedewszystkiem pod względem wzorowej organizacyi i sprawności inspektoryatu fabrycznego. Znacznie później wkroczyły na tę drogę inne kraje. Powstało dziś prawodawstwo fabryczne, stanowiące rozległą gałąź prawa. Wystawa paryska przyczynić się mogła do wyjaśnienia wielu spraw spornych, których jest dziś niezmiernie wiele, a których znajomość nie jest bynajmniej dostateczną. Toż przy rozprawach np. parlamentarnych niejednokrotnie w ostatnich czasach można się było przekonać, że nawet przedstawiciele rządu odznaczali się rażącą nieświadomością praw, obowiązujących w innych krajach. Jednakże, kto w dziale „ekonomii społecznej" na wystawie spodziewał się znaleźć obfity materyał co do tych kwestyi, ten doznał zawodu. Łatwo byłoby przecież zarządowi wystawy skłonić państwa, biorące udział w wystawie, do dostarczenia materyału informującego, chociażby tylko o stanie prawodawstwa w każdym kraju; wydawnictwa takie niewątpliwie przyczyniłyby się do popularyzowania wiedzy w tym kierunku. Jednakże w powodzi broszur, jakie rozdawano w „pałacu kongresów", nie było ani jednej, którąby traktowała tę kwestyę najżywotniejszą.

Więcej już znaczenia miał kongres międzynarodowy, obradujący podczas wystawy o sprawach prawodawstwa ochronnego. Utworzono tam sekretaryat międzynarodowy, którego zadaniem będzie wydawać organ specyalny, poświęcony tej sprawie, i inne wydawnictwa, mające się przyczynić do jej wyświetlenia. Ponieważ do zawiązanego stowarzyszenia należą wybitni specyaliści, można spodziewać się, że to przynajmniej zadanie będzie spełnione. Jeżeli jednak na wspomnianym kongresie panował nastrój wysoce optymistyczny w sprawie szybkich postępów na polu prawodawstwa ochronnego w najbliższej przyszłości, to, zdaje się, uczestnicy kongresu ulegali złudzeniu i doczekają się srogich zawodów; bo ostatnie lata były okresem reakcyi pod tym względem, a przyszłość najbliższa będzie zapewne nie lepsza. W Niemczech np. i w Anglii zwrot reakcyjny jest najzupełniej wyraźny, a przyczyną tego jest „imperyalizm"

nowożytny. Dla Anglii stwierdził to niedawno specyalista w dziedzinie t. z. „polityki społecznej” i znakomity znawca stosunków angielskich, profesor Brentano; w Niemczech oświetlił kwestyę jaskrawo jeden z dzienników, popierających interes wielkiego kapitału, pisząc tryumfująco: „Nastał czas polityki wszechświatowej, który u nas zastąpi zbytnią wrażliwość na politykę społeczną!” Wobec takich dążności trudniej, niż kiedykolwiek, o dobrą wolę dla prowadzenia dalej dzieła reform społecznych. W Austryi zatargi narodowościowe położyły już od lat kilku kres wszelkiej działalności reformatorskiej, i dotąd niema nadziei, że sytuacya zmieni się na lepsze. We Włoszech zepsucie dochodzi do szczytu, i walka z reakcyą pochłania wszystkie siły lepsze, więc nawet marzyć nie można o skutecznej pracy reformatorskiej, której kraj ten tak gwałtownie potrzebuje. We Francyi przyjaciele ministra handlu, socyalisty, p. Millerand, spodziewali się po nim wielkich czynów; tymczasem jedyny jego czyn poważny był wszystkiem innem, tylko nie reformą: prawo francuskie z r. 1892 ogranicza czas pracy dzieci poniżej lat szesnastu do 10 godzin na dobę, dla nieletnich pomiędzy rokiem 16-m a 18-m oraz pracę kobiet do 11-u godzin. Lecz znaną było powszechnie rzeczą, że to prawo pozostanie martwą literą. Zadanie nowego ministra było tedy zupełnie jasne: trzeba było użyć całej potęgi, jaką daje władza wykonawcza, zmusić do przestrzegania prawa; wiadomo zaś, jak sprawna pod tym względem jest organizacya administracyi francuskiej, jak przy tej ześrodkowanej administracyi wola naczelnego kierownika może być spełniona z żelazną surowością. Gdyby p. Millerand był człowiekiem silnej woli, dziesięciogodzinny dzień roboczy byłby dawno udziałem dzieci, a jak uczy doświadczenie, już kilkakrotnie stwierdzone, we wszystkich fabrykach, gdzie pracuje wielka ilość dzieci, zastosowanoby krótszy dzień roboczy do wszystkich robotników. P. Millerand obrał inną drogę: ponieważ prawo jest niewykonywane, podał on projekt zaprowadzenia ogólnego dnia roboczego jedenastogodzinnego, a dopiero po czterech latach dzień dziesięciogodzinny ma stać się obowiązkowym dla dzieci, nieletnich i kobiet. Projekt ten przyjęto i dziś; dzieci pracują 11 godzin na mocy prawa! Co zaś będzie za lat cztery? Kto wie, może miejsce p. Millerand, który zamiast iść przebojem wolał wystawiać weksle na przyszłość, zajmie jakiś jeszcze miększy pan i poda nowy projekt, znoszący drugą część prawa — i wszystko pozostanie, jak jest. *Qui vivra — verra.* Takie zwinięcie chorągiewki nie przeszkadzało wszakże panu Millerand wygłaszać bardzo szumnych frazesów

o działalności reformatorskiej, co pozwalamy sobie również zaliczyć do objawów humbugu na wystawie społecznej.

Na wystawie powszechnej była też sposobność wystawienia licznych urządzeń, mających na celu ochronę zdrowia i bezpieczeństwo robotników przy pracy; a więc: różnych systemów wentylacyi fabrycznej, przyrządów, zapobiegających niebezpieczeństwu od maszyn i transmisyi, rusztowań przy budowie domów, zabezpieczających możliwie robotników od upadku, rozumnych środków ostrożności przy pracy górniczej, zastosowania środków, zabezpieczających od otrucia i wchłaniania szkodliwych gazów przy pracy w fabrykach chemicznych i zakażenia przy pracy, np. szczotkarzy. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wobec dzisiejszych postępów technicznych istnieje możność zajęcia się tą kwestyą w najszerszych rozmiarach, a wystawa, pouczająca publiczność o tem, co można zrobić na tem polu, miałaby bardzo wielkie znaczenie.

Zato rozpanoszyły się na wystawie wszelakie towarzystwa dobroczynności prywatnej, które, właściwie mówiąc, z „polityką społeczną" w nowożytnym duchu niewiele mają wspólnego. W dodatku zaś nazbyt często rozmaite sprawozdania tych zakładów tak rażącą grzeszą przesadą, że wobec nich wspomniane reklamowanie maszyny do wbijania gwoździ, jako największego wynalazku dziewiętnastego wieku, wygląda bardzo skromnie. Zapewne, rozdawanie zupy biednym dzieciom w szkole jest rzeczą godną poparcia, system przypuszczenia robotników do udziału w zyskach fabryki może być niekiedy bardzo rozumny, lecz, jeżeli takie środki i środeczki są zalecane, jako *panaceum* na dolegliwości społeczne, jest to znów humbug. Zaznaczyć tu musimy, że ze wszystkich owych zakładów dobroczynnych najgodniej jeszcze wystąpiła osławiona i wyszydzana tak często „armia zbawienia." Można zgadzać się lub nie zgadzać na ogólne poglądy generała Booth'a, można potępiać wiele z jego praktyk sekciarskich, można i należy nawet potępiać wybryki, jakie popełniają niekiedy jego „oficerowie", można śmiać się z dziwactw sekty, lecz przyznać trzeba bezwarunkowo, że ten człowiek dokonał niesłychanie wiele. Gdzie chodzi o „męty społeczne" w prawdziwem słowa tego znaczeniu, o tłum jednostek wykolejonych i pogrążonych w ostatniej nędzy materyalnej i moralnej, tam wszelka działalność państwa będzie bezowocna; państwo ma tu do rozporządzenia tylko środki represyjne — dom poprawczy i więzienie dla tych, którzy uwikłają się w sieci prawa karnego, wobec innych jest ono bezsilne. Tu trzeba oddziaływania bezpośredniego istoty ludzkiej, silnej wiarą i pełnej poświęcenia, na istotę ludzką

słabą, spaczoną, nie mogącą dźwignąć się o własnej sile. Otóż Booth umiał stworzyć taką armię jednostek, uzdolnionych do niesienia pomocy najnędzniejszym śród nędznych. Prawda, niekiedy są to jednostki pozornie tylko silne; wielu z owych mężczyzn w czerwonych koszulach i mundurach pstrokatych, wiele z tych kobiet w kapeluszach dziwacznych — to histerycy i histeryczki; sami przepadliby może bez owej organizacyi, która kieruje każdym ich krokiem, trzyma w karbach ich dusze. Ale faktem też jest, że ci pozornie tak śmieszni działacze dokonywają czynów wielkich na tem właśnie polu, na które pchała ich wola potężna mądrego i szlachetnego człowieka. Przytem Booth sam nie tylko wie doskonale, czego chce, lecz przedewszystkiem ma przymiot, cechujący prawdziwie wielkich ludzi, — ogromną zdolność organizacyjną, a obok tego ogromną wiedzę. Na całej bowiem „wystawie społecznej" nic nie mogło równać się z materyałem, dostarczonym przez Booth'a, pod względem opracowania metodycznego i gruntowności informacyi. W każdym razie owa „armia zbawienia", której kierownik świadomie posługuje się środkami, mającymi pozornie wszystkie cechy humbugu, wyróżniała się tem z pośród innych wystawców, że nie używała humbugu.

Palącą kwestyą dnia jest dziś we wszystkich wielkich miastach kwestya mieszkań dla ubogiej ludności. Na wystawie więc oczywiście musiała ona figurować. Urządzono w Vincennes specyalną „cité ouvrière"; lecz i tu uczynić należy zarzut, że więcej zrobiono dla zabawienia publiczności, aniżeli przyczyniono się do rozpowszechnienia ustalonych już dziś poglądów w tej sprawie. Wystawiono tu bowiem w naturalnej wielkości małe domki, przeznaczone dla rodzin robotniczych. Przedstawiały się one bardzo ładnie, bez kwestyi, i nikt nie zaprzeczy, że byłoby bardzo pięknie, gdyby każda rodzina posiadała taki domek, o milutkiej architekturze, położony w środku ogródka, zawierający trzy lub cztery pokoiki, kuchenkę i t. d. Lecz jest to — absurd, a niekiedy — humbug, niekiedy zaś jeszcze coś gorszego — bo „szwindel", obliczony na złupienie naiwnych. Cóż bowiem stanowi jądro kwestyi mieszkaniowej tam, gdzie ona jest najbardziej paląca, w wielkich miastach? Ekonomista odpowiada bez wahania: wzrastająca renta gruntowa miejska. W każdem wielkiem mieście dziś nie tylko każdy kawałek gruntu w śródmieściu nabiera bajecznej wprost wartości, lecz wzrasta z przerażającą szybkością cena sprzedażna gruntów, położonych w szerokim pasie dokoła miasta. Kupno i sprzedaż tych gruntów stały się dziś, jak wiadomo, przedmiotem bujnej spekulacyi. Warszawa doznała już przecież tego na sobie w sposób dotkliwy. Lecz

podczas gdy u nas rzucili się do tego „geszeftu" ludzie, mający szczere chęci zbogacenia się możliwie prędko bez pracy, ale nie posiadający wprawy i wyrobienia w wielkich interesach, w miastach Zachodu jest nieco inaczej. Tu przeważnie grunta, mogące być zużytkowane, są dziś w rękach ogromnych przedsiębiorstw finansowych, które bez najmniejszego narażenia na ryzyko mogą czekać bardzo długo na eskontowanie renty. Ceny ziemi więc, tak czy inaczej, idą w górę, a własność placów stała się monopolem. Tę rentę olbrzymią zaś opłacają, rzecz oczywista, mieszkańcy domów, komorne wzrasta, gdyż właściciele dawnych domów posiadają monopol niejako, współzawodnictwo przestaje działać, skoro nowe domy, wznoszone na placach, opłaconych bajecznie wysoko, muszą kosztować drogo i coraz drożej pomimo zmniejszających się kosztów budowy.

Wobec tego o wznoszeniu małych domków nie może być mowy. Plac drogi musi być wyzyskany do ostatnich granic; powietrze na szczęście jeszcze nie jest obłożone rentą, więc wznosi się dom ku górze o ile można najwyżej; powstaje kamienica koszarowa o kilku piętrach bez podwórza, z jak najmniejszą ilością sieni, z możliwie szczupłą klatką schodową, byle urządzić możliwie wiele opłacanych mieszkań. Wspomnieliśmy o rozwoju środków komunikacyjnych, które mogłyby przyczynić się do tego, aby ludność uboższa mogła mieszkać za miastami, lecz ten środek nie osłabi wzrostu renty tak, by można urzeczywistnić system domków małych. Niech bowiem dziś jakieś towarzystwo dobroczynne zechce urządzać kolonie robotnicze o takich domkach w pobliżu Warszawy, przypuśćmy, że uda się zakupić kilka włók gruntu w odległości, powiedzmy, 4—5 wiorst od rogatek, po cenach tak przystępnych, że budowa będzie możliwa; przypuśćmy dalej, że miasto zgodzi się na połączenie tej kolonii z miastem zapomocą kolei elektrycznej, powstanie wtedy kolonia o 200—300 mieszkaniach. Lecz możemy być pewni, że natychmiast w obrębie owej kolei cena gruntów podniesie się tak niepomiernie, że o dalszych koloniach już mowy być nie może. Oto przykład. W Saksonii starano się o ułatwienie komunikacyi; robotnicy rzeczywiście przybywają do roboty o kilka, ba, nawet kilkanaście wiorst do miast fabrycznych; lecz czy poza miastem mieszkają oni w domkach wiejskich? Bynajmniej, na wsi w obrębie kilkomilowym od miast wzdłuż linii komunikacyjnych powstały kilkopiętrowe kamienice koszarowe, z tą różnicą, że owe koszary wiejskie pod względem zdrowotności są gorsze od miejskich.

Na tej drodze zatem paląca sprawa mieszkań dla ludności ubo-

giej w wielkich miastach rozwiązana być nie może. Lecz są środki inne. Renty gruntowej miejskiej znieść przy naszym ustroju nie można, lecz można ją ograniczyć przy pomocy świadomej celów polityki miejskiej. W znacznej części miasta posiadają jeszcze dziś własne grunta dosyć rozległe i mogą ich użyć w celu stłumienia spekulacyi gruntowej, oddając te place pod budowę domów, warunkując ceny mieszkań nizkie albo podejmując się budowy, co przy umiejętnem prowadzeniu rzeczy nie narazi miasta na najmniejsze ryzyko. Gdzie zaś placów miejskich niema, trzebaby zarządowi miast nadać prawo wywłaszczania pod pewnymi warunkami. Lecz i poza tem miasto ma możność trzymania w karbach spekulacyi do pewnych przynajmniej granic. Zakaz wznoszenia domów ponad wysokość trzech, a w dzielnicach odległych dwu piątr przetnie wzrastanie cen; nakaz zakładania ulic szerokich, pozostawiania placów odpowiednio do potrzeb, na zakładanie skwerów i t. d. oraz stawiania domów nie w szeregu nieprzerwanym, lecz „systemem pawilonowym", t. j. tak, aby każdy dom miał zewsząd przystęp powietrza, przyczyni się do tego, że koszary mieszkaniowe mniej będą niebezpieczne pod względem zdrowotności; a regulaminy co do urządzeń sanitarnych mogą działać w tymże kierunku. Taka świadoma celów polityka miejska powinna dalej być wspierana przez rozumną działalność towarzystw nie dobroczynnych, lecz opartych na chęci spełnienia zadania społecznego, bez żadnej jałmużny. A mianowicie, towarzystwa takie, zasobne w kapitały bardzo znaczne, powinny wznosić na placach, zakupionych tanio przy pomocy miasta, domy mieszkalne koszarowe, lecz urządzone według wszelkich warunków hygienicznych — ogrzewanie centralne, światło gazowe lub elektryczne, pralnie wspólne, waterklozety, odpowiadające wymaganiom zdrowotnym i t. d. Doświadczenie podobnych towarzystw w Anglii i Niemczech poucza, że można doskonale dawać ludności ubogiej takie mieszkania, daleko lepsze od tych, jakie może mieć dzisiaj, po cenach znacznie niższych, a przytem pobierać zupełnie wystarczający zysk od kapitałów, bo 3 do 5 od sta. Oto pole działalności.

Co zaś do domków małych, mogą one mieć znaczenie tam tylko, gdzie renta gruntowa nie doszła jeszcze do tak ogromnych rozmiarów, a więc w osadach fabrycznych np., gdzie rozległe grunta są w posiadaniu zakładu fabrycznego i właściciel jego zechce przyczynić się do dostarczenia robotnikom tanich, a dobrych mieszkań.

Jednakże system, obchodzący się bez filantropii, nasuwa poważne bardzo trudności. Przedewszystkiem mieszkania wypadają

za drogo. Mamy, naprzykład, przed sobą kosztorys jednego z towarzystw francuskich, mających na celu budowę takich małych domków: domek z mieszkaniem o czterech pokojach i kuchni kosztuje 7,800 franków; towarzystwo oddaje go w dzierżawę na takich warunkach, że mieszkaniec płaci miesięcznie 36,66 franków komornego oraz 19,24 franków amortyzacyi, dzięki której dom po latach 20 przechodzi na własność mieszkańca. Otóż jasną jest rzeczą, że 55,90 franków miesięcznie na komorne jest sumą, niepomiernie przekraczającą budżet robotnika, nawet bardzo dobrze płatnego. Inny prospekt, austryacki, podaje cenę komornego wraz z amortyzacyą na 400 franków, lecz domek ten jeszcze mniejszy od tamtego staje się własnością mieszkańca dopiero po latach 30. W państwowej fabryce broni w Spandau mieszkanie o trzech pokojach i kuchni w domu dwufamilijnym kosztuje 11,20 marek miesięcznie (oblicza się 5% od kosztów budowy, dom zaś z dwoma mieszkaniami kosztuje 10,610 marek), lecz wtedy dom nie przechodzi na własność mieszkańca nigdy, a więc znika najważniejszy dowód, przemawiający za systemem małych domków.

Zauważyć też należy, że zachwalane korzyści hygieniczne tego systemu nie są znów tak pewne. Tak np. w „cité ouvrière" w Mulhouse małe domki są obrazem najzupełniejszego zapuszczenia, ponieważ gospodarzy nie stać częstokroć na naprawy, a często oczywiście niema po temu chęci, jeżeli gospodarz i gospodyni należą do odmiany bardzo rozpowszechnionej w gatunku *homo sapiens*, t. j. „flejtuchów". Po większej części domki są przepełnione do niemożliwości, ponieważ gospodarze dla zysku większego, a często z konieczności przyjmują sublokatorów. Wtedy szczęśliwy właściciel domku z liczną rodziną gnieździ się w kuchni, w jednej z izb gnieździ się druga rodzina, a trzecią zajmują nieżonaci robotnicy, sypiając po czterech w pokoiku, gdzie, według wymagań hygieny, starczyłoby powietrza dla jednego tylko człowieka.

Pamiętajmy nadto, że dawno już stwierdzono, iż często filantropia jest tu wątpliwa. Robotnik bierze w dzierżawę taki domek, spłacając jego wartość ratami miesięcznemi; po kilku więc latach włożył już pokaźną sumę w tę nieruchomość i odtąd staje się niewolnikiem zakładu fabrycznego, nie może bowiem w razie obniżenia płacy porzucić w nim pracy, bo nie znajdzie w pobliżu zarobku, a przenieść się nie może, ponieważ straci swoje wkłady; sprzedać zaś dom taki nader trudno, skoro nabywcami mogą być tylko robotnicy (niekiedy zakład fabryczny zastrzega sobie, że nabywcą może być tylko robotnik, pracujący w tym zakładzie), a ci nie mają go-

tówki na opłacenie kwot amortyzacyjnych, wniesionych przez posiadacza dotychczasowego. Taka filantropia zakrawa tedy na coś gorszego jeszcze, niż humbug.

Wspomnieliśmy, że często owo ogłoszenie hasła „domku ciasnego, ale własnego" jest poprostu „szwindlem". Chodzi bowiem o to, że niejednokrotnie w czasach ostatnich powstawały towarzystwa dla budowania takich „tanich mieszkań", których działaczami głównymi byli spekulanci, narzędziami—naiwni filantropowie, a zwłaszcza filantropki, ofiarami zaś—lekkomyślni nabywcy domów. Wypadki takie zdarzyły się niedawno w Monachium, Norymberdze, Berlinie i Lyonie.

Oto powody, dla których bardzo sceptycznie przyglądaliśmy się owej „cité ouvrière", okrzyczanej przez entuzyastów, jako „clou" wystawy społecznej.

Natomiast szczere uznanie należy się municypalności miasta Paryża za wystawę urządzeń, dotyczących gospodarki miejskiej. Miasta milionowe dziś istnieć tylko mogą przy systematycznem, umiejętnem, wspartem wiedzą i doświadczeniem specyalistów i ludzi nauki—gospodarstwie, mającem na celu przestrzeganie warunków zdrowotnych; inaczej stałyby się one potwornemi siedliskami zarazy. Chodzi więc tu o ogromny mechanizm działalności; począwszy od biura statystycznego, stacyi naukowych i rad pedagogicznych, a kończąc na wywózce śmieci, wszystko musi być z góry obliczone, wszystko wymaga ogromnego nakładu pracy i wyzyskania doświadczenia. W „domu miasta Paryża" można tedy było zobaczyć, jak gospodaruje trzymilionowe blizko miasto: szpitale i przytułki, niesienie pierwszej pomocy w razie nieszczęścia, szkoły, skwery i place miejskie, pomniki i gmachy publiczne, straż ogniowa, wodociągi i kanalizacya, rzeźnie, oświetlenie gazowe i elektryczne, hale miejskie, stacye badań materyałów spożywczych, policya — ile nazw, tyle kwestyi doniosłych. A przyznać należy, że zarząd miasta Paryża potrafił wszystkich zaciekawić, pomysłem zaś bardzo rozumnym było nadanie wystawie charakteru retrospektywnego, co pozwalało ocenić postępy na tem polu. Kto zaś chciał dalej zestawić to, co jest, z tem, co być powinno, miał pole dla studyów w pałacu hygieny, gdzie nauka przedstawiła wyniki swych badań i wnioski praktyczne, z nich wynikające. Tylko, że i tu może więcej dbano o rzeczy, bijące w oczy, niż o sprawę samą. Zdumiewające odkrycia i zdobycze naukowe na polu hygieny i bakteryologii wysunięto na pierwszy plan (taki naprzykład pawilon Pasteura był arcydziełem wystawowem), lecz nie zadano sobie trudu zrobić cieka-

wą, a pouczającą wystawę wszystkich urządzeń, które pod względem hygieny powinny stać się udziałem mas najszerszych, a o których pożytku i doniosłości należałoby przedewszystkiem co dnia pouczać wszystkich i wszędzie. Czołem przed Pasteurem i innymi olbrzymami wiedzy i geniuszu, lecz za lekarzem-doktorką Adams-Lehmann powtarzamy: „Człowiek jest ważniejszy od bakcylusa, a walka przeciw niedoborom społecznym jest ważniejsza jeszcze od walki przeciw owym wrogom, których potęga rozwija się tylko wskutek tych niedoborów społecznych. Dobre odżywianie się mas ludowych jest ważniejsze od wytworzenia skutecznej tuberkuliny; wzorowe skanalizowanie miasta — od wykrycia środka przeciw tyfusowi; rozpowszechnienie oświaty — od zapobiegania prostytucyi; lepiej uniknąć zarazy, niż się wyleczyć, bo „kiedyś chłop tęgi, i choroba cię nie schwyci". A wielkie miasta, te pracownie olbrzymie, w których wytwarzają się dziś stopniowo czynniki, obiecujące lepszą przyszłość ludzkości, już dziś mają pod niejednym względem możność przyczynienia się do tego, by owe przyszłe pokolenia składały się z „chłopów tęgich". Doświadczenia zaś owych miast olbrzymich Zachodu mają znaczenie olbrzymie dla innych, szybko kroczących, jak Warszawa, taką samą drogą. Baczyć na te doświadczenia trzeba tem więcej, że bardzo często to, czego zaniechano, później już albo nigdy nie da się naprawić przy dalszym wzroście miasta lub tylko z ogromnemi stratami. Dlatego wartoby o tych właśnie kwestyach pomówić obszernie. Lecz artykuł i tak już przekroczył zakreślone rozmiary, odkładamy przeto rzecz do innej sposobności.

J. B. Marchlewski.



Z historyozofii niemieckiej *)

(POLEMIKA O POJMOWANIE DZIEJÓW K. LAMPRECHTA).

Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu,
Napróżno człowiek swe głosy natęża:
Choćby miał siłę i odwagę męża,
Z niemiłowania umrze tak, jak z głodu...
J. Słowacki.

II.

Myśleć to znaczy sądzić. Ja sądzę: „Ten a ten przedmiot — to jest kij". Przez to oświadczam, że między zjawiskami świata są przedmioty, które mają typowe znamiona kija i że właśnie ta rzecz, którą oto widzę, należy do tego pewnego szeregu zjawisk. Sądy więc polegają na porównaniu. Sądzić czy to na polu dociekań przyrodniczych, czy psychicznych — zawsze znaczy tyle, co szukać wspólnych cech śród przedmiotów, znaczy to wiązać jednorakie przedmioty w jedno pojęcie, znaczy to tworzyć t y p y...

Wszystko to są powszechnie znane oklepanki. Dodać tylko wypadnie, że prawdopodobnie dlatego tak postępujemy, że w ten

*) Ob. „Ateneum", styczeń, 1901.

sposób łatwiej nam opanować myślą tyle różnorodnych objawów świata. Ten to sposób coraz to większej ekonomii i uproszczenia w myśleniu wzmaga się z dnia na dzień. Ażeby módz wchłonąć szybko sumy doświadczeń tylu pokoleń, tworzymy sobie coraz bardziej wyrafinowane i coraz to wyższe sądy. Zajmują się tem poszczególne gałęzie nauk, które są poprostu systemami sądów. Stąd nauki, czy przyrodnicze, czy „duchowe”, nigdy nie zajmują się faktem indywidualnym, jednorazowym, lecz zawsze dążą do uogólnień, szukając objawów liczniejszych, zbiorowych.

To jest, zdaniem Lamprechta, zasadniczy punkt wyjścia wszelkiej nauki, przez dziejopisarstwo samo jednak pominięty. Ono uznawało zawsze i dotąd uznaje (jak dziś np. Bernheim), że właściwym przedmiotem badań historycznych są tylko jednorazowe, indywidualne, przejściowe, wyjątkowe zdarzenia. Uznawali to i nie-historycy, odmawiając na tej właśnie podstawie historyi miana „nauki”. Czy słusznie? Czy analogia i porównawczość jest dozwolona tylko przyrodnikowi? Czy istotnie, jak „stylowo” wyraża się Below, okulary naturalisty są inne, a inne — historyka? Oto dwa liście, dwa kwiaty tego samego typu. Sąż one bezwzględnie równe? Nie, tylko podobne. A jednak przyrodnik ma prawo tworzyć dla nich na podstawie wspólnych im cech jeden typ. A oto znowu historyk ma przed sobą dwa ustroje analogiczne cechów, albo dwie wspólnoty domowe, albo dwa kościoły gotyckie. Czyż ma koniecznie za przykładem artysty przykuć swą uwagę tylko do indywidualności każdego z tych poszczególnych objawów? Czyż przeciwnie nie ma prawa iść za przykładem badaczów naukowych i zapomocą metody porównawczej, zapomocą umiejętnego myślenia, które nas uczy przecie *de lege ferenda* — tworzyć jakieś wspólne style, jakieś typy?

Powiadają, że dzieje powszechne to jedyny, jednorazowy, więc nie podlegający żadnym prawidłom proces; ależ w tym sensie można uważać tak samo i rozwój przyrody i wszechświata za jednorazowy, a przecież wypisano dla nich niezłomne prawa.

W dziejach ludzkości wolno dopatrywać się praw, zdaniem Lamprechta. Pod tym względem nie różnią się od niego tak poważni badacze historyczni, jak w Niemczech Ed. Meyer albo we Francyi Monod. Lamprecht nie omieszkał nawet przytem przestrzedz, że owa prawidłowość rozwoju nie jest niczem przedmiotowem, ale tylko kategoryą naszego myślenia i pojmowania zjawisk.

Owe pojęcia i uogólnienia, polegające na porównaniu cech analogicznych, muszą, jak w każdej nauce, tak samo i w dziejopi-

sarstwie tworzyć pewną hierarchię. Weźmy dwa odpowiadające sobie pojęcia: gospodarstwo naturalne i odpowiadające mu, jak wiadomo, pojęcie feudalizmu, a więc pojęcia z dwu sfer różnych, gospodarczej i prawno-społecznej. Otóż dla nich da się utworzyć wyższe, wiążące je pojęcie rozwoju gospodarczo-społecznego — w odróżnieniu od innego rozwoju duchowego, takiego np., jak humanizm i t. p. W końcu nad temi pojęciami dwu stron życia ludzkości da się zawiesić jeszcze wyższe pojęcie, obejmujące czynniki tak duchowe, jak i „materyalne", ogólne pojęcie kultury (cywilizacyi [1]).

Kultura to stan psychiczny pewnego okresu, dyapazon duchowy pewnej epoki, to najwyższe pojęcie, korona całego życia dziejowego. Historya kultury to nauka, która porównawczo bada prądy socyalno-psychiczne, a właściwie epoki.

Nie tą drogą logicznego rozumowania doszedł wszakże początkowo Lamprecht do „wynalezienia" swoich studyów kultury, do których przywiązuje takie znaczenie. Nie doszedł do nich także drogą badania dawnych systemów i prób szablonowych, rozpoczętych przez Condorceta. Doszedł do nich drogą, jak powiada, empiryczną, w czasie, kiedy jeszcze nie marzył o polemice historyozoficznej, w czasie, kiedy pracował nad pierwszymi tomami swoich „Dziejów Niemiec". Kiedy oto zajęty studyami nad dziejami kościoła w Niemczech badał źródła X-o wieku, zauważył w czasie systematycznego ich czytania różnicę między nastrojem ówczesnym a dzisiejszym. Rzucił się tedy do zbadania dziejów sztuki w tym samym wieku i spostrzegł tożsamość „dyapazonu" sztuki z „dyapazonem" literatury. Ażeby wymierzyć odległość i różnicę owych czasów od naszych, musiał przejrzeć szereg zmian, zaszłych w 8-iu następnych stuleciach. Aby nie budować na lodzie, postanowił pogłębić swe wiadomości studyami nad rozwojem gospodarstwa, a ich owocem były olbrzymie tomy pod tytułem *„Deutsches Wirtschaftslebens im Mittelalter"* (od 1886). Pracował następnie nad historyą francuską[2])

---

[1]) Dotąd terminologia wyrazu „kultura" a „cywilizacya" u nas nie ustalona. Świadczyć o tem mogą definicye tych pojęć przez najpowołańszych w Warszawie pod tym względem uczonych: Korzona, Krzywickiego, Mahrburga (porów. Poradnik dla samouków, Część III. 1889, str. 201 — 2, 295, 459 — 61. uw. str. 487) W terminologii niemieckiej Barth, zastanowiwszy się nad genezą tych słów, proponuje utożsamienie tych dwu wyrazów wraz z największem rozszerzeniem ich znaczenia na wszystkie czasy i objawy.

[2]) Studyum Lamprechta o rozwoju gospodarstwa we Francyi w IX wieku tłómaczono na język francuski. — Tu załączam wzmiankę biograficzną: K. Lam-

i włoską, przyczem ogromne na nim wrażenie wywarła „Kultura Odrodzenia we Włoszech” Burckhardta. Spotkał tam poglądy na jedną epokę dziejów, bardzo zbliżonych do własnych. Odtąd za najważniejsze swe zadanie uważał pogłębienie znajomości historyi sztuki, z uwagi, że ona jedyna przekazuje nam w pomnikach obraz przeszłości w całej nagości, bezpośrednio i doskonale. Jako owoc badań tych, wyszła w roku 1882 „Ornamentyka inicyałów VIII i XIII wieku”. W następnych swych pracach nad sztuką, literaturą, religijnością, nad obyczajami i prawem przekonał się, że podwaliny ich rozwoju są w pewnej epoce wspólne. Ogólnie przyjęta nazwa dla XVI wieku, jako okresu indywidualistycznego, to dla Lamprechta punkt wytyczny w jego teoryi o okresach kulturalnych; do tej epoki przyczepia następnie z przodu i z tyłu inne okresy kultury: symbolistyczny, typowy, konwencyonalny, indywidualistyczny i wreszcie subjektywistyczny.

Różne objawy życia ludzkości czy to na polu sztuki, czy gospodarstwa są z sobą w tak ścisłym związku, że każdy okres przedstawia pewną zwartą jedność. W ten sposób urósł wzór rozwoju kultury niemieckiej, której oto próbka:

Ogólna nazwa epoki	Współczesne znamiona w sztuce	Współczesne znamiona gospodarstwa		i t. d.
Symbolistyczny	Ornamentacya	Ekspansywne		. . . .
Typowy	Naturalne barwy	Wspólnota domowa	Gospodarstwo naturalne	. . . .
Konwencyonalny	Pełne kontury	Wielka własność	Gospodarstwo naturalne	. . . .
Indywidualistyczny	Zupełne opanowanie z wyjątkiem:	Cechy, gildye, korporacye	Gospodarstwo pieniężne	. . . .
Subjektywistyczny	Światła i krajobrazów	Indywidualizacya	Gospodarstwo pieniężne	. . . .

* * *

precht, ur. 25 lutego, 1856 w Jessen w Saksonii, studya odbywał w Getyndze, w Lipsku, w Monachium, habilitował się w Bonn, gdzie został profesorem. Następnie wykładał w Marburgu, obecnie w Lipsku.

Oto „odkrycie" w historyi — odkrycie stadyów kultury. Krytyka uważa je za najsłabszą stronę teoryi Lamprechta, on sam jednak przypisuje im ogromne znaczenie i przyznaje im niemal wartość niewzruszalnych praw statystycznych.

Tego rodzaju podział (ułożony na podstawie tylko fragmentu dziejów, bo historyi jednego narodu niemieckiego) da się, zdaniem Lamprechta, *mutatis mutandis* zastosować i nagiąć do dziejów każdego „normalnie rozwijającego się" narodu czy to w najodleglejszej starożytności, czy w nowszych czasach, a szereg i następstwo tych okresów jest tak ścisłe i stałe, jak fazy rozwoju u roślin lub zwierząt...

W podstawie swej niewzruszony ten wzór będzie można drogą badań porównawczych coraz uzupełniać w szczegółach, ustalać i rozszerzyć na narody całej kuli ziemskiej...

Niestety w „Dziejach Niemiec" Lamprechta okresy te pod probierzem krytyki nie bardzo wytrzymywały[1]), i niewiadomo, czy dla jednego nawet narodu mogą mieć znaczenie. Skąd zaś dopieroż owa pewność, że jedne objawy życia narodu mają zawsze postępować ramię w ramię z innymi? Dlaczego wszystkie mają koniecznie sobie odpowiadać? Czyż społeczeństwo nie może bardziej rozwinąć się w jednym kierunku, a zostać w tyle w drugim? Cóż zaś przemawia za tem, że podział okresów w jednym narodzie odpowiada podziałowi w drugim narodzie, albo nawet wogóle w dziejach powszechnych? Lamprecht nie zwraca uwagi na to, że recepcye kultury czyli, jak je zwie „endosmosy" i „egzosmosy", wobec nierównie szybko rozchodzących się fal naśladownictwa, renesansów i t. d. chronologicznie śród różnych narodów bardzo się od siebie różnią, coraz to się spóźniają, czasem się nawet nie przyjmują... czasem znów „przedwcześnie" pobudzają dane społeczeństwo. Wszakże recepcya jednych objawów, np. romantyzmu, może być łatwiejszą i szybszą śród jakiegoś społeczeństwa, aniżeli recepcya innych prądów (np. gospodarczych), tak, że jedne mogą być przejęte w jednym „okresie", a inne dopiero w następnym, a przez to typ i całokształt okresów w jednem zbiorowisku będzie inny, jak w drugiem.

Tu nasuwa się jeszcze jedna uwaga. Poprzedni zarys epok kulturalnych Lamprechta jest w ścisłej łączności z jego przekonaniem, że rozwój kultury odbywa się przedewszystkiem w ramach narodu. Nie tyle państwo, ile naród jest właściwym aktorem dziejów, wyrażającym całokształt wszystkich stron życia gromadnego. Pewna

---

[1]) Rachfahl. Ueber die Theorie, s. 687.

zgodność i równoczesność rozwoju i przemian w narodzie, ów już przez Comte'a ogólnie zauważony *consensus*, jest dowodem istnienia czegoś wspólnego w narodzie, pewnej jedności, pewnej „duszy zbiorowej".

Ta właśnie „dusza zbiorowa" Lamprechta ściągnęła na siebie szereg zarzutów, przed którymi trzeba go wziąć w obronę. Ta „psyche narodu" nie jest bowiem w pojęciu Lamprechta—co mu niesłusznie wytykano — jakąś odrębną wielką jaźnią, jakiemś „mistyczno-romantycznem" widmem, unoszącem się nad społeczeństwem. Wbrew posądzeniom nie mogę dopatrzyć się w lamprechtowskiej *Volksseele* znamienia nadpływających ponownie z powrotną falą *Weltgeist'ów*, nie mówiąc już o jakichś zakusach tworzenia nowej... mitologii, nowych „geniuszów" narodowych zamiast dawnych „opatrzności" i bogów...

Lamprechtowska „Volksseele" to poprostu poczucie narodowe w jego poszczególnych etapach rozwoju, to świadomość narodowa, tak mało mająca wspólnego z personifikacyjnymi pomysłami, że zasadniczo nie różni się w niczem od świadomości narodowej, świeżo przedstawionej przez Fouillego, któremu chyba jednak nikt tego rodzaju zarzutów postawić się nie ośmieli [1]).

Zapatrzony jednak zbytnio w świadomości i indywidualizmy poszczególnych narodów Lamprecht przesadnie wszystkie zjawiska dziejowe kładzie na wagę ruchów narodów, nie dostrzegając, że są przecież objawy kulturalne, które się wymykają poza ramy samego narodowego życia. Równie stanowczo można twierdzić, że recepcye uniwersalne wprost przekształcają tak do gruntu typowy rozwój narodu, że one przedewszystkiem odgrywają nieraz pierwszorzędną powszechno-dziejową rolę. Nie zbija tego gołosłowne twierdzenie Lamprechta, „że tylko zdrowy (!) naród recypuje, gdy jest już po temu dojrzały!" Równie słusznem może wydać się przypuszczenie, że dzieje właściwe są raczej teatrem pewnych związanych z sobą licznych rodzin narodów pewnego konglomeratu społeczeństw, jak śródziemnomorskiej, średniowiecznej i tym podobnych kultur, które wytwarzają wspólne międzynarodowe objawy takie, jak reli-

---

[1]) La science sociale 195 — 242. Mimochodem pozwolę sobie wskazać na bardzo piękną rozprawkę p. Abramowskiego (w „Ateneum" 1896. 4), w której autor jednak doszedł do zaprzeczenia bytu świadomości narodowej. Przeciw temu wystąpił w „Przeglądzie filozoficznym" J. K. Potocki.

gia, kościół, „imperium rzymskie" — objawy, sięgające poza obręb pojęcia narodowości... [1]).

Mimo to wszystko trzeba uznać w usiłowaniach Lamprechta jedno. Oto do dziejów kultury, które niejednokrotnie dotąd przedstawiały skład najrozmaitszych w „poetycznym nieładzie" porzucanych, żadną nicią przewodnią z sobą niezwiązanych antykwarycznych rupieci i drobiazgów, chce on wprowadzić pewien ład. Do dziejów kultury, w których jedna gałąź np. rozwoju piśmiennictwa rozpadała się na okresy według dat, dajmy na to, śmierci pewnego osobnika lub daty ukazania się pewnego dzieła i t. p., a w innej gałęzi życia narodowego używało się innych podstaw podziału na okresy— chce wprowadzić pewien ogólny wspólny szablon, który przynajmniej na pewien czas dla utrzymania pewnego porządku, dla podania oceny ważności zjawisk dziejowych — może przynieść pewną korzyść. Dziś, gdy duch ludzki porywa się, aby objąć jednym rzutem oka cały zasób życia w najrozmaitszych jego przejawach, schemat Lamprechta może poddać tym porywom o wielkim rozmachu skrzydeł podkład naukowy i miernik, co prawda, bardzo jeszcze chwiejny.

W stadyach kultury Lamprechta trzeba uznać jeszcze jedną stronę dodatnią. Nie uważa on swych epok za szereg jakichś nieruchomych obrazów. Chce być „ewolucyonistą" i powstaje przeciw tym, którzy układają jakąś kamienną mozajkę biernych „stanów" (*Zustände*), on nie chce wiedzieć, „jak było", „ale jak się działo" (nie, *wie es war*, ale *wie es geworden*). Pod tem hasłem bezustannej przemienności staje w szeregu „darwinistów" i widzi przyczyny zjawisk dziejowych w nich samych. O to pojęcie „immanentności" przejawów dziejowych stacza walną rozprawę — z rankistami i... odnosi zwycięstwo.

* * *

Zarzuty, miotane na Lamprechta przez tych historyków (np. Seignobos), którzy dopatrują się w jego „duszach narodu" jakichś mglistych, metafizycznych pojęć, brzmią tem dziwniej, że właśnie charakterystyczną dla samej teoryi Lamprechta jest jego dążność ku wyplenieniu raz na zawsze z historyi wszelkiego mistycyzmu hi-

---

[1]) Nie mogę się zgodzić na zdanie Lamprechta, że religia pochodzi ze zmian świadomości narodowej. Alte u. neue., str. 69.

storycznego. Znamienną pod tym względem jest mianowicie jego walka z rankistami i „ideami“ starej szkoły.

Aby odczuć nastrój tej „starej szkoły“, posłuchajmy, co pisze w r. 1886 Lorenz, jeden z pierwszych buntowników przeciw ówczesnemu wszechwładztwu „idei“ w dziejopisarstwie: „Dziś władają wyłącznie w historyi idee. I tak, dzieli się pewien przeciąg czasu na okresy wedle panujących w nich idei, ideom każe się państwa dźwigać albo niszczyć. Idee zjawiają się w dziejach, jak chochliki, które tu trzymają króla za rękaw, tam popychają ministra na zgubne tory, indziej to raz pomagają wodzowi w jego wojennych działaniach, to znowu oślepiają go, jak duch Cezara pod Filippi...“ [1]).

Najpierwszym teorykiem ówczesnej ideologii historycznej był *W. Humboldt*, który złożył jej kanon w dziełku „O zadaniu historyka" (1821), a najznakomitszym przedstawicielem praktycznego jej zastosowania w dziejopisarstwie był Ranke. Lamprecht, lubo żywi dlań wysoką cześć, zwąc go „jednym z największych mistrzów naszej nauki i sztuki“, mimo to napada na jego ideologię z całą natarczywością,

Jak wiadomo, Ranke nie zostawił nigdzie zwartego systemu swych poglądów. Lamprecht też krytykę swą opiera na podstawie wyimków i luźnych uogólnień, często nawet z sobą sprzecznych, rozsypanych szczodrą dłonią po jego sławnych dziełach.

Według Rankego wszystkie fakty dziejowe powstają z idei duchowych; idee są czemś niezmiernie realnem; przez nie wszystko się dzieje; ludzie są niemi owładnięci; idee walczą z sobą lub sprzymierzają się; o ich pochodzeniu nic nie wiadomo; nie mają jakiejś jednej spójni; po za niemi — Bóg.

Idee te były koniecznem uzupełnieniem historyografii indywidualistycznej [2]). Jej wyznawcy bowiem, kusząc się o jakieś syntetyczne ujęcie rozstrzelonych postępków poszczególnych jednostek, wielkich bohaterów i t. d. — wyszukać musieli dla nich jakieś ogólniejsze bodźce. Znaleźli je w postaci tajemniczych, niezrozumiałych, „boskich“ idei. Oczywiście, wodą na młyn tej ideologii była niemiecka, filozofia „tożsamości“, szczególnie Fichtego, a zdaniem Lamprechta także specyalnie jakiś niemiecko-protestancki mi-

---

[1]) „Geschichtswissenschaft“. I. 268.

[2]) Przeciw indywidualistycznemu kierunkowi Rankistów miał Lamprecht sposobność wystąpić na zjeździe historyków w Innsbrucku, o czem szerzej G. Blondel w *Revue historique*, 1897, t. 65, str. 326—30. Por. Bericht über den 4 deutschen Historikertak. Leipzig. 1897, str. 38—46 (Hartmann v. Scala i t. p.).

stycyzm, szczególnie wybujały u Rankego. Domysł swój popiera Lamprecht uwagą, że Ranke początkowo czuł w sobie, jak wiadomo, powołanie na... pastora.

Ten mistycyzm religijny Rankego najjaskrawiej ujawnił się w jego wyznaniu, że tylko idee są rzeczywistością, podczas gdy cały ten ziemski „realny" świat—to świat ułudy, *eine Welt des Scheins.* Stosunki gospodarcze — to nikłe... mgiełki.

Nigdzie wyraźniej nie wyłania się przepaść, dzieląca poglądy dzisiejszego nowszego pokolenia od dawnych, jak właśnie w tych ostatnich odgłosach filozofii tożsamości. Ranke nigdy nie stawiał stosunków „materyalnych" narówni z „duchowymi", i przeciwko temu właśnie wygłasza protest lipski historyk. Znamienne są pod tym względem jego słowa, wysłane pod adresem młodo-rankistów, którzy, co prawda, (od lat 70-ch) licząc się i uwzględniając warunki gospodarcze, zaczęli jednak bronić i osłaniać przed jego atakami— swego mistrza Rankego.

„Protestuję — powiada Lamprecht — nie raz, ale tysiąc razy, przeciw hyperidealistycznemu zapatrywaniu, jakoby wyłącznie siły duchowe były potęgami twórczemi, a czynniki gospodarcze i społeczne przewijały się tylko, jako mniej ważne czynniki. Niema w tem krzty słuszności; warunki duchowe i „materyalne" mają jednakowe znaczenie, są równorzędne, a nawet w dziedzinie prawno-publicznej społeczne i gospodarcze objawy dadzą się najczęściej łatwiej poznać; są one, co więcej, potężniejsze...", są tem cenniejsze, że, jako przedmiot badania, użyczają naszym studyom trwalszej podstawy.

Przedewszystkiem jedna cecha idei rankowskich pobudziła Lamprechta do ich bezlitośnej krytyki: ich trasncendentalność, ich pozaświatowość, ich nadnaturalność.

Rzecz znamienna, że tylko jeden ze starych wiarusów szkoły rankowskiej uparł się i niezachwianie przyznał do wiary w nadnaturalność idei, cały zaś chór reszty młodo-rankistów godzi się na ich immanentność, starając się, oczywiście, na wszelki sposób wykazać, że i sam ich stary mistrz Ranke nigdy na seryo nie wierzył w ich transcendentalność, że to tylko Lamprecht zabarwił zbyt jaskrawo jego przygodne wyrażenia i t. p.

Między innymi np. Rachfahl sądy Rankego co do niemożności wytłómaczenia, skąd pochodzą rządzące w dziejach idee, usprawiedliwia tem, że ich geneza jest dla nas istotnie zawsze niezrozumiała. Np. genealogię takiej idei wszechwładztwa ludu, skrystalizowanej w głowie Monteskiusza, można, badając jej rozwój, doprowadzić aż w głąb filozofii starożytnej, lecz w końcu dojdziemy do takiej po-

mroki dziejów, że pozbawieni źródeł historycznych załamujemy ręce i zrzekamy się dalszych badań jej pochodzenia śród zbyt „pierwotnych" stanów ludzkości. Stąd głąb historyczna rozwoju każdego czynu ludzkiego ma w sobie coś niewyjaśnionego, bezdennego. Wszak sam Lamprecht nie udowodnił immanentności swych dyapazonów, bo ostatnie uogólnienia co do ich najdawniejszych, najpierwotniejszych zarodków oparł tylko na przypuszczeniach psychologicznych, a nie na źródłach historycznych. Stateczniej postąpił Ranke, który swe ogólne uwagi metafizyczne uważał za swe osobiste przekonanie, ubocznie tylko ozdabiając niemi karty swych dziejów,— stateczniej, aniżeli Lamprecht, który swym hypotezom przypisuje naukową, doświadczalną wartość...

Czyż zaraz na podstawie kilku frazesów — dorzuca Hintze — trzeba nazywać Rankego mistykiem? Wszak i Du Bois-Reymond rozpowiadał o zagadkach świata, a czyż dlatego mamy go uznawać za mistyka...?

Nie — odpowiada Lamprecht — bo Du Bois Reymond wykluczył swe zagadki z szeregu przedmiotów swych badań, kiedy Ranke przeciwnie złączył je i związał ze swemi opowiadaniami... Przedmiotem naszych badań powinny być tylko pozytywne fakty dziejowe. Ostateczną zaś przyczyną tych faktów nie są jakieś idee nadpowietrzne. Boć, jeśli się przyznaje wpływ idei na działalność ludzką, to trzebaż zgodzić się i na to, że one same podobnież wypływają i wykwitają na glebie dawnych czynów ludzkich. Inaczej idea stałaby się jakiemś widmem, unoszącem się nad ludzkością. Sama idea nie wystarczy na to nigdy, aby uderzyć w czynu stal. Wszak taka idea wszechmocy państwa kościelnego istniała już od czasów św. Augustyna, a jednak dopiero po tylu, tylu latach mogła stać się ciałem. Zabłysnąć może idea nieraz, ale to nie dowodzi jeszcze jej panowania w tym... świecie „ułudy"[1]). Wprawdzie w tym świecie „ułudy" przyczyna bytu zawsze będzie okryta zasłoną przed naszemi oczyma, ale z dziedziny badań historycznych musimy raz na zawsze wykluczyć wszelkie c u d a... [2]).

---

[1]) Myśl tę wypowiedział swego czasu Lelewel: „Wczesno rzucaną bywała wielka myśl, wielka zasada, a wieki upływały, nim do jakiej takiej rzeczywistości przychodziło. A to wszystko nie dlatego, aby nie było ludzi, coby tych teoryi do rzeczywistości nie mieli ochoty popchnąć, ale że nie było masy, o swoje upominającej się...".

[2]) Zapał, z jakim Lamprecht walczył przeciw nadnaturalności idei Rankego, podsunął jego przeciwnikom podejrzenie, że kierunki socyologiczne, dalej idące

Nie był to jeszcze „Amen" polemiki. Rankiści uknuli bowiem spisek, grożący ruiną wszystkim jego wynalazkom. Zaczęli Lamprechtowi przedstawiać, że jego „dyapazony" to tak po prawdzie niczem się nie różnią od ich „idei", jeśli się je tylko (jak to oni teraz) pojmie, jako immanentne.

Co? jego wynalazki — owe „dyapazony"—równe starym znienawidzonym ideom? Jego teoryę śmią przezywać „wznowioną, a sfałszowaną, edycyą teoryi rankowskiej...".

Z oburzeniem odparł Lamprecht podobne przypuszczenia, zaprzeczając stanowczo tożsamości swych dyapazonów a idei, a co więcej, na podstawie zbadania prac dawnych „ideowców" wykazał nawet pewne przeczeństwo tych pojęć. Wyszperał, że nazwy „idea" używali dawni historycy - ideowcy na oznaczenie objawów i instytucyi, które tylko r a z się zdarzyły, podczas gdy jego dyapazony znamionują ustawicznie się powtarzające w dziejach, typowe zjawiska kultury. I tak, idee zawsze łączono z czemś konkretnem (np. idea jezuityzmu, idea papiestwa, idea monarchii pruskiej), lecz ni-

---

nie przebrzmiały bez wpływu na światopogląd Lamprechta, że jego historyozofia jest w gruncie rzeczy „materyalistycznem pojmowaniem dziejów". Co prawda, o tożsamość z marksyzmem nikt nigdy go wyraźnie nie pomawiał. Wytykano mu tylko ogólnikowo jednostronność, z jaką tłómaczy zjednoczenie państwa niemieckiego -- na podstawie pewnych gospodarczych, w łonie niemieckiego społeczeństwa zaszłych przeobrażeń. Zdaniem ich tedy, Lamprecht popada w „materyalizm" dziejowy, a wogóle jest prawdziwym synem pozytywizmu, „który ostatecznie w swej ostatniej podstawie nie jest niczem innem, tylko osłoniętym materyalizmem" i t. p. Gdzie właściwe źródło tych pomawiań? Sam Lamprecht tak je tłómaczy.· Kiedy zawiały nowe kierunki w historyozofii niemieckiej, nawet najmniejszy w Izraelu musiał zauważyć tę bijącą w oczy cechę charakterystyczną młodych historyków, że rzucali się głównie do opracowania stosunków gospodarczych. Sam Lamprecht wydał olbrzymie dzieło o historyi gospodarstwa w Niemczech. Pociągały ich zaś te strony dziejów dlatego, że wszystkie nowe prądy rzucają się najpierw na łatwiejsze do strawienia przedmioty, a takimi były stosunki gospodarcze. Przypomina to prądy impresyonistyczne w malarstwie, które zaczęły od malowania najpierw kapusty, sałaty i t. p.... Tymczasem starzy historycy, zauważywszy analogię z marksystami, zajętymi badaniem stosunków produkcyjnych — chórem okrzyknęli nowych historyków (podobnie jak dawniej marksystów) „materyalistami", niby dlatego, że stosunkom gospodarczym nadano miano „materyalnych", lubo, — jak wiadomo — „każda działalność gospodarcza jest psychologicznie tak samo uwarunkowana, jak każda tak zwana czynność „duchowa", a każda suma zdobyczy gospodarczych jest tak samo objawem aktów psychicznych, jak jakikolwiek poemat, książka prawnicza, instytucya państwowa...". Zasługą Hintzego jest wskazanie, że właśnie Lamprecht przez to subjektywno-psychologiczne traktowanie zjawisk różni się od dawnych marksystów wraz z ich dawną objektywną wszechpotęgą produkcyi. Wprawdzie marksyści przyznawali, że

gdy nie mówiono: idea np. „gospodarstwa naturalnego". Idee były artystycznem ujęciem jednorazowych faktów dziejowych, jego dyapazony — naukowem, porównawczem pojęciem dla objawów analogicznych. Tylko ten, kto widzi w dziejach same objawy jednorazowe, może posługiwać się szczęśliwie i nadal staremi „ideami...".

Dla jednorazowych objawów dziejowych Lamprecht pozwala zastosować nadal pojęcie „idei", lubo zamiast tego niecierpianego przez siebie terminu proponuje raczej inne słówko: „tendencya". Przestrzega przytem, że te jednorazowe „tendencye" trzeba zawsze ustawiać na tle jego dyapazonów i ich wpływów. Tak śród jednej „tendencyi" np. papiestwa trzeba uwzględniać zmiany, zachodzące bezustannie pod wpływem współczesnych prądów dziejowych, bo inne przecież jest papiestwo z czasów średniowiecza, a inne z epoki odrodzenia. W ten sposób i te jednorazowe tendencye dają się wcielić w ogólny łańcuch przyczynowy kultury powszechnej, w ramy prawidłowych zmian i działań...

Rzecz jasna, że w ten sposób idee tracą dawny swój charakter transcendentalny, pozaświatowy, ale przestają zarazem być głównymi motorami dziejów. Kiedy dawniej „ideami" zwano właściwie i lamprechtowskie tendencye, a czasem i jego dyapazony, i jeszcze nadnaturalne siły, teraz rozpadają się na trzy rzesze, z których ostatnie ulatują z dziedziny historyi, zdaje się, na bardzo długo, słysząc przy rozstaniu, jak sami ich dotąd wierni wielbiciele, rankiści wyprzysięgają się ich na zawsze...

* * *

czynniki produkcyjne, aby wywołać skutek, muszą przejść przez „głowy ludzkie", ale to psychiczne medium, przez które przejść musiały, zdaniem dawnych marksystów, tak zawsze jednakowo na nie oddziaływało, było więc tak obojętne, że można go było nie brać w rachubę. Lamprecht innego jest zdania, i dlatego główną rolę u niego odgrywa apercepcya psychologiczna, i, zamiast np. samych środków produkcyi, u niego występują na plan pierwszy psychiczne siły zbiorowe. Lamprecht zresztą wyraźnie się zastrzegł, że nigdy nie przystaje na „wyłączną" zależność czynników „duchowych" od „materyalnych". Sami marksyści uważali go początkowo za historyka, który z „burżuazyjnych" najwięcej zbliżył się do ich pojęć, lubo nie miał odwagi zerwać stanowczo z ideologią, wskutek czego został eklektykiem. W końcu całą tę „ciuciubabkę" przeciął sam Lamprecht, miotając potępienie na marksystów, których nazwał „socyalno - demokratycznymi ateuszami". (*Zukunft* z d. 31 sierp., 201).

Przed ostatecznem zakończeniem pozwolę sobie jeszcze na eksperyment, zabierając się do wypróbowania wartości „wynalazków” Lamprechta na nich samych, t. j. tłómacząc jego teoryę na tle „dyapazonu” współczesnej nam doby i wyjaśniając jej genezę w świetle nurtujących Europę dzisiejszą prądów socyalno-psychicznych...

Niestety, na wstępie tego przedsięwzięcia spotykamy się, ku swemu zdziwieniu, z głosem protestu ze strony samego wynalazcy, który w żaden sposób nie chce poddać dziecięcia swego ducha podobnego rodzaju operacyi. Oświadcza, że historya jest nauką indukcyjną, niezależną od jakichś prądów współczesnych, że szczególnie jego pojmowanie dziejów wolne jest od wpływu współczesnego mu światopoglądu i teoryi innych nauk (np. biologii), że jego historya wolna jest „od porywów ikarowych, właściwych filozofii spekulatywnej...”, on jest tylko... empirykiem..

Ten sam Lamprecht, który uznawał tak potężny wpływ sił socyalno-psychicznych, wyklucza ich działanie wyjątkowo na siebie, traktując swą osobę zanadto indywidualistycznie, jakby na... kolektywistycznego pisarza wypadało...

Zresztą, nie potrzebujemy przytaczać wielu zasadniczych dowodów przeciw temu mniemaniu Lamprechta, — dowodów, które dawno już wyłuszczył Simmel, rozwodząc się nad wpływem współczesnej metafizyki na poglądy historyczne ..[1]), gdyż Lamprecht sam, zaczepiany o to, w końcu wbrew poprzednim swym wywodom uznał, że „niema historyozofii bez światopoglądu”, co więcej, nawet z radością dopatrzył się w swej historyi znamion, odzwierciedlających najnowsze prądy, i na tej podstawie przepowiedział jej zwycięstwo, „bo pod znakiem czasu kroczy, a nie przeciw niemu...”.

Nie potrzeba też długo szperać, aby na pierwszy rzut oka odczuć w teoryi Lamprechta wpływ nauk przyrodniczych, które tak wzbiły się wysoko w przeszłych lat dziesiątkach — czy to w analogiach, często przez Lamprechta czerpanych z dziedziny biologii (w porównaniach narodu do... komórki), czy też w klasyfikacyi nauk historycznych na podobieństwo nauk przyrodniczych... Podobnież niemylne będzie przypuszczenie, że teorye kolektywistyczne są w części odblaskiem niedawnych prądów i teoryi—zacząwszy od darwinizmu, który odwrócił uwagę ogólną od indywiduum ku gatunkom, a skończywszy na statystyce, która przyzwyczaiła oko na-

---

[1]) Simmel. Die Probleme der Geschichtsphilosophie, r. 1892, s. 82—86.

sze ilościowo mierzyć wszystkie fakty spotykane, — że już nie będę mówił o rozkwicie nowych gałęzi wiedzy — socyologii, etnologii, psychologii mas i t. d., które bezpośrednio i widocznie wywierają wpływ na teoryę Lamprechta. Ton ogólny, który najwyraźniej przebija się w jego historyozofii, to pozytywizm. Mniejsza o jego „epoki kulturalne”, które mają być główną nowością u Lamprechta, a których genezy szukać trzeba w klasyfikacyi Comte'a (jeżeli nie Condorceta). Mówię tu o światopoglądzie pozytywistycznym, o agnostycyzmie, który w nauce dziś wszechwładnie panuje...

Zresztą wszelkie prądy — i mniej z nauką bezpośrednio związane — znajdują oddźwięk większy lub mniejszy w teoryi Lamprechta. Dziś, kiedy narodowościowe ruchy wstrząsają i budzą najdrobniejsze odłamy ludków, kiedy podniecają Niemcy do barbarzyńskich wybuchów hakatyzmu — cóż dziwnego, że historyozofia profesora lipskiego uważa naród za najważniejszy objaw w dziejach i równocześnie każe mu w „Dziejach” rozpowiadać o całych Wszech-Niemcach, sięgających daleko — jak mówi — poza „czarno-biało-czerwone słupy graniczne (włącznie z Holandyą i Szwajcaryą...).

A w końcu — co najważniejszą jest cechą w historyozofii lamprechtowskiej — cóż dziwnego, że w czasach demokratyzacyi, coraz większych głębin społecznych sięgającej, przy coraz potężniejszem, wprost w oczy bijącem rozszerzaniu się więzi społecznej i coraz wybitniejszem występowaniu szarych tłumów miejskich na arenę, rosnących w oczach stolic europejskich, cóż dziwnego, — pytam — że w tych czasach, kiedy myśl ludzka krąży, zastanawia się nad tymi tłumami i pod wrażeniem ich potęgi tworzy uogólnienia, że — obok powieściopisarzów tych bezimiennych m a s (Zola) wyrastają i ich historycy, którzy przykładają inną miarę wartości przy wyróżnianiu faktów dziejowych — inną od miary dziejopisarzów z czasów dawnych, kiedy „bohaterowie” trzęśli całym światem i jego dziejami. Historyozofia dawniejsza jest wyrazem pragnień stugłowych tłumów, wyrazem atmosfery, która dziś tworzy obok tego jednego systemu cały rój prób nowych, odpowiednich nowym czasom teoryi (że przypomnimy np. nowego historyka franzuskiego Lacombe'a, który główny czynnik rozwoju widzi w p o t r z e b a c h masy...).

Ta dzisiejsza gorączka demokratyzacyi wionie z niejednego ustępu Lamprechta. Czyż to tętno nowoczesne nie bije w takiem np., mniej naukowo zabarwionem, ale za to szczerem wyznaniu: „Stara historyozofia indywidualistyczna wyznacza niegodne, niechrześcijańskie stanowisko człowiekowi, który nie miał czy to talen-

tu, czy szczęścia, by umrzeć historyczną osobistością... Za bohaterów miała stara szkoła tylko wielkich ludzi, a właściwie nie tak ludzi, jak raczej jakichś bogów, zupełnie różnych od przeciętnych jednostek, które mozoliły się w pocie czoła na to, aby w końcu nie zauważyła ich historya. Te miliony pracowników dopiero nowsza teorya włącza w pochód dziejów, wyznaczając przynależne im miejsce. Te miliony dziś dopiero dziejowo powracają do życia..."

Pod muślinem tych gorących wyrażeń widać nie tyle naukowe zasady, ile drgnienia serca, — przejętego nawskróś uczuciem wszech-demokratycznem, z coraz to większą rozlewnością dziś ludzkość obejmującem. To też w istocie swej tendencyi pragnienie Lamprechta niemieckiego nie różni się niczem od pełnych poetycznego rozmarzenia historyozoficznych perełek myśli, jakie w swym „Królu Duchu" rozsypał największy poeta historyi polskiej, Słowacki:

Któż ją ma? — czasem gdzieś w pastuszku siedzi
Ta myśl najczystsza, więc władnąca światem,
A nikt jej krokiem ziemskim nie wyprzedzi,
Choć owce ludem jej — a berło kwiatem...

III.

Lamprecht wysokie i szczytne zakreślił historyi cele. Kiedy woła, że historya nie powinna być „służebnicą ani dyplomaty, ani polityka, ani pedagoga", trzeba mu tylko przyklasnąć. Chociaż mogą się tu nasunąć pewne zastrzeżenia, szczególnie u dziejopisarzów tych narodów, dla których życie polityczne zespolone jest z każdym drobnym krokiem — z każdym niemal oddechem człowieka — to jednak każdy musi przyznać, że takie pojęcie n a u k i historycznej jest wysokie. Inna rzecz, czy te usiłowania, aby dziejopisarstwu nadać piętno niezawisłej nauki — zupełnie udało się Lamprechtowi w czyn wcielić w jego „Historyi Niemiec". Czy, przeciwnie, nie zostało ono jeszcze marzeniem, ideałem uczonych, słowem próbą, godną wielkiego uznania, ale dotąd nieudaną?

Ogólnie „tak" lub „nie" odpowiedzieć na to nie można. Jedne zagadnienia Lamprechtowi udało się bardzo daleko posunąć naprzód i rozwinąć, innych nie. Niektóre świetnie wyłuszczył w teoryi, gorzej w praktyce.

Nie mogę znaleźć słów uznania, aby podnieść i podkreślić zasługi Lamprechta, jakie położył, używając metody porównawczej dla dziejów kultury i jej typowych epok rozwoju. Lubo ani ich nazwy nie są trafne, ani nawet same ich podziały ściśle i nienaruszalne, zawsze jednak pozostaną szacowną wskazówką na przyszłość, tak, że każdy, kto będzie szukał pewnych śladów prawidłowości i wogóle powtarzania się pewnych objawów w dziejach, będzie musiał się liczyć zawsze z teoryą i zawsze zajrzeć do praktycznych wypracowań Lamprechta.

Prawda, w badaniach swych nad kulturą Niemiec Lamprecht zacieśnił swój kąt widzenia, ograniczył się do jednego tylko narodu i stąd pozbawił się szerszego, więcej uniwersalnego widnokręgu, który mógł mu podać do rąk więcej materyału porównawczego.

Wprawdzie ten zarzut Lamprecht z góry uprzedza, wskazując na to, że nauki przyrodnicze zyskały tylko na szerokości poglądów właśnie wskutek skupienia uwagi iześrodkowania badań nad najmniejszemi drobinami, komórkami i t. p. Lecz czyż ta analogia koniecznie ma stać się drogowskazem dla innej gałęzi nauk? Przeciwnie, rozwój dziejopisarstwa samego ukazuje nam coraz znaczniejsze rozszerzania horyzontu historyków: od historyi Grecyi, rzymskiego imperyum, kościoła rzymskiego rośnie coraz przestrzeń badana... Pod tym względem wyżej stał historyk dziejów politycznych świata romańsko-germańskiego, — Ranke. Dziś, kiedy historya współczesna rozlewa się szeroką falą poza dawne swe łożysko, gdy różne narody wyłamują brutalnie bramy „murów chińskich”, a w Europie samej zawionęły recepcye dalekich japońskich i różnych wschodnich motywów, — może dziś nie czas zasklepiać się w „komórkach narodów...” Jakby w odpowiedzi na to wychodzi właśnie w świat nowe, ogólnie zwracające na siebie uwagę kilkutomowe dzieło „Weltgeschichte” Helmolta, kreślące dzieje narodów całej kuli ziemskiej...

Z drugiej jednak strony trzeba przyznać, że Lamprecht, badając jedno społeczeństwo, rzucał przytem od czasu do czasu wzrok i na losy sąsiadów i zawsze dążył do wyników, któreby dały się zastosować i dla każdego narodu. Zgoda bowiem, że dzieje polityczne jakiegoś państwa europejskiego mało mogą interesować np. uczonego japońskiego, ale pewne odkrycia naukowe prawidłowości rozwoju kulturalnego w dawnem społeczeństwie i metoda badania tegoż będzie zawsze niezmiernie żywo go zajmować. Dzieje feudali-

zmu we Francyi interesować będą historyka feudalizmu japońskiego [1]).

Zastosowanie praktyczne naogół jest gorsze od samego wyłożenia teoryi. W jego „Dziejach Niemiec" [2]) na uznanie zasługuje uwzględnienie najrozmaitszych przejawów kultury zamiast dotychczasowych jednostronnie politycznych dat; są w nich bardzo cenne przyczynki i ogólne zarysy kultury, lecz poza tem raczej czuć tendencye w zwrotach i zadaniach urywkowych i nawiązanych tylko zewnętrznie do przedmiotu badanego. Są to raczej ozdoby dzieła, aniżeli z jednej bryły i w jednym duchu wykuty twór.

Oto np. Lamprecht wysławia Karola Wielkiego, jako olbrzymie indywiduum, które cieniem swym zasłania wszystko dokoła siebie. aż nagle przy końcu przypomina sobie, że taki obraz człowieka-olbrzyma zakrawać może na historyę „osób", jednostek, nie licującą z jego kolektywistycznem *credo*. Więc przyszywa następujący frazes dodatkowy w celu zażegnania możliwych zarzutów, jakby on istotnie mógł zmienić w czemkolwiek poprzednie wrażenia:

„Ale nawet energia Karola Wielkiego nie mogła wytworzyć nagle nowej kultury germańsko-romańsko-chrześcijańskiej, bo, aczkolwiek jego przedsięwzięcie wydaje się tak wspaniałem, jego siła tak nieograniczoną, jednak on walczył tu przeciw geniuszowi wpływów narodowych. Mogą, co prawda, pewne duchy jakiś rozwój pchnąć naprzód o wieki całe albo też go zatrzymać; bezwątpienia w ich mocy leży dola i niedola tysięcy współczesnych, a mimo to nie są w stanie własnemi siłami wytworzyć nowych epok wyższego typu. Losy narodów idą swą drogą według praw w ich łonie tkwiących; przeciw ich działaniu nie mogą nawet najwybitniejsi synowie narodu przeciwstawić swej wolnej woli, która tyle znaczy, co wolna wola przeciętnego człowieka wobec swego małego otoczenia..."

Na usprawiedliwienie trzeba przyznać, że dopiero po napisaniu—lub w czasie pisania tych „Dziejów" krystalizował się ostatecznie w głowie Lamprechta całokształt jego teoryi. Z podwójną też ciekawością przeczytamy tom dalszego ciągu historyi Niemiec (wiek XVIII), który z kolei powinien się teraz ukazać.

Jak wiadomo, traktowanie kolektywistyczne dziejów jest głównem znamieniem teoryi Lamprechta. Pod tym względem dorzu-

---

[1]) W pracowni historycznej K. Lamprechta istotnie kolegowałem z Japończykiem, dwoma Amerykanami, Holendrem i t. p.

[2]) Oczywiście pomijam drobnostkowe usterki w rodzaju np. pomieszania Bolesława Chrobrego ze Śmiałym...

cił on sporo nowych wyjaśnień i na podstawie dawnych już dorobków myśli ludzkiej utworzył pewien zwarty system. Wiele zagadnień wysnuł z większą dokładnością — wiele rozwikłał. Celuje go pewna jaskrawość wyrażenia, jak wogóle w każdej teoryi, torującej sobie dopiero drogę śród uznanych dawnych współzawodniczek.

Jakkolwiekby się kto zapatrywał na socyalno-psychiczne traktowanie dziejów, musi przyznać, że jest ono ważnym dorobkiem na polu nawet samej zwykłej metody historycznej. Jeżeli bowiem zważymy, że praktyka dziejopisarska zawsze dążyła do wykrycia „najprawdziwszych” pobudek i motywów, że zawsze chciała wyszperać najtajniejsze, najbardziej poufałe zwierzenia i źródła, to dziś w tym samym kierunku zdobyła sobie nowe drogi. Przekonała się, że indywidualna psychologia niewiele jej tłómaczy, że nigdy nie podpatrzy, co działo się w duszy działaczów i nigdy nie da sobie rady w pościgu za pobudkami śród ciągłej walki i powikłania różnych kaprysów świadomych i mniej świadomych, przy obłudzie i pokrywaniu właściwych zamiarów i całem wyrachowaniu ludzkiem. Dziś zatem rzuca się w objęcia psychologii socyalnej i z jej pomocą zwraca uwagę na te motywy, które z a z w y c z a j zwyciężają, które prawidłowo i powszechnie są górą, te pobudki, które w m a s a c h zwyciężają... Nie myśli badać motywów „anormalnych” jednostek, robi przypuszczenie, że w postępowaniu człowieczem daleko prawdopodobniejszem jest, że zwycięży ten motyw, który zwycięża tylokrotnie w masach, w środowisku, w otoczeniu...

Rozpatrując jednak stosunek mas do jednostek, Lamprecht uwikłał się w autonomię sfinksową stosunku wolności do konieczności. Zapomniał przytem, że jednostka to nie *tabula rasa*, że nie daje się, jak wosk, bezgranicznie przerabiać i przetwarzać [1]), ale ma pewne pierwotne podkłady, polegające między innemi i na pochodzeniu „rasowem”, na które Lamprecht prawie zupełnie nie zwrócił uwagi.

Niemała oczywiście zasługa Lamprechta polega na tem, że, idąc za przykładem innych nauk i z dziedziny naukowego dziejopisarstwa w sposób dobitny i stanowczy wydalił raz na zawsze (po zapamiętałych zapasach z rankistami) wszelką nadnaturalność przyczyn, ograniczając pole badań tylko do samych faktów historycznych.

---

[1]) Das Recht des Individuums, J. Volkelt. Zeitsch. f. Philosophie u. philosophische Kritik. 1897. November.

Niejedną myśl już dawniej poruszono, ale obecnie wywiesił ją Lamprecht na czoło, w pełnej świadomości jej znaczenia i przeciwieństwa do komunałów dotychczasowych. Cóż z tego bowiem, weźmy dobitny przykład—że nawet taki Carlyle w swych „Bohaterach" podkreśla, że „Boska komedya" Dantego jest właśnie raczej dziełem dziesięciu wieków, niż jednego poety, i że jego szczytne i piękne myśli wypłynęły z rozmyślań chrześcijańskich wszystkich poczciwych ludzi, co przed nim żyli? Cóż z tego, kiedy ten sam pisarz wbrew temu wszystkiemu głosi bez ogródek, że historya jest właściwie „rozczynem biograficznym" i areną zapasów pojedyńczych bohaterów. Kiełkowały myśli pojmowania dziejów socyalno-psychicznych już dawno, świtały nieraz, ale w całej świadomości i uszeregowaniu wyszły w świat niedawno. Zasługą jest Lamprechta, że jeze stanowczem i pełnem umotywowaniem w pełnym szyku wyprowadził w świat.

Naogół system Lamprechta sprawia wrażenie, jakgdyby był echem wszystkich współczesnych porywów myśli z pewną cechą raczej eklektyczną. Zapomocą ostrożnie zaokrąglonych zastrzeżeń chce je razem pogodzić. To nie jest jednolity wybuch o cechach karykaturalnie przesadnych takich Rousseau, Lorii i t. p., to jest wyłuszczenie — zapalonego do swojej teoryi — ale profesora niemieckiego.

Nakoniec dla dziejopisarstwa wystąpienie Lamprechta będzie miało jeden ważny rezultat. Dotąd przez cały wiek XIX socyologia i historya żyły w odosobnieniu. Pierwsza lekceważyła fakty i rozprawiała o rzeczach, których się nie dotykała, druga drwiła sobie z fantastyków. Aż oto na samym schyłku XIX w. pierwszy „zawodowy" historyk, żmudny pracownik, zacząwszy od badań specyalnych-historycznych, czuje konieczną potrzebę przejścia do historyozofii, spotykając się nagle w jednym szeregu z socyologami. Krytyk Below nie może tego przełknąć, że ku zgorszeniu świata dotąd tak w świecie erudycyi poważany *ein deutscher Geschichtsprofessor* oddaje się igraszkom socyologów. Oburzono się na renegata, radzono, aby lepiej został przyrodnikiem albo... „redaktorem". Bezskutecznie. Sam fakt zaświadczył najlepiej, że dwie sfery myśli ludzkiej — socyologia i dziejopisarstwo dotąd—przepaścią rozdzielone, nienawidząc się, zaczynają się spływać, ręce sobie podawać. Odtąd i fachowi historycy, i socyologowie będą musieli bliżej się zejść i nigdy odtąd nie zapominać o słowach, wyrzeczonych gdzieś przez Giddings'a, że „historya bez oświetlenia dedukcyjnego to

chaos, dedukcya zaś bez sprawdzenia to niby światło, co nigdy nie przyświeca ni morzu, ni ziemi..." [1]).

Wacław Sobieski.

---

[1]) Dla uzupełnienia już przytaczanej literatury, traktującej o poruszonych zagadnieniach, zaznaczam dodatkowo: *R. Breysig.* Ueber Entwickelungsgeschichte (Deut. Zeit. f. Geschichtswissensch., 1896/97; Monatsblätter, 3, 161—174; 193—211). *P. Barth.* Fragen d. Geschichtswissensch. (Vierteljahrsch. f. wissensch. Philosophie, 23 (1899), 322 — 359; 24 (1900) 69 — 98). *W. Schuppe.* Das System der Wissensch. u. das des Seienden (Zeit. f. immanente Philosophie 3, 1898). *E. Bernheim.* Geschichtswiss. u. Erkenntisstheorie (tamże 3, 1898), 255 — 87). *Flügel.* Idealismus u. Materialismus der Geschichte (Zeit. f. Philosophie und Pädagogik 4, 161—5, 265). *H. Rickert.* Culturwissen. u. Naturwiss., Freiburg, 1899. *W. Freytag.* Ueber Rankes Geschichtsauffassung... (Archiv f. Philosophie II, Archiv f. System Philosophie 6 (1900), 129—55; 310 — 40). — Nie mogłem dostać do rąk amerykańskiej pracy: *E. F. Dov.* Features of the new history. Apropos of Lamprechts Deutsche Geschichte (Americal historical Reviev 3 (1897 — 98, 431—48) i belgijskiej: *L. Leclère:* La theorie historique de L. (Revue de l'Université de Bruxelles 4 (1998 — 99, 575 — 595). *Ch. de Smedt.* L'histoire est-elle une science? (Academie royale de Belgique Bulletin de la classe des lettres etc., 1899 353—81).



HANDEL I PRZEMYSŁ

w wieku XIX.

Gdy w historyi odwróciła się karta stulecia, narzuca się niejako potrzeba zdania sobie sprawy z głównych prądów pracy na polu życia ekonomicznego, które tak bogaty i potężny miało rozwój w ciągu minionych lat 100. Ale nie jest naszem zadaniem roztaczanie całego obrazu historyi powszechnej handlu i przemysłu w wieku XIX. Zadanie takie rozsadziłoby ramy artykułu publicystycznego. Założyliśmy sobie cel skromniejszy: zobrazowanie w szczegółach tylko dziejów gospodarczych Królestwa Polskiego.

Na wstępie jednak musimy poświęcić kilka uwag ogólnemu rozwojowi handlu i przemysłu w minionem stuleciu. W tym wstępie można będzie położyć nacisk na to jedynie, co stanowiło znamienne rysy przeobrażeń ekonomicznych w w. XIX, co stanowiło wieku tego charakterystykę społeczno-gospodarczą.

Nie będziemy powtarzali banalnego ogólnika, że przeobrażenia, które się dokonały w handlu w ubiegłem stuleciu, wytworzyły potężną dźwignię postępów kulturalnych. Zapewne, mamy wszyscy silną wiarę w rozwój ludzkości i widzimy dowody rozwoju na różnych polach życia, ale postęp nie posuwa się konsekwentnie po linii

prostej. Procesy ewolucyjne opierają się na prawach dość zawiłych i nazewnątrz ujawniają obok światła — cienie.

Handel i przemysł oraz całe gospodarstwo ekonomiczne w wieku XIX rozrosły się olbrzymio, przybrały rozmiary i postacie, o jakich nie marzyli merkantyliści i fizyokraci dwu poprzednich wieków, o których nawet marzyć nie mógł wielki ekonomista XVIII stulecia, Adam Smith, choć już bystrym wzrokiem obejmował całokształt stosunków i widnokręgi ich dalszego rozwoju. Handel i przemysł rozrosły się; konstrukcye ekonomiczne spotężniały, lecz, wytwarzając wielkie ilości dóbr, a więc bogactw, nie wykorzeniliśmy z gruntu życia nędzy, nie zniweczyliśmy jeszcze krzywd społecznych.

Przyjrzyjmy się jednak postępom.

Wszechświatowość wymiany płodów i towarów, ogarniająca, w dosłownem znaczeniu, wszystkie rynki i tworząca z nich jedno targowisko, połączone jakby wspólnością organizacyi pracy; wytwarzanie na potrzeby spożywców wszystkich krajów; mnożenie produkcyi, urągające poniekąd prawu naturalnego zmniejszania się wydajności, a zależne od wytwarzania surogatów takich dóbr, które już temu prawu zmniejszania się poddawały się; nadzwyczajna szybkość i sprawność nowych środków przewozowych, — oto kilka wydatnych cech gospodarczości XIX w. Atoli jest to tylko charakterystyka najogólniejsza, która nie rzuca dość jasnego światła na cały rozwój. Aby dojść do syntezy, trzeba najpierw wyodrębnić pierwiastki, z których się składa nowoczesny ustrój handlu i przemysłu. W tych pierwiastkach dopiero tkwi właściwe działanie nowych sił przemysłowych. W wieku XVIII, a przynajmniej w pierwszej jego połowie, handel odznaczał się cechą bardzo słabego związku pomiędzy narodami. Wprawdzie już wówczas przypisywano wielką doniosłość handlowi zagranicznemu, ale w świetle najnowszych wykładników dziejowych okazuje się, że dawni historycy nadawali temu handlowi znaczenie większe, niż na to zasługiwał. Nawet u tych narodów, gdzie był najbardziej rozwinięty, stanowił małą tylko cząstkę całego przemysłu krajowego i głównie ograniczał się na towarach kolonialnych, na złocie w sztabach, na materyach oraz przedmiotach zbytku i sztuki. Każdy naród pod względem najważniejszych produktów spożycia, głównych środków żywności, ubrania, sprzętów domowych i najgłówniejszych narzędzi przemysłowych zawsze sam sobie wystarczał (wytwarzał bowiem, jak mówi Hobson, małą ilość tego, czego sam nie spotrzebowywał, i spotrzebowowywał małą ilość tego, czego sam nie wytwa-

rzał). Gdy w r. 1800 filozof Fichte marzył o „zamkniętem państwie handlowem" („Der geschlossene Handelsstaat"), łudził się właściwie, że handel w tym czy innym kraju jest już powiązany ścisłymi łącznikami z ogólnym rynkiem wszechświatowym. To miało być dopiero zadaniem XIX w. Naturalne, polityczne i ekonomiczne przeszkody były tamą nie tylko dla rozmiarów, ale i dla kierunków handlu międzynarodowego. Nawet Londyn, największe owoczesne miasto handlowe na świecie, był wyłącznie rynkiem narodowym dla Anglii, a zaledwie w większych miastach angielskich można było w pierwszej połowie XVIII w. znaleźć stałe sklepy, w każdym czasie opatrujące spożywców w towary różnego rodzaju. Gdzieindziej targi i jarmarki tworzyły dla mas ludu pośrednictwo handlowe. Tak wyglądał handel, przemysł zaś miał charakter bądź ściśle rzemieślniczy, bądź, jak w drugiej połowie XVIII w., poczęści rękodzielniczo-domowy.

Dopiero wiek pary, wiek motorów mechanicznych i maszyn, zastępujących ręce robotnika z jednej strony, oraz wiek koncentracyi kapitałów i ich siły twórczej z drugiej, wywołał znamienne przeobrażenia w przemyśle i handlu. Dwa też momenty: 1) produkcya mechaniczna i 2) przedsiębiorczość kapitalistyczna są owymi pierwiastkami, z których składa się nowoczesny ustrój gospodarczy w w. XIX. A oto kilka rysów z dziejów produkcyi mechanicznej. W przemyśle minionego stulecia można wyodrębnić 4 wielkie okresy: 1) okres pierwszych wynalazków mechanicznych, t. j. ściśle maszyn, zastępujących pracę rąk wytwarzaniem mechanicznem i przeobrażających rękodzielnictwo na przemysł, 2) okres rozwoju motorów parowych, jako sił poruszających, zastosowanych do przemysłu; 3) okres rozwoju lokomocyi parowej, t. j. kolei żelaznych, stanowiących dla przemysłu wielką dźwignię w zakresie rozszerzania pól zbytu; 4) okres potężniejącego automatyzmu mechanicznego (maszyny, jako już zasada w przemyśle), który to okres zarazem w sile elektryczności znalazł nowy, sprzyjający rozwojowi czynnik. Okresy te odnoszą się przeważnie do rozwoju przemysłu w Anglii, która była pionierką wielkich przeobrażeń w przemyśle całego świata, lecz te etapy są zarazem zbliżone do stopniowań ogólnych.

Pierwszy okres, okres wielkich wynalazków, po części jeszcze należy do XVIII w. Od r. 1770 prawie do końca tego stulecia powstają ulepszenia przyrządów i maszyn tkackich przez Arkwirghta, Cramptona i Carwirghta. Właściwie już w końcu XVII stulecia były próby zbudowania mechanicznego warsztatu tkackiego, ale dopiero w sto lat później słynny Vaucanson zbudował doskonalszy

warsztat, który jednak również nie miał praktycznego powodzenia. W r. 1813 po uprzednich już zdobyczach ulepszył tę maszynę Horrocks w Stockport, a nareszcie w 1822 r. Roberts w Manchester stworzył wzorowy już automat. Jacquard wynalazł wcześniej, bo w r. 1808, maszynę do tkania różnokolorowych materyi. Oczywiście, współrzędnie odbywało się stosowanie maszyn do innych gałęzi przemysłu, a głównie do produkcyi metalurgicznej, w której około 1783 r. wynalazł Cort sposób pudlingowania i walcowania żelaza, a około tego samego czasu wprowadzono maszynę Watta o podwójnej sile. W r. 1829 w Anglii w produkcyi żelaznej zastąpiono zimne powietrze przez gorące, co było ważną dźwignią przemysłu.

Tu nie od rzeczy będzie nawiasowo stwierdzić (za Hobsonem, Schultze-Gaevernitzem i innymi ekonomistami), że historya wynalazków, zwłaszcza w przemyśle tkacko-przędzalniczym obala przestarzałą legendę o „bohaterskiej teoryi wynalazków", teoryi, na tem jakoby polegającej, że myśl niespodziewanie błyska w mózgu wielkiego geniusza i wywołuje przewrót w przemyśle. „Przypuszczają— powiada inżynier angielski P. R. Wodge — że na maszynę przędzalniczą złożyło się około 800 wynalazków, a na współczesną maszynę do gręplowania około 60 patentów". Zazwyczaj potrzeba tylko wpaść na pomysł, który rozwiązuje zagadnienie, istniejące już w życiu. Czasami szczęśliwiec „chwyta los za poły", a szereg twórców pierwotnej myśli ginie w zapomnieniu. Dążność w kierunku najmniejszego oporu, która, jak wykazują socyologowie i przyrodnicy, jest prawem biologicznem, wynikającem z zasadniczego prawa o zachowaniu energii, najwydatniej w życiu gospodarczem ujawniała się w XIX w., bo tutaj ta dążność zapładniała umysły konkretnym już planem rozwiązania trudności, napotykanych w rzemiośle lub produkcyi. To właśnie dążenie nazwać można ojcem wynalazku każdego.

Ale wróćmy do charakterystyki okresów przemysłowych. Zastosowanie siły pary odbywa się od 1792 r. do połowy XIX w. Pierwszą zdatną do użytku maszynę parową zbudował Watt już w 1772 r., a w 1782 r. po raz pierwszy puszczono ją w ruch, ale dopiero w 10 lat później nastąpiło jej szersze zastosowanie. W 1810 r. Anglia posiada już 5,000 maszyn parowych, Francya tylko 200. W Niemczech opóźniono się jeszcze o lat 12. U nas maszyna parowa ukazuje się dopiero około r. 1839 (w Łodzi).

Era lokomocyi parowej, t. j. okres trzeci, w którym ujawnił się wpływ tego czynnika na przemysł, rozpoczyna się od r. 1830, gdy otwarto pierwszą prawidłową kolej żelazną z Liverpoolu do Manche-

stru. Wprawdzie już w r. 1814 Stephenson w Newcastle zbudował pierwszy parowóz, a w 1825 r. otwarto kolejkę ze Stocktonu do Darlingtonu, lecz były to tylko próby. W Niemczech otwarto pierwszą kolej żelazną z Norymbergi do Fürth w 1835 r., we Francyi we dwa lata później kolej z Saint-Germain do Paryża, w Cesarstwie w tymże roku kolej Carsko-sielską, a w Królestwie w 1847 r. kolej Warszawsko-Wiedeńską.

Czwarty okres rozpoczyna się około połowy szóstego dziewięciolecia i w pierwszej swej fazie rozwojowej trwa do r. 1870, gdy budowa mechaniczna maszyn przeszła w stałą zasadę przemysłu. (W tym też okresie wchodzi w użycie maszyna do szycia, stanowiąca epokę w pracy rękodzielniczej; wprawdzie już w r. 1845 Howe w zasadzie rozwiązał to zadanie, lecz dogodną maszynę Singera wprowadzono do handlu dopiero w 1859 r.). Druga faza tego czwartego okresu przechodzi już w nowe stulecie i rozwija się pod znakiem siły elektrycznej.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad wpływem maszyn na rozwój przemysłu w XIX w., choć, naturalnie, nie wyczerpaliśmy nawet zarysów tego tematu. Chodziło nam tylko o wskazanie, jakie były etapy tej ewolucyi. Skutków zastosowania siły mechanicznej bliżej określać nie potrzebujemy; dość uprzytomnić sobie, że maszyna (a więc przyrząd, który w swej najbardziej rozwiniętej formie, jak określa ją Marx, składa się z trzech różnych co do istoty swej części, jakkolwiek mechanicznie ze sobą zespolonych: 1) z motoru, 2) transmisyi i 3) maszyny właściwej, usuwającej narzędzie rzemieślnika), że maszyna taka zastępuje wysiłek kierowniczy w pracy, zręczność pracownika i jego sztukę, że oszczędza roboty ludzkiej, przyśpiesza ją i czyni bardziej automatyczną, a nadto (znowu przytoczymy określenia Hobsona), że umożliwia człowiekowi spożytkowanie rozmaitych sił, znajdujących się zewnątrz niego, jako to: wiatru, pary, elektryczności, siły chemicznej i t. p. Słowem, nowy ten w XIX wieku, na szeroką skalę zastosowany czynnik produkcyi, stworzył nieznane dotychczas potęgi produkcyjne, a wskutek tego wywołał olbrzymi postęp w przemyśle.

W związku z tym rozwojem ekonomicznym był drugi pierwiastek nowoczesnej organizacyi gospodarczej — pierwiastek, dotyczący już zewnętrznych form przedsiębiorczości — kapitalizm. W epoce przedmaszynowej kapitał nie grał roli miarodajnego czynnika produkcyi; tymi czynnikami były tylko przyroda i praca. To też rzemieślnik, a nawet robotnik, których kapitał stanowiła zdolność fachowa i pilność w pracy, tworzyli niezależne i samodzielne przed-

siębiorstwa produkcyjne. Małe środki pieniężne, jakie były im potrzebne, czerpali z wyników swojej pracy lub otrzymywali je z góry przy zamawianiu roboty. Ilość materyału surowego i kapitału obrotowego, jako nakłady pracy ręcznej, opierającej się tylko na obstalunkach, nie przekraczały więc nigdy zasobów pracownika. Więcej kapitału potrzebował już kupiec, który i w tej epoce był pośrednikiem, choć na znacznie mniejszą stopę, niż dziś. Lecz w każdym razie kupiec i wtedy musiał być zamożny, a jeśli prowadził handel hurtowy, zwłaszcza zaś morski, był nawet spekulantem w stosunkowo wielkim stylu. Atoli i w tej dziedzinie wiek XVIII nie zna prawie wypadków łączenia się kapitałów w złożone organizacye spółkowe. Jednym z najwcześniejszych i wyjątkowych przykładów jest towarzystwo, utworzone w Anglii w 1764 r. z kapitałem 100,000 f. st. do wyrobu cienkich batystów. Tak przewidujący i daleko w przyszłość patrzący ekonomista, jak Adam Smith, wypowiada w 1786 r. w swojem „Bogactwie narodów" następujące naiwne zdanie: „Jedyne przedsiębiorstwa akcyjne, które mogą z powodzeniem funkcyonować bez wyłącznych przywilejów, są takie, w których operacye doprowadzić można do tak znacznej rutyny albo jednostajności systematu, iż pozwala ona na bardzo niewielkie zmiany. Należą tu banki, towarzystwa ubezpieczeń od ognia, wypadków na morzu i konfiskaty podczas wojny, przedsiębiorstwa budowy lub utrzymywania spławności kanałów i rzek, przedsiębiorstwa dostarczania wody na potrzeby wielkich miast". Nie od rzeczy będzie dodać, że jeszcze w 1832 r. znakomity finansista lord Overstone tak się wyraził o bankach akcyjnych: „Zdaje mi się, że bankom akcyjnym brak wszystkich warunków, koniecznych do prowadzenia czynności bankowych, z wyjątkiem wzmożonej, acz rozczłonkowanej działalności". Overstone sądził, że zbiorowość kapitału nie jest siłą, dostatecznie poręczającą powodzenie banku, gdyż działalność bankowa wymaga przedewszystkiem czujności bezpośredniego właściciela kapitału, jako kierownika interesu.

I oto wbrew tym i podobnym przewidywaniom kapitał, a przedewszystkiem kapitał zbiorowy zastąpił w XIX w. wysiłek gospodarczy przedsiębiorcy i stał się sam dźwignią, niejako żywiołową, w swojej wewnętrznej sile posiadającą zdolność obrotu i rozwijania produkcyi. Wiek XIX był erą kapitalistycznego posiadania mechanicznej siły przemysłowej, co bezpośrednio wynikło z drożyzny maszyn i stosunku ich do pracy rąk ludzkich. Kapitał, posiłkujący się wydoskonaloną techniką handlu, postępami lokomocyi, ustrojem giełd i bankowością, zawładnął całą produkcyą.

A teraz zdajmy sobie jeszcze sprawę z tego, jak przewroty te oddziaływały na dobrobyt ludzi i na równowagę podziału korzyści gospodarczych. Jeśli chodzi tylko o sumę wytwarzanych bogactw oraz o sumę zaspakajanych potrzeb i pożądań, bez względu na współmierność podziału bogactw i środków spożycia, to samo się przez się rozumie, że wiek XIX wzniósł ludzkość na wyżyny przedtem nieznane. „Przemysł rodzi siły po siłach, wymyśla coraz nowe machiny, wynajduje nowe środki komunikacyi — kapitaliści, rozporządzający wszystkimi tymi środkami, nieustannie produkują coraz dalej, zamiast spożywać wśród zasłużonego odpoczynku owoce swej pracy.... Systemat handlu wolnego nadał produkcyi ludów oświeconych wzlot niesłychany; postępująca bezpośrednio za biegiem interesów spekulacya przyłożyła się do zaopatrzenia Europy w drogi komunikacyjne, do ujednostajnienia handlu, do nadania obrotom cechy trwalszej i realniejszej, do zniżenia stopy procentowej, zapewnienia kredytu, ograniczenia lichwy i t. p.; żaden minister, żaden filantrop, ani filozof nie byłby w stanie wywrzeć podobnego wpływu, jak usuwanie granic, które stawiały średniowieczne stosunki feudalne". Tak określa erę kapitalistyczną Fryderyk Albert Lange w „Historyi materyalizmu", ale zarazem wypowiada i następującą trafną uwagę: „Gdyby cała olbrzymia siła naszych machin i tak nieskończenie udoskonalone przez podział pracy twory ręki ludzkiej na to były użyte, aby każdemu udzielić to, co konieczne do uczynienia życia znośnem — a duchowi dać czas i środki do wyższego rozwoju, to, kto wie, czy już dziś nie byłoby możliwe rozciągnięcie błogich owoców kultury do wszystkich stanów, bez uszczerbku dla zadania duchowego ludzkości; lecz, jak dotąd, nie jest to jeszcze kierunkiem epoki naszej.... Rozrastająca się działalność wcale nie zmierza wprost do podniesienia dobra ogólnego". Istotnie, problemat wzrostu wytwarzania bogactw został w w. XIX rozwiązany ale nie rozwiązano zagadnienia równomiernego zaspakajania ludzkich potrzeb gospodarczych. Cała sprawa społeczna, sprawa równowagi ekonomicznej stoi jeszcze otworem.

Dodajmy, że są jednak i pod tym względem pocieszające objawy postępów. Ostatecznie poprawa bytu klas pracujących porusza się naprzód, jak to wykazywał nawet socyalista *pur sang* Edward Bernstein. A co ważniejsza jeszcze, znakomitemi zdobyczami poszczycić się może sama idea obrony wydziedziczonych, urzeczywistniana praktycznie w potężnej akcyi współdzielczej robotników, mająca poparcie teoretyczne i we współczesnej nauce ekonomii spo-

łecznej i nawet po części uświęcona reformami prawodawczemi i t. zw. socyalizmem państwowym.

Wiek XIX zakończył się na polu działalności gospodarczej pod znakami dwu sprzecznych prądów społecznych: pod znakiem rosnącego, potężniejącego kapitalizmu, oraz pod znakiem ideowej i teoretycznej obrony pracy, przez kapitał ujarzmionej.

Oto kilka znamiennych rysów, cechujących zgasłe stulecie.

Teraz z kolei przejdźmy do krótkiej, lecz — o ile to w tym szkicu możliwe — systematycznej kroniki dziejów naszego handlu i przemysłu w tem stuleciu.

*
* *

Wiek XIX zastaje Polskę po trzech rozbiorach, pozbawioną już bytu politycznego. Jakkolwiek odtąd rozwój gospodarczy połączył się z życiem ekonomicznem Rosyi, Prus i Austryi, jednak, zwłaszcza na początku, utrzymała się pewna ciągłość z przeszłością. To też najprzód przyjrzeć się trzeba epoce zwrotnej, okresowi dróg rozstajnych wieków XVIII i XIX. U schyłku XVIII stulecia silniej właśnie zatętnił ruch przemysłowy i handlowy w Polsce. Korzon obliczył, że po pierwszym rozbiorze całkowity wywóz zbożowy z Polski i Litwy przez wszystkie porty i granice lądowe mógł się zawierać między 100 a 200 tysiącami łasztów, czyli 2,876,000 i 5,752,000 korcy na rok, wartości 40—80 mil. złp. Są to sumy wysokie, choć okazuje się, że w latach 1776—1780 wywóz nie dosięgał już 100,000 łasztów, a to wraz z nizkiemi cenami gnębiło szlachtę, jako głównych wytwórców zboża na wywóz. Za czasów saskich w Warszawie nie było jeszcze kupiectwa; możnaby tu znaleźć, jak twierdzi Korzon, zaledwie kilka firm zamożnych. Stan kupiecki, czyli grupa kupców wśród stanu miejskiego, wytwarza się już jednak za Stanisława Augusta. Na początku r. 1789 Warszawa liczyła 181 większych firm chrześcijańskich, które miały stosunki handlowe z zagranicą i którym komisya skarbu koronnego robiła tę dogodność, że ich paki z towarami puszczano bez rewizyi celnej do komory warszawskiej. A w regestrze tych kupców, ułożonym alfabetycznie i podpisanym przez magistrat Starej Warszawy, niema kramarzy, sklepikarzy ani przekupniów, i niema też Żydów, którzy mimo zakazów handlowali w Warszawie na Pociejowie, Kłopockiem i w Marywilu. Rozrost konfraternii kupieckiej doszedł do *maximum* w epoce sejmu czteroletniego. Równocześnie rozwijało się

bankierstwo: konstytucye nobilitacyjne z dn. 9 listopada 1790 r. wymieniają, jako pierwszych bankierów, Piotra z Fergussonów Teppera, zięciów jego: Karola Szulca i Augusta Wilhelma Arndta, Fryderyka Kabryta i zięcia jego, Jana Meysnera, oraz Piotra Blanka. Nadto udzielono nobilitacyę t. zw. „drugim bankierom" którymi są: Jan Klug, Fryderyk Segebarth, Franciszek Marcin Frybes, Piotr Gotard Frybes, Karol Frybes, Andrzej Kapostas, Fr. Morino, Jan Fenger i Wincenty Łaskiewicz. Motywem nobilitacyi jest, że „otwarciem swoich banków handel znaczny ułatwiają, a stąd dla kraju stają się pożytecznymi". Wprawdzie już w r. 1793 następuje bankructwo sześciu banków: Teppera, Szulca, Prota Potockiego, Kabryta, Łyczkowskiego i Heyzlera, a z ostatecznego wyniku likwidacyi, zakończonej dopiero przez wspólną komisyę trzech dworów w latach 1801—1803, dowiadujemy się, że pasywa czterech bankierów wynosiły potężną sumę 159,620,405 złp., ale był to wynik zaburzeń wojennych przed drugim rozbiorem.

W każdym razie jednak okazuje się z badań i wyliczeń Korzona, że Polska epoki rozbiorowej osiągnęła zysk w handlu zagranicznym, który w latach pomyślnych zbliżał się do cyfry 30 mil. złp. Ruch przemysłowy, podupadły poprzednio wśród dwusetletniego pognębienia politycznego miast, za Stanisława Augusta rozwija się i rozszerza. Sam król okazywał troskliwość o fabryki krajowe. Jednem z pierwotnych dzieł panowania była „Kompania manufaktur wełnianych", zawiązana dnia 11 kwietnia 1766 roku z kapitałem 777,600 złp., podzielonych na 120 akcyi. Kompania upadła w 1770 r. Ale niezrażony tem król przy współudziale Tyzenhauza popiera dalej rozwój fabryk, a nawet ruina i usunięcie Tyzenhauza względnych postępów na tem polu zupełnie nie tłumi. Ze spisu fabryk, który Korzon przytacza, wynika, że fabryk wyrobów tkackich było 48, lnianych i konopnych 9, jedwabnych 10, gorzelni, dystylarni, browarów, warzelni miodu znaczna ilość (bo suma czopowego wynosiła przeszło 2 mil. złp.), wyrobów tabacznych 4, wyrobu papieru i obić 18, garbarni 13, przetworów chemicznych 9, przemysłu kopalnianego, kruszcowego i ziemnego poczet bardzo poważny.

Nie ciągniemy dalej tego szeregu, bo na ścisłe dane statystyczne nie mamy miejsca. Chodziło nam o wskazanie związku, jaki istnieć musiał między okresem stanisławowskim a porozbiorowym, czyli właściwie początkiem stulecia. Dodajmy jeszcze tylko, że charakterystyczną jest rzeczą, iż ceny zboża u schyłku XVIII w. ujawniają nadzwyczajne różnice. Tak np. w 1787 r. ceny wynosiły w Warszawie za korzec żyta 12 złp. 15 gr., w Tulczynie 6 złp.,

w Białymstoku 11 złp. 15 gr.; korzec pszenicy w Poznaniu 18 złp., w Tulczynie 8, w Mohylewie 9. Objaśnienie tego faktu podaje ówczesny „Dziennik handlowy", który zwraca uwagę, że byłoby niezmiernie korzystnie handel z Tulczynem prowadzić, „aby tylko transport lądowy i wodny był ułatwiony, który z tamtego miejsca do Warszawy i w inne strony Polski i Litwy, jeszcze... niewiadomy i trudny". Słowem, grała tu rolę kwestya dogodnych środków lokomocyi, tak fatalnie się przedstawiająca, iż sposób przewozu z Tulczyna (na Ukrainie, pow. Bracławski) do Warszawy był, jak sądzić można z tej uwagi, niewiadomy.

Brak dobrych portów stawał handlowi polskiemu zawsze na zawadzie. Z pamiętników Ogińskiego widać, że minister angielski Pitt w 1790 r., rozmawiając z agentem polskim, wyraził się lekceważąco o naszych portach. „Macie natomiast—mówił — wewnątrz kraju kilka miast, w których przedsiębiorcy angielscy i holenderscy mieli bardzo znaczne składy, a gdzie gromadziły się towary waszego kraju, które od was kupowano na miejscu, oszczędzając wam trudności przewozu ich aż do portów morza Baltyckiego." Przedewszystkiem zachodzi pytanie, czy po rozbiorze, u świtu nowego stulecia wszystkie te przedsięwzięcia przemysłowe upadły. Nie mamy jeszcze Korzona tej epoki, nie możemy więc dokładnie obliczyć handlu i przemysłu po przejściu kraju pod trzy obce berła. W ogóle ślady dziejów gospodarczości tego okresu są najwięcej zatarte. To wszakże stwierdzono, że pomimo ruiny materyalnej ciągłość historyczna życia ekonomicznego istniała przez pewien czas. Po upadku rzeczypospolitej w 1795/96 Prusy zajęły prowincye, które obejmowały departamenty: poznański, kaliski, warszawski, płocki i białostocki z 364 miastami, 2,154,806 duszami, a w tem z 1,693,924 ludności miejskiej. Zaczął się teraz upadek przemysłu i własności ziemskiej, bo jedynem prawie „dobrodziejstwem ekonomicznem", którego Prusacy udzielili tym ziemiom, było zaprowadzenie hypotek [1]), a przy końcu panowania swego, przewidując następstwo zbytniej łatwości wydawania pożyczek i obawiając się, aby wierzyciele pruscy nie ponieśli uszczerbku, rząd polecił bankowi berlińskiemu i innym instytucyom pożyczkowym pruskim, aby naraz wypowiedziały wszystkie kapitały. Napróżno obywatele polscy, przewidując, że

---

[1]) Hypoteka, jako pojęcie prawne, wprawdzie istniała w dawnej Polsce, ale ścisłe urządzenie hypoteki w obecnem jej znaczeniu przypada dopiero na czasy pruskie. *(Przyp. autora).*

dobra ich za bezcen sprzedane zostaną, prosili rząd o założenie towarzystwa kredytowego. Ruinę majątków powstrzymała tylko wojna francuska, która zawiesiła kroki egzekucyjne. Natomiast upadek miast był faktem dokonanym. Jeszcze jedną tylko dodatnią stronę miała gospodarka pruska z punktu widzenia ekonomicznego, tę mianowicie, że odrazu zajęto się ulepszeniem komunikacyi; urządzono poczty [1]), regularnie kursujące do Torunia i Królewca, i zamierzano także uregulować komunikacyę wodną. „Gospodarka pruska, wcale porządna i racyonalna, chociaż w widokach egoistycznych prowadzona — mówi autor bardzo interesującego artykułu: „Drogi i rolnictwo", ogłoszonego w 1881 r. w ówczesnej „Gazecie kolejowej"—na szczęście tym razem krótkotrwała, nie zrobiła więc wiele złego, ale też niedaleko posunęła reformę komunikacyi".

Po burzach dziejowych znikła z powierzchni znaczna ilość fabryk, zwłaszcza tkackich (bawełnianych, wełnianych i t. p.), ale stwierdzić można, że część przedsiębiorstw, zapoczętych w okresie stanisławowskim, trzymała się jeszcze siłą nabytą, a nawet po dziś dzień są pewne ślady tej ciągłości przemysłu. Z pomiędzy innych wskażemy, jako zawiązki istniejących dotychczas przedsiębiorstw, papiernię w Jeziornie (założoną w 1778 r. przez Fryderyka Tysa, a należącą potem do hr. Unruha), kopalnie w Końskich, kuźnice Suchedniowskie, kopalnie Siewierskie, szyby soli w Busku, niektóre kopalnie węgla i t. p. Handel był wówczas w upadku. Nie znajdujemy nawet dowodów jakiejś stałej działalności konfraternii kupców, *de nomine* dalej istniejącej. Znajdujemy natomiast w księgach rachunkowych tej konfraternii za okres panowania pruskiego inny szczegół bardzo znamienny, mianowicie nagle ukazujący się w tych księgach język niemiecki, który znikł dopiero w r. 1806, i to w rachunku (w percepcie), zawierającym taką wymowną pozycyę:

„Ze składek na iluminacyę w dniu przybycia do Warszawy Najj. Cesarza Francyi, króla włoskiego, Napoleona Wielkiego, zebrano podług wyszczególnienia w protokule 1,070 tal."

Okres Księstwa Warszawskiego (r. 1807—1815) zaznaczył się pewnemi usiłowaniami ochrony interesów przemysłowych i handlowych kraju. W części usiłowania te widocznie dążyły do wyciągnięcia lepszych korzyści z istniejących jeszcze przemysłów, skoro w „zamiarze dopomożenia kuźniom i fabrykom żelaznym w Księstwie

---

[1]) Zarząd poczt istniał już za Stanisława Augusta, ale komunikacya nie była prawidłowa.

Warszawskiem", postanowiono uwolnić od cła wszystkie gatunki żelaza krajowego i wyroby krajowe, wychodzące za granicę, i skoro surowiec w gęsiach i rudę, do kraju wchodzące, od opłaty cła uwolniono, a natomiast te same produkty, za granicę wychodzące, obłożono cłem po 3 złote od centnara. Natomiast dekret, „nie dozwalający wnijścia" „towarom i przędzy, bawełnianym — rękodzielni pruskich" pod karą konfiskaty, miał raczej charakter polityczny (antypruski), niż ekonomiczny. Znowu jednak prawo z dnia 20 marca 1809 r. wyraźną nosi cechę dążności do zaszczepiania rzemiosł i przemysłu. „Chcąc, ażeby w Księstwie Warszawskiem rolnictwo, fabryki, rzemiosła i każdy gatunek przemysłu użytecznego mogły być do jaknajlepszego przyprowadzone stanu", dekret ten uwalnia rzemieślników i rolników, sprowadzanych z obcych krajów, przez 6 lat od wszelkich ciężarów, uwalnia ich od popisu wojskowego i oddaje ich pod szczególną opiekę ministra spraw wewnętrznych i prefektów departamentowych.

Zbyt krótko jednak trwało Księstwo Warszawskie, zanadto było ono szczupłe w granicach swoich i nadto wyniszczone wojnami i panowaniem pruskiem, aby w tym okresie handel i przemysł zakwitnąć mogły. To też dużo spustoszeń ekonomicznych dokonało się właśnie w tym okresie. O Księstwie Warszawskiem pisał Kołłątaj w r. 1808: „Część Polski, którą teraz zowią Księstwem Warszawskiem, jest niepospolitą zagadką w polityce... Kraj tak mały, tak ubogi, a razem najniewygodniej położony, wydawać się może, jako igrzysko potęgi i wielkiego zwycięzcy..." Skarbek, malujący cały ten okres barwy bardzo ponuremi („Dzieje Księstwa Warszawskiego"), wyjaśnia, że wraz z wstąpieniem Francuzów na ziemię polską zdarzył się wypadek nadzwyczajny, bo bogactwo narodowe kraju zmniejszyło się odrazu tak bardzo, iż pociągnęło za sobą bankructwo nie już skarbu publicznego, nie pewnej liczby kapitalistów, rozporządzalne (rozrządzalne, jak on mówi) kapitały posiadających, ale całego narodu, a mianowicie właścicieli ziemskich. To nagłe bankructwo kraju rolnego łatwo wytłómaczyć, gdy się zważy, że cała zamożność kraju polegała teraz na produkcyi i wywozie surowych płodów. Wojska oblegały Gdańsk, a tam, którędy wszystkie płody ziemi tej do zewnętrznej wymiany wychodziły, stanęła teraz nieprzełamana tama wszelkiego handlu, bo systemat kontynentalny zapowiadał zupełny upadek i wtenczas nawet, gdy tama ta zdobytą zostanie.

„Cały zapas ziemiopłodów w 1800 r., do wywozu zagranicznego przygotowany, został w kraju zużyty, ale darmo, bez żadnego

zwrotu i dochodu dla właściciela swego. Zapasy, w ciągu lata i dawniej do Gdańska spławiane, albo jeszcze producentom nie spłacone, albo też przez kupców krajowych nie spieniężone, stały się zasiłkiem dla oblężonego miasta, a ich wartość straconą była dla właścicieli. Uzbierane zasoby pieniężne i kapitały, pozaciągane na hypoteki, użyte zostały bez żadnej równowartości na ofiary, na podatki i składki lub na zastąpienie dochodów rocznych, w tym właśnie roku przepadłych. Razem tedy uległa zniszczeniu nie tylko wartość całorocznych dochodów kraju, ale nawet znaczna nader masa kapitałów".

Wśród powszechnego niedostatku, gdy tyle naraz okoliczności złożyło się na to, aby wyschły źródła dochodów, „w owym czasie znajdujemy już jednak ślady jakiegoś systematu kredytowego i wzmiankę o listach zastawnych, lecz to był tylko jeden z wielu bezskutecznych środków zrealizowania sum Bajońskich, których tyle razy bez osiągnienia pożądanego celu próbowano" [1]). Ujemnym czynnikiem było nadto, że „zniżono najpierw kurs bilonu pruskiego, a następnie zupełnie wycofano z obiegu, co musiało mieć skutek, podobny do nowego podatku, najnierówniejszym sposobem na mieszkańców nałożonego. Była to bowiem prosta strata prawie połowy całej wartości bilonu, w kraju kursującego, poniesiona najniesłuszniej przez tych, którzy właśnie tę monetę w rękach mieli, gdy jej redukcyę ogłoszono".

Z drugiej strony usiłował rząd zaradzić, jak wówczas mówiono, brakowi pieniędzy przez wypuszczenie w obieg monety papierowej. Wypuszczono więc w lipcu 1811 r. w obieg pewną ilość biletów kasowych, dekretem królewskim dn. 1 grudnia 1810 r. zapowiedzianych, a zabezpieczonych na dochodach celnych.

W tym czasie zupełnego niemal bankructwa skarbowego trzeba było uzbrajać kraj do wojny, którą Napoleon przygotowywał. „Dwanaście milionów franków negocyować mieli w Paryżu dla króla saskiego, jako księcia warszawskiego, bankierowie Perregaux

---

[1]) Mówiąc o t. zw. sumach bajońskich, wyjaśnić trzeba ich pochodzenie. Mocą prawa wojennego Napoleon stał się właścicielem wszystkich sum, które rząd pruski wypożyczył obywatelom, a wynoszących z procentami 48 mil. franków. Mocą układu, zawartego w 1808 r. w Bajonnie, cesarz odstępował je skarbowi Księstwa Warszawskiego za 28 mil. franków, których spłaty dokonywać miano w ciągu lat 3-ch. W tych warunkach sumy bajońskie były darem fikcyjnym, a raczej nawet ciężarem, za gotówkę bowiem wzamian skarb Księstwa otrzymywał miliony, których niepodobna było wyegzekwować od wierzycieli.

Lafitte i współka, począwszy od 1 czerwca do ostatniego grudnia 1811 r., wypuszczając w obieg 1,200 obligów po 1,000 fr., zabezpieczonych na żupach solnych Wieliczki, z których dochód, w połowie dla Księstwa Warszawskiego należący, na opłacenie procentów od tej pożyczki, na 6% ustanowionych, przeznaczony został. Wypłacenie tej pożyczki, rozłożone na lat 14, miało następować zapomocą wylosowania, poczynając od r. 1813. Wysokość procentu i krótki termin wypłaty powiększyły uciążliwość tej krzywdzącej, (jak mówi Skarbek) dla kraju pożyczki, która była poprostu antycypacyą 12 mil. fr., dla kraju straconych i z których obiegu i z lokacyi zagraniczni kapitaliści zyski odnieść mogli" [1]).

Smutny więc był naogół stan materyalny Księstwa i jego skarbu publicznego, ale mimo wszystko, wbrew pesymizmowi Skarbka, pamiętać trzeba, że ludność, skazana już przez Prusaków na zupełną zagładę, odzyskała prawa utracone, dostęp do urzędów i życia publicznego, znalazła się więc w warunkach, dających możność rozwijania potrzeb społecznych, a nawet ekonomicznych. Tylko krótkotrwałość Księstwa, szczupłość granic i burze tej epoki stały na przeszkodzie postępom gospodarczym.

Warto przytoczyć tu jeszcze ceny przeciętne zboża w czasie Księstwa Warszawskiego: pszenicy (korzec) r. 1805, 1806 — 5,51, 5.16; r. 1811 — 2.81; r. 1813 — 2.70; r. 1815 — 4.97; żyto w 1805 r. — 3.48, r. 1806 — 4.25, r. 1811 — 1.62, r. 1813—1.52, r. 1815—3.60. (Podług L. Wolskiego w „Kalendarzu Astronomicznym").

Stosunkowo więcej zaczątków rozwoju ekonomicznego miało Królestwo Kongresowe (r. 1815—1831 r.)

Na kongresie wiedeńskim Rosya utrzymała się przy wszystkich trzech działach i obwodzie białostockim, ale zarazem przypadły jej te części Księstwa Warszawskiego, których nie przyłączono do Prus. Z dwu departamentów Księstwa Warszawskiego: poznańskiego i bydgoskiego utworzono Wielkie Księstwo Poznańskie i oddano królowi pruskiemu. Austryi przyznano Galicyę i Lodomeryę; a Kraków z okręgiem uznano za wolne miasto. Z naciskiem zaznaczyć warto fakt zapomniany, że odrazu na tymże kongresie wiedeńskim ustanowiono także wolny handel, przejazd i przewóz pomiędzy poszczególnemi ziemiami całej dawnej Polski, aby stan ekonomiczny całości mógł się swobodnie rozwijać, lecz postanowienie to nigdy w życie nie weszło.

---

[1]) Zdania, ujęte w cudzysłów, są przytoczone za Skarbkiem: „Dzieje Księstwa Warszawskiego".

W dalszym ciągu rozważymy tylko ślady ruchu ekonomicznego w Królestwie Kongresowem.

W 1816 i 1817 r. wchodzi tu w życie szereg reform, mających na celu uporządkowanie i podniesienie stosunków ekonomicznych. A więc wprowadzone zostają postanowienia namiestnika o zgromadzeniach rzemieślniczych, o zgromadzeniach kupców, o izbach handlowych, tudzież o giełdzie.

Zgromadzenia kupieckie nanowo zorganizowały kupiectwo Królestwa, które zresztą od najdawniejszych czasów miało swój ustrój cechowy, zwący się gildyą, bractwem albo konfraternią kupiecką. Bractwo kupców Starej Warszawy było tak dawne, jak samo miasto. Pierwsze pesiedzenie wyborcze w 1817 r. z mocy postanowienia księcia namiestnika odbyło się w dn. 3 października. Na posiedzeniu tem wybrano na seniora Jana Anthonina, a na wiceseniora Wojciecha Sommera. Warto zaznaczyć, że w „ekscepcie z reskryptu Komisyi Rządowej spraw wewnętrznych i policyi" z dn. 31 marca 1817 r. czytamy następujące przepisy co do Żydów: „Żydzi w wszelkim względzie przepisowi postanowienia tego podlegać powinni... Tymi środkami dążyć należy do cywilizacyi i osłabienia ducha ich wyłączności". Zalecono zatem rzecz ważną, aby Żydzi-kupcy należeli do zgromadzeń, choć w instrukcyi pewne poczyniono zastrzeżenia, a mianowicie, że nie mogą w zgromadzeniach kupców zasiadać, obierać starszych, ani na ten urząd być obierani. Listę kupców-Żydów prowadzono oddzielnie, a wyłączność tę zniesiono dopiero w 1861 r., usunąwszy wtedy wyznaniowy podział list kontrol w urzędzie kupieckim. W archiwum tutejszego zgromadzenia kupców znajdują się materyały, świadczące o wielkiej żywotności, jaką zgromadzenie kupców za czasów Królestwa Kongresowego rozwijało. W. Książę Namiestnik wydaje przez urząd kupiecki różne polecenia do kupców, wzywając ich do dostaw, jak między innemi już dn. 5 grudnia 1817 r. do kupców sukienników w liczbie 10, aby, „dogadzając żądaniu Jego Cesarzewiczowskiej Mości W. X. Wodza Naczelnego, starali się sprowadzić do swych handli sukna żółtego" (podług próbki na mundury). W rozwoju handlu przypadły zgromadzeniu temu zadania ważne.

Równocześnie powołaną zostaje do życia giełda. Ustawa giełdy warszawskiej nosi datę dn. 12 kwietnia 1817 r. Zauważyć jednak trzeba, że nie była to pierwsza giełda polska. Przedewszystkiem słynęła już z ruchu handlowego giełda gdańska, a w związku zaś z bractwem kupieckiem istniała w Warszawie giełda, mająca obroty handlowe na celu, przynajmniej od końca XVIII w., bo takie urzą-

dzenie wyraźnie już figuruje na listach powstających instytucyi w 1795 i 1796 r. Sam wyraz polski dla określenia tej organizacyi, wysnuty nie z powszechnego w innych językach źródłosłowu (bursa— po łacinie = bourse — po franc. = Börse = po niem. = Borsa — po włosku = Beurs — po holend.), lecz z gildy, którą to nazwą mianowano w wiekach średnich cech handlowy (bractwo, konfraternię), sam ten wyraz świadczy, że u nas oba te urządzenia (gilda, jako stowarzyszenie kupców, i giełda, jako targ handlowy) były niegdyś łączne. Pierwszymi starszymi giełdy w r. 1817 zostali: Samuel Antoni Fraenkel, Henryk Stockert, Adryan Stamm i Wojciech Sommer. Równocześnie członkami powołanej do życia izby handlowej byli: Walenty Schloesinger, Adryan Stamm i Józef Paschalis Jakubowicz — do wydziału handlu zaś: Jan Fryderyk Marx, Ignacy Bobe, Jan Kurtz i Jan Billing do wydziału rękodzieł.

Pierwsza ceduła (giełdowa ceduła kursu), która przechowała się w archiwach giełdy warszawskiej, nosi datę dn. 11 lutego 1819 r. Są tu notowane weksle: na Amsterdam, Augsburg, Berlin, Gdańsk, Hamburg, Lipsk, London (sic), Paryż, Wiedeń, Wrocław oraz monety (dukaty holenderskie, austryackie, fryderyksdory, asygnaty rosyjskie, bankocetle wiedeńskie i ruble srebrne). Zarazem giełda ogłasza osobno ceny hurtowe towarów i produktów (w cennikach noszących nazwę: „giełdowa ceduła hurtowa na miarę i wagę warszawską w monecie polskiej"). Taka pierwsza ceduła pochodzi z dn. 17 lutego 1819 r. i notuje między innemi pszenicę po 34—35 złp. korzec, żyto po 18—19, jęczmień po 12—13, owies po 9—10 złp. za korzec. Stopniowo forma ceduły pieniężnej zmienia się, a towarowa zanika. W r. 1830 są notowane: weksle, monety oraz papiery publiczne, a do ostatnich wciągnięto „Einlösungs-schein'y", „Listy Zastawne" (z kursem 98.10), Obligacye udziałowe, Asekuracye skarbowe, Obligacye Praskie, Dowody komisyi centralnej, Likwidacye na żołd, Zapisy drogowe, Obligacye rosyjskie.

To są wszelako tylko formy, w które stosunki handlowe nazewnątrz ujęto. Ważniejsze jest scharakteryzowanie treści życia ekonomicznego.

Treść ta żywo tętni od chwili, gdy ministrem przychodów i skarbu został książe Franciszek-Ksawery Drucki-Lubecki. Był to statysta, o którym najsprzeczniejsze w historyi krążyły sądy, którego jedni (jak przypomina Szymon Askenazy) ogłosili za zdrajcę, a inni za męża opatrznościowego, i który jeszcze w pracy Wł. Smoleńskiego p. m. „Dzieje narodu Polskiego" tak dosadnie scharakteryzowany został: „Z powodu łupiestw i nadużyć fiskalnych obudził

ku sobie nienawiść kraju, lecz postawił na swojem: skarb Królestwa uporządkował."

W r. 1820 zebrał się sejm, na który zjechał Cesarz Aleksander I-szy. Cesarz opuścił Warszawę, niezadowolony między innemi z tego, że skarb wykazywał corocznie kilkanaście milionów niedoboru. Monarcha polecił Radzie Administracyjnej zastanowić się: „czy Królestwo Polskie przy obecnej organizacyi utrzymać się może o własnych środkach, czy też powinno przybrać kształt inny, odpowiadający swoim środkom?"

Po negocyacyach, które Lubecki od r. 1818 prowadził, aby obalić i unicestwić nieuczciwość nieskończonych pożądań pruskich pod adresem skarbu Królestwa, w lecie r. 1821 Lubecki został ministrem przychodów i skarbu. Działalność jego, pełna energii, często bezwzględności, lecz i talentu, dała najwymowniejszą odpowiedź na pytanie Monarchy, które zakwestyonowało byt samodzielny Królestwa.

Nie może być naszem zadaniem poszukiwanie pierwiastków historycznych do dokładnego wizerunku ks. Lubeckiego. Po szczegóły odsyłamy czytelników do studyum prof. Askenazego („Z działalności ministra Lubeckiego"), w którem bardzo wyraziście narysowany jest profil indywidualności ministra, oraz do pracy p. Radziszewskiego („Zarys rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem" w zbiorze „W naszych sprawach"), gdzie w roździale: „Lubecki" skrzętnie nagromadzone są materyały, odnoszące się do konkretnej tego statysty działalności. Nam chodzi tu tylko o same fakty z życia ekonomicznego Królestwa Kongresowego, które w epoce zarządu Lubeckiego przychodami i skarbem — w 10-letnim okresie jego gospodarki — miały bezpośredni i pośredni z jego osobistą inicyatywą związek. Możebyśmy nawet nie zgodzili się na to, aby, jak dowodzą niektórzy, wszystkie ówczesne prace przypisywać jego zasługom, gdyż są dość stanowcze dowody, że sam dbał przedewszystkiem o skarb publiczny i starał się pilnie o pomnożenie dochodów, a pod tym względem chwytał się środków niesprawiedliwych i gwałtownych. Jak wyjaśnia Smoleński, rozsyłał po województwach komisye dla poszukiwania i egzekwowania na drodze administracyjnej wszelkich zaległości skarbowych od czasów Stanisława Augusta. Komisye te, zagrzane obietnicą udziału w łupach, zabrały się do roboty z niesłychaną zaciekłością. Wbrew przywilejom miast minister zaprowadził monopol rządowy na wódkę, który oddał w dzierżawę spekulantom; samodzielnie nakładał podatki lub zmieniał sposób ich poboru. Ale celu dopiął: kasy skarbu uposażył w 30 mil.,

a w budżecie, który wykazywał przedtem niedobór, miał przewyżki 50 mil. złp. Aczkolwiek działał przeważnie z pobudek fiskalnych, popierał jednak także usiłowania, które zmierzały do podniesienia stanu ekonomicznego kraju, a więc popierał myśl stworzenia Towarzystwa kredytowego ziemskiego, Banku Polskiego, budowę dróg, nawet niektórych fabryk. Lecz już cała w szczególności działalność Banku Polskiego może nie jego zapoczęciu powinna być przypisaną. W działalności tej było dużo czynów takich, które z teoryami wyłącznie skarbowemi, a poczęści politycznemi Lubeckiego znalazły się w rozdźwięku, bo czyny te miały źródło nie w interesie skarbu, ale już wyłącznie w pobudkach obywatelskich.

Ale przejdźmy do faktów. Już przed Lubeckim, w r. 1818, na pierwszym zaraz sejmie uchylono tytuł XVIII kodeksu Napoleona i uchwalono nowe prawo o ustaleniu własności dóbr nieruchomych, o przywilejach i hypotekach. W ten sposób stworzono podstawy do ustalenia kredytu ziemskiego, czem zajął się książę Lubecki i późniejszy pierwszy prezes dyrekcyi towarzystwa, Kajetan Dominik Kalinowski. Towarzystwo założono w r. 1825 w celu spłacenia ciążących na własności prywatnej długów, oraz w celu przyjścia z pomocą finansom Królestwa przez udzielanie pożyczek na dobra narodowe. Ten ostatni wzgląd być może był dla Lubeckiego rozstrzygającym. Ks. Lubecki, przedstawiając do obrad sejmowych projekt do prawa o Towarzystwie Ziemskiem, skreślił w tych słowach położenie ówczesne rolnictwa: „Rząd Królestwa przebiegł przeszłość stosunków tego kraju, rozważył stan jego obecny, a podnosząc przyszłości zasłonę, przekonał się, iż przy nizkiej dóbr ziemskich cenie, zrządzonej brakiem handlu i bezcennością produktów, niewątpliwemi były zamieszania, jakie za sobą wykonanie praw zwyczajnych pociągnie; poznał, iż ta bezcenność, wszystkim zarówno dotkliwa, doszła do tego stopnia, że ziemia nawet za połowę wartości nie może znaleźć nabywcy, a dojdzie daleko gorszej kolei za wystawieniem na sprzedaż publiczną ogromnej dóbr liczby; dostrzegł z wykazów hypotecznych, że niejeden dłużnik straci majątek, chociażby przez pół obciążony, a niejeden wierzyciel część, a nieraz może i cały kapitał. Wszedł wreszcie Rząd w te wszystkie do zakłóceń powody, których przy tego rodzaju czynnościach tak skwapliwie lichwa i pieniactwo się chwyta, a zważywszy to wszystko, powziął przekonanie, że nieprzerwane pasmo wywłaszczeń domierzy zguby rolnictwu i bez zaspokojenia wierzycieli wzruszy pierwsze podstawy pomyślności krajowej.”

Podług cyfr, w r. 1824 zebranych, do czego przy urządzaniu

hypoteki zręczna nastręczała się sposobność, okazało się, że szacunek hypoteczny dóbr wynosił 122,700,000 rub., wysokość długów prywatnych 75,600,000 rub., czyli 62%, wartość więc od długów wolna — 38%. Tu dla porównania dodać warto, że podług obliczeń p. Blocha („Ziemia i jej odłużenie") na początku ostatniego 10-lecia ubiegłego wieku suma długów hypotecznych wynosiła w 1,423 badanych przezeń dobrach 150,210,000 rub., co stanowiło naogół $^4/_5$, a czasem $^7/_{10}$ przypuszczalnej wartości dóbr. Położenie więc, jak widzimy, niewiele się poprawiło.—Ceny zboża przedstawiały się jak następuje: korzec pszenicy złp. 9—16, żyta złp. 3 gr. 5—9, jęczmienia złp. 3—9, owsa złp. $2^1/_2$—$5^1/_2$, stosownie do okolicy i pory roku. Rozpoczęte w drugiem półroczu 1826 r. przyznawanie pożyczek w listach zastawnych 4%, ukończone dopiero w r. 1836, doprowadziło ilość pożyczek zahypotekowanych na 3,876 dobrach prywatnych do 28,572,795 rub., a na 268 narodowych do 9,942,075 rub., razem do 38,514,870; a więc mniej więcej do połowy wskazanego powyżej obdłużenia. W tym okresie I-ym najwyższy kurs listów wynosił 99.60, a najniższy (w drugiej połowie r. 1831 po zawierusze wojennej) 73.83, kiedy w ciągu pierwszego półrocza płacono $74^1/_2$.

Drugim ważnym czynem ministra Lubeckiego było założenie Banku Polskiego. Dekret królewski z dn. 29 stycznia 1828 r. powołał do działalności Bank ten, który miał za zadanie: zaspokojenie długu narodowego oraz dostarczanie kredytu na potrzeby przemysłu i handlu. A więc tu tak samo, jak przy założeniu Towarzystwa Kredyt. Ziemskiego (mającego na celu dobra narodowe), współrzędnie przynajmniej z interesami ekonomicznymi chodziło ministrowi o interesy skarbu. Pierwszem zadaniem było zaspokojenie długu publicznego, który wskutek wojen wzrósł do wygórowanych rozmiarów. Bank umarzał dawne długi i do pomocy stawał finansom Królestwa przy zaciąganiu pożyczek. W 1829 r., a zatem w drugim roku istnienia, Bank wypuścił pożyczkę premiową w sumie złp. 42 mil. w obligacyach udziałowych. Pierwsze jej losowanie odbyło się dn. 15 czerwca 1830 r., a ostatnie dn. 15 marca 1854 r. Pożyczkę wypuszczono „dla pomnożenia zbawiennego działania rządu i na rozszerzenie przemysłu narodowego." Dochody z soli oznaczono jako hypotekę na przyjęte zobowiązania. Pożyczkę tę zawarto z domem bankierskim w Warszawie S. A. Fraenkel. Kapitał zakładowy instytucyi bankowej czynił pierwiastkowo 30 mil. złp., następnie podniesiony został do 42 mil., a w r. 1841 unormowany był na 8 mil. rub. i do kresu już swego przy tej wysokości pozostał. Prawo emisyi biletów bankowych zasilało fundusze zakła-

dowe i obrotowe banku. Emisya ta opierała się na tych samych zasadach, co w akcie Peel'a w Banku angielskim; wysokość sumy biletów bankowych musiała być ustosunkowana do kapitału zakładowego, a przewyżka ponad tę ilość powinna była posiadać w kasach Banku ıównoważnik kruszcowy. Wymiana biletów na metal ani razu nie uległa zwichnięciu, tylko w ciągu krótkiego czasu w roku 1831 wśród burzy wojennej ażyo wynosiło 14%.

Ruch handlowo-przemysłowy w czasie powstania i działalności Banku słabo był jeszcze rozwinięty. Dlatego z początku skup weksli do niewielkich dochodził rozmiarów, około r. 1830 aż do r. 1840 chwiał się między 3—4—5 mil. rub., a dopiero w ostatnim okresie około r. 1880 skup roczny czynił 60 mil. rub.

Zaznaczyć się godzi, że dopiero na krótko przed Lubeckim, bo w 1818 r. ukazują się w kraju trakty bite w okolicach Warszawy. W 1820 r., było na całym obszarze Królestwa 30 i pół mil. dróg bitych, a koszty tej budowy wynosiły 22$^1/_2$ złp. Komisye sejmowe zaznaczyły jednak, że powinno być wogóle 176 mil. dróg. W r. 1824 ogół dróg dzięki Lubeckiemu wynosił 66 mil. (kiedy obecnie ogólna ilość dróg pierwszorzędnych wynosi 2,160 w., czyli około 300 mil).

Operacye Banku miały odrazu charakter bardzo zróżniczkowany, obejmowały bowiem cały długi szereg obrotów różnostronnych. Wchodziły w ten system zastawy papierów publicznych, lombard na kosztowności (zaniechany w r. 1870), pożyczki na zastaw zboża, płodów rolnych i prawie wszelkich towarów, pożyczki na kupno machin rolniczych z rozkładem spłat na raty, kredyty hypoteczne z terminem 12-letnim amortyzacyjnym na nieruchomości fabryczne, kredyty sola wekslowe, zabezpieczone na machinach fabryk, nareszcie pożyczki hypoteczne na dobra ziemskie w zakresie $^2/_3$ szacunku dóbr. (W r. 1870 pożyczki, na hypotekach oparte, oraz przemysłowe zostały zniesione): Atoli obok tej tak rozgałęzionej czynności kredytowej Bank rozwijał jeszcze działalność przedsiębiorczą, lub napoły przedsiębiorczą, a napoły protekcyjną w dziedzinie przedsięwzięć publicznych i ruchu przemysłowego.

Aby choć pokrótce scharakteryzować tę stronę działalności Banku Polskiego, cofnąć się trochę należy ku okresowi przedbankowemu, w którym atoli już Lubecki dzierżył ster skarbu. W r. 1822 do budżetu wpisano fundusz na zapomogi pożyczkowe dla fabryk; nominalnie czynił on 300,000 złp., a dalej wzrósł znacznie, lecz również tylko pozornie, istotnie bowiem wydatkowano w pierwszym roku nikłą sumę 60,000 złp., a w roku następnym 120,000 złp. Pod wpływem tej protekcyi skarbowej, jak okazuje się jednak, z wyso-

kości sum tych, nawet tak bardzo słabej, rozwinął się już ruch pewien. Przemysłowcy cudzoziemscy napływali do Królestwa, zachęcani zresztą również innymi przywilejami, w myśl prawa, utrzymującego nadal protekcyę Księstwa Warszawskiego. Pewne wolności nadano także miastom, posiadającym warunki przemysłowe, a w tych miastach wydzielano ziemię na zakłady przemysłowe za opłatą nieznacznego czynszu. Wszystko to sprawiło, że w sprawozdaniu z objazdów, złożonem Lubeckiemu przez komisarza Dunina, można było wskazać rozwój w szczególności drobnego przemysłu tkackiego w różnych miastach Królestwa, które też na dłużej zatrzymały ten swój rękodzielniczy charakter (jako to: Zgierz, Łódź, Ozorków, Kamienica Polska, Kalisz, Konstantynów i t. p.). Pierwszem większem przedsiębiorstwem tkackiem, którem sam Lubecki się interesował, była fabryka p. f. „Karol Scholtze i Sp.", założona przez Józefa Lubowidzkiego, Henryka hr. Łubieńskiego i Karola Scholtzego w Marymoncie. Ale gdy fabryka ta połączyła się ze słynnym wynalazcą Filipem Girardem, który tu zastosował swój własny znakomity wynalazek machiny do przędzenia lnu i gdy przeniesiono ją do Guzowa, a zarazem nadano miano Żyrardowa od nazwiska głównego organizatora, — opieka kredytowa, którą roztaczano nad nią, zależała już od samego Banku Polskiego. Istotny protektorat ze strony ministra był udziałem przedsięwzięć górniczych, w których statystyk nasz słusznie dopatrywał się zadatków bogactwa skarbowego. Co prawda, główna dyrekcya górnicza w Kielcach, opiekująca się metalurgią, powstała już w r. 1816, a więc na długo przed sternictwem ministra, a on tylko przeniósł dyrekcyę do Warszawy, wszelako, jak nam tłómaczy Hieronim Łabęcki („Górnictwo Polskie"), chciał minister skarbu raptownym skokiem, przez wlanie znacznej masy funduszów w górnictwo, nowe mu nadać życie.

Gorliwa działalność, jaką potem Bank Polski rozwinął, przychodząc przemysłowi w pomoc kredytem i współdziałaniem, często może na podstawach zbyt słabych rękojmi opartem, lecz w dążnościach obywatelskich czerpiącem źródło, należy przeważnie do okresu, na który Lubecki nie miał już wpływu, a wogóle do okresu po r. 1831. Lubecki przez niecałe tylke trzy lata działalności Banku był jego zwierzchnim przewodnikiem. Później kierunek tej instytucyi zależał głównie od prezesa i wiceprezesów Banku, wśród których przez lat kilka odznaczył się znakomitą ruchliwością wiceprezes Henryk hr. Łubieński.

Kończąc uwagi nasze o tym okresie, nawiasem dodamy, że pewne wskazówki statystyczno-przemysłowe z czasów Królestwa

Kongresowego znaleźć można w pracy p. n. „Obraz geograficzno-statystyczny Królestwa Polskiego" przez Franciszka Rodeckiego, doktora medycyny uniwersytetu krakowskiego. Są to tablice, noszące w tytule godło: „Cudze rzeczy wiedzieć ciekawość jest, a swoje potrzeba". Poprzedza je mapa polityczna Królestwa (litografowana przez Oleszczyńskiego). O handlu powiedziono w nich: wywóz zagraniczny składa się ze zboża, mianowicie: pszenicy, lnu, konopi, łoju, wełny, chmielu, wosku, miodu, cynku. Wzamian zaś przychodzi z zagranicy do Polski: wino, oliwa, kamienie, kamienie drogie, złoto, srebro, cyna, sukna, i t. p. O fabrykach i rękodziełach powiedziano: z upadkiem miast w dawnej Polsce upadły fabryki i rękodzieła, a chociaż od 1815 roku dźwigać się zaczęły, z zagranicznemi przecież zrównane być nie mogą; jednakże sukna, dywany, powozy, buty i trzewiki, szczególniej warszawskie, nie tylko w kraju, lecz i zagranicą dla swej doskonałości znaczny pokup mają. Oczywiście, że to skreślenie bardzo ogólnikowe i samo przez się nic nie tłómaczy. Lecz dalej mamy szczegółowy wykaz bydła, wysiewów, zbioru oraz wykaz stanu fabryk. (Dane te, jako zbyt szczegółowe, pomijamy). Warto jednak zapoznać się z bilansem handlowym z r. 1827 (t. j. z porównaniem wartości towarów wprowadzonych i wyprowadzonych). Okazuje się, że wogóle wprowadzono towarów za 40,674,455 złp., wyprowadzono zaś za 33,065,485 złp., czyli niedobór czynił 7,605,069 złp.

Ze wzmiankowanego już artykułu „Gazety kolejowej" w roku 1881 zaznaczamy bardzo charakterystyczne przecięciowe ceny korca zboża w latach 1816 — 1830. Wynosiły one: r. 1816 — pszenica 4½ rub., żyto 3 rub., rok 1817 pszenica 6.30, żyto 3.67, r. 1824 — pszenica 1.80, żyto 96 kop., r. 1830 — pszenica 3.07, żyto 1.35. Widzimy tu więc nadzwyczajne wahania.

Po wojnie 1830/1 nastał okres wewnętrznego upadku. Wojna przeistoczyła przedewszystkiem warunki przemysłowe Królestwa. Gdy poprzednio zaczątek rozwoju przemysłu miał między innemi też źródło w taryfie celnej z r. 1819, bardzo umiarkowanej na granicy między Cesarstwem a Królestwem Kongresowem, co sprzyjało utworzeniu się rynku zbytu dla nas w Cesarstwie, taryfa celna z roku 1831 podniosła cła od towarów polskich, wywożonych do Cesarstwa na 3—15% *ad valorem*, a w r. 1834 zniesiono istniejący poprzednio tranzyt sukna naszego do Azyi. Skutki tego tak się dotkliwie wyraziły, że gdy jeszcze w r. 1834 wywóz z Królestwa do Cesarstwa wynosił 2.9 mil. rub., w roku 1840 czynił tylko 857 tysięcy, a pod-

niósł się dopiero w r. 1847 na 1½ mil. rub. Jednocześnie zaczął się zmniejszać przywóz z Cesarstwa, a mianowicie z sumy 10.6 mil. w r. 1834 na 1.9 w 1840, zaś w 1847 wzmógł się cokolwiek. W każdym razie saldo bilansu wypadało na korzyść Cesarstwa.

Dodać należy, że w r. 1835 wypuszczona została wewnętrzna pożyczka (obligacye cząstkowe) w sumie bardzo znacznej, bo 150 mil. złp. na (40½ lat). Celem pożyczki było spłacenie znacznej części długów, na skarbie polskim ciążących, i poniesienie wydatków, w zwykły zakres budżetu nie wchodzących. Tę pożyczkę zaciągnięto przy pośrednictwie firm bankierskich: S. A. Fraenkel i Józef Epstein.

(*dok. n.*) *St. A. Kempner.*



ŻYCIE I MARZENIE,

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA *).

V.

Otworzywszy oczy, ujrzał Mirecki zmierzającą ku swemu łóżku na podłodze smugę słoneczną, i to go bardzo orzeźwiło. Zerwał się i otworzył okno naoścież dla gościa promienistego. Od ziemi i od nieba czuć było wiosnę. Z radością zauważywsy zielone zawiązki, którymi upstrzone były krzewy bzu, zapytał siebie: „czy zobaczę kwiaty?" Już ubrany zadzwonił, a szybkie zjawienie się Julka i elegancko podana kawa wyborna — wszystko to tak go ucieszyło, jakby było objawem czyjejś serdecznej pamięci. Potem zaczął się urządzać w nowej siedzibie, ale wciąż myśląc: „czy to warto?"

Pierwsze spotkanie się z uczniem było pomyślne, a zbliżył się on do niego jeszcze więcej na spacerze, na którym umyślnie zastąpił Francuza pod pozorem, że chciał poznać park pod wodzą takiego przewodnika. Julkowi dobrze już zbrzydły wyglądające na pańszczyznę przechadzki zawsze jedną i tą samą aleją w towarzystwie również znudzonego Francuza. Rola przewodnika ożywiła malca: zdawało mu się, że sam odkrywa nanowo wszystkie szpalery, mostki i altany, których wygląd w lecie opisywał szczegółowo.

---

*) Ob. „Ateneum", styczeń — luty, 1901 r.

Najdłużej oczywiście turyści zatrzymali się przy własnym Julka ogródku, do którego się dotykać nie pozwalał wcale ogrodnikowi. Była to duma chłopca, to też, kiedy Mirecki rano zapytał go w drodze wstępu do lekcyi o przepędzenie czasu, wzmianka o ogródku, aczkolwiek niedbale rzucona, znalazła się na pierwszym planie.

Uczeń prędko pochwycił szczerość zadziwienia nauczyciela — nienaturalisty wobec swojej wiedzy ogrodniczej, i wciąż pytany, z wysiłkiem zachowując powagę, wyliczał, co i jak na której grządce rość, kwitnąć i pachnąć miało, kiedy każdą z tych roślin trzeba sadzić czy siać i jak pielęgnować.

Żywopłot ogródka był z róż przeróżnych, i Julek zaczął wykładać, jak po samej korze można poznać gatunek, ale niejasno i sam się pomylił, nazywając jeden i ten sam krzew raz tak, drugi raz inaczej. Pochwyciwszy pewien odcień niepokoju, Mirecki zrozumiał, że profesor, licząc na nieznanie się słuchacza — blaguje. Zauważywszy w dodatku, że dumny z rzetelnej swej pracy koło ogródka Julek z rozpędu mówi, choć niewyraźnie, o żywopłocie, jakby go też sam zasadzał, Mirecki, niby nie pytając otwarcie, doprowadził go do wyraźnego przyznania się do tej zasługi, a wtedy spokojnie rzekł:

— Wierzę, żeś sam wszystko skopał i zasiał w ogródku, ale co do róż, to rachowałeś chyba na to, że nie zapytam ogrodnika lub też, że go uprzedzisz, nim się z nim poznam.

— E, bo pan myśli... — zaczął Julek, patrząc w ziemię, ale tonem takim impertynenckim, że Mirecki mu przerwał:

— Myślę, że zmartwiłbym się, gdybym się nie ucieszył, że nigdy z ciebie kłamca nie będzie, boś, mówiąc o tych różach, tak się rumienił, tak oczu moich unikał...

— Mnie wszystko jedno...

— Może nie rozumiesz, dlaczego się cieszę? Zaraz ci wytłómaczę. Kto oczy chowa i rumieni się — temu przykro...

W tem miejscu mignęła Mireckiemu myśl o dziewczynie wobec kochanka, i uczuł przykrość, że Julek, gdyby zapamiętał te jego słowa, mógłby z czasem odkryć w nich tę niedokładność; nie przerywając sobie jednak, mówił jednym ciągiem dalej:

— A jak komu przykro jest coś robić, znaczy, że mu się tego robić nie chce, tylko go coś zmusza albo kusi. Przytem, kto nie lubi popełniać rzeczy nieszlachetnych, lubi szlachetne, a takiemu dość byle czem dopomódz, żeby się stał rycerzem prawdziwym. Ale ty może nie wiesz, co to znaczy rycerz prawdziwy, czyli, jak daw-

niej mówiono: rycerz bez strachu i zarzutu? — zapytał Mirecki tym samym tonem, nie dając mu ochłonąć.

I bez czekania na odpowiedź, określiwszy mu jak najdostępniej w kilku słowach pojęcie historyczne i opowiedziawszy równie krótko o prawach i obowiązkach dawnego rycerza, przeszedł do cudnej „Legendy wieków" o „Małym królu Galicyi", o którego piętnastu latach nie wspomniał umyślnie, żeby słuchaczowi łatwiej było widzieć siebie w jego pozycyi — szczególnie w owej ucieczce szalonej na białym rumaku rycerza - obrońcy.

Kończąc opowiadanie, które widocznie roznamiętniało malca, Mirecki myślał zarazem, w jaki sposób skłonić go, żeby się przyznał wyraźnie do kłamstwa co do róż? Ale, zauważywszy, że po wymordowaniu przez Rolanda złych stryjów - infantów oraz ich świty Julek znów brwi zmarszczył i głowę spuścił ku ziemi, zaczął tak rozumować: „wstydzi się, więc wrażliwy pod względem etycznym; zły — więc ambitny; znać z wyrazu twarzy, że czuje moją wymówkę, jak w samej chwili słyszenia jej, więc natura głęboka; teraz oczywiście czuje, że ja też o tem myślę, że naprawdę przywiązuję do tego wielką wagę, a więc bystry".

„Ma dość" — zawyrokował i, unikając wszelkiego potrącenia o coś, mającego związek z ogrodem czy ogrodnikami, zaczął opowiadać o naszym „dobrym rycerzu".

Zaledwo usłyszawszy nazwisko, Julek rzucił żywo:

— Moja babka była Zawiszanka Czarna.

Brzmiała w tem taka wzgardliwa pycha, jakby to miało znaczyć: „już na tem ja lepiej się znać mogę". Mirecki myślał przedtem, że warto byłoby podnieść ów niedokończony frazes: „wszystko mi jedno", a teraz widział, że wypada znów powiedzieć parę słów na temat: pycha i duma, ale coś go wstrzymało, i rzekł tylko:

— Tembardziej więc powinieneś chcieć sam zostać rycerzem bez strachu i zarzutu.

Szli dalej w milczeniu, bo Mirecki zamyślił się tak głęboko, że nawet nieuważnie pożegnał swego towarzysza, który poszedł na lekcyę do Francuza.

„Dlaczego nie powiedziałem mu nic? Przecie to niezbędne. Czym taki znużony?" — dręczył sam siebie pytaniami Mirecki.

I już zaczynał sobie robić ciężkie wyrzuty za lenistwo tam, gdzie chodziło o duszę dziecka, kiedy nagle błysnęło mu wytłómaczenie: to był głos instynktu. Przecie dusza tak samo musi się wysilić na zasymilowanie wyższego stopnia pojęć czy poczuć etycz-

nych, jak nowej formuły matematycznej, a szaleństwem byłoby wszystkie cztery działania dziecku naraz do głowy pakować.

To przyłapanie na gorącym uczynku nieomylności swego instynktu pedagogicznego aż obudziło w nim chełpliwość przed samym sobą.

— To jest takie wrodzone i *ante factum* nieświadome przystosowanie się do walki ze złemi skłonnościami dziecka, jak sokoła-sekretarza — do walki z gadami jadowitymi.

— Sokół, sokół — powtarzał sobie drżącym z radości szeptem, i tak go ta własna nominacya cieszyła, że mu aż tchu chwilami brakło; zarazem uczuł, że ten narwany malec, który widocznie jest postrachem całego domu, zaczyna mu być czemś naprawdę blizkiem i drogiem, i to nie tylko, jak artyście bryła, w której ma on posąg wykuć.

Rozmyślania te orzeźwiły go bardzo, i przy podwieczorku dostrzegł, że patrzy na bzy pod oknami swego pokoju, stanowiące podszycie pełnego drzew odwiecznych parku, wcale nie tak, jak się patrzy z okna hotelu.

— Czyżbym się czuł u siebie? — zapytał sam siebie z niedowierzaniem.

Przypomnienie stosunków z domem trochę go stropiło, ale nie pozbawiło równowagi, zaczął tylko myśleć o ubezpieczeniu się od przykrości z tej strony.

Nie będzie na nich zwracał uwagi, nie spojrzy bez konieczności, nie odezwie się do nikogo pierwszy, chyba w interesie, a zapytany wręcz odpowie krótko i węzłowato. Fatalnie się stało, że dziś po obiedzie poszedł ze wszystkimi do błękitnego saloniku... „Panie Mirecki, na czarną kawę”. Co było prostszego, niż odpowiedź na tak łaskawe słowa „pana hrabiego”: „dziękuję, kawy nie pijam”. Zapewne, kawa wyborna, ale płacić za nią przykrością siedzenia wśród nich, rozumiejąc, że odezwać się wypada, niemożna..

Nagle zerwał się i chwycił za głowę, jakby z gwałtownego bólu. Przypomniał sobie, że narazie sprawił mu przyjemność frazes Jesiołowskiego: „tak pan wczoraj od nas uciekł”.

— Przecie trzeba być idyotą — przemawiał do siebie, zaciskając pięści i zaczynając biegać po pokoju — żeby się nie obrazić za takie zaproszenie retrospektywne. I pani domu jakby wody do ust nabrała.

Postanowił sobie dziś wrócić do swego pokoju natychmiast po kolacyi, a jutro nie iść na kawę.

Nazajutrz przy obiedzie nie było ani panien, ani angielki, ani

hrabiny Jesiołowskiej, ani gości: wszyscy pojechali na „majówkę” aż trzydzieści wiorst do Życzyna, majątku pana Karola Turowieckiego, syna hrabiny Jesiołowskiej z pierwszego małżeństwa. Cały ten kulig miał porwać po drodze panią Gorzycką z córką, która była prawie narzeczoną gospodarza tej zabawy i rzeczywistym jej powodem. Potem wszystkich wraz z wielu innemi osobami z sąsiedztwa oczekiwano w Jesiołowie na kolacyę.

Przy obiedzie nie udało się Mireckiemu uniknąć ani rozmowy, do której Jesiołowskiemu brakło innego partnera, ani też kawy, bo niepodobna było umknąć, kiedy Jesiołowski chciał z nim „pogawędzić o Julku”. Ale w błękitnym saloniku nie zdążył nawet jeszcze Mirecki rozpakować swoich bagaży teoretyczno-pedagogicznych ani węzełka specyalnych spostrzeżeń co do nowego ucznia, a już rozmowa potoczyła się dalej w dziedzinę anegdot naukowo artystycznych. Mirecki czuł duszne skrępowanie i jego pozorne ożywienie było tylko rozdrażnieniem, tłumionem do pewnych granic przez ogromne wytężenie nerwów.

To też, wróciwszy nareszcie do swego pokoju, czuł się bardziej znużonym, niż czasem po kilkunastogodzinnem czytaniu ciężkiego traktatu filozoficznego. W zmęczeniu tem był jakiś jakby niezależny od niego pierwiastek przykrości. Przymus? Pewno tak, ale po chwili wypoczywająca powoli myśl powróciła do poszukiwania tego pierwiastka, jakby o nim nic nie wiedziała. Było w tem coś niezależnego nawet od przymusu.

Stąd zrodziło się nowe pytanie: dlaczego wogóle często rozmowa potoczna męczy więcej od książki naukowej? Ot tu, naprzykład, samo wsłuchiwanie się w te koncepty i dowcipy przy obiedzie wymaga odeń większego wysiłku umysłowego, niż, naprzykład, śledzenie myśli przewodniej publicysty, krytyka lub filozofa.

„Ja jestem małpą na wysokiem drzewie — myślał—którą żartowniś zwodzi rzucaniem byle czego. Myśląc, że to coś, małpa złazi na łeb na szyję obejrzeć, a przekonawszy się, że to nic, wraca równie prędko na dawne miejsce. Ale żartowniś ciska nowe nic, i małpa znów się trudzi, myśląc, że to coś—i tak bez końca. Kto głupszy? Oczywiście małpa, bo cały sens nakazywałby wcale nie schodzić, nie łudząc się wciąż odrastającem przypuszczeniem, że nareszcie żartowniś cisnął naprawdę coś, a półsens doradzałby, raz zlazłszy, czekać na dole na owo nic”, nie mordując się za każdym razem powrotem na wierzchołek. Teraz przypuśćmy, że ktoś ciska małpie z siłą i zręcznością uczciwy owoc: małpa łapie w lot bez fatygi i ma zarazem pyszną zabawę i pożywienie.

Tak, to niewątpliwe: gdyby się wcale nie doszukiwać złotego sensu w tych błahych żetonach, gdyby się nie wysilać na wiązanie ich w jakąś całość rozumną...

Tu rozmyślania przerwało pukanie i wejście Julka z propozycyą: „może pójdziemy dziś do lasu?”

— Ależ naturalnie—odparł, wstając, Mirecki z myślą: „nie poszedł z Francuzem, tylko czekał na mnie. Bierze swoją rolę przewodnika niemniej poważnie, jak ja swoją — turysty”.

Wziął kapelusz i poszedł po laskę, ale ku ździwieniu Julka z ręką, po nią wyciągniętą, zatrzymał się na chwilę i aż zmienił się na twarzy. Znalazł. Jesiołowski gawędził z nim z tą łaskawością, z jaką się pozwala odzywać dzieciom przy starszych, kiedy niema gości.

— Czy pana głowa boli? — zapytał Julek. — To poszedłbym z Francuzem...

— Nic, nic, chodźmy, tylko mów: „z panem Savigny”, bo panem Francuzem nazywają go tylko ci, co nie umieją wymówić nazwiska, więc dla ciebie będzie tak grzeczniej.

— Mamusia i Maniusia i Marynia umieją wymówić, a nazywają go też...

— Ale on nie jest ich nauczycielem czy guwernerem, chodźmy.

Słońce i powietrze wiosenne orzeźwiły do reszty Mireckiego. Drogą boczną, wśród pól, obciągniętych zielonym aksamitem, doszli do lasu, jeszcze pełnego wilgoci i chłodu. Julek zaprowadził Mireckiego aż na polanę, dokąd często latem całe towarzystwo z pałacu szło na podwieczorek, do którego, kiedy była pora, młodzież sama zbierała orzechy laskowe. Tu odbywały się też idyliczne grzybobrania i zbierania jagód. To też z tego lasu sielskich rozkoszy dworu ludziom ze wsi nie wolno było wziąć ani grzybka, ani orzeszka, ani jagódki.

— Chłopi bardzo się z tego śmieją, bo są źli — zakończył Julek.

— A ty skąd wiesz?

— Mówił mi Franek ogrodniczek — odpowiedział Julek, schylając się i zrywając źdźbło trawki tak ostrożnie, żeby się nie rozlała duża kropla rosy.

— Tylko niech pan nie mówi nikomu, bo onby dostał zato i nicby mi więcej nie powiedział.

„Przywykł do sekretów, może wzajemnych” — pomyślał Mirecki i rzekł:

— Gdyby w tem było co złego, poprosiłbym cię sam o to, że-

byś z nim nie rozmawiał więcej, albo też o oto, żebyś się z tego sekretu zwierzył też ojcu lub matce.

Julek coraz bardziej pochylał głowę do zerwanego źdźbła: złość widocznie w nim walczyła z konfuzyą. Schylił się też Mirecki do istotnie dziwnie dużej i błyszczącej kropli i dorzucił już tonem zupełnie naturalnym:

— Taka pełna, bo żaden promyczek nie potrafił jej znaleźć, by ugasić pragnienie.

Julka tak zabawił obraz spragnionego chochlika-promyczka, chciwie pijącego z kropli rosy, że uśmiechnął się i po chwili zapytał:

— Czy pan będzie ze mną na grzyby chodził?

— Jeżeli tylko będę tu jeszcze wtedy... to jest, jeżeli będziemy sobie nawzajem radzi — dokończył Mirecki, jakby odpowiadając na źdźiwione i pytające spojrzenie.

Julkowi przemknęło przez myśl, że w takim wypadku wypadałoby powiedzieć: „będę się starał”, ale niepewność, czy to nie byłoby zbyt upakarzające, skłoniła go do przeprowadzenia rozmowy na temat grzybów.

— Co to u nas! Żeby pan wiedział, co grzybów w Życzynie... i jak tam ładnie!... szkoda, że mnie nie wzięli, teraz to ja byłbym wziął pana zamiast Francuza...

— Zamiast pana Savigny — poprawił go Mirecki. — Tylko widzisz, ja jestem za duży, żebyś ty mnie mógł brać ze sobą. Nie pojechałbym z tobą nigdzie, bo jeżdżę tylko do własnych dobrych znajomych.

— Ale ze mnąby pan musiał, gdyby...

— Oczywiście, że musiałbym, gdybym się tak umówił, ale widzisz, mam obowiązek uczyć ciebie tylko dwie godziny dziennie.

— Aha! — mruknął drwiąco i ze złością malec — a przecie chodzi pan ze mną na spacer.

— I będę nieraz chodził, jeśli tylko będę miał czas i jeżeli mi to będzie sprawiało przyjemność, nawet pojadę może z tobą kiedy na spacer, ale jako z dobrym znajomym i nie do obcych dla mnie ludzi.

Malec miał dużo odpowiedzi, ale milczał. Pierwsza odpowiedź, jaka mu przemknęła przez myśl, była bardzo prosta: „fiu, fiu!”, ale przypomniał sobie, że to nie pan Koliński; potem korciło go dokończyć pierwszy frazes: „gdyby papa kazał”, ale mu to nie przeszło przez gardło; wreszcie chciał się przynajmniej nadąsać, bo mu się

bądź co bądź sprzeciwiano, ale szedł przecie, jak się okazało, nie ze stróżem płatnym — wrogiem naturalnym, tylko ze znajomym, co towarzyszył mu, niby równy równemu „dla przyjemności.” Dotychczas wszyscy uważali towarzystwo jego za ciężar największy: rodzice płacili obcym ludziom, byle go módz widywać tylko przy stole, siostry uciekały od niego, jak od ognia, nauczyciele byli uszczęśliwieni, kiedy się go mogli choć na parę godzin pozbyć, służba drżała na jego widok...

— Co to dla pana może być za przyjemność — chodzenie ze mną — odezwał się nagle gniewnym głosem.

— A to pytanie! — ze szczerym śmiechem zawołał Mirecki. — Czyż to nie przyjemność — mieć towarzysza, który prowadzi, wszystko pokazuje, opowiada... i słucha dobrze, kiedy mu się coś opowiada? Widzisz, Roland wczoraj więcej mi się podobał, kiedy widziałem, jak tobie oczy błyszczą z zachwytu i ze złości na podłych stryjów małego króla. A przytem dowiedziałem się, że cybulki narcyzów trzeba sadzić kępkami, nie zaś osobno, że... no, mnóstwo rzeczy.

Chciał dodać: „gdybyś mi mówił rzeczy przykre, niegrzeczne, spacery z tobą przestałyby mi robić przyjemność” — ale pomyślał: on sam tego się domyśli.

— Kiedy tak — po chwili milczenia odezwał się malec — to niech mi pan opowie... wszystko... o Zawiszy Czarnym.

VI.

Wróciwszy do swego pokoju, Mirecki długo rozmyślał o wznieconej przez siebie w duszy tego chłopca walce wewnętrznej i znów zaczął się chełpić pokrewieństwem z sokołem-sekretarzem. Tak, to prawda, dzieci płaciły mu wiarą w niego i przywiązaniem zawsze za to, co nie było zapłacone pieniędzmi rodziców — za czas własny, za zapał, nie znający równoważnika w monecie, za życzliwość szczerą.

I biegał po pokoju zupełnie szczęśliwy. Nagle zatrzymał się i przestał uśmiechać: czy świadomość taka nie popsuje, nie nauczy udawać, nie uczyni zeń komedyanta automatycznego?

Usiadł i długo i mozolnie zaczął nad tem myśleć, dopóki nie przypomniał sobie dokładnie, że nawet w wykładzie jakiegoś określonego przedmiotu, chociaż w i e d z i a ł, jak trzeba, chociaż przekonał się o doskonałości jakiegoś sposobu, pomimo to zawsze c z u ł tak, jakby nanowo improwizując, i owo wiedzenie nigdy mu nie

przeszkadzało dużo dodawać lub zmieniać, przystosowując się do umysłu ucznia.

„Będę improwizował" — brzmiał wniosek, i Mirecki znów zerwał się do chodzenia.

— Tak, to prawdziwy talent — rzekł głośno — „i może jedyny" — dodał ze smutkiem i niepokojem: nigdy w niczem innem nie miał on tej pewności siebie i każdego swego słowa. Gdyby mu kto kazał na najprostszy temat przemawiać do dziesięciu obcych ludzi, zapomniałby pewno języka w gębie, a wobec dziecka ileż razy zdarzało mu się być porywającym i subtelnym.

„Lepszy rydz, niż nic" — zakończył, jakby kładąc napis na kamieniu grobowym marzeń o „innych talentach."

Dzwon, wołający na kolacyę, przeraził go poprostu. Zaczął szybko poprawiać włosy i pośpiesznie wyjmować z szafy ubranie i zauważył, że ręce mu drżą, jak w febrze. Pewność siebie zastąpił niepokój: czy kwadrans mu wystarczy na przebranie się? Wnet się też ujawniła istotna przyczyna tego niepokoju: tam będzie tyle osób, tyle gwaru, tam będzie się trzeba czuć zbytecznym i obcym.

Gdyby tak można było, jako widz niewidziany, patrzeć na piękne stroje, piękne twarze, wytworne ruchy i wdzięk uśmiechów... Gospodarzom może się nie podobać nieobecność nauczyciela. Wysiłek myśli odbił mu się na twarzy, serce zaczęło bić gwałtownie, — a oczekiwanie drugiego dzwonka i wyobrażanie sobie, jak lada chwila zaczną się schodzić, myśleć nawet przeszkadzało.

Drugi dzwonek, głoszący: już za późno — zamiast go uspokoić, rozdrażnił jeszcze bardziej. Wiedział, że wejść, kiedy wszyscy będą już przy stole, nie zdecyduje się za nic, a jeszcze się dręczył wahaniem. Szybkie kroki w kurytarzu poprostu go przeraziły: to Józek biegł po niego.

— Proszę pana, jaśnie państwo przy stole.

— Głowa mnie boli — rzekł, pocierając czoło, jak uczniak, wykłamujący się przed profesorem — nie mogę przyjść.

Po wyjściu Józka uczuł się tak, jakby go jakieś wielkie niebezpieczeństwo ominęło. Zajadając i zapijając przyniesioną przez Józka kolacyę, rozmawiał sam z sobą głośno, chwaląc potrawy. Po kwadransie jednak dostrzegł, że właściwie jest to zagadywanie przykrości. Myśl leciała do tej sali, teraz pewno tak wspaniale wyglądającej ze stołem w wieńcu wytwornych strojów i twarzy. Czy jasnowłosy pan zawsze przy pięknej szatynce? A książę? I wyobraźnia jego odtwarzała wszystkich znajomych, usiłując odgadnąć nieznajo-

mych, aż wreszcie uświadomił sobie, że jest sam. Zerwał się i otrząsnął.

„Wielka rzecz: sam. Chciałbym być jeszcze dalej od nich wszystkich!”

I zaczął nucić przeróżne arye z oper, wyraźnie przypominając sobie najlepsze ze słyszanych wykonanie, aż wreszcie zaczęła się sama nucić jakaś dziwna melodya. Przytłumił on budzącą się ciekawość: skąd to? — żeby jej nie spłoszyć. Wreszcie obawa znikła: miał śpiew ten cały w duszy i w głosie, ale przypomnieć sobie nie mógł w żaden sposób, co to takiego. Zaczajał się na wszelkie sposoby, udawał przed sobą, że to kto inny nuci, a on tylko słucha, śpiewał umyślnie bez żadnego wczuwania się, żeby całą uwagę wytężyć na usługi ciekawości. Ale wszystko było na nic, a ta melodya przenikała go coraz bardziej, drżała w nerwach, wypełniała mózg. Chwilami zamykał oczy, wytężał słuch, i szumy nieuchwytne — płomienia w lampie, krwi we własnych żyłach, wiatru w krzakach za oknami — łączyły mu się w tę melodyę, co wiła się na tle innych dźwięków, jak strumień czarodziejski, to wśród traw czy mchów, to wśród skał, to szemrząc tęsknie, to rwąc się wodospadami łkań. Szczególnie jedno przejście za każdym razem go olśniewało, zdając się jakby coraz bardziej dziwnem i niespodziewanem. Wreszcie musiał tłumić drżenie rozkosznego niepokoju, zbliżając się głosem lub myślą do tego zaczarowanego podwójnie miejsca w zaczarowanym strumieniu dźwięków: tak w bajce wołany tajemniczym głosem błądziłby kto dokoła miejsca, co nagle się otworzy, ukazując przejście do ogrodów i pałaców cudnej i zakochanej wieszczki.

Szalone wzruszenie ogarnęło Mireckiego. Zamknąwszy oczy i odwróciwszy się od światła, oparł czoło na stojącej w kącie pokoju, do piersi mu sięgającej etażerce i, objąwszy rękoma głowę, stał pochylony, jakby wypatrując cudów w przepaści jakiejś, tonąc duszą w melodyi, która mu się coraz dziwniej bezdenną stawała, jakby wypatrywał cudów w przepaści...

Nagle porwał się: zbudził go z zapamiętania brzęk szkła: Józek zabierał naczynia po kolacyi. Mirecki gotów był zapaść się pod ziemię ze wstydu. Obrócił się znów do etażerki i schylił się podobnie, udając, że czegoś szuka. I wstyd mu było jeszcze bardziej tej komedyi przed Józkiem — w dodatku daremnej, bo musiał on dobrze widzieć mruganie przed światłem jego długo zamkniętych oczu i słyszeć nucenie w owej zabawnej pozie, choć bardzo cichutkie, żeby nie zgłuszyć marzonego akompaniamentu.

Tymczasem w salonie było istotnie gwarno i wytwornie. Nawet Płoniński, jak twierdził pan Alfred, mówiąc o jego ożywieniu niezwykłem, wygłosił jedenaście i pół zdania. Pannom Jesiołowskim uśmiech nie schodził z ust, a hrabinę widocznie zajmowała rozmowa z panią Gorzycką, której wzniosłe myśli podnosiła co chwila.

Naprawdę jednak radzi byli—tylko Płoniński, że jak nigdy korzystał z towarzystwa jak nigdy uprzejmej Maryni, a pan Alfred, że jego plany tak świetne zapowiadały powodzenie, i pani Alfredowa, że nie widziała prawie dziś męża swego przy Maryni.

Ale hrabia Jesiołowski myślał niekiedy w toku żywych rozmów o jutrzejszym bólu głowy z niewywczasowania się: poświęcał się dla „córek". Hrabinie zawsze „dawała na nerwy" pani Gorzycka, zwana przez nią „poule pathetique", a pani Gorzycka, aczkolwiek zawsze chwaliła słodycz towarzyską hrabiny Jesiołowskiej, w ściśłem jednak kółku zaznaczała mimochodem, że jej osobiście zbytek słodyczy robi *mal au coeur*.

Pan Turowiecki, widząc, że jego prawie-narzeczona trochę zanadto utyła, rozmyślał nad jej podobieństwem do matki, która już zaczynała wyciskać sobą z powozu towarzyszy podróży; panna Gorzycka znów porównywała wciąż swego prawie-narzeczonego z poznanym przed miesiącem w Neapolu baronem węgierskim, który był pewno o głowę wyższy, miał cerę nie chropawą, rysy prawidłowe i oczy daleko większe i ognistsze. Życzyn z przyległościami — Życzynem, gdyby jednak tamten naprawdę chciał, niewiadomo, jakby to było.

Goście się rozjechali po północy — państwo Multanowie trochę wcześniej, do kolei. Maniusia tak się uczuła zmęczoną tańcem i bawieniem panien, że nawet Karolki słuchać nie chciała. Położywszy się, z kwadrans zasnąć nie mogła po zgaszeniu świecy, co dla niej było rzeczą niesłychaną. Było jej przykro, że zgubiła bransoletkę, ale rozmyślania nad tem, gdzie mogła się ona zsunąć z ręki, nagle straciwszy wątek, zostały przerwane westchnieniem i słowami, którym towarzyszyło takie właśnie wydęcie ustek, jakie u dzieci poprzedza łzy: „przecie wiedziałam, że on Marynię kocha".

I zasnęła po chwili, kiedy Marynia długo jeszcze siedziała na kozetce, patrząc przed siebie z wyrazem przygnębienia i bólu na twarzy.

— Co robić! co robić?—wymówiła nagle, załamując ręce. Z wczorajszych planów zemsty na Alfredzie nie zostało ani śladu. Dziś czuła do niego jeszcze większy żal zato, że jej nie rzucił ani jednego z dawnych spojrzeń i słówek, niż przedtem za prześladowanie niemi,

ale księcia, zdawało się jej, nienawidziła jeszcze bardziej, niż jego. Czuła się bezdennie upokorzoną i bezradną. Za miesiąc myślała — przyjadą na imieniny Jesiołowskiej, potem Jesiołowskiego...

Uciec, uciec z tego domu, uciec od nich wszystkich!...

Żeby tak stryjostwo puścili ją do babki Zahorskiej! Ale nie puszczą, na złość nie puszczą: tak jej nienawidzą. Zapewne, babka Zahorska jest bardzo daleką krewną, a im, jako najbliższym, wypada trzymać u siebie synowicę, choć ją też nie bardzo kochają.

I dla ostatecznego oderwania się od najprzykrzejszej treści swojej myśli odezwała się głośno sama do siebie:

— Trzeba napisać nareszcie do babci Zahorskiej.

Zerwawszy się z kozetki, poszła do swego biureczka i zaczęła pisać.

„Najdroższa babciu, aż mnie babcia martwi, powtarzając w każdym liście, że widziećby mnie chciała, bo choćbym sama nie wiem jak tego pragnęła, przecie sama od siebie nie zależę. Czasem gotowa byłabym lecieć na...

Nie, tak nie można: wzięła nowy arkusik.

„...Często myślę, że byłoby mi u babci tak dobrze, jak było mojej mamie. Babcia pisze, że jest sama, a ja też często..."

Jeszcze gorzej: poco te skargi?

Rzuciła pióro i wstała. Przechodząc przed dużem lustrem, zobaczyła całą swą postać i stanęła. Może dlatego, że przed chwilą wspomniała matkę, przyszło jej na myśl, że, jak wszyscy mówią, ona jest żywym portretem nieboszczki.

— Jaka ona była piękna — powtórzyła głośno tyle razy wymawiany frazes — zupełnie tak, jakby stała przed nowym prawdziwym portretem.

Uśmiechnęła się na to roztargnienie własne i stała wciąż wpatrzona, wysilając pamięć na sprawdzenie wierności tego portretu wspomnieniami z dzieciństwa. Zamykając na chwilę oczy, jak przez mgłę, widziała ten sam wzrost i niby tę samą twarz, tylko wychudłą i daleko bledszą i bardzo smutną... ot, jak w tej właśnie chwili na portrecie w lustrze. Gdyby żyła, byłoby się przed kim poskarżyć, przed kim wypłakać.

I jakby bawiąc się, z drżącym znów na ustach uśmiechem zrobiła lekki ruch, niby chcąc ręce wyciągnąć, i wyszeptała:

— Oj, mamo, mamo, pocóżeś mię tu sierotę samą zostawiła!

Nagle spazm chwycił ją za gardło, i oczy rozwarły się szeroko, jakby się jej zdało, że przed nią naprawdę stoi matka i robi lekki ruch, niby chcąc ręce do córki wyciągnąć. I wszystko

się jej zmąciło w duszy. Padła do stóp własnego odbicia w lustrze, tuląc się do niego z głuchem łkaniem, choć rozumiała, że to wszystko jest głupie, bo ona wie, że to nie prawda, bo czuje chłód szkła przy twarzy i pamięta, że szkoda sukni.

VII.

Wilno, 5 maja.

Drogi Stefanku! List twój przeraził mnie podwójnie. Naprzód z usposobienia twego widzę, że pobyt twój w Jesiołowie skończy się nową awanturą, która może najgorzej wpłynąć na twoją przyszłość. Powtóre nowonarodzona fantazya poetycka grozi tobie nowymi miesiącami, jeśli nie latami nędzy, wedle wzoru historyi, matematyki, ekonomii politycznej, filozofii i czy ja wiem czego. Czytaj, co inni napisali dla ciebie, zamiast pisać dla innych. Na twoje szczęście, bo na twoją intencyę otrzymałam wczoraj dobrą lekcyę dodatkową, na której rachunek pożyczyłam od pp. Z. potrzebne ci pieniądze. Zwróć zaliczkę Jesiołowskim i wynoś się pod pozorem interesów rodzinnych. Znajdę ci tu inne miejsce, chociaż mniej płatne, ale w domu mierniejszym, nie będzie cię drażniła owa etykieta feodalno-wielkopańska. Bywaj zdrów i pisz. Całuję cię serdecznie—siostra Janina.

Droga Janko! Wdzięczny ci jestem w równym stopniu za rady i za pieniądze, szkoda tylko, że te skarby narażają mnie na koszta i konieczność wypraszania specyalnego posłańca na pocztę. Ściskam cię serdecznie—Stefan.

Ale zaledwo skończony — list ten został podarty. Przedewszystkiem wzmianka o kosztach zdała się Mireckiemu trywialną, a potem też ironia i skarga na kłopot. Ale cała dusza jego czuła się tak nadmiernie zgnębioną, że na słowa nie gorzkie i nie zacięte nie mógłby się zdobyć, a każda chwila zwłoki, zdawało mu się, zdwajała jeszcze wielkie już i tak ponad miarę upokorzenie.

Po przeczytaniu rano tego listu Mirecki był roztargniony na lekcyi. Napotykając zdziwione spojrzenie Julka, który zdążył już przywyknąć do gonitwy bez wytchnienia za jakąś wymykającą się prawdą, otrząsał się, skupiał myśli z wytężeniem i znów szeregami pytań osaczał miejsca, któremi poszukiwane określenie z umysłu dziecka wymknąć się mogło, ale głuszyło mu odpowiedź Julka i rwało wątek myśli zdanie: „czytaj, co inni napisali dla ciebie, zamiast pisać dla innych." I Julek znów widział, że twarz jego blednie

i ściąga się, zęby się zaciskają, a oczy z pośród zmarszczek, co się dokoła nich zbiegały, patrzą gdzieś w przestrzeń tak źle...

Julek, który przywykł też omal nie na każdym kroku spotykać Mireckiego, nie domyślając się nawet, że ten go szuka i bada, tego dnia nie widział go wcale poza lekcyami.

Szara godzina zdała się Mireckiemu przykrą i drażniącą. Pożałował, że niema drugiej lampy. Doręczony kwit z poczty orzeźwił go trochę: myśli zaczęły powoli wychodzić ze stanu męczącego odrętwienia. Godność jego została obroniona nazewnątrz, ale wewnątrz twierdzy tej długo myśl jego spojrzeć nie śmiała, jakby czując, że straszny pocisk zburzył wszystko do szczętu, że właściwie nie było czego bronić. Ale przyzwyczajenie zdawania sobie sprawy ze wszystkiego przemogło strach: przecie bez tego obrachunku z samym sobą nie mógłby myśleć o niczem innem. Była to przecinająca drogę wszelką, nagle otwarta u stóp myśli przepaść, którą trzeba było koniecznie wypełnić.

Tak, była to prawda: całe jego życie to chaos, gdzie ani nikt, ani on sam nic nigdy nie mógł przewidzieć. Ma on siebie za „dobrego", czy jednak był na świecie zbrodniarz, któryby w dzieciństwie tylu zgryzot był przyczyną dla swoich? Pycha i zaciętość, dzielnie popierane przez gniew nieprzytomny, sprawiały, że go zewsząd wyrzucano ze szkół, których z tego powodu nawet ukończyć nie mógł: na taki rezultat byle osieł się zdobywa. Iluż dobrych i sprawiedliwych i najbliższych za byle uchybienie zwaryowanej jego pysze ucierpiało bardzo! I przypomniał sobie przypadkiem podsłuchaną naradę rodzinną, kiedy po jakimś nowym wyjątkowo groźnym jego wybuchu debatowali jedni poważnie, drudzy smutno, inni ze łzami nawet—nad tem, czy ten gniew, zaczynający być poprostu niebezpiecznym, nie jest zwiastunem jakiegoś obłędu? Przeraziło go tak to przypuszczenie, że mignęła mu myśl o samobójstwie...

Tak, i zarazem o oryginalności samobójstwa czternastoletniego chłopca.

Wuj Warzycki oburzył się wtedy na wujenkę, przypominając, że ten gniew chłopca nigdy nie ukrzywdził młodszego i słabszego. Oto on, Mirecki, czuje, że jeszcze w tej chwili łzy wdzięczności cisną mu się do oczu, a jednak jakże się wywdzięczył temu wujowi pomimo całej swej dlań czci i miłości za to i za wszystko inne?

Cóż więc warta jego wdzięczność, cześć i miłość, kiedy pogarda i nienawiść na to samo się zdobywają?

Jego praca? Jakież rezultaty owego czytania przez kilka

miesięcy po kilkanaście godzin dziennie poczem następowały przerwy, też czasem paromiesięczne, podczas których włóczenie się bezmyślne z jednego kąta kraju w drugi nie wznosiło go nigdy nad poziom życia zwierzęco - wegetacyjnego. I czy rada czyja, czy wysiłek rozumnej woli wyrywał go z upodlenia i zaprzęgał do nowej pracy waryackiej? Nie, nigdy. Raz ktoś go dotknął protekcyonalnem obejściem się, a pycha do szalonej obrony obudziła się tak gwałtownie, że obudziła w nim coś jeszcze.

Przed dwoma laty na wsi u krewnych, stawiwszy się na skraj ogrodu na schadzkę, która żadnemu praktykantowi przy pomocniku ekonoma zaszczytuby nie zrobiła, zastał tylko dziwny zachód słońca za lasem. Obłoczki najfantastyczniejszych form mieniły się każdy inaczej. Wierzchołki drzew wyraźnie i frendzlisto odbijały tam od błękitu, tu od złota, ówdzie od czerwieni. Jakby go ktoś gonił, pobiegł przez las ku słońcu, żeby je przyłapać jeszcze na jeziorze. Gałęzie chlastały go po twarzy, ostatnie ubranie zaczepiało się o krzaki, a on pędził bez tchu z wciąż rosnącym niepokojem, że będzie zapóźno. Mijając ostatnie drzewa, zobaczył, jak ostatni obłok złoty zgasł w jeziorze. Porwał go wtedy wielki żal, i, upadłszy na trawę, długo szlochając, leżał twarzą do ziemi, czując, że z każdym rwącym się oddechem rośnie w nim tęsknota do jakichś innych zachodów, mórz, gór, myśli, światów. Wreszcie zerwał się, tak samo biegnąc, wrócił do domu, a poprosiwszy, żeby mu na gwałt konie zaprzężono, wszystkie swoje rzeczy bezładnie wcisnął do tłumoczka i, nie dawszy ochłonąć gospodarstwu, pojechał śpiesząc na pociąg.

Czy jednak pomimo takich pretensyi do logiki postąpił logicznie? Czyż powiedział sobie: weź się do łaciny i greckiego, jedynych przedmiotów, które umiesz w stopniu mniejszym od wymagań natury, uporządkuj w głowie inne przedmioty do egzaminów, idź na uniwersytet, zdobądź byt i pieniądze, żeby cię stać było na dalekie morza i góry? Przyjechawszy do Warszawy, przymierając głodem, nim znalazł na Pradze lekcyę jakąś nędzną za stół, zaczął dniami i nocami czytać, łamiąc się z tysiącem trudności, dzieło z zakresu filozofii matematyki — o aksyomatach geometrycznych.

Jego dusza jest marną, chaotyczną maszyneryą, gdzie kółka, które powinnyby być najdalej od siebie i w zupełnej niezależności wzajemnej, nagle chwytają zazębieniami jedno drugie, a właśnie zęby innych dopasowanych niby umyślnie pomijają siebie nawzajem.

Raz smutne rozstanie się kochanków w powieści obudziło w nim, jako 17-o letnim chłopaku, postanowienie zdobycia wielkiej wiedzy. Jeszcze nie zatracona logika skierowała je na myśl zdawania znów do gimnazyum: skończyło się na odczytaniu w oryginale pieśni o przygodach Odyssa na wyspie Feaków. Innym razem dziwnie serdeczna namowa i prośba matki jednego z uczniów zasadziła go na dwa tygodnie do Tytusa Liwiusza, ale pochód Hannibala do Italii doprowadził go do takiej ekstazy, że Plutarcha nie miał już cierpliwości czytać w oryginale, a gramatyki łacińska i grecka przeraziły jego zachwyt więcej, niż ówczesne Alpy jego bohatera.

Ani wytrwałości, ani konsekwencyi, ani sensu, ani siły woli! Jeżeli co dobrego z tych rzucań się przyjdzie, to też tylko przypadkiem. Nawet pamiętne postanowienie panowania nad swoim gniewem, które stokrotnie bądźcobądź zmniejszyło liczbę wybuchów, datuje się nie od owej narady podsłuchanej, tylko od... przeczytania „Historyi cywilizacyi w Anglii".

Tu jakiś głos w duszy Mireckiego podniósł się na jego obronę: w tem była pewna logika, z której już wtedy zdał sobie dokładnie sprawę. Było to wkrótce po przerzuceniu się do nowego gimnazyum małomiasteczkowego, gdzie jeszcze się na nim nie poznano. Na pierwszej radzie szkolnej nauczyciel matematyki oświadczył, że ma w czwartej klasie ucznia, zapowiadającego geniusz matematyczny, a nauczyciel literatury, że ma w tej samej klasie przyszłego poetę, co rymami kompozycye pisze: „To pewno ten sam, co mnie w podziw wprawia swojem oczytaniem historycznem" — pogodził ich trzeci. „To pewno ten sam — dodał inspektor — na którego jedna z utrzymujących stancyę uczniowską skarżyła się, że natychmiast po powrocie ze szkoły zasiada do czytania książek prywatnych i wypala naftę, czytając tak czasem do rana".

I nawet teraz, przekonawszy się, że wszystko to było głupstwem prócz nafty daremnie spalonej, myśl jego puszy się, jak puszyło się serce na wspomnienie owej obrony wuja Warzyckiego...

Otóż wtedy, roznamiętniając się stopniowo szalonemi trudnościami przy odkrywaniu nowych światów i samemi odkryciami, doszedł on wreszcie do rozdziału o wpływie środowiska na społeczeństwo ludzkie. Niezmierna perspektywa związku ludzkości z całą naturą wywołała w duszy jego nieznane olśnienie. Uczucie jakiegoś dziwnego wytężenia mózgu stawało się dojrzewaniem. Po ukończeniu tego rozdziału wyszedł do ogródka, bo mu tchu brakło w pokoju. Ale w ogródku było też zaciasno: przesadziwszy rów, szedł

w pole, a nowe uczucia rozsadzały mu piersi. Zdawało mu się, że czuł, jak słońce jesienne, dodając otuchy ziarnom oziminy, kiełkującym w przemarzającej już rankami ziemi, w duszy jego rzeźwi też jakieś kiełki uczuć i myśli, które w ten sposób są rodzeństwem tych maleństw, pęczniejących w głębi brózd. Zapomniał o swoim mundurku, tylko, mijając gruszę dziką, pomyślał, że jest drzewem ruchomem, co też stałoby ciche, gdyby jakieś wiatry od wód czy niebios nie szeleściły w jego uczuciach i myślach. Nie wymówił wyrazu „jedność", ale ją czuł.

Stanął, zmęczony szybkim ruchem i, objąwszy ręką całkiem już prawie ogołocone z liści drzewo, wsparł się na niem ramieniem i ni z tego ni z owego, jakby to zrównanie siebie z drzewem obudziło w nim świadomość własnej dojrzałości i odpowiedzialności, zaczął myśleć, iż, bądź co bądź, gniew czyni go niebezpiecznym nawet dla tych, których on dziś kocha i szanuje, i niewolnikiem przypadku i zależnym od każdego, kto umyślnie lub niechcący dotknie jakiejś w nim sprężyny, której działanie jemu samemu często jest nieznane.

Tak, naprawdę tyleż właśnie ma on z całej tej pracy, która mogłaby dwa zdrowia zrujnować, co z odpoczynków, które mogłyby ich zrujnować cztery? Cała jego wiedza — to chaos i szarpanina, która nie wytrzymałaby próby żadnego systematycznego egzaminu, z wyjątkiem może matematyki, no, i logiki, na urągowisko jego nielogiczności.

W nauce zawsze szukał tylko zabawy, a szczęście jeszcze, iż dzięki niezrozumiałemu dziwactwu natury wpadać mógł w taki zachwyt wobec formuły matematycznej, chwytającej w sieć stosunki nieskończenie małe lub obejmującej bezmiary, jak wobec poematu o żabie, nad którą litości osieł uczył ludzi, lub też wobec romansu, gdzie niezmierna miłość kochanków tryumfowała choć na chwilę nad żywiołem złości i głupoty ludzkiej.

Tak, tylko zabawa, jak w owej powiastce, gdzie głuptak uczył się kowalstwa bez przykrości, aż wreszcie, choć nie mógł wykuć ani siekiery, ani noża, ani nawet kozika, lecz potrafił, rzuciwszy rozgrzany kawał przepalonego żelaza do zimnej wody, zrobić „pszyk".

I Mirecki zaczął rachować swoje „pszyki".

Przed rokiem z dysput studenckich urosła dlań prywatna katedra filozofii: jedna studentka, czterech studentów, jeden świeżo upieczony prawnik i takiż przyrodnik schodzili się systematycznie na czytanie dzieł filozoficznych, których on właśnie był komentatorem. Kiedy jednak młody ów prawnik, człowiek zamożny, zaproponował mu uporządkowanie komentarzy o „Filozofii nieświadomości" dla

wydania ich w broszurze, sama myśl wystąpienia w roli krytyka sławnego podówczas dzieła sparaliżowała go tak, że nawet w owych rozmowach zaczął się jąkać i przerwał je całkiem.

Innym razem pewien ekonomista po dyspucie gorącej w towarzystwie zaproponował mu współpracownictwo w swojem piśmie — pomimo sprzecznych przekonań i napisanie na początek artykułu na temat tej właśnie rozmowy. Wrócił Mirecki do domu, ledwo dysząc ze szczęścia, marząc o sławie Rotbertusów i George'ów, i wnet zasiadł do pracy, co miała świat olśnić. Jakże rozpaczliwie przekonał go nowy „pszyk", że co innego jest improwizować, poetyzując na temat naukowy, a co innego w formę ściśle naukową ująć chaotyczne myśli. Ogromna większość tego, co chciał powiedzieć, była już dawno powiedziana przez innych, a reszta była albo taka prosta, że pewno była powiedziana też, tylko on o tem jeszcze nie wiedział, albo też taka prosta, że nikt tego dotychczas nie powiedział, bo się to samo przez się rozumiało, Z drugiej znów strony, przez brak logiczności urodzona pretensya godzenia pojęć o kolektywizmie z pojęciem o rozwoju równoległym możliwej dla człowieka swobody indywidualnej oraz różniczkowania się indywidualności zdała mu się czemś tak bezczelnie śmiałem, że, unikając śmieszności, przestał się nawet zajmować ekonomią polityczną.

Przytoczona w pewnem uczonem dziele z ubolewaniem wogóle nad teologicznemi zaciekaniami się Newtona hypoteza jego, że Bóg musi od czasu do czasu wolą swoją nakręcać harmonię wszechświata, jak człowiek ręką zegar nakręca — wywarła raz na Mireckim olbrzymie wrażenie: odczuł jakby namacalnie, że najpotężniejszy umysł ludzki, który dalej, niż jakikolwiek inny i szlakiem najpewniejszym zagłębił się w nieskończoność i wieczność, nie mógł ich objąć. Uderzyła go szczytna i zrezygnowana szczerość mędrca co do rzeczywistych granic pojęć swoich, doświadczalnie udowadniająca i to, gdzie najdalej mogą one sięgać, i to, że słowa „wieczność i nieskończoność" maskują tylko brak odpowiednich pojęć, i to, że szczytem doskonałości dla ducha ludzkiego jest tylko czuć pod skorupą marną rzeczywistej dla umysłu zawartości tych słów przepaść tajemniczo-bezdenną.

Krótkość napisanego pod wpływem tego zachwytu artykuliku, zdawało się, najlepiej kwalifikowała go do dziennika. Sekretarz redakcyi miał właśnie czas i dobry humor w chwili, kiedy Mirecki przyszedł po odpowiedź, więc, przyjąwszy obdartego filozofa, stojąc, rzekł do niego:

— Przeczytałem pański artykulik, nie rozumiem jednak, o co panu właściwie chodzi?

Mirecki odczuł doskonale całą ironię tego frazesu oraz całą przewagę, jaką dawało nad nim temu panu owo nierozumienie oraz usposobienie odczuwane dość licznego przypadkiem audytoryum; pomimo to jednak zaczął odpowiadać na to pytanie, jakby je brał na seryo, a jąkając się, mówił oczywiście to samo, co napisał, tylko jeszcze mętniej i dziwaczniej.

— Teraz zrozumiałem — przerwał mu wreszcie całkiem poważnie pan sekretarz—chodzi panu o obronę inteligencyi Newtona. Otóż dla naszego dziennika jest to kwestya nieco przestarzała, ponieważ ten pan umarł dawniej, niż przed paru dniami, w zasadzie jednak zgadzamy się z panem najzupełniej, że nie był to człowiek tak głupi, jakby się zdawać mogło.

Ktoś w kącie parsknął śmiechem. Mirecki widział tylko szyję pana sekretarza, wyrastającą z wykładanego kołnierzyka, ale dzięki „Cywilizacyi w Anglii" nie porwał za nią, nie uderzył o mur sterczącą nad nią głową. Stał przez chwilę nieprzytomny, czując, że, gdyby chciał mówić, zaryczałby, gdyby chciał się poruszyć, rzuciłby się na wroga. Kiedy krew odpłynęła trochę od mózgu, wyszedł, zapomniawszy wziąć swój rękopis i nie pamiętając, czy się ukłonił machinalnie całemu gronu, czy nie.

I to był najboleśniejszy „pszyk". Może ta „nowonarodzona fantazya" byłaby jeszcze boleśniejszym.

I z biciem serca wyjął zeszyt, gdzie spoczywały w rymach aż dwie pieśni poematu, któremu brakło jeszcze tytułu. Młodzieńca, obcego wszelkiej nieufności, jeden przyjaciel pozbawia mienia, drugi — kochanki, trzeci — kradnie mu pieśń na jej cześć, w chwilach szczęścia skomponowaną, czwarty — pomysł obrony miasta przed nieprzyjacielem. Nędzarz wzgardzony i zgnębiony patrzy kolejno na świetność, rozkosz i sławę swoich krzywdzicieli, a bojąc się obłędu, o który go posądzają, staje się mnichem. Jako do sławnego kaznodziei cisną się też doń, jako do spowiednika, i powoli przekonywa się on, że wszelkie szczęście ludzkie z miłości, sławy i potęgi — oparte jest na fałszu i wyzysku. Zaczyna drżeć ze wstrętu i przerażenia na widok klękających u stóp jego postaci: nowa martwa dusza, której wyziewem zabójczym — słowa. Wreszcie z twarzy zaczyna on odgadywać, jaka w kim dusza gnije, i mówiąc o tem z ambony, wywołuje panikę w mieście: wszyscy poznają portrety. Biskup zabrania mu kazać i nie pozwala spowiadać, a oszalały ze wstrętu mnich, zbierając jałmużnę, czyta z oczu i mówi każdemu, jaką zgnili-

znę duszy chce on pieniądzem ukryć przed Bogiem. Ludność odeń ucieka, bojąc się jego urocznych oczu, co wciąż darmo wypatrują żywej duszy, i jałmużny się zmniejszają. Mnich, jako odźwierny, wpuszczając do klasztoru sławnego potężnych panów i świetne damy, wciąż szalejąc, kontempluje

...W duszy ścierwie
Tylko grzechów potwornie kłębiące się czerwie,
Co stoczywszy ją, wzajem gryzą swe wnętrzności,
Tam biały, miękki tłusty, robak lubieżności
Łyka zwinną próżności cienką lśniącą glistę,
Włochaty twardy robak pychy źre nieczyste
Obżarstwa czerwie...

Zeszyt wypadł z rąk Mireckiego. Wciąż rosnący wstyd aż oczy mu przesłonił. Czuł, że wolałby umrzeć, niż pokazać to komu. Jakie to brutalne i dziecinne! I ten cały średniowieczny Tymon chrześcijański ze swoją wyłażącą, jak szydło z worka, urzędową filozofią pesymistów ostatniego wieku z ich analizą życia. Tu żywcem Leopardi, tam... I najlepszy dowód, jakie to wszystko sztuczne i nieszczere, w tem, że nie wiedział on, jak skończyć: czy mnich we własnej duszy ma też rozpoznać „ścierwo", czy nawet w duszy dawnej kochanki odnajdzie punkt zdrowy, w którym drżący promień Boży oczyścić może całość?... Wszystkie dreszcze i zapały przy pisaniu tego były więc oczywiście też tylko harcami „czerwiów próżności", okłamywaniem nieświadomem siebie samego...

I Mirecki rękoma zakrył oczy, tuląc zimne dłonie do pałających policzków. Nagle drgnął i chwycił rękopis: uderzył dzwonek na kolacyę. W tej chwili poemat znalazł się na kominku, a po zepsuciu kilku zapałek zapłonął. Jakby się bojąc, że zaledwo on się odwróci, ktoś wejdzie i porwie zeszyt, Mirecki stał aż do końca przy tym „akcie ognia" i dopiero, pokruszywszy spopielałe kartki, zaczął się przebierać.

Przy kolacyi czuł się znacznie pewniejszym siebie, jak przestępca, co zatarł wszelkie ślady swej zbrodni, po kolacyi zaś wziął się spokojnie do czytania traktatu „O cnocie"...

(d. c. n.) *Józefat Nowiński.*

Mozajka galicyjska.

Teatr lwowski i krakowski. — „Zawisza Czarny“. — Stanisław Koźmian. — Uniwersytet ludowy. — Towarzystwo dla popierania nauki polskiej. — Towarzystwo miłośników historyi i zabytków Krakowa. — Frekwencya na wszechnicy Jagiellońskiej. — Stan szkół średnich. — Sprawa Lutosławskiego.

Ciężkie przesilenie przechodziła scena w Galicyi skutkiem otwarcia nowego teatru we Lwowie. O obsadę kierownika teatru lwowskiego zawrzała zawzięta walka; wmieszał się w nią nawet ten odłam mieszkańców, których sztuka nic nie obchodzi. Puszczono w ruch cały aparat paszkwilów, polemik i szumowin agitacyjnych,— jakby conajmniej chodziło o wytępienie przysłowiowej nędzy galicyjskiej. Prasa zapełniała kolumny druku rozwiązaniem pytania: Heller czy Pawlikowski? Starcie było smutne po katastrofach moralnych i materyalnych ostatnich dwu lat. Jeszcze ich echa nie zamilkły, a już kłócono się o dyrekcyę teatralną, jakby o najważniejszą sprawę życia społecznego. Dla cudzoziemca, nieobeznanego ze stosunkami, Galicya mogła przed trzema niespełna kwartałami przedstawiać widok Hesperyi, mającej jedyne nadgniłe jabłko niezgody: teatr... Jest to tylko dowód braku wykształcenia publicz-

nego w szerszem znaczeniu i kramarskich prawdziwie talentów, rzucania się w wir spraw mniejszych, chociaż większe grożą powodzią. Gdy nareszcie zwyciężyła zasada słuszności i sprawiedliwości, gdy konkurs wypadł na korzyść p. Tadeusza Pawlikowskiego, wybiła przykra chwila dla dyr. Kotarbińskiego w Krakowie.

Pawlikowski pociągnął za sobą najwybitniejsze siły krakowskie: Solskiego, Romana, Bednarzewską, Tarasiewicza, Węgrzynów. Nastąpiło przesilenie, a jego rozmiary powiększyła chwilowo panna Przybyłkówna, usunąwszy się na dłuższy czas ze sceny.

Kotarbiński musiał walczyć z brakiem artystów, z budzącą się niechęcią publiczności, co gorzej, z trudnościami materyalnemi. Tradycyjne tygodniowe premiery w Krakowie uniemożliwiają w dodatku racyonalne powodzenie teatru, wyczerpując zarówno artystów, jak i repertuar. Czuć też było w ciągu pierwszego roku kierownictwa Kotarbińskiego zamęt, anarchię, opadanie skrzydeł, brak jasnego i celowego programu, brak środków do wykonania rzeczy większego zakresu, bo brak utalentowanych pracowników. Okres łamania się i przełamywania, rozpaczliwego szamotania się minął poczęści szczęśliwie. Szczerby w personelu teatralnym zdołano poniekąd uzupełnić przez odzyskanie Siemaszkowej, Przybyłkówny-Potockiej i zawezwanie Morskiej. Męski personel dopełniono przez powołanie Sosnowskiego ze Lwowa i kilku artystów z drużyny prowincyonalnej, a z nich najwięcej obiecującego w dziale komicznym, Zelwerowicza. Po tem uzupełnieniu można było pomyśleć o repertuarze. Reżyserya spoczęła w rękach pewnych i wypróbowanych. Kamiński kieruje repertuarem rodzajowym, Adolf Walewski, do niedawna artysta, lwowski, objął dział sztuki historycznej. Jest to doskonały reżyser, a zarazem nieoceniony aktor. Pod względem programowym widnokrąg rozjaśnił się znacznie. Rozjaśnienie to ułatwiły młodsze siły literackie, które z ogromnym zapałem przesunęły się do twórczości dla sceny. Mówimy „przesunęły się", ze względu na inny rodzaj sztuki, jaki dotychczas uprawiali i Tetmajer, i Niemojewski, i Rossowski. Poza nimi pozostają już fachowcy: Rydel, Wyspiański, Kozłowski i kilku innych. Nad sceną polską unosi się promienisty duch Słowackiego i pozostawia na niej w sobie samym i w kierunkach naszych najmłodszych niezatarte, potężne znamię. Budzą się niespokojne, ale bardzo poetyczne porywy, przez kulisy teatru naszego zaczyna przepływać odświeżająca atmosfera, — wiejąca ze spuścizny wieszcza króla-ducha, wieszcza Kordyana. Są to porywy idealistyczne i idealne, chociaż bez wytkniętych ideałów. Zmianę na lepsze czuć aż nadto, — oryginalny repertuar

nie wlecze się w tym roku po grudzie, jest dostatek, jest wybór. Zasługą Kotarbińskiego pozostanie, że zrozumiał kurs i szybko do tego kursu się dostosował. Kotarbiński postanowił sobie kolejno wystawiać dzieła naszej i obcej wielkiej poezyi. Ta dążność do wyzwolenia się z pod wpływów tandety wywiera na publiczności wrażenie uszlachetniające i poniekąd pedagogiczne. „Fausta" grano prawie dziewięć razy z kolei przy zapełnionej sali. *Signum* to *temporis*, powiedzmy szczerze, ten zwrot ku dziełom nieśmiertelnym, ku dziełom natchnienia i szczerego poetyckiego geniuszu.

Stokroć cięższe zadanie, niż Kotarbiński w Krakowie, miał Pawlikowski we Lwowie. Lwowski grunt teatralny był z dawien dawna zachwaszczony i zabagniony. Ciągłe rewolucye pałacowe, powierzanie kierownictwa ludziom nie odpowiednim sprowadzały powolną, ale systematyczną ruinę. Bezpośredni poprzednicy Pawlikowskiego ratowali położenie faworyzowaniem podkasanej muzy. Rozoperetkowana publiczność zatraciła poczucie smaku literackiego, przestała tęsknić za sztuką, dała się unieść tonom „Czarodzieja z nad Nilu" i „Nitouche". Dramat stał się przyzwoitką, zasłoną moralną wobec cenzorów wyższych pożądań i ideałów. Traktowano go okolicznościowo, dla zbycia... Nadto Lwów jest miastem nawskróś muzykalnem, pożądającem jak najwięcej śpiewu bodaj przechrypłych syren. Zaprowadzić pewną równowagę między muzyką a żywem słowem — było zadaniem nadzwyczaj mozolnem. Sytuacyę pogarszało cudaczne i nadzwyczaj nieodpowiednie połączenie w jednym gmachu trzech rodzajów, wykluczających się i współzawodniczących z sobą. Opera wydziera powodzenie kasowe dramatowi, a operetka — dramatowi i operze. Ale publiczność (140,000) Lwowa chce mieć wszystko. Zwolennicy pieśni atakują dramat, zwolennicy dramatu pragną zmodyfikowania opery,—szary tłum, pożądający zabawy, uważa dawny kurs za ostatnią formę rozwoju sceny... Gdzie tu wyjście? Położenie pogarsza część prasy, która rozpada się na obozy polityczne i bez żadnych zasadniczych przyczyn snuje krytykę, będącą często walką podjazdową najgorszego gatunku. „Rżnie się" zatem bezwzględnie każdy krok, każde chcenie dyrekcyi, aby jak najprędzej przyszło do zmiany gabinetu, chociaż niewiadomo jaki ten gabinet będzie. A w dodatku przyszedł Pawlikowski do Lwowa z gotową estetyką sceniczną, z szerokim planem reformatorskim, stanowiącym ostrą negacyę tego, co istniało. Trzeba było zatem w świeżo zbudowanym teatrze zgromadzić personel artystyczny, przerzucić punkt ciężkości na sztukę prawdziwą, wypleniać operetkę i zastępować ją operą komiczną, a operze nadać

w wykonaniu rysy szczerego zamiłowania dla pieśni. Rewolucya przeciw kataryniarstwu i trykotom nastąpiła na całej linii, a z nią reakcya w publiczności. Dzienniki przyniosły sensacyjną wiadomość, że w pierwszych trzech miesiącach dołożyła dyrekcya i w nowym budynku trzydzieści tysięcy koron!... Rezultat istotnie nie smutny, — ale tragiczny! Widocznie wychowywanie widzów kosztuje wiele, i zachodzi obawa, że psychologia nawyknienia i poziomości pokona psychologię idei i celowości.

Dla uwydatnienia olbrzymich ciężarów dyrekcyi podajemy krótkie obliczenie personelu. Dramat ma 46 aktorów, opera i operetka 26, balet 5, orkiestra składa się z 50 członków, chór męski z 27, żeński z 28, administracya z 8, personel techniczny z 22, służba z 28 ludzi. Razem 240 osób, nie licząc różnych, częstych gościnnych występów!... Utrzymać podobną masę, rządzić nią umiejętnie i pożytecznie jest zadaniem tak syzyfowem, że uczciwy głos krytyki powinien być bardzo ostrożny z naganą i wymierzać ją jedynie wtenczas, gdy ze wszech miar może uchodzić za sprawiedliwą. Teatr lwowski spełnia zakres działania i zakres odpowiedzialności taki, jaki gdzieindziej ma kilka subwencyonowanych instytucyi, i to w warunkach szczęśliwszych, bo wśród społeczeństw zamożniejszych. Dlatego kręcenie bicza zwraca się w rezultacie nie przeciw osobie dyrektora, tylko przeciw samej sztuce i jej przyszłości. Wśród sztuk, granych aż do początku lutego, była olbrzymia przewaga repertuaru rodzimego w dramacie, bo aż 28 sztuk, podczas gdy w Krakowie w ciągu tego samego czasu dano 19 rzeczy oryginalnych, chociaż tam nie ma ani opery, ani operetki. Nadto w repertuarze obcym niema ani jednej rzeczy kasowej, spaprykowanej, a w Krakowie przemycono przecież pomiędzy Goethe'go i Słowackiego kilka bardzo miernych robót i jedną wprost nieprzyzwoitą „Damę od Maksyma" p. Feydeau... Podnosimy porównawczo te minusy, ceniąc zasługi p. Kotarbińskiego i wierząc, że je usunąć zdoła i usunąć zechce. Daremne są oburzania się malkontentów na staroświecczyznę, wprowadzoną przez Pawlikowskiego zapomocą „Modnych spazmów", „Dziewczyny sędzią", — tych szanownych zabytków literatury naszej. Miłośnik przeszłości nie może ich pominąć i pominąć nie powinien, spełniając akt pietyzmu i pewnej ciągłości w repertuarze rodzimym. Faktem jest, że teatr Pawlikowskiego posiada bardzo dobry i wielostronny personel, a za liczny nawet, jak na naszą możność i stosunki. Ale też personel jest główną *tour de force* kierunku Pawlikowskiego i najdodatniejszym pierwiastkiem jego działalności. Przebija się to zarówno w dramacie, jak w ope-

rze, w której chóry przestały grać rolę martwych maryonetek, popychanych na scenę dzwonkiem inspicyenta. Pawlikowski jest może człowiekiem nierównym, nerwowym, ale ma wybitny temperament artystyczny i ogromne zamiłowanie teatru. Nikt przeczyć nie myśli, że w sposobie jego prowadzenia teatru znajdą się i wady i pewne zaniedbania, te są jednak wszędzie i być muszą. Tymczasem domorośli teatromani, nie mający pojęcia o scenach zagranicznych, krytykują na prawo i lewo z banalną ignorancyą. Sekunduje im część prasy z najbardziej fantastycznych powodów. Pani Zapolska urządza w „Słowie Polskiem" bardzo skrupulatny rachunek dyrekcyi Pawlikowskiego, egzorcyzmując ją z równą gorliwością za winy i cnoty. Taka kampania bez przerwy zakrawa nie na opiekowanie się sztuką, lecz na pospolitą walkę podjazdową aż do... skutku. Czy ten skutek zmierza na Helikon, wątpić należy, potrafi jednak przesycić i nasycić osobistą zawziętość i ambicyę.

* *
*

Wystawiony w Krakowie „Zawisza Czarny" jest pierwszą większą próbą dramatyczną Tetmajera i pierwszą zarazem o szerszym oddechu pracą w mowie wiązanej. Twórca *Qui amant* pozostał uskrzydlonym lirykiem w powieści, pozostał nim i na scenie. Jako liryk, ma on dwie cechy: ciągłą zmienność nastroju i obserwacyę nie świata, ale siebie samego wśród świata. Następstwem takiego usposobienia musiał być brak jedności i jednolitości w dramacie Tetmajera, który jest raczej mozajką z rozmaitych tonów i stylów, niż spoistą budową; następstwem tego usposobienia jest również ubóstwo charakterystyki osób działających.

Sztuka składa się z trzech całkiem odmiennych, wiotko pospajanych części. W pierwszej wraca Zawisza do ojczyzny z wziętym do niewoli rycerzem Felsburgiem i odgrzebuje w sobie przywiązanie do kraju, miłość ludu, jego obyczajów i mowy. Felsburg mimo ważnej misyi w dramacie milczy, jak mumia, — jest figurą bez twarzy. Akcya wlecze się po grudzie, a właściwie nie wlecze, bo jej prawie wcale niema. Z każdego wiersza bije natomiast piękna, liryczna sielanka, wdzięk i woń szczerej, jasnej poezyi. Ludzie są — prawda — ale to jedynie narzędzia do wygłaszania kancon i wydobycia barwy słów, ale nie postacie z krwi i kości, o silnie skupionem psychologicznie obliczu. Środek sztuki ukrywa dopiero właściwą fabułę. Jest to melodramat, zawierający dość duże nagromadzenie faktów, główna intryga jednak streszcza się i zarysowuje

w rozmowie między opatem a Felsburgiem, albo raczej w monologu opata. Wojewoda Mateusz z Góry, arcytyp rokoszanina i oligarchy, ma, prócz dwu córek Ewy i Dwiny, potężne, po koronę sięgające ambicye. Chwila czynu wybiła, zbliżył się ważny moment dziejowy: Jagiełło z puszcz litewskich, z rezydencyi trockiej ma przyjść po berło piastowskie. Wojewoda zrywa się do czynu, nie chce uznać nowego pana, sumieniem jego i motorem staje się niemiecki opat, agent teutonizmu. Dlaczegóżby sam nie miał zdobyć tronu dla rodu królewiąt z Góry? Plan ułożony. Dwina poślubi Felsburga, ale Felsburga, ukoronowanego dzięki Mateuszowi... Z jakiego właśnie tytułu ten przybłęda bez znaczenia i chwały, zabrany w niewolę na polu walki, wdrapać się ma na najwyższe szczeble hierarchii społecznej — niewiadomo. Wszystko, jak w bajce, awansującej kmiecia na króla... Wśród zawieruchy wypadków politycznych flirtuje Zawisza. Dwina i Ewa zakochały się w nim na śmierć i życie, prawdziwie lwie rywalki. Obie te postacie, bardzo z gruba narysowane, świadczą o braku głębszej obserwacyi autora. To najpierwotniejszy dualizm teatralnych figur kobiecych: jedna blondynka, druga brunetka; jedna dobra, druga zła; jedna tkliwa, druga namiętna; jedna mazgajowata, druga gwałtowna. Niektórzy krytycy porównywali tę parę z Aliną i Balladyną, porównanie możebne jest tak samo z Klarą i Anielą ze „Ślubów panieńskich" i z wielu innemi dwójkami niewieściemi w komedyach lub dramatach. Serce pociągnęło Zawiszę ku Ewie, co Dwinę wzburzyło i pchnęło do oddania ręki Felsburgowi. Mateusz przygotowuje zięcia do przyszłej wielkiej roli. Wpoprzek ich zamiarom staje rycerz *sans peur et reproche*, Zawisza. Zwalcza on wrogów Jagiełły, rozwiewa ich zamiary i nieumyślnie zabija głównego winowajcę — wojewodę. Tę przypadkowość podkreślić należy, gdyż właściwie niema w niej tragizmu i dlatego przechodzi bez wrażenia. Nieświadome zabójstwo może wywołać uczucie ogromnego nawet nieszczęścia, ale nie dramatu. Zrozpaczona Ewa rzuca się w fale Wisły, i teraz znowu niewiadomo, co stanowi źródło bezmiernego smutku Zawiszy, — zabójstwo wojewody, czy strata ukochanej. Przypuśćmy, że oba powody. A jeżeli tak, czy dają one bohaterowi prawo do tytułu „rycerza cierpienia", do namaszczenia przez Bolesława Chrobrego, do przedstawiania Króla-Ducha? Odpowiedź powierzchowna znaleźć się może: sam jeden walczył przeciw tysiącom w obronie Jagiełły!.. Czy rzeczywiście sam jeden? Czy Zawisza nie był raczej wyrazem większości, czy nie miał za sobą milionów, a niechętni garść zaledwie stanowili? Zawisza w gruncie rzeczy

żadnego nie toczy boju z sobą, wykonywa czyn zgodny z dążeniami masy, nie jest odosobniony, jak Kordyan. I pod tym względem brak zatem dramatu. Wogóle fabuła „Zawiszy" jest romansem i snuje się w sposób pierwotnie romantyczny. Dwina ściga Zawiszę, aby go zamordować, ale na widok kochanego człowieka pada przed nim na kolana. . Zawisza robi to, co zrobić musi: odchodzi, a Dwina ginie od miecza zawiedzionego Felsburga. Tak kończy się romantyka dramatu, ustępując w dalszym ciągu miejsca symbolice. Autor tworzył (zdaje się) pomysły dopiero w czasie pisania; ułożywszy romans, dodał do niego komentarz. Komentarz ma wyobrażać przetworzenie się Zawiszy w symboliczną postać narodu, jakby w jego Króla-Ducha. Najpiękniejszy to, choć mało sceniczny, fragment utworu. Cała przyroda, Tatry, głusze, szumy, występują pod potężnem tchnieniem poetyckiem, jak do życia powołana, nieśmiertelnie piękna istota. Do akcyi doczepiono bez związku ten hymn natury, ten urywek liryczny, jakby z cyklu „Tatry".

Główną wadą Zawiszy, jako bohatera, jest ogromna przewaga żywiołu lirycznego nad heroicznym w jego duszy. Ponadto cierpią Tetmajerowskie postacie na zupełną prawie bezkrwistość charakterystyki, i to w równej mierze z Felsburgiem wojewoda, z wojewodą jego córki i sam Zawisza. Zdaje mi się, że Tetmajerowi brak silnego punktu ciężkości: w liryce staje się brak ten źródłem wielkich i wspaniałych wybuchów, spotęgowania nastroju, niespodziewanych błysków natchnienia. Dlatego w „Zawiszy" odmalowano naturę z wzorowem poczuciem, rozproszono dreszcze i burze namiętności i szeroką skalę współczesnej wrażliwości. W dramacie jednak utrudniają te psychiczne subtelności stworzenie jednolitej akcyi. Zawisza nie ma osi, on ją dopiero buduje, on dopiero samego siebie zaczyna poznawać i rozważać. Dramat Tetmajera jest szeregiem niezwykłych utworów lirycznych, przeplecionych fabułą romansową. Mniejsza o to, o ile dramat ma rzeczywiste tło dziejowe, gdyż autor, zdaje się, nie założył sobie celów historycznych. Jeżeliśmy szczerze, choć bezwzględnie wypowiedzieli zdanie o „Zawiszy", to jedynie z powodu bezkrytycznych, beockich zachwytów i nonsensów prasy krakowskiej i zakrakowskiej. Taki talent, jak Tetmajer, nie buduje z pewnością sławy swojej na zdawkowych, płytkich, inspirowanych pochwałach. Autor, który po „Aniele śmierci" stworzył „Otchłań", zdoła po „Zawiszy" napisać dramat lepszy i bardziej jednolity. Idzie jedynie o to, aby romans, symbolika i idylla nie kroczyły luzem, ale płynęły zjednoczone. Wiersz niemal wszędzie pię-

kny i bez zarzutu, brzmi ze sceny, jak muzyka. Gdybyż jeszcze mógł Tetmajer opanować matematykę sceny! Czekajmy...

* * *

Czterdzieści lat pracy dziennikarskiej obchodzi właśnie Stanisław Koźmian, najwybitniejszy obok Keniga i Manna publicysta polski. A był ten publicysta zarazem czynnym politykiem i w dziejach Galicyi z ostatnich czterech lat dziesiątków wybitną odegrał rolę. Należy on do zupełnie u nas nieistniejącej kategoryi polityków zawodowych, która w Anglii i Francyi ma dość licznych przedstawicieli. Koźmian jest od stóp do głów członkiem i człowiekiem jednej partyi, przez jej pryzmat patrzy na wszystkie objawy społeczne i twardo stoi na stanowisku starych programów konserwatystów krakowskich. Jest on wraz ze Stanisławem Tarnowskim najbardziej może ideowym i konsekwentnym wykonawcą dogmatów „Teki Stańczyka", najsilniejszym ich wyznawcą *usque ad finem*. Kolejno musiał patrzeć Koźmian na ubytek najlepszych przedstawicieli swej partyi. Do grobu zeszli: Ludwik Wodzicki, Mann, Szujski. Ci, co potem nastąpili, byli już wyznawcami, nie twórcami kierunków stronnictwa. Działalność Koźmiana była przeważnie teoretyczną, była działalnością pióra i działalnością doradczą. Wprawdzie przelotnie, krótko zjawia się na polu działalności praktycznej, aby z niego wrócić zaraz do zajęć redakcyjnych i akcyi zakulisowej. W 1870 r. wchodzi Koźmian do sejmu, a z sejmu na życzenie Gocholskiego do Rady Państwa. Mandat piastuje zaledwie półtora roku i traci go skutkiem ustąpienia delegacyi polskiej z parlamentu. Jeszcze raz kandyduje w 1880 r. bezskutecznie. Pada w kuryi włościańskiej Kraków — Chrzanów — Wieliczka przeciw proboszczowi z Poręby, ks. Gołbie, mimo silnego poparcia delegata krakowskiego, Kazimierza Badeniego i Artura Potockiego. Nielepiej powiodło się Koźmianowi w większej własności Bocheńskiej, gdzie przegrał kampanię przeciw sędziemu Pągowskiemu. Popularnym nie był on nigdy w szerszych warstwach szlacheckich, jak się z tego wypadku wymownie okazuje, ale popularnym nie był także w całem społeczeństwie. Stał on na uboczu, śród sztabu swoich, pracował konsekwentnie i żmudnie, nie oglądając się na nic i na nikogo, nie polował na rozgłos, na milknącą sławę dnia lub tygodnia. Tkwiła w nim zawsze zimna pogarda i rzymski stoicyzm względem dytyrambów i przesadnych krzyków. Aż do czterdziestego czwartego roku życia był Koźmian nauczycielem i ewangelistą stronni-

ctwa stańczykowskiego. Nauczycielstwo to streszczało się w propagandzie zabezpieczenia bytu społeczeństwa w Galicyi w uśmierzaniu wszelkich bardziej krewkich dążeń narodowych i w wytwarzaniu bezwzględnej lojalności dla domu panującego i państwa. Szczytem i ostatnim wyrazem tych dążności był wstępny artykuł Koźmiana w „Czasie" na powitanie cesarza Franciszka Józefa w 1880 r. Doradzał w nim wyraźnie rodakom swoim, aby zaufali zupełnie dynastyi i zlali się z monarchią. W skutek tych rad powstała długa, namiętna burza i cała literatura polemiczna, dźwięcząca fantarą wojenną.

Niebawem przeszedł Koźmian na teren polityki realnej, bo doradczej. Jego rola historyczna rodzi się wraz z gabinetem Taaffego i powołaniem do ministeryum Juliana Dunajewskiego. Koźmian, stojący pozornie na uboczu, jest raz po raz bardzo zręcznym i szczęśliwym *Hintermannem*, zakulisowym działaczem w najlepszem tego słowa znaczeniu. Swoimi pomysłami ratuje gabinet w bardzo przykrych sytuacyach, np. w sprawie podatku wódczanego, i stara się o uzyskanie stanowiska namiestnika Galicyi dla pupila swego, Kazimierza hr. Badeniego. Dunajewski usunął bardzo zdolnego i zasłużonego Ziemiałkowskiego z posterunku ministra dla Galicyi; osieroconą w ten sposób tekę powierzył namiestnikowi Filipowi Zaleskiemu, a na opróżnione przez niego miejsce powołał Badeniego. Dzieje rządów Badeniego są świeże, tworzą niemal ostatnią kartę historyi austryackiej. Po dziesięcioletnich rządach Taaffego i kilku przejściowych gabinetach szukano męża „silnej ręki" i znaleziono tę dłoń w namiestniku Badenim. Wraz z powierzeniem Badeniemu prezydentury ministrów Koźmian stanął u szczytu wpływów. Opinia publiczna wyobraża sobie i naślepo bezzasadne powtarza pogłoski, że Badeni był martwem narzędziem w ręku swego przyjaciela i że podszepty jego z mechaniczną wykonywał usłużnością. Są to bezsensowe legendy, mijające się z prawdą i krzywdzące talent polityczny Koźmiana. Badeni był człowiekiem zanadto nerwowym, upartym, ambitnym, aby z chwilą dopięcia najwyższej w państwie godności dać się wodzić na pasku. Krótkie dzieje jego panowania wykazały, że szedł za gwiazdą swoją z niesłychaną pewnością siebie i doświadczenia swej galicyjskiej przeszłości pragnął zaszczepić na gruncie ogólno-państwowym. Uczeń oddalał się powoli w niektórych wypadkach od mistrza i próbował szczęścia na własną rękę. Koźmian nie był ani za reformą wyborczą, ani za osobistym podatkiem, ani za powołaniem Bilińskiego do gabinetu, a przecież i reformę wyborczą, i podatek, i powołanie Bilińskiego uskuteczniono.

Nie udało się również Koźmianowi przeforsowanie Dunajewskiego na namiestnika dla Galicyi, gdyż z ingerencyą Badeniego w tym kierunku skrzyżował się wpływ drugiego Polaka, ministra spraw zagranicznych, Gołuchowskiego, który u tronu popierał kandydaturę ks. Eustachego Sanguszki. Tak samo samowolnie zatwierdził Badeni na burmistrza Wiednia Luegera, chociaż dwukrotnie odradzał cesarzowi wyniesienie na fotel prezydenta stolicy tego demagoga, który umiał zdobyć sobie wziętość u motłochu przedmiejskiego. Wraz z tem zatwierdzeniem rozbił się w puch mit o żelaznej ręce premiera gabinetu i nastąpił początek końca. Badeni przystąpił do rozwiązania kwadratury koła: do uregulowania kwestyi narodowościowej i językowej w Austryi. Zamiast wstąpić na drogę ustawodawczą, postanowił rozplątać węzeł gordyjski drogą administracyjną Pewnego dnia pokazał Badeni Koźmianowi tekę aktów. „Patrzaj, to są rozporzędzenia językowe." — „Spal je lepiej w kominku", — odparł zagadnięty. „Dlaczego?" badał minister. „Nie znam ich treści, ale coś podobnego zgotowało upadek Potockiemu i Hohenwartowi. Gdyś już jest prezydentem gabinetu, niech Bóg pomoże, abyś nim najdłużej został". Badeni zrobił swoje. Rozszalała się burza, niebywała w dziejach parlamentaryzmu. W Izbie rozpanoszyła się obstrukcya o najostrzejszej postaci, zaczęło się dogorywanie centralistycznej Rady państwa. Koźmian radził użyć najgwałtowniejszych środków dla przełamania i poskromienia burzycieli, i obmyślono rzeczywiście źle przeprowadzoną i w niestosownej chwili uchwaloną *lex Falkenhayn*, zmieniającą regulamin narad. W odpowiedzi na oktrojowanie nowego porządku zbożowego wybuchła reakcya żywiołowa pod komendą radykalizmu niemieckiego i torowała sobie drogę na ulicę i pomiędzy roznamiętnione masy. Badeni ustąpił, pozostawiwszy nawę państwa na rozhukanej fali starć i walk nieprzejednanych.

Wraz z jego upadkiem zmalał wpływ polityczny Koźmiana. Obaj mieli wspólny dogmat i wspólną myśl przewodnią: odnowić na drodze konstytucyjnej ugodę z Węgrami i wszystko poświęcić dla utrzymania dualizmu monarchii. Pokazało się potem za Thuna, że Węgrzy we własnym interesie nie myślą nawet o zerwaniu dualistycznego ustroju państwa, tylko według starego swego systemu naciskają na Przedlitawię, aby jaknajwięcej wytargować dla siebie i nie wypuścić hegemonii z dłoni.

Koźmian był przez lat czterdzieści redaktorem „Czasu" i na szpaltach tego dziennika rozsnuł całą przędzę swych myśli. Artykuły jego odznaczały się zawsze tonem poważnym, prawdziwie pu-

blicystycznym i przekraczały ramy zaściankowej, parafiańskiej polikomanii. Wiał z nich powiew kultury europejskiej i europejskiego ducha, biła szeroka znajomość ludzi i sytuacyi. Szczególniej ulubionym tematem Koźmiana była postać Bismarka.

Na niwie stosunków galicyjskich reprezentował Koźmian system trzeźwienia i otrzeźwiania, który stawał się wraz z rozwojem stosunków i emancypacyą ludu coraz większą anomalią. Nowe horyzonty dla niego nie istniały, ewolucya cała narodu miała kres w dogmatach „Teki Stańczyka", wszystko poza nimi było tromtadracyą i buntem. Przeciwnik powszechnego głosowania, przeciwnik nawet wyborów bezpośrednich, duchem swoim i sferą pojęć widział kres mądrości w pewnego rodzaju *absolutum dominium*. Jego głośna książka historyczna „Rzecz o roku 1863" jest silnie zabarwiona duchem stronniczym i logiką stronniczą. Czuć, że publicysta, sam stojący w ogniu i będący kościołem wojującym, nie może się zamknąć w przeszłości i przesłonić źrenice na teraźniejszość!

W tym ciekawym i bardzo wybitnym człowieku łączą się różne pierwiastki i różne chcenia. Dziennikarz i polityczny człowiek był prawdziwym *magister elegantiarum* w rzeczach teatralnych, a to już pozostanie jego tajemnicą, jak te różne, często sprzeczne zajęcia umiał godzić i pogodzić. Koźmian był blizko dwadzieścia lat kierownikiem teatru krakowskiego i na tem stanowisku zdobył sobie (jak chcą niektórzy) tytuł twórcy „szkoły Koźmianowskiej". Czy to rzeczywiście była szkoła? Tak i nie. Tak, bo oduczył aktorów od przestarzałego patosu, grania płucami, nie psychologią, dążył do prawdy i odrzucił koturny; nie, bo ustalonej, pewnej, celowej metody w oddawaniu tej prawdy nie wytworzył, jak nowsi moderniści z Antoin'em na czele. Artystom pozwalał swobodnie rozwijać własną ich indywidualność, byle jej nie sprowadzali na bezdroża nienaturalnych wybuchów. I może ten system był rzeczywiście racyonalny i mądry, gdyż unikał maniery i zmanierowania się. Zasługą jego też pozostanie, że miał szczęśliwą rękę w wyszukiwaniu talentów i dobraniu personelu, który przyczynił się do wyniesienia polskiej twórczości dramatycznej na wyżyny sztuki.

* * *

Wraz z rozbudzeniem się ruchu ludowego i społecznego w Galicyi przeszczepiono na jej grunt instytucyę bardzo popularną, pożyteczną, stanowiącą jeden z najdodatniejszych czynników kultural-

nych w Danii, Skandynawii, Ameryce — uniwersytet ludowy. Tylko, że w tych krajach i państwach są zasobne środki, jest energiczna inicyatywa społeczna, a u nas prócz braku wydatnych zasiłków materyalnych jest konieczność pokonywania oporu sfer zachowawczych, które nieżyczliwie patrzą na działalność młodej instytucyi. Czy ta niechęć jest sprawiedliwa i uzasadniona? Nie, ale istnieje i sprowadza ujemne skutki, które z pewnością dalszego rozwoju uniwersytetu nie powstrzymają, ale go opóźniają. Wielu konserwatystów najniesłuszniej bojkotuje ten szczery czynnik propagandy oświaty, uważając go za siedzibę radykalizmu i wywrotu. Legenda podobna powstała na tle niechęci osobistych, ale właśnie takie niechęci nie powinny decydować nigdy w szerszem obywatelskiem życiu i w obowiązkach społecznych. Że się zdarzył odosobniony wypadek zuchwałości i nadużycia firmy instytucyi, to jeszcze ani prawo, ani racya, aby całe przedsięwzięcie potępić i piętrzyć na drodze jego rozrostu niedogodności, przybierające niekiedy formę pospolitych szykan. Błędy uniwersytetu wynikają z wady organizacyi, a ta wada z przykrych trudności, z jakiemi walczyć musi... Cóż np. począć, gdy wytrawni i znani uczeni usuwają się od współudziału i pomocy umysłowej, gdy boją się wejść w „czerwone" towarzystwo, aby żywe słowo rzucić między tłum? Nie upakarza podobne apostolstwo w Wiedniu ani Nothnagla, ani Jeruzalema, ani Minora, na galicyjskim jednak gruncie wszystko robi się z punktu widzenia polityki i w razie potrzeby fabrykuje się jakobinów, chociaż nie noszą i nie nosili frygijskich czapek... I pojąć się nie chce i nie może, że uniwersytet ludowy ma cele i przeznaczenia wyłącznie naukowe i nic więcej.. Oczywiście w braku znanych i uznanych prelegentów, trzeba szukać często młodszych, którzy wprawiają się dopiero, chociaż zadanie swe podejmują z rzetelnym zapałem.

Najsilniejsze postępy czyni instytucya ta w miastach: we Lwowie i w Krakowie, mniejsze—na prowincyi, chociaż prowincya powinna być jej podstawą. Brak odpowiednich lokalów, szykany starostów są twardą do przezwyciężenia grudą. Towarzystwo robi jednak, co może, aby usunąć usterki i pchnąć instytucyę na szeroką widownię pracy społecznej. Od przyszłego roku będą musieli prelegenci mniej znani i doświadczeni wypowiedzieć wykład próbny, który stanowić będzie o dalszych ich wykładach.

Cel uniwersytetu określił w memoryale dla wydziału krakowskiego dr. W. M. Kozłowski w sposób następujący: organizacya wykładów i nauki przedmiotów, wchodzących w zakres ogólnego wy-

kształcenia; organizacya czytelnictwa pod kierunkiem doświadczonych pedagogów; organizacya zabaw estetycznych, jak koncertów ludowych, teatrów ludowych, wycieczek na wystawy sztuki. Program ten po części wykonano. Kraków miał już przedstawienia ludowe i koncert, który zwabił około 1000 słuchaczów. Zasadą dla prelegentów jest forma nawskroś popularna, jasna, przystępna, chociaż obfitująca w jak najszerszą treść. Krótką dewizą: najgłębsza nawet wiedza w szacie najprostszej.

Ciekawa jest statystyka uniwersytetu. Narazie podajemy oddział zachodnio-galicyjski, krakowski. W roku administracyjnym 1899/1900 uczęszczało ogółem w Krakowie na wykłady przyrodnicze 5,107 słuchaczów, na historyczne 7,933, na społeczne i prawne 3,387, na filologiczne 884, na literaturę i sztukę 146. Wykładów odbyło się w roku 125, a cyfra słuchaczow dosięgła 17,457: z tego robotników 6,397 (37%), inteligencyi 8,488 (49%), młodzieży 2,590 (14%). Mężczyzn było 10,449 (58%), kobiet 7,008 (42%). Wstęp na wykład pojedyńczy wynosił 10 halerzy, serya z 10 wykładów kosztowała 60 hal. Największa ilość słuchaczy na jednym wykładzie wynosiła 600 osób, najmniejsza 28, przeciętnie 140 osób. Na wykładach przyrodniczych i prawno-społecznych bywa znaczna przewaga mężczyzn, na historycznych, filozoficznych i literackich — kobiet. Na prowincyi urządzono wykładów 11 — które dostarczyły 3,165 adeptów. Do dnia 23 lutego r. b. osiągnięto w samym Krakowie cyfrę 24,318 słuchaczów, a zatem na dwa miesiące przeszło przed zakończeniem się kursu o 6,861 więcej, niż w roku ubiegłym. Jest to najwymowniejszy i najpotężniejszy dowód, przemawiający za tą świetną i niezbędną instytucyą.

W kursie obecnym mimo wzrostu frekwencyi zaszły pewne niepokojące zmiany, których na razie nie podobna wykazać w braku ścisłej tabeli statystycznej. Zmalała mianowicie frekwencya klasy robotniczej w sposób bardzo znaczący. O udziale jej w wykładach w wysokości 37% mowy niema, stosunek jest niekorzystniejszy, bo trzeba się będzie (jak mi wyjaśniono) w ostatecznem obliczeniu zadowolić może 25%. Przypisać ten objaw należy złym stosunkom ekonomicznym, emigracyi proletaryatu robotniczego za chlebem do okręgów przemysłowych i znużeniu całodzienną, wyczerpującą robotą. Stowarzyszenie drukarzy przystąpiło np. z wkładką, jako członek uniwersytetu, mimo to dostarcza nader szczupłego zasobu słuchaczów. Jako interesującą zmianę zaznaczyć należy, że w zeszłym roku silniejszą była frekwencya męska, w tym zaś żeńska. Dla ilustracyi przytoczymy kilka prelekcyi z najnowszego progra-

mu. Przyroda. Dr. Petelenz: Historya naturalna człowieka. Urbanowicz: Astronomia (12 wykładów). Libański: Z dziedziny odkryć i wynalazków (6 wykł.) Dr. Wróblewski: O niektórych zjawiskach życiowych. Dr. Bruner: Chemia. Historya. Dr. Zakrzewski: Epoka rozbiorów Polski (6 wykł.). Szelągowski: Polska w XV i XVI wieku. Dr. Łuniński: wiek XVII. Nauki społeczne. Daszyńska-Golińska: Wstęp do ekonomi społecznej: Literatura i sztuka. Dr. W. M. Kozłowski: Literatura powszechna. Adam Siedlecki: Podkłady narodowe i socyalne literatury polskiej w XIX w. etc. Zauważyć w końcu należy, że niektóre odczyty uniwersytetu drukuje miesięcznik „Pogląd na świat", wychodzący pod redakcyą W. M. Kozłowskiego. Zarząd główny wydaje na wzór wiedeńskiego *Wissen fuer Alle* kwartalnik „Wiedza dla wszystkich", który zawiera część sprawozdawczą, artykuły popularne oraz przewodnik dla samouków.

We Lwowie wygłoszono razem w ciągu 3 kursów 215 wykładów przed 12,000 słuchaczów (robotników do 50%). Wykładów na prowincyi było przeszło 80 z imponującą cyfrą 15,000 słuchaczów.

Uniwersytet nosi nazwę — Adama Mickiewicza.

* *
*

We Lwowie powstało, a właściwie dopiero powstaje „Towarzystwo dla popierania nauki polskiej". Inicyatywa wyszła od profesora d-ra Oswalda Balcera, znakomitego historyka i zacnego człowieka. Pomysł swój powierzył prof. Balcer Towarzystwu historycznemu, którego wydział omówił plan ustawy, przez inicyatora opracowany i następnie udał się do wszystkich innych naukowych instytucyi we Lwowie z zaproszeniem, aby wysłały swoich delegatów w celu ponownego omówienia zadań nowej dźwigni wiedzy. Uchwalono statut, który wyraźnie zaznacza zamiary i dążenia instytucyi. Celem towarzystwa jest: udzielanie pomocy materyalnej badaniom naukowym, urządzanie wypraw dla dokonania zbiorowych poszukiwań w zakresie pewnej gałęzi umiejętności, dawanie zasiłków na częściowe pokrycie kosztów druku wydawnictw naukowych, ogłaszanie własnym nakładem publikacyi naukowych i t. d. Czas był już najwyższy, aby pomyślano o podobnej rzeczy i pomyślaną wykonano. Wiedza polska kuleje ustawicznie, kaleczy się z powodu braku oparcia materyalnego. Szeregi uczonych przerzedzają się coraz bardziej skutkiem dusznej atmosfery wydawniczej. Krakowska Akademia Umiejętności należy do najgorzej uposażonych

w całym świecie. Cały jej dochód roczny wynosił np. w 1899 r. niespełna 69,000 złr. Poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk daje o sobie znaki życia zapomocą jednego rocznika na lat kilka. Istnieją wprawdzie specyalne towarzystwa, zajmujące się fachowymi odłamami wiedzy, ale te w Galicyi rozwijają się dość słabo właśnie w braku odpowiednich zasobów pieniężnych lub powstają i giną, jak efemerydy.

Mimo szarzyzny finansowej robi się przecież wiele, bardzo wiele dzięki rozmaitym postaciom ofiarności i abnegacyi autorskiej. W memoryale swoim pisze słusznie prof. Balcer: „Byłoby zdrożną lekkomyślnością i niedbalstwem na tem, co jest, poprzestać i pocieszać się na przyszłość wiarą w dobrą gwiazdę i wyłączną łaskę Opatrzności. Społeczeństwo żywotne, po męsku działające, musi sobie samo, pomocą własną stwarzać i zdobywać warunki rezwoju kulturalnego nawet tam, gdzie ta jego praca natrafia na ciężkie przeszkody zewnętrzne. Każda taka nowa instytucya stanie się jedną z dźwigni naszego rozwoju kulturalnego, każdy wydatek, na powyższe cele poniesiony, iskrą, zapalającą nowe światła". Święta prawda, najrozumniejsze dążenia! Za główne swoje zadanie Towarzystwo będzie poczytywało wydawnictwa i zasiłki dla wydawnictw. Chce przez to uniknąć współzawodnictwa z Akademią umiejętności, która jest metropolią i środkowym punktem umiejętności. Czy zupełnie słuszne jest to ograniczenie celów towarzystwa do *forum externum* z wyłączeniem pracy wewnątrz, zbiorowej, w samej instytucyi? Na razie—może, ze względu na trudności finansowe, po wzmożeniu się jednak i spotężnieniu instytucyi—nie. Tu nie chodzi o współzawodnictwo, o decentralizacyę, tylko o szlachetną, idealną pracę dla wiedzy. Skupienie się zaś większej ilości ludzi, nie koniecznie piszących, ale inteligentnych dla osiągnięcia wspólnych zadań, skupienie się na posiedzeniach dla dysput i pogadanek naukowych może mieć daleko sięgające znaczenie i przeznaczenie społeczne. W każdym razie dzieło prof. Balcera stanowi doniosły czynnik kulturalny: może zmarnieje mniej idealnych dążeń, może gorętsze zapały znajdą w Towarzystwie oparcie i poparcie, może niejedna młoda, do lotu zrywająca się dusza uzyska z jego pomocą wstęp do świata nauki i do tytułu uczonego. Nazwisko inicyatora jest rękojmią szczerych i dużych chęci. Teraz kolej na publiczność, która, jak słychać, zrozumiała pobudkę i wysłuchała jej z przejęciem. Członków podzielono rozmyślnie na cztery kategorye, aby każdemu ułatwić przystąpienie. Członkowie czynni płacą jednorazową wkładkę w ilości 80 rub., zwyczajni rocznie 3,5 rub., wspierający doży-

wotni jednorazowo 20 rub., wreszcie wspierający zwyczajni 0,5 rub. rocznie. *Quod felix faustumque!*

* * *

Przed czterema laty powstało „Towarzystwo miłośników historyi i zabytków Krakowa”. Czas był najwyższy. Ręka wandalska spadła na niejedną stylową, kulturalną pamiątkę, druzgotała ją, szpeciła, kaleczyła. Ładne krużganki w kościele OO. Dominikanów w Krakowie przeżyły renesans i barok, przeżyły Szwedów i armie zaborcze, nie oparły się jednak dzikim gapiom, oglądającym dzieła sztuki... laską. Chodziło nie tylko o położenie tarczy Automedona na szanownych świadkach zamierzchłej przeszłości, ale i o wszczepienie w ogół odczucia i uczucia dla zabytków, którymi Kraków oddycha, jak starzec dobrem, chlubnem wspomnieniem. Przecież już Kaczkowski słusznie zauważył, że od czasów przeniesienia stolicy do Warszawy odwrócił się Kraków twarzą do zamarłych wieków i skamieniał. Dużo, dużo w tem słuszności!

Inicyatywa wyszła od ś. p. Władysława Łuszczkiewicza, inni ją podjęli i rozwinęli. Warsztatem Towarzystwa stało się z natury rzeczy archiwum dawnych aktów miejskich przy ulicy Siennej. Nie było i niema innego lokalu, nie widać firmy nazewnątrz, nie słychać reklamy, a przecież młoda instytucya wprawia w zdumienie swoją ruchliwością, tężyzną, obywatelskością. Liczba członków wzrosła od chwili założenia z 176 na 428. A są w ich gronie poważni przedstawiciele społeczeństwa, nazwiska znane, wybitne. Samych profesorów, docentów i uczestników uniwersytetów krajowych i zagranicznych należy do Towarzystwa 63! A co zrobiono w ciągu czterech lat! Zwiedzano gromadnie kościoły, te galerye naszej sztuki i cywilizacyi, pod przewodnictwem doświadczonych ciceronów i przekonano ludzi, że, mieszkając w Krakowie, nie znali go. To dużo, ale nie koniec. Towarzystwo wydaje (nie peryodycznie) popularną „Bibliotekę krakowską”. Wyszło już 18 broszur czyli około 5 na rok. Dla charakterystyki—niektóre tytuły: Adam Chmiel: „Marcin Oracewicz”. Kl. Bąkowski: „Dom Długosza” i „Historya Krakowa w zarysie”, Muczkowski: „Skałka”, Walery Eliasz: „Konik zwierzyniecki”, Łuszkiewicz: „Sukiennice”, Sternschuss Adolf: „Dom Matejki”, Karbowiak: „Obiady profesorów krakowskich”, Bukowski X.: „Kościół S-tej Anny”, St. Tomkowicz: „Tyniec”. Wszystko to tanizna, bardzo dobrze, czasem zbytkownie wydana i illustrowana. Egzemplarz kosztuje przeważnie pięć lub 10 centów, a naj-

droższe i najobszerniejsze dzieła Bąkowskiego „Historya Krakowa” (188 str.) i „Dzieje wszechnicy krakowskiej” po 35 ct.! Z powodu nizkich cen „Biblioteki” książki znajdują chętnych nabywców: „Skałkę” bito np. w 5,000 egzemplarzy. Towarzystwo płaci mimo szczupłych zasobów materyalnych honoraryum autorskie w wysokości 12 złr. od arkusza „Biblioteki”, a 25 złr. od „Rocznika”.

Redaktorowie i wydział krzątają się około sprawy rozumnie, prawdziwie *fortiter in re!* Wybierają kolejno najciekawsze momenty kultury krakowskiej i podają je seryami. Złoży się z tego popularna historya „małego Rzymu”, złoży samo przez się i z siebie. To, czego dokonał Władysław Łoziński w „Patrycyacie i mieszczaństwie lwowskiem” co do przeszłości Lwowa XVI i XVII wieku, zrobi tu zbiorowa praca, ale już — co do całej przeszłości Krakowa. Legnie wprawdzie pod gruzem zimnej rzeczywistości niejedna baśń, rozwieje się wiele legend, ale sumienie badacza zwycięży... A zresztą i legendom krzywda się nie stanie, bo one skrzydłem odradzającego się feniksa krążyć będą w pieśni ludowej. Nóż prawa magdeburskiego, zawieszony w środkowem przejściu Sukiennic, pozostanie zawsze bratobójczem narzędziem, złączonem z budową maryackich wież.

Marya Stuart ocalała w aureoli Schillera, choć ją zgasiły dłonie historyków... Cztery dotychczasowe „Roczniki” są redagowane wzorowo, a szczególniej ostatni, odnoszący się do 500-ej rocznicy istnienia wszechnicy Jagiellońskiej i dziewięćsetlecia zbudowania samodzielnej organizacyi Kościoła polskiego,—jest chlubą sztuki typograficznej i rzeczywistym pomnikiem działalności tego niezwykłego Towarzystwa. Niebawem urządzi też ono zbiorową wystawę rysunków i obrazów wybitnego krakowskiego *par excellence* malarza, Michała Stachowicza. Równocześnie stara się Towarzystwo o jak najprędsze założenie muzeum miejskiego i zbliża się do tego celu wolno, ale systematycznie. Każdy kamień, każde miejsce uświęcone i owiane tchnieniem przeszłości znajduje w tych „miłośnikach” dobroczynnych ojców i opiekunów. Na domu narożnym przy pl. Wolnicy i ul. Gazowej wmurowano tablicę z zaznaczeniem, że w tej starej dzielnicy, niegdyś Bawołem zwanej, rozpoczął król Kazimierz Wielki wznosić fundamenta dla wszechnicy, które fundamentami miały pozostać. Pomimo tak świetnych i dodatnich rezultatów Towarzystwo ma w budżecie czteroletnim deficyt 2,528 złr. skutkiem żywego ruchu wydawniczego. A przecież niepodobna dopuścić, aby ograniczyło tyle zasłużoną działalność. Jedynym zatem warunkiem jego równomiernego rozwoju może być liczniejsza ilość członków

i wydatniejsza subwencya miasta, która wynosi zaledwie 600 złr. rocznie. Także Sejm i instytucye nie powinny zapominać o czynniku, który jest jednem z silnych ogniw postępu naszej nauki. Dodać wypada, że prezesem Towarzystwa jest prof. uniwersytetu, dr. Stanisław Krzyżanowski, najruchliwszym zaś pracownikiem i sekretarzem — adwokat, dr. Klemens Bąkowski.

* * *

Pouczająca jest statystyka frekwencyi w uniwersytecie Jagiellońskim w ciągu ostatnich lat pięciu. Najsilniejszą pozycyę przedstawia wydział prawa i administracyi, na którym ilość słuchaczów waha się pomiędzy cyfrą 677 a 737. Medycyna straciła natomiast bardzo pokaźną liczbę adeptów skutkiem otwarcia fakultetu lekarskiego we Lwowie. Jeszcze w roku 1896 liczył wydział medyczny (w zimie) 357 uczniów, a w r. 1900 zaledwie 176, a więc o 181 mniej. Gwałtowny ten spadek zagrażał brakiem zupełnej frekwencyi w bieżącym roku na pierwszym, wstępnym kursie. Lwów zrobił ogromną i w tych rozmiarach nieprzewidzianą konkurencyę *almae matri* krakowskiej. Natomiast wzrasta stale frekwencya na filozofii w sposób bardzo pocieszający i wydatny. Na wydział ten zapisało się w semestrze zimowym z 1896 na 1897 rok 191 słuchaczów, a w r. 1899 na 1900—r. 376. Przyrost powyższy zawdzięczać należy polepszeniu bytu zastępców nauczycieli szkół średnich i stworzeniu nowych gimnazyów, a tem samem poprawienie się stosunków awansowych w zawodzie pedagogicznym. Ilość uczniów filozofii zwiększy się jeszcze znacznie, gdy rząd zdecyduje się przeprowadzić racyonalną reformę studyów na tym wydziale wraz z przymusowymi egzaminami, a raczej rozłożeniem ich na cały ciąg studyów na wzór wydziału prawa i administracyi. Skutkiem garnięcia się młodzieży do stanu nauczycielskiego nie stracił uniwersytet nic w ogólnej frekwencyi mimo potężnego *diminuendo* na medycynie. Krąży ona około cyfry 1330 w półroczu zimowem, a 1250 w letniem. Teologia nie przekracza ilości 71 alumnów, a w lecie 66. W odpowiednim zupełnie stosunku przedstawia się statystyka promocyi doktorskich. Na medycynie dyplomowano od 1896 r. — 1900 (ostatnia data 12 lutego) 275 lekarzy (1896/7 — 92, 1897/8 — 71, 1898/9 — 59, 1899/1900 — 43, a 1900/01 — 14). Ilość doktorów prawa zmniejsza się także stanowczo dzięki rozporządzeniu, mocą którego *rigorosa* z doktoratem bez egzaminów ścisłych nie uprawniają do wstąpienia do służby państwowej. Młodzież uboższa nie sięga po tytuł dla zaoszczędzenia

sobie kosztów, wiedząc, że ten tytuł ani specyalnych przywilejów, ani naukowego uroku nie nadaje. Ogółem promowało się na prawie w ciągu ostatnich pięciu lat 261 prawników (1896/7 — 89, 1897/8 — 37, 1898/9 — 62, 1899/1900 — 59, 1900/01 — 14). Wyjątkowe są doktoryzacye na filozofii, bo w ciągu wzmiankowanego czasu było ich zaledwie 22, jeszcze rzadsze na teologii, bo zaledwie cztery. W każdym razie rozdano w ciągu niespełna pięciolecia 602 dyplomów w samym Krakowie! Wobec tego zapytać należy, czy doktorat jest rzeczywiście *eine Visitkarte in die Gelehrtenwelt*, jak się wyrażał znakomity profesor Waitz w Getyndze? Cyfry za siebie mówią, bardziej jednak zimna, realna rzeczywistość życiowa. .

* * *

Brak szkół średnich w Galicyi staje się tem dotkliwszy, im szersze warstwy młodzieży ze sfer ludowych garną się ku nim, pragnąc stanąć kiedyś w szeregach inteligencyi. Galicya, zaniedbywana przez długie lata, wydana na łup gospodarki centralistycznej, gwałtem germanizowana, odradza się silnie na polu szkolnictwa, pochłania coraz więcej zakładów i sił nauczycielskich. Przepełnienie w gimnazyach i szkołach realnych jest niesłychane. W większych miastach niepodobna czasem myśleć nawet o racyonalnej nauce i prawdziwie pedagogicznem prowadzeniu uczniów. Wiele rzeczy robi się pod hasłem *ut aliquid fecisse videatur*, byle ciągnąć taczkę. Dla ratowania położenia tworzy się zamiast nowych zakładów klasy równorzędne, czyli t. z. paralelki, przy dawnych, ale ten środek zaprzepaszcza tylko rozumny rozwój szkolnictwa. Jedynie energiczna, ofiarna akcya rządu może zaradzić złemu i nie dopuścić do dalszego rozwoju stosunków nienormalnych zarówno pod względem hygienicznym, jak kulturalnym. Do jakiego stopnia zaniedbują w Wiedniu sprawy szkolnictwa galicyjskiego, świadczy najwymowniej wykaz, zawarty w dzienniku urzędowym rozporządzeń ministeryum wyznań i oświaty. Przyjąwszy maksymalną liczbę w szkole średniej 400 uczniów, — w Przedlitawii było w r. 1898/9 — 35.6%, w roku 1899/1900 — 37.1%, a w r. 1900/1 — 38.2% zakładów z anormalną liczbą uczniów. W tym samym czasie wynosiła ilość anormalnych zakładów w Galicyi 73.7%, 87.8%, 88.2%!! W roku bieżącym ma 8 zakładów od 400 — 500 uczniów, 8 od 500 — 600, 5 od 600 — 700, 2 od 700 — 800, 5 od 800 — 900, 1 od 900—1000, 1 od 1000—1100! Normalnych jest zaledwie 16 zakładów, natomiast anormalną frekwencyę ma 84!! Cyfry za siebie mówią, nie potrzebują komenta-

rza. Z tabeli statystycznej wynika, że z roku na rok gorzej, a poprawy jakoś nie widać...

* * *

Bolesną i do publicystyki właściwie nienależącą jest sprawa znakomitego uczonego, docenta wszechnicy Jagiellońskiej, dra Wincentego Lutosławskiego. Do prasy nie powinna się była nigdy a nigdy przecisnąć, jako rzecz prywatna i w tym swoim charakterze święta. Niestety, jest to dziś *cause celebre*, dzięki stosunkom, panującym w Galicyi. Dzieje się tu wszystko pod sygnaturą polityczną, sygnaturą roznamiętnienia i ustawicznej walki. Z chwilowego zawieszenia wykładów dr. Lutosławskiego ukuto broń przeciw konserwatywnemu uniwersytetowi pod hasłem: „hejże na Stańczyka!" I, chociaż piszący te słowa nie poczuwa się wcale do obowiązku obrony uniwersytetu, niemniej jednak uważa za obowiązek bronić prawdy. Jedno z pism radykalnych nazwało dobrowolny wyjazd Lutosławskiego za granicę „wygnaniem", powynajdywano na poczekaniu formuły męczeństwa dla wyznawcy „filozofii narodowej". Tymczasem *Alma mater* czyniła wszelkie możliwe ustępstwa profesorowi. W półroczu zimowem 1900/1 zapisało się na wykład Lutosławskiego p. t. „Pogląd na świat Dantego" 86 słuchaczów, a uczęszczało około 500 osób z poza grona młodzieży uniwersyteckiej, które rekrutowały się przeważnie z żywiołów, na niższym poziomie inteligencyi stojących. Czarna masa tłoczyła się nieraz w drzwiach wykładowych i zalewała krużganki, nie mogąc się wcisnąć do audytoryum. Auli nie podobna było odstąpić ze względu na obowiązujące przepisy. Sam Lutosławski stwierdził, że niepożądani ludzie mącą mu spokój w sali i postanowił przenieść wykłady na szóstą rano, aby doświadczyć prawdziwie zamiłowanych i oddanych sobie adeptów. Niebawem nastąpiła chwila przerwy z powodu niedyspozycyi Lutosławskiego. Koledzy z grona profesorskiego nalegali, aby ratował zdrowie w ciszy i wypoczynku i nie rozstrajał go bardziej nadmierną pracą. Prof. Lutosławski sam uznał słuszność życzliwych rad, uznała ją także rodzina. Wtem nastąpił alarm prasy radykalnej, snuto fantastyczne baśnie, zbudowano cały arsenał rynsztunku przeciw uniwersytetowi, przedstawiono rzecz w mylnem oświetleniu. Usunięcie się prof. Lutosławskiego uznano za akt nacisku i terroru, za ofiarę na ołtarzu kierunków i dążności ideowych. Zrazu protestował Lutosławski już z zagranicy przeciw podobnym insynuacyom, ogłosił komunikat, wynoszący pod niebo koleżeńskość uniwer-

syteckiego grona profesorskiego, potem nastąpiła zmiana frontu. Ataki po atakach padały, trzeba było osłonić własne postępowanie i zażądać dla niego kontroli u wyższej władzy. Akcya była tem naglejsza i konieczna, że dr. Lutosławski zamierzał niebawem wrócić i podjąć nanowo swoją działalność. Wydział filozoficzny wniósł stosowne propozycye do ministeryum oświaty, a to wybrało najuczciwszą i najlżejszą formę, bo dyspensowało dr. Lutosławskiego od pełnienia obowiązków aż do chwili, gdy znowu je będzie mógł podjąć z pożytkiem dla wiedzy i młodzieży. Tego rodzaju rozwiązanie sprawy stało się źródłem nowej burzy... Nalegano na przeniesienie sprawy do Rady Państwa... Nic nie pomogły orzeczenia wybitnych uczonych, między innymi Binsvangera, że prof. Lutosławski musi się dłuższy czas trzymać zdala od wysilających umysłowych zatrudnień. Poseł stronnictwa ludowego, Olszewski, zjechał umyślnie do Krakowa, aby się poinformować o stanie rzeczy, i mimo swego opozycyjnego ducha postanowił po powrocie do Wiednia nie interpelować ministra oświaty. Stało się dobrze i uczciwie i uniknęło się niepotrzebnego rozmazywania tak przykrej sprawy na szerszej i obcej widowni. Prof. Lutosławski zwrócił się do kolegów swoich w Jenie z prośbą o interwencyę. Nie ulega wątpliwości, że sam uniwersytet pragnie najrychlejszego odzyskania świetnego uczonego, że powita go z otwartemi ramionami, byle się stało najprzód zadość woli i zdaniu opiekunów zdrowia i życia ludzkiego. Tyle dla koniecznego wyjaśnienia sprawy, która i dla Królestwa niezupełnie może przejrzystą była.

Włodzimierz Koszyc.



Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ *).

VIII.

Fizyczna konieczność podniesienia produkcyjności roli ma, podług obrońców miru, na umysły włościańskie, na rozwój form użytkowania własnością ziemską wpływ słabszy, aniżeli rozwój z ducha narodu pochodzącej idei gminnej, rozwój altruizmu, poczucia równego prawa wszystkich do pracy i do równego zaspokojenia potrzeb, t. j. rozwój idei prawa do życia.

Rola ekonomisty, traktującego kwestye tego rodzaju, jest niesłychanie delikatną. Zwykły sprawdzian jego wniosków — statystyka –z rąk mu się wymyka. Może on tylko sprawdzić, czy fakty, na których oparto istnienie tych idei, należycie zrozumiano i oceniono; zbadać, czy idea ta działa istotnie, czy przejawia się i na innych polach działalności gminy? Musi on bowiem przypuszczać, że idea gminna, jeżeli przejawia się w formach użytkowania z gruntu

*) Ob. „Ateneum“, styczeń—marzec, lipiec—sierpień, październik — grudzień, 1900 r.; styczeń — luty, 1901 r.

i istnieje żywa, przenikać musi i do innych sfer życia, musi i na nich ślad wyraźny pozostawiać.

Rozwój „idei gminnej”, „dążenie do wyrównania” Woroncowa, realizacya „prawa do pracy” i „prawa do życia Kaczorowskiego przejawiają się, ich zdaniem, w zeznaniu równego prawa każdego członka gminy (czasem tylko męskiego, czasem bez różnicy płci) do ziemi gminnej — w podziałach gruntami mirskimi.

Ale co do podziałów tych, szczególniej co do podziałów między 1861 a 1885, zachodzi ta kardynalna wątpliwość, czy były one podziałem ziemi, czy też podziałem ciężarów gminnych,—że zatem, jako prawdziwy i niewątpliwy wyraz rozwoju idei gminnej, mogą służyć tylko podziały, robione po zniesieniu podusznego podatku i obniżeniu sum wykupowych, t. j. po 1885 roku. Badania statystyczne, na których się opierają prace najnowszych obrońców rozwoju idei miru, kończą się latami 1891 (u Woroncowa) i 1899 (u Kaczorowskiego), mają więc za fundament tylko fakty, zebrane w ciągu *maximum* 6 do 14 lat. Fundament to bardzo płytki, i wnioski, na nim oparte, muszą być z wielkiemi zastrzeżeniami przyjmowane. To, co Woroncow nazywa ideą gminną, a Kaczorowski—prawem do pracy i prawem do życia, jeśli nawet istnieje w umysłach członków gminy, to prawdopodobnie istnieje „pod horyzontem ich świadomości”, jest raczej przeczuciem, niż ideą.

W świadomości narodów europejskich, zachodnich, oba te prawa, do życia i do pracy, formułują się w XVIII i XIX wieku. Do XVIII wieku próżniak, niepracujący włóczęga, ulega karze. W epoce rewolucyi przemysłowej XVI do XVIII wieku zjawia się robotnik, bez winy własnej próżnujący, i na wniosek Target'a Zgromadzenie Narodowe dekretem 27 lipca 1789 uznaje obowiązek społeczeństwa zapewnienia życia obywateli przez danie im własności, pracy lub środków do życia. Landrecht pruski z r. 1794 w tytule „O zakładach dla ubogich” wkłada na państwo obowiązek troszczenia się o wyżywienie tej części ludności, która sama wyżywić się nie jest w stanie, i państwo obowiązek swój ma spełnić, dostarczając pracy tym, którzy jej znaleźć nie mogą, a zmuszając do pracy karami i przymusem tych, którzy pracować nie chcą. Fichte pierwszy zajmuje się stroną teoretyczną tego prawa (Geschlossener Handelsstat), a rząd tymczasowy we Francyi w roku 1848 stosuje go praktycznie. Wszędzie w Europie pod prawem do pracy i życia rozumie się prawo proletaryusza (człowieka, nie mającego żadnej własności) do wolnego (bez wynagrodzenia) rozporządzania narzędziami pracy, które powinny być własnością społeczeństwa.

Prawo do pracy i życia w „mirze" ma zupełnie inne znaczenie. Członek miru jest współwłaścicielem ziemi, tej ziemi, do której wzdycha proletaryusz zachodni. W większości gmin rosyjskich ziemi jest dość, aby, abstrahując podatki, ciężary państwowe i gminne, zaspokoić potrzeby do życia przy odpowiedniem zastosowaniu kapitału i pracy. Główną przyczyną ubóstwa tego włościanina poza „mirem" są: brak umiejętności pracowania, brak inwentarza i narzędzi rolnych, ciężary i podatki; która z nich najważniejsza, nie będziemy rozbierać: wszystkie istnieją. Najważniejszy jednak ze środków produkcyi, ten środek, którego brak jest wskazany na zachodzie, jako główna przyczyna sproletaryzowania (Georges), ten jest w jego ręku i tym rozporządza on, jako gmina. Proletaryat zachodnio-europejski, postawiony na miejscu członka miru, przestałby być proletaryatem.

Jeśli więc na gruncie miru powstają i rozwijają się idee „prawa do życia" i „prawa do pracy", to idee te są inne, jak odpowiednie idee, wyrosłe na gruncie zachodniej Europy, i z różnic tych należałoby zdać sobie sprawę.

Prawo do pracy i życia na zachodzie Europy jest prawem każdego członka narodu, każdego poddanego państwa. W mirze jest ono wyłącznem prawem członka gminy, prawem, nabywanem dziedzicznie, bez względu na osobistą zamożność lub ubóstwo, indywiduum. W dwu sąsiednich gminach może panować: w jednej brak ziemi, w drugiej nadmiar ziemi, a mimo to członek pierwszej z tych gmin nie ma prawa żądać ziemi w drugiej. Robotnik fabryczny, do gminy nie zapisany, jest od dobrodziejstw miru wyłączony, a członek miru, zdobywszy nadział, często wydzierżawia go. Prawo do życia i pracy w mirze jest prawem pewnej klasy narodu tylko, a nie każdego członka społeczeństwa, jest przywilejem, sprzecznym z ideą zasadniczą samego prawa.

Gdybyśmy zrobili każdego włościanina w mirze osobistym właścicielem ziemi, a co ważniejsza, gdybyśmy mu dali chęć do pracy i umiejętność pracy, gdybyśmy przy tem zorganizowali kredyt rolny na zakup inwentarza i narzędzi, a zmniejszyli ciężary państwowe i gminne, włościanin ten—zapewne—w wielu okolicach byłby zamożniejszy od włościanina zachodniej Europy, znalazłby się w lepszem położeniu od robotnika krajów przemysłowych, i poszukiwania rozwoju idei prawa do pracy i życia w jego świadomości stałyby się bezcelowemi.

Robert Singer w specyalnem studyum nad prawem do pracy robi słuszną uwagę, że prawo to prowadzi za sobą w logicznej kon-

sekwencyi obowiązek pracy dla tego, który się na prawo do pracy powołuje. Dlatego to, gdy indywiduum, powołując się na to prawo, zwraca się do społeczeństwa z żądaniem, aby ono dało mu środki pracy i zaspokojenie jego potrzeb, powinno dowieść, że ze swej strony pracy tej szukało i znaleźć jej nie mogło. Gmina ruska—mir — daje ziemię, realizuje prawo do pracy, nie sprawdzając, czy żądający ziemi pracuje na niej, czy nie, czy nawet ma zamiar na niej pracować. Daje ziemię wszystkim zapisanym, daje ją tym, którzy pracują w fabrykach i dla których to prawo jest czasami źródłem renty. W jednej z największych fabryk moskiewskich Tow. Akc. „Emil Zindel", liczącej w 1898 r. do 2,255 robotników — 94,2% tych robotników byli to włościanie, zapisani do gmin; z nich tylko 780 robotników wiedziało dobrze, jak wielka jest przestrzeń gruntu, który mają we wsi; reszta sama nie obrabiała go, oddając w dzierżawę, albo porzuciła go, jeżeli dochodu—renty—z niej nie miała[2]). Prawo do pracy, realizujące się w „rencie", jest jedną z najdziwniejszych ekonomicznych anomalii, która jednak w Rosyi rzadkością nie jest [3]).

W gruncie rzeczy kwestya rozwoju idei gminnej w mirze opiera się na faktach niewyjaśnionego znaczenia i dotycze niejasno sformułowanej idei, a przytem idea gminna, która w sferze podziałów ziemi ma wzrastać „z niczem nieprzepartą siłą", zdaje się zanikać w innych sferach życia włościańskiego. Dowodu na to dostarczają badania Karyszewa nad ewolucyą dzierżaw włościańskich.

Zdaniem Karyszewa w pierwszych latach po uwłaszczeniu włościan arendy gminne były bardzo w użyciu; gmina dzierżawiła ziemię z poblizkich folwarków, zobowiązywała się solidarnie do płacenia czynszu dzierżawnego i rozdzielała grunt między swych członków na tych samych zasadach, na jakich dzieliła grunty gminne. Z biegiem czasu śród gminy zjawiali się biedniejsi, którzy nie byli w stanie ani płacić dzierżawnego czynszu, ani ziemi uprawiać. Wyłączano ich więc od użytkowania dzierżawioną ziemię, i zwolna dzierżawy gminne przeszły w dzierżawy spółkowe (artielami), t. j. takie, w których pewna ilość zamożniejszych gospodarzy stawała do

---

1) R. Singer „Das Recht auf Arbeit", Jena 1895, str. 77/8.

2) P. M. Szestakow „Robotnicy fabryki Tow. Emil Zindel w Moskwie." Moskwa, 1900.

3) Podług danych Skworcowa, w gub. Saratowskiej i Woroneskiej 76,236 gospodarzy dzierżawi grunty u sąsiadów w ilościach od 3 do 12,5 dziesięcin, a ogólna przestrzeń tak wydzierżawionej ziemi w 1891 r. wynosiła 350,000 do 400,000 dzies.

kontraktu dzierżawy, jako strona, dzieliła grunt dzierżawiony między siebie, czasem w całości, a czasem resztę oddzierżawiała z zarobkiem, nie należącym do spółki. Z biegiem czasu i te spółki rozpadały się, a dziś często każdy dzierżawi sam na siebie; gminne dzierżawy zanikają—upadają. Nawet tam, gdzie dotąd formalnie „gmina" dzierżawi, biedni od użytkowania gruntów są wyłączeni i z gruntów, wydzierżawionych przez mir, użytkują bogatsi [1]). Idea gminna, jak należy sądzić z faktów niezawodnych, dotyczących dzierżaw włościańskich, zanika i gaśnie, a tem samem wzbudza podejrzenie co do jej siły i rozwoju w sferze podziału gruntów gminnych.

Jako główną przyczynę zaniku dzierżaw gminnych, Karyszew wskazuje na zubożenie ludności i wzrost ceny dzierżaw; znika więc ona pod wpływem czynników ekonomicznych, działających w gminie. Ziemia gminna też rośnie w wartości, i różnice ekonomiczne wewnątrz gminy stale wzrastają; a jeśli wobec nich idea gminna jest bezsilna, to brak ten siły powinien się przejawiać i co do podziałów w gminie. Dla nas teza Karyszewa jest najzupełniej dowiedziona, dane, na których się ona opiera, mają tę jedną wadę, że nie obejmują jeszcze całości państwa; dotyczą one jednak tych samych gubernii, do których odnoszą się dane Woroncowa i Kaczorowskiego, do gubernii, zbadanych statystycznie przez ziemstwa, i, jeśli w tych guberniach idea gminna zanika w sferze dzierżaw włościańskich, to zanika też niezawodnie w sferze podziałów ziemią.

Jest jeszcze drugi powód, dla którego na altruizm w mirze, na wzrost idei gminnej musimy zapatrywać się sceptycznie: jest nim sposób, w jaki gmina egzekwuje sama podatki od zalegających członków miru. Wedle wyraźnych przepisów prawa[2]), odebranie udziału w gruntach jest środkiem ostatnim; w praktyce jest on środkiem pierwszym, bardzo często stosowanym. Nie stosują go — mówi Brzeski[3]) — tam, gdzie ziemia jest zła, dochodu nie daje, a zarobki postronne stanowią główną podstawę bytu ekonomicznego włościanina. W danych faktycznych, jakie tenże autor przytacza, zoryentować się bardzo trudno bez ilości, cyfr i ogólnych zestawień. Ogólne jednak wrażenie, jakie zostawia nie tylko przeczytanie odpowiednich ustępów jego dzieła (str. 198 — 210), ale i każde badanie sposobów faktycznego egzekwowa-

---

[1]) Karyszew, l. c. str. 199—209.
[2]) Część I „Ateneum", tom II str. 324.
[3]) M. Brzeski l. c. str. 201.

nia podatków w mirze jest to, że gmina tylko pod naciskiem władz policyjnych i naczelnika włości przystępuje do repartycyi podatków zaległych na członków gminy; woli uciekać się do kar cielesnych, aresztu i odbierania gruntów, a wreszcie woli nawet dopuścić do niedoboru i sprzedaży ruchomości w gminie, przyczem najczęściej najbiedniejsi najgorzej na tem wychodzą.

N. W. Protasjew, stały członek rjazańskiego urzędu gubernialnego do spraw włościańskich, w ten sposób opisuje typową egzekucyę podatków w gminie [1]. „W ciągu roku starosta i poborca „w jakikolwiek sposób, zgodny lub niezgodny z prawem, wydziera „włościanom coś nie coś na zapłacenie podatków; dopiero, gdy ku „końcowi roku naczelnik powiatu (isprawnik) grozić zacznie, a po„tem naprawdę wsadza do aresztu starszych włości i starostów „gmin, wtedy ci z kolei zaczynają grozić zebraniom gminnym soli„darną odpowiedzialnością, i wtedy to, pod wpływem zamożnych „włościan, nie chcących płacić podatków za zalegających—chociaż „oni sami też zalegają, bo zamożny chłop po większej części płaci „zaległości ostatni—zebranie gminne wybiera pełnomocników, któ„rzy pijani i nieprzytomni chodzą ze starostą do chałup włościan „zalegających, ściągają kubany za odłożenie zapłaty, a gdzie ich nie „dostają, grabią z chałupy, co im w ręce wpadnie, i sprzedają, za co „się da. Wtedy to lichwiarze i eksploatatorowie wiejscy (kułaki i mi„rojedy) skupują za bezcen inwentarz i za bezcen oddzierżawiają od „zalegających ich grunty, jakoby na zasadzie dobrowolnej umowy, „a w ostatecznym rezultacie połowa gospodarzy we wsi jest zruj„nowana, pewna część zaległości podatkowej zapłacona, widmo soli„darnej odpowiedzialności odsunięte, a niezapłacona część podatków „zalega u bogatych włościan". Pogodzić ten obraz, malowany piórem człowieka, blizko gminy stojącego, i posiadający doniosłość dokumentu urzędowego, z altruizmem, ideą gminną, etc. trochę trudno.

Aż do 1861 r. odbieranie gruntu zalegającym nie szło tak łatwo. W dobrach prywatnych zależało ono od woli pana, w dobrach skarbowych i apanażowych od decyzyi władzy: izby skarbowej i kantoru apanażów, i to na zasadzie postanowienia zebrania gminy z wyłożeniem motywów. Po r. 1861 odbieranie gruntu jest stale na porządku dziennym. Kaczorowski mówi o niem, jako o sposobie „ulże-

---

[1]) Dwa referaty, złożone do protokułów posiedzeń komisyi w sprawie reformy praw o włościanach. Brzeski, l. c, str. 257.

nia biednym ciężaru". To rzecz bardzo względna: bywa ono, i może daleko częściej, środkiem złupienia biednych na korzyść zamożniejszych włościan. Brzeski sądzi, że tendencya odbierania gruntu wzrosła od czasu, gdy wskutek umorzenia niedoborów i rozłożenia ich, a także wskutek zniesienia podatku podusznego, ziemia zaczęła dawać coraz większy dochód. W przedstawieniu ministeryum spraw wewnętrznych z d. 16 listopada 1892 r. Nr. 13670, opartem na doniesieniach gubernatorów, powiedziano: że fakty odbierania nadziałów biednym wskutek machinacyi bogatych zdarzają się często [1]). Prawo o podziałach, wydane w 1893 r. (przytoczone przez nas w części I) miało na celu między innemi temu nadużyciu zapobiedz. W jednej gubernii Rjazańskiej w ciągu jednego roku 1884 12,281 nadziałów zostało wydzierżawionych. W powiecie Kozłowskim oddzierżawianie ziemi ma miejsce masowo na jesieni, w epoce „wybijania podatków", a ci sami włościanie, którzy ziemię swą wydzierżawili, zadzierżawiają ziemię od sąsiedniego obywatela po cenie 2 i 3 razy droższej. W gubernii symbirskiej mir jest na takie wydzierżawianie obojętny, a naczelnicy ziemscy domagają się oddzierżawiania, jako środka, ułatwiającego wniesienie podatków [2]).

Nakoniec jeszcze jedna uwaga w kwestyi altruizmu. Badający „mir" ma prawo uważać zebrania gminne i postanowienia ich za wyraz idei, rządzących w mirze. To zaś, czego ze źródeł urzędowych i nieurzędowych o zebraniach gminnych dowiedzieć się można, nie świadczy pochlebnie o ideach, jakie w nim przeważają. Zebrania gminne, mówi cytowany już wyżej Protasjew, dopuszczają się rzeczy, za które urzędnik policyjny znalazłby się na ławie oskarżonych [3]).

To pewna, że żadna gmina w Europie nie posiadała tak szerokich praw autonomicznych, jak mir po 1861 r.; żadna nie miała prawa decydować o wysokości opodatkowania i o majątku swych członków, mimo to, że kulturalnie mir nie stoi wyżej od gmin zachodnio-europejskich. Wszelką kontrolę władzy, istniejącą do 1861 r., zniesiono przy reformie. Już komisya tak zw. Wałujewska (1872 r.) zwróciła uwagę na smutne skutki tej zbyt szerokiej autonomii. Zdaniem tej komisyi, samowola kieruje postanowieniami zebrań gminnych, sprawy decydują krzykacze, próżniaki i zalegający w podatkach; nie tylko zebrania gminne, ale i sądy często nie odbywają

---

[1]) Brzeski l. c. str. 242.

[2]) Brzeski l. c. str. 243 i 244.

[3]) l. c. 239.

się bez wódki. Zastąpienie mirowych pośredników urzędami do spraw włościańskich w 1874 r. nie poprawiło stanu rzeczy. Senator Mordwinow po rewizyi, dokonanej w gubernii Tambowskiej i Woroneskiej, w urzędowym raporcie wyjawia zdanie, że: samorząd gminny wszędzie znajduje się w zupełnym rozkładzie; zebrania gminne utraciły wszelką powagę: złożone z indywiduów, które idą na zebranie dla wódki, są narzędziami pisarzy i bogatych do celów, niezgodnych z prawem; w wielu wsiach niema postanowienia bez wódki, a za wódkę zebranie odbierze grunt biednemu, aby go oddać bogatemu.

Dlatego też po 1880 r. zjawiło się przekonanie o konieczności ścisłej, ciągłej i blizkiej kontroli nad „mirem". Składając do rady państwa projekt o ustanowieniu naczelników ziemskich (1887 r.), ministeryum spraw wewnętrznych w niezbyt jasnych barwach malowało stronę psychologiczną zebrań gminnych. Zebrania gmin i włości, mówi ten dokument urzędowy, stały się wszędzie posłusznemi narzędziami lichwiarzy i szynkarzy (mirojedow, kułakow i kabatczykow), którzy, opierając się na tłumie zubożałych i zadłużonych włościan, rządzą w gminie: mianują i zrzucają władze autonomiczne, zacierają ich nadużycia, obrabiają swe osobiste interesy, działając przytem zwykle wódką, bez której prawie żadna sprawa na zebraniu się nie załatwia. „Za pomocą wódki najbardziej oburza„jąca niesprawiedliwość, najjawniejsze, nawet kryminalne narusze„nie praw biednych i ekonomicznie słabych członków gminy—zebra„nie gminne zatwierdza i bez żadnych przeszkód wykonywa dzięki „przestępnej uprzejmości (potworstwo) władz automicznych" [1]). Wobec takich faktów ustanowiono naczelników ziemskich, i zjazdom tych naczelników dano prawo znosić postanowienia zebrań gminnych, jeśli te zapadały z jawną krzywdą członków gminy i z wyraźnem pogwałceniem praw obowiązujących [2]).

Przedstawiając radzie państwa potrzebę wydania prawa, ograniczającego gminę w ustanowieniu podziałów ogólnych (1897 r.), ministeryum spraw wewnętrznych powoływało się też na fakt, że zebrania gminne ulegają wpływowi interesów osobistych. Ustanowione przez to samo ministeryum w 1895 r. komitety gubernialne celem orzeczenia, o ile jest potrzebna reforma prawodawstwa o włościanach, nie wystawiły zebraniom gminnym lepszego świadectwa.

---

1) Brzeski, l. c. str. 231.

2) Część I. Ateneum 1900, tom II, str. 544.

Może ktoś zrobić zarzut, że zebrania gminne są złym wyrazem opinii miru, że z charakteru postanowień gminnych nie można sądzić o ideach, rządzących w mirze. Lecz na czem opierają się dowodzenia Woroncowa i Kaczorowskiego o rozwoju idei gminnej w mirze? Na ewolucyi podziałów, na faktach, które dokonywają się na podstawie postanowień gminnych. Dla nich fakt, że postanowienia gminy od zasady podziału na dusze rewizyjne przechodzą do podziału na dusze obecne, najprzód tylko męskie, potem bez różnicy płci, jest dowodem wzrostu altruizmu i idei gminnej. Jednocześnie te same zebrania wydają postanowienia, tak mało altruistyczne, tak mało zgodne z prawem i sprawiedliwością, że rząd widzi się zmuszonym ograniczyć ich autonomię. Tej sprzeczności usunąć się nie da inaczej, jak usuwając raz na zawsze z dyskusyi nad mirem to, co się realnymi dokumentami stwierdzić nie daje i co z objawami psychologicznymi w sferze arend, odbierania gruntów i ogólnych decyzyi na zebraniach gminnych w najwyraźniejszej staje sprzeczności.

Nie należy też zapominać o tem, że formą najczęstszą podziałów jest podział na dusze rewizyjne i że pod tą formą kryją się wszelkie, nawet *quasi* - dziedziczne formy posiadania, które Woroncow za najmniej interesujące uważa.

IX.

Jedną z sił, rozkładających mir, jest bezwątpienia wykup. Kaczorowski poświęca prawie cały VII rozdział swej pracy wpływowi wykupu i wyróżnia dwa typy gminy, zanikającej pod wpływem wykupu, t. z. gminę gminno-wykupową i gminę rodzinno-wykupową lub rodzinno-dziedziczną, które, jego zdaniem, rozwijają się przeważnie śród gmin włościan byłych prywatnych; gminy te nie wyniosły z 200-letniej niewoli jakoby żadnych tradycyi (gminnych), a w chwili zwolnienia od poddaństwa pozostawiono do ich woli wykupić lub nie wykupić ziemi. Prawo z r. 1883 kazało im w końcu ziemię kupić, kupili więc ją z wypłatą na raty, ale kupowali z głębokiem przekonaniem, że nabywają dla siebie, na własność osobistą. W tych warunkach i w związku z „fetyszyzmem" dla duszy rewizyjnej wytworzyły się też typy gminy, które są „mirem" (w znaczeniu ekonomicznem) tylko z pozoru, w gruncie zaś rzeczy są dziedzicznem posiadaniem, uwarunkowanem regularnem płaceniem wykupu pod solidarną odpowiedzialnością miru.

Wykup z natury swej, mówi tenże autor, jest pierwiastkiem, rozkładającym gminę; jest przy wspólnem władaniu ziemią krzyczącą krzywdą pokolenia wykupującego na korzyść pokoleń następnych. Sposób, w jakim w 1861 r. przeprowadzono wykup, powiększał tendencye indywidualistyczne, głównie zaś działał rozkładająco § 165, dozwalający każdemu członkowi gminy, za złożeniem wykupu, z gminy się uwolnić wraz z ziemią. Jak wiemy, działanie tego § zostało zniesione Ukazem z r. 1893, stanowiącym, że nawet przy całkowitem wniesieniu reszty sumy wykupowej—zwolnienie ze związku gminnego włościanina z gruntem może mieć tylko miejsce za zezwoleniem zebrania gminnego [1]).

W przepisach o uwłaszczeniu włościan skarbowych § 165 nie istniał. Powodem zaś usunięcia go z przepisów o wykupie włościan b. prywatnych była obawa, że im pozostała do spłacenia suma wykupowa będzie mniejsza, tem częstszymi staną się wypadki wykupywania i wyłączania się ze związku gminnego pojedyńczych, zamożniejszych gospodarzy. Wykupywali się oni dla uniknięcia odpowiedzialności solidarnej za sumy wykupowe. Według zebranych danych, wpłynęło do skarbu za wykup pojedyńczych osad:

do 1870 r.	231 tysięcy	w 1876/7	816 tysięcy
w 1871/2 r.	298 „	w 1878/9	1234 „
w 1872/3 r.	705 „	w 1880/1	1293 „
w 1874/5 r.	575 „		rubli [2])

Do 1887 r. wykupiono 638,000 dziesięcin [3]). Przy dalszem działaniu § 165 prawdopodobne było usunięcie się wszystkich zamożniejszych gospodarzy w gminie od odpowiedzialności solidarnej. Paragraf ten był, zdaniem Kaczorowskiego, głębokiem naruszeniem najelementarniejszych praw gminy i osoby. Potomkowie zbiegłych niegdyś dusz rewizyjnych mogli, wróciwszy do gminy, odebrać ziemię tym, którzy ją więcej, niż lat 20, uprawiali, i, zapłaciwszy resztę wykupu, zostać jej dziedzicznymi właścicielami.

Wykup jest najsilniejszym argumentem, jaki na zebraniach gminnych wystawia włościanin przeciwko nowym ogólnym podziałom, i to na całej przestrzeni państwa; często wywołuje on oświadczenie, że grunt może być oddany, jeśli dotychczasowemu posiada-

---

[1]) Część I, Ateneum, r. 1900, t. I, str. 334.

[2]) Woroncow, l. c. str. 174.

[3]) Simkhowitsch, l. c. str. 394.

czowi zwrócone zostanie to, co w formie wykupu dotąd zapłacił; że odebrać grunt wykupiony jest to samo, co z pleców kożuch ściągnąć. W gub. Czernihowskiej, pow. Suraskim tylko 7 do 8 gmin nie zwróciło uwagi na taką argumentacyę, wszystkie inne odstąpiły od podziałów, i statystyk miejscowy (Filimonow) sądzi, że z dniem ukończenia operacyi wykupu ziemia włościańska stanie się własnością dziedziczną. W powiecie Chwałyńskim gub. Saratowskiej włościanie uważają, że byłoby to dotkliwą dla nich krzywdą, gdyby grunt, dający dziś dochód, odebrano temu, kto przez cały szereg lat płacił ciężary większe od dochodu. W 23 gminach powiatu Stawropolskiego nie dopuszczono nowego podziału, argumentując w ten sposób.

Wpływ wykupu na poglądy w gminie jest tem większy, im większa jest suma zapłaconego wykupu, im bliższy termin ukończenia operacyi wykupowej. Dlaczego ten moment dla gmin włościan b. skarbowych ma zupełnie nie istnieć, trudno zrozumieć. Może on być w nich słabszym o tyle, o ile mniejszymi były ciężary, włożone na gminę skarbową, ale i w tych gminach nastąpi kiedyś termin operacyi wykupowej, rok, po którym wypłata sum wykupowych ustać powinna, epoka silnego podniesienia się ekonomicznej wartości nadziału, epoka prawdopodobnie ostatecznego zaniku idei gminnej.

X.

Odpowiedzialność solidarna za podatki jest, zdaniem prof. Iwaniukowa, koniecznem następstwem wspólnego władania ziemią i, jeśli jest złem ciężkiem, rujnującem i nieznośnem, to nie sama w sobie i przez się, ale o tyle, o ile podatki, pobierane pod tą odpowiedzialnością, są wysokie.

Nie wszyscy jednak podzielają ten pogląd. Istnieje najprzód teorya, że gmina w Rosyi jest rezultatem zarządzeń finansowych i naturalną konsekwencyą solidarnej odpowiedzialności, i inna teorya prawa finansowego, dowodząca, że odpowiedzialność solidarna gminy jest z finansowego punktu widzenia zła, bez względu na wysokość podatków.

Nie istnieje ona nigdzie na zachodzie Europy; jeden z poważnych ekonomistów rosyjskich (Terner) nazywa ją plamą rosyjskiego prawa finansowego, a jeśli obecne poglądy sfer rządzących sprawami finansowemi zmianie nie ulegną, dni jej są policzone. W ostatniem prawie, dotyczącem egzekucyi podatków z ziemi włościańskiej,

(z dnia 23 czerwca 1899 r., przytoczonem przez nas na początku tej pracy) zasada solidarności podatkowej w gminie została silnie ograniczona, i ukazem z tegoż dnia polecono ministrowi finansów przygotować w ciągu roku raport w kwestyi usunięcia tej odpowiedzialności z prawodawstwa podatkowego. Najnowszy i najkompetentniejszy badacz tej kwestyi, M. Brzeski—vice-dyrektor depart. pod. stałych min. finansów—sądzi, że gmina rosyjska, jako jednostka ekonomiczna, jako właściciel ziemi, powstała w XVII i XVIII w. [1]).

Początkowe rozporządzenia rządu, dotyczące gminy, były przedewszystkiem fiskalne.

Podstawą opodatkowania były w XVI i XVII w. księgi podatkowe (piscowyja knigi), w których w końcu XVI w. obok ilości gruntu zapisywano uwagi o jego dobroci. Z zaprowadzeniem armii stałej wchodzi w użycie rozkład podatków na dwory, a z końcem w. XVII—w 1679/81 — wszystkie podatki dla uproszczenia obliczają się według ilości dworów. Nie chcąc, czy nie mogąc liczyć się z każdym włościaninem, skarb określał ciężary włości według ogólnej ilości gruntu, a potem wedle ilości dworów; ogólną sumę podatków włość sama rozkładała na dwory wedle zamożności (po żiwotam i promysłam). Rozkładali „wybrani" (wybornyje) przez włość; prawideł ogólnych rozkładu nie było, zdarzały się więc i nadużycia. Repartycya podatku wyczerpywała pojęcie solidarności; zdaniem Brzeskiego, za niepłacących podatku gmina nie odpowiadała. Zbiegostwo powiększało podatek, padający na pojedyńcze dwory, ale z chwilą ustanowienia repartycyi, każdy obecny w gminie odpowiadał za siebie.

Odpowiedzialność ta była bardzo ciężka: niepłacący bowiem podatku — „niedoimszczyk" był uważany za stawiającego opór władzy (osłusznik); bito go batogami i zamykano w więzieniu, a wprzód nim władze podatkowe zostały połączone w jedną instytucyę— skarbu państwa—gdy różne władze wybierały różne podatki, zdarzało się, że trzech podatkowych poborców skazywało jednego zalegającego na trzykrotne bicie i trzykrotne więzienie [2]). Nie o wiele lepiej działo się urzędnikom, wojewodom, którzy dopuścili do dużych zaległości podatkowych w swojej prowincyi. Aby tej odpowiedzialności uniknąć, wojewoda ściągał podatek nie z tego, od

---

[1]) „Niedobory i solidarna odpowiedzialność gmin wiejskich". St.-Petersburg, 1897 r.

[2]) N. Brzeski, l. c. str. 24.

którego się należał, bo ten często nie był w stanie go zapłacić, ale z tego, kto mógł zapłacić. Bardzo częsty brak na miejscu ksiąg podatkowych (przechowywały się one w Moskwie) i wszelkiej porządnej rachunkowości podatkowej we włości wyjaśniał to postępowanie wojewodów. W ten sposób rozkład niedoborów podatkowych na pozostałych członków gminy zjawił się, jako nadużycie, sprzeczne i z ukazami carskimi i z poczuciem prawa w narodzie [1]). Wyrażenia „odpowiedzialność solidarna" (krugowaja poruka) używano w XVII i XVIII w., jako terminu prawnego w aktach cywilnych; nie można go jednak znaleźć w rozporządzeniach władzy i aktach skarbowych, bo nie istniało ono w tej epoce w sferze podatkowej. Brzeski cytuje ukazy, w których polecano władzom miejscowym ściągnąć zaległości od właściwych osób i zwrócić to, co od innych nadebrano (1648), a wykazy podatkowe prowadzić imiennie (1640). Włość płaciła tylko za zbiegłych; bardzo jednak często, jeśli dwory po zbiegłych stały pustkami, a gruntów ich nie używano, ukazem zwalniano włość od opłaty podatków za puste dwory (1686). Przytem Brzeski zaznacza, że w 1680 r. przy zaprowadzaniu podatku „strzeleckiego" (na utrzymanie armii stałej, strzelców) polecono zaległości ściągać ze starostów „i wszystkich ludzi w osadzie", ale to rozporządzenie wprowadziło takie zamieszanie, zubożenie ludności i narzekania, że usunięto wojewodów od poboru tego podatku, oddano go władzom włości i ani razu już potem nie wspominano o rozkładzie zaległości na pozostałych członków gminy [2]).

Skarb walczył w XVII w. z niedoborami, pociągając do odpowiedzialności władze podatkowe autonomiczne i rządowe. Starostów i poborców, którzy dopuścili do niedoboru, bito knutem, zsyłano i konfiskowano ich majątek. Tych, którzy nie chcieli przyjąć wyboru, kazano przysyłać do Moskwy, gdzie ich te same czekały kary. Wobec tego władze miejscowe ściągały podatek, z kogo mogły, a odpowiedzialność solidarna za podatki powstała *de facto* wprzód, nim ją rząd ustanowił *de jure*.

Wiek XVIII jest wiekiem coraz to nowych reform podatkowych, coraz to surowszej egzekucyi podatków, ciągłych umorzeń zaległości i chronicznego niedoboru podatkowego. Podatek z dworów, bez względu na ilość gruntu i ilość robotników w rodzinie, wymagał ściślejszego przystosowania go do zamożności rodziny.

---

[1]) Brzeski — l. c. str. 28.

[2]) M. Brzeski, l. c. str. 29.

Piotr W. wprowadza „poduszne”. Przeznaczony na utrzymanie wojska podatek ten wybierają w trzech ratach władze wojenne. Wymagał on częstych rewizyi i wzmocnienia środków przeciw zbiegostwu pojedyńczych dusz z gminy. Rewizye były rzadkie, zbiegostwo wielkie, zaległości podatkowe rosły. W 1724 roku zamiast 4½ wpłynęło 3½ miliony rubli, w 1715 za ²/₃ roku 1½ miliona zamiast 3 milionów. W 1734 umorzono niedobory po 1718 rok, w 1740 — po 1730, w 1746 niedobory rozłożono, w 1752 darowano niedobory po 1748. W 1775 darowano zaległości po 1765 r. W końcu wieku w ciągu dwu lat 1797 i 1798 wpłynęły podatki od włościan tylko za rok jeden.

W sferach prawodawczych za główną przyczynę niedoborów uważano nie wysokość podatków, ale opieszałość, niedbalstwo i nadużycia urzędników co do podatków z włościan dóbr skarbowych i niesumienność właścicieli dóbr prywatnych, którzy byli odpowiedzialni za podatki z włościan w ich dobrach. Piotr W. w 1719 wydaje pierwszy regulamin o egzekucyi podatków (według wzorów szwedzkich) i organizuje władze podatkowe centralne.

Katarzyna I poleca rozkładać podatki wedle „zamożności włościan”, a niedobory egzekwować z rządców, starostw i poborców. Instrukcya 1726 r. powiada wyraźnie, że z dworów włościan zbiegłych i zmarłych płacą podatki ci, którzy po nich dwory objęli, niedobory zaś powinni płacić ci, którzy nie zapłacili.

W szeregu praw podatkowych, jakie w ciągu XVIII w. wydano, ukaz z 1739 r. jest punktem kulminacyjnym surowości w wyznaczaniu kar za dopuszczenie niedoboru: jest w nim mowa o biciu knutem, wyrywaniu nozdrzy, katorżnych robotach. Kara śmierci czeka tych, którzy wydania kwitów odmawiają, biorą datki i podarki. Podatki za zbiegłych mają zapłacić wszyscy pozostali w gminie.

Gubernatorów za niedostarczanie wykazów o niedoborach osadzano w areszcie domowym (1742 r.), potem (1764) wstrzymywano im wypłatę pensyi, w końcu (1797) za dopuszczenie niedoboru brano w sekwestr ich majątek.

Członkom rządów gubernialnych zatrzymywano pensye i oddawano pod sąd (1797), niższych urzędników zakuwano w kajdany (1742).

Mniej więcej około połowy XVIII wieku, w czasie, kiedy wydawano instrukcye miernicze, ograniczające swobodę włościan zbywania swych gruntów, w poglądach władz następuje zmiana; zjawia się myśl, że źródłem niedoborów może być czasem lenistwo wło-

ścian i zły podział ziemi. W tej też epoce zorganizowano nowe władze dla nadzoru nad włościanami: kolegium dóbr poklasztornych (kolegia ekonomii — 1763), departament dóbr apanażowych (udiełów — 1797) i izby skarbowe (1775), które objęły nadzór nad wpływem podatków na prowincyi. *De jure* podatek rozkładały gminy (włości), *de facto* interweniowały władze, doglądające wpływu podatków. Prawo 1739 r. o niedoborach poleca gminom rozkładać podatki na tiagła, nie wymawiając się zbiegłymi, zmarłymi, proporcyonalnie do posiadanej ziemi. Instrukcya dla zarządów dóbr poklasztornych (1771) poleca tym zarządom w razie niedoboru przekonać się, czy niedobór nie wynika ze złego podziału ziemi, i ewentualnie dzielić tę ziemię między robotników dorosłych w wieku lat 15—60 i proporcyonalnie do tego podziału podatki ściągać. Włość traci tu zupełnie autonomię podatkową i instrukcya dla departamentu apanażów (udiełow) poleca w razie niedoboru sprawdzić, czy niedobór nie pochodzi z lenistwa, a jeśli taka jego jest przyczyna, ściągać go z całej włości, jako karę za to, „że, widząc towarzysza „leniwym i niegospodarnym, nie starała się go nawrócić na drogę „obowiązku, poprawy i pracy". Organizacya zarządów gminnych, zaprowadzona w dobrach departamentu apanaży w 1797 r., rozszerzoną została potem na wszystkie dobra skarbowe. Zorganizowano zarządy włości; władze gminne pozostały autonomicznemi, z wyboru *de jure*. W gruncie rzeczy autonomia ta była uwarunkowana regularnem płaceniem podatków.

Na przełomie XVIII i XIX wieku istniało przekonanie, że władze wiejskie, wybierane podstępem i oszustwem, grabią bezkarnie włościan skarbowych i łupami dzielą się z policyą ziemską [1]). Zdaniem Brzeskiego, jedyną tamą dla samowoli władz niższych w kwestyach opodatkowania włościan tej epoki była zasada rozkładu podatków na dusze rewizyjne, która uwalniała ich od rozkładu podług zamożności (po żiwotam i pożitkam), od rozkładu według najlepszego rozumienia władzy (usmotrienia), które najczęściej było prostem nadużyciem.

Początki wieku XIX pod względem podatkowym nie były dla skarbu wiele lepsze od w. XVIII. Niedobory były chroniczne; wywoływały one i nowe projekty, i nowe prawa. Były gubernator wiacki, Bołgarski, opierając się na doświadczeniu, nabytem w zarządzie pomienioną gubernią, radził zaprowadzić między innemi, porę-

---

[1]) Memoryał senatora Kluczarewa z r. 1818. Brzeski l. c. str. 97.

kę gminną za podatki, należne od wychodzących z gminy za paszportami. Motywował to nie wspólną własnością ziemi, ale obowiązkami ludzkości i słusznością ukarania gminy za niedozór nad jej członkami. W 1811 r. wyszło nowe prawo o niedoborach, wkładające odpowiedzialność za niedobór na całą gminę, której służy prawo zesłania na Syberyę członka gminy, zalegającego w podatkach, lub oddania go czy to w rekruty, czy też na roboty. Sprzedaż majątku ruchomego przy egzekucyi podatków była zabroniona. Wojna 1812 r. wywołała najwyższe zamieszanie w całej organizacyi finansów. W r. 1814 z 60 milionów niedoborów umorzono 30 milionów. W 1816 powtórzono rozporządzenia o niedoborach, a dokonane w tym czasie rewizye senatorskie w guberniach dowiodły smutnego stanu rachunkowości podatkowej we włościach, nadużyć władz miejscowych i wywołały znów przekonanie, że główną przyczyną niedoborów jest niedbałość władz miejscowych.

Lata 1818 — 1833 upłynęły na przygotowywaniu projektów, teoretycznem rozważaniu przyczyn niedoborów i częściowych poprawkach istniejących przepisów prawa. Powstała się też opinia, że niepłacenie podatków stało się nałogiem zarówno dla właścicieli dóbr, jak i dla włościan; że jedną z przyczyn tego nałogu są częste manifesty, umarzające niedobory, na których zyskują tylko leniwi i opieszali, a regularnie płacący podatki względną stratę ponoszą. Wreszcie w 1833 roku (28 listopada) wyszło nowe prawo, regulujące egzekucyę podatków włościańskich: włości zostały rozbite na gminy wiejskie, w których pobór podatków był obowiązkiem starosty, zatwierdzonego przez urząd włości. Gmina wiejska odpowiada solidarnie za całkowite wniesienie podatku, przypadającego ze wsi, a jeśli niedobór dorównywa rocznemu podatkowi, odpowiada za niego cała włość. Repartycya podatków odbywa się proporcyonalnie do ilości ziemi lub *według innych zasad miejscowych*. Podatki, nie opłacone przez zmarłych, zbiegłych i *biednych*, mają zapłacić obecni w gminie gospodarze. Gmina stosownie do zwyczajów może ściągać te zaległości z właściwych opodatkowanych, gdy tylko to stanie się możliwe; leniwych i pijaków może oddawać w rekruty i żądać od władzy zesłania ich na Syberyę.

Jeśli włość ma płacić zaległości, to rozkłada je na wszystkie gminy wiejskie, wchodzące w skład włości. Bardzo szczegółowe przepisy opisały formalną stronę pobierania, prowadzenia rachunkowości, przechowywania i wnoszenia do kas powiatowych sum podatkowych. Zauważyć tu musimy, że i w tem prawie nigdzie

wspólna własność ziemi nie jest wystawiona, jako motyw solidarnej odpowiedzialności za podatki, chociaż już w tej epoce podziały gruntów praktykowały się niewątpliwie prawie na całej przestrzeni państwa [1]).

W 1837 r. administracya dóbr, a raczej włościan skarbowych, powierzona została ministeryum dóbr Państwa, a w instrukcyi, danej temuż ministeryum, polecono mu dołożyć starań w celu wyrównania ciężarów, leżących na włościanach z ich dochodami. Ustanowiono też „naczelników okręgowych", jako organ, dozorujący i kontrolujący, a wkładając nań odpowiedzialność za regularne wnoszenie podatków, dano mu też i prawa odpowiednie, ograniczające autonomię gminy w repartycyi podatków. W 1838 r. zniesiono solidarną odpowiedzialność włości za podatki.

Ministeryum dóbr państwa, dokładało starań, aby zmniejszyć niedobory: z jednej strony robiło, co mogło, aby rozszerzyć zwyczaj peryodycznego dzielenia gruntów w gminie, z drugiej starało się powoli wprowadzać kadastr ziemski i unormować podatki włościańskie proporcyonalnie do ilości i dobroci posiadanej ziemi. Nowe opodatkowanie, na kadastrze oparte, zaprowadzono w 1848 roku w guberniach Petersburskiej i Woroneskiej; w 1849 r. — w Tulskiej, Orłowskiej i Wiaziemskiej; w 1851 r. — w Kurskiej i Charkowskiej; 1853 r. w Ekaterinosławskiej. Wojna wschodnia i reforma włościańska przerwały tę pracę. W guberniach, gdzie reforma została zaprowadzona, jednostką podatkową była już nie gmina wiejska, ale każda wieś oddzielnie, i tylko wieś odpowiadała solidarnie za podatki. W miarę wprowadzenia reformy niedobory zmniejszały się; za cały czas istnienia reformy niedobór w guberniach tych wynosił 2,16%, a z potrąceniem roku głodu 1848 i roku wojny 1855 — zaledwie 0,06%.

Epoka po reformie pod względem zaległości podatkowych z włościan smutny bardzo przedstawia obraz. Zaległości te wynosiły w pięcioleciach:

	1871/2	1876/80	1881/5	1886/90	1891/5
Średnio milionów	30,1	31,7	40,4	43,5	98,1
w procentach do sumy rocznej	22,3%	22,1%	29,7%	41,9%	95,2% [2])

Lata ostatnie szczególniej dały się uczuć w tym względzie.

---

[1]) Brzeski, l. c. str. 150.

[2]) Brzeski l. c. tablice 1 i 2. Zaległością nazywamy sumę niedoborów za lata ubiegłe.

Zaległości podatkowe i wykupowe (skarbowe) z włościan wynosiły w latach:

	1888	1889	1890	1892	1893	1894	1895
milionów rubli	41,4	43,9	51,1	80,6	102,8	103,5	99,4

Jednocześnie w tej epoce zniesiono poduszne, w 1880 i 1883 umorzono 47 milionów niedoborów włościańskich, obniżono wysokość sum wykupowych o 11 milionów rubli rocznie i szeregiem praw z lat 1888, 1889 i 1894 pozwolono niedobory odkładać i rozkładać nawet poza ostateczny termin wykupu.

Najcharakterystyczniejszym rezultatem na polu badań niedoborów było to, że wysokość niedoboru nie stoi w żadnym związku z zamożnością albo nędzą prowincyi lub gminy. Włościanie podatków nie płacą, bo sądzą, że te będą umorzone. Tak samo i we wsi podatków nie płacą nie tylko biedni, ale i zamożni; czekają, zwlekają, aby, zapłaciwszy za siebie, nie zostali przy dodatkowym rozkładzie podatku zmuszeni płacić po raz drugi za sąsiada. Przy umorzeniu zaległości gmina czasami tym, co zapłacili, zwraca zapłacone.

Śród najbardziej zadłużonych skarbowi gubernii (w 1895 r.) pierwsze miejsce zajmuje gubernia Orenburska, na której ciążyło 4,4 milionów r. niedoboru, t. j. 513% rocznego wpływu. Tymczasem gubernia ta nie należy do najbiedniejszych, owszem, włościanie w niej należą na ogół do zamożnych.

Geograficzny rozkład niedoborów wskazuje wyraźnie, że wysokość ich rośnie ku wschodowi, a maleje ku zachodowi i mimowoli przychodzi na myśl analogia tego kierunku z kierunkiem powstawania rozwoju i zaniku miru—(Kaczorowski). W końcu 1895 zaległości wynosiły w ogólnej sumie 99 milionów rub. z czego przypada na

		w tysiącach rubli	% rocznej sumy
Okręg wschodni:	gub. Wjacka	1,990	19,3
	Kazańska	14,125	377,8
	Orenburska	4,412	513,3
	Permska	3,838	118,6
	Samarska	13,661	395,5
	Ufimska	3,162	336,5
	Razem	40,158	
Okręg średniego czarnoziemu:	Woroneska	8,033	159,7
	Kurska	1,723	38,0
	Orłowska	4,566	132,0
	Penzeńska	5,231	192,3

	Rjazańska . . .	3,258	104,6
	Saratowska . . .	4,866	137,2
	Symbirska . . .	3,851	197,2
	Tambowska . . .	4,896	100,2
	Tulska	3,844	143,8
	Razem. .	40,266	
Okrąg centralny przemysłowy:	Włodzimierska .	470	17,8
	Kałuska	8	0,5
	Kostromska . . .	206	10,6
	Moskiewska . . .	4,601	205,5
	N. Nowogrodzka .	7,299	295,2
	Smoleńska . . .	270	16,1
	Twerska	158	5,9
	Jarosławska . . .	51	2,5
	Razem. .	13,[illegible]63	

Pozostałe okręgi nie przedstawiają już takich kolosalnych sum zaległości. Stanowiły one (w 1895 r.) w okręgu północnym 2,142,000 rubli w okręgu małorosyjskim 2,275,000 rubli, w okręgu południowym 979,000 r., północno-zachodnim (litewskim) 354,000 rubli, w południowo zachodnim 196,000 rubli. Najmniejsze zatem były one w guberniach, w których sumy wykupowe każdy gospodarz płaci za siebie, bez solidarnej odpowiedzialności, gdzie mir nie istnieje.

Wewnątrz gminy zaległości podatkowe rosną też czasem proporcyonalnie do zamożności gospodarzy. Są gminy, w których wszyscy włościanie, nie wyłączając urzędników gminnych, zalegają; a wtedy żądać od zebrania gminnego i władz autonomicznych energii w egzekucyi podatków jest próżnem marzeniem [1]). Jeśli władze gminne zbyt gorliwie ściągają podatki, mir mści się na nich, zmiejsza pensye, wydziela przy podziale najgorsze grunty i dokucza wszelkimi sposobami; jeśli zaś w obronie miru władza gminna narazi się na areszt i kary pieniężne, mir często kary zwraca i wyznacza specyalne wynagrodzenie ukaranym.

Skarb Państwa wyczerpał już wszystkie środki, mające poprawić istniejący system egzekwowania podatków z włościan. Już w 1867 r. zjawiło się pierwsze prawo, wzmacniające władzę pośrednika mirowego, policyi i gubernatora w tej sprawie. Szereg praw i rozporządzeń, mających na celu poprawienie stanu obecnego, nie osiągnął żadnego rezultatu, a zaległości, wzrastające w miarę obniża-

---

[1]) Brzeski, l. c. str. 239.

nia podatków bezpośrednich, zrodziły myśl, że złe tkwi w zasadniczej podstawie systemu—w solidarnej odpowiedzialności gminy.

W 1881 r. jednocześnie z obniżeniem sum wykupowych polecono ministrom spraw wewnętrznych i finansów porozumieć się i przedstawić projekt reformy — ewentualnie zniesienia solidarnej odpowiedzialności gminy za podatki „bez naruszenia jednak zasad gminnego władania ziemią” [1]).

Od tego czasu niedobory wzrosły, przekonanie o zasadniczych wadach systemu utrwaliło się, i rezultatem tych przekonań było podane przez nas w części I prawo z dnia 23 czerwca 1899 r., ograniczające działanie solidarnej odpowiedzialności i polecające ministrowi finansów przedstawić w ciągu roku projekt zniesienia solidarnej odpowiedzialności gminy za podatki. W Najwyższem tem rozporządzeniu brak już wszelkich zastrzeżeń co do wspólnej własności ziemi.

Przekonania, panujące w sferach prawodawczych co do teoretyczno - finansowego znaczenia solidarnej odpowiedzialności za podatki, sformułowane są najściślej w cytowanej przez nas tyle razy pracy M. Brzeskiego „Niedobór i solidarna odpowiedzialność gminy za podatki”. Zdaniem jego, solidarność gminy jest niezgodna z celami rozsądnej polityki finansowej. Subjektem opodatkowana jest fikcya (mir), objektem nie ziemia, lecz praca. Przy tym systemie pobierania podatek — zdaniem Brzeskiego—staje się dla opodatkowanego niepewnym, a suma jego zależy od widzimisię (usmotrienja) władz gminnych, których postanowienia są (były do 1899 r.) bezapelacyjne. Sprzedaż ruchomości przez władze gminne odbywa się bez zachowania jakichkolwiek formalności, mir ma prawo zrujnować zastosowaniem tego środka każdego ze swych członków. Solidarna odpowiedzialność pozbawia włościanina pewności posiadania owoców własnej pracy, a jednocześnie wywołuje opóźnienia w terminie wnoszenia podatków, nawet ze strony zamożnych włościan [2]).

Z chwilą, gdy skarb dochodzi do przekonania, że utrzymanie solidarnej odpowiedzialności za podatki nie jest dlań korzystne, znika jej finansowa racya bytu i, jak to już raz zaznaczyliśmy, dni jej są policzone.

---

[1]) Brzeski, l. c. str. 388.

[2]) Brzeski, l. c. str. 407 i 410.

XI.

Wpływ odpowiedzialności solidarnej za podatki na ideę gminną był dwojaki. Oprócz związku urzędowego, jawnego, w reformie 1861 r. ostatecznie sformułowanego, że ziemia „daje się włościaninowi celem ułatwienia mu pełnienia powinności państwowych", był jeszcze wpływ drugi, czysto psychologiczny, o którego powstaniu i trwaniu musimy słów parę powiedzieć.

Środek XVIII w., jak widzieliśmy, był punktem kulminacyjnym nacisku władz centralnych na władze prowincyonalne w sferze podatkowej; epoką najcięższej odpowiedzialności władz prowincyonalnych za niedobory podatkowe (1739); epoką, w której po raz pierwszy ukazuje się zdanie, że przyczyną tych niedoborów może być nie tylko opieszałość urzędników i ich nadużycia, nie tylko lenistwo chłopa, ale i nierówny podział ziemi między włościanami, a opinia ta znajduje wyraz w rozporządzeniach rządowych, ograniczających swobodę zbywania i nabywania ziemi włościańskiej (instrukcye miernicze 1754). W końcu wieku coraz częściej zjawiają się projekty i rozporządzenia rządowe, polecające władzom przeprowadzenie równego podziału gruntów, jako środka zapewnienia regularnego wpływu podatków, i, im więcej siły zdobywa sobie to przekonanie, tem słabsze są kary na władze, które dopuściły niedoborów; im silniej rozwija się podział gruntów na dusze, tem słabszą się staje odpowiedzialność władz wiejskich, powiatowych i gubernialnych za niedobory podatkowe.

Odpowiedzialność ta obecnie jest już stosunkowo bardzo ograniczona, ale przy powierzeniu, jak dotąd, egzekucyi podatkowej władzom policyjnym trwa jeszcze, i władze te do dziś dnia widzą w solidarnej odpowiedzialności gminy i w podziałach gruntu ten fundament, bez którego odpowiedzialność ich byłaby jeszcze silniejsza, niż dotąd. W tradycyi tych sfer zapisane jest bicie knutem, wyrywanie nozdrzy, zesłanie do Azowa i konfiskata majątku; tradycyjnie też sfery te do dziś dnia są zwolennikami i obrońcami tak solidarnej odpowiedzialności za podatki, jak i wspólnego władania ziemią.

Kwestya ta nie jest kwestyą małej wagi. Wpływ osobisty władz prowincyonalnych na interesy miru był wielki zawsze [1]),

[1]) Porównać: Kaczorowski l. c. str. 150 i 160, 217, 418; Woroncow l. c. str. 108/9 152, 163.

i, z wyjątkiem epoki 1861 do 1889 roku, jest bardzo znaczny. Idąc za wskazówkami władz centralnych, jak w XVIII w., lub za czasów hr. Kisielewa w ministeryum dóbr państwa, a hr. Tołstoja w ministeryum spraw wewnętrznych, sfery te oddziaływają bezpośrednio na bieg spraw na zebraniach gminnych, a jednocześnie oddziaływają pośrednio na literaturę naukową kwestyi. Związek między sferami urzędniczemi a sferami inteligencyi rosyjskiej był zawsze bardzo ścisły.

Kaczorowski— w tej części swej pracy, w której mówi o formach rozwijającej się idei gminnej — nie uznaje wpływu sfer administracyjnych na rozwój wspólnego władania miru. Nie obce jednak są mu wypadki, w których podziały były wykonane za radą czy to stałego członka urzędu powiatowego do spraw włościańskich, czy też naczelnika ziemskiego [1]), ale sądzi, że proces ograniczenia prawa zaimki odbywa się z taką logiczną konsekwencyą, zależnie od zmniejszania się wolnych, niezajętych przestrzeni, że prawo i administracya miały tylko na rozwój formy władania ziemią wpływ przyśpieszający, bo forma ta tkwi „in potentia" w prawie obowiązującem. Sposób pobierania podatków i solidarna odpowiedzialność, jego zdaniem, dają czasem temu rozwojowi przyśpieszające go „popchnięcia" (tołczki), bynajmniej jednak nie są konieczne, bo proces ten czasami rozwija się i bez nich. Czasami rozwija się on bez tych administracyjnych popchnięć, ale nie rozwija się nigdzie bez solidarnej odpowiedzialności gminy za podatki; ta bowiem panuje w Rosyi nawet tam, gdzie posiadanie ziemi jest osobiste i dziedziczne, gdzie sumy wykupowe płacą się osobiście. Co więcej, źródła urzędowe dowodzą, że są gminy, w których ziemia jest w posiadaniu osobistem, wykup powinien być płacony osobiście, a gmina jest odpowiedzialna solidarnie tylko za podatki, i gdzie policya i władza włości dla uproszczenia manipulacyi ściągają i podatki i wykup pod solidarną odpowiedzialnością miru [2]).

Dopóki egzekucya podatków spoczywa w ręku władz policyjnych, dopóki na opinię władzy o urzędniku wpływa fakt, jak wielkie są niedobory podatkowe, dopóty urzędnik administracyjny będzie zawsze nie tylko w interesie swoim, ale i w interesie skarbu popierał ten system podatkowy, który, jego zdaniem, najwięcej

---

[1]) Kaczorowski — l. c. str. 159/160.
[2]) Wiestnik Finansów — rok 1889—№ 10 str. 453.

ułatwia mu pobieranie podatku, najlepiej zabezpiecza i skarb, i jego od niedoboru. Przekonanie, że takim systemem podatkowym jest solidarna odpowiedzialność włościan, było najszczerszem przekonaniem tych sfer aż do czasów ostatnich.

Faktem jest, że od 1889 r., tj. od daty ustanowienia urzędów naczelników ziemskich, autonomia gmin została silnie ograniczona na rzecz władzy tych naczelników i że przekonania sfer urzędniczych o znaczeniu i doniosłości odpowiedzialności solidarnej za podatki i wspólnego władania ziemią na przekonania miru i zebrań gminnych miały wpływ silny. W takim stanie sprawy najzupełniej jest usprawiedliwione twierdzenie, że podziały ziemi, wspólne władanie ziemi jest tylko konsekwencyą solidarnej odpowiedzialności za podatki i sumy wykupowe, wynikiem rozporządzeń właścicieli dóbr i rozporządzeń władz skarbowych i nakoniec wynikiem nacisku osobistego przedstawicieli władz skarbowych, którzy w zaprowadzeniu tych podziałów i solidarnej odpowiedzialności widzieli jedyny sposób zwolnienia się od ciężkiej odpowiedzialności i zapewnienia skarbowi regularnego wpływu podatków i sum wykupowych od włościan.

Jeśli solidarna odpowiedzialność za podatki gminne i sumy wykupowe zostanie ostatecznie usunięta, jeśli za niewniesienie podatku i sum wykupowych odpowiadać będzie tylko osobiście włościanin, a władze miejscowe będą odpowiadały za niedobory o tyle, o ile dowiedzione im zostanie wyraźne i formalne przekroczenie praw i danych im instrukcyi, jak wtedy rozwijać się będzie idea gminna pod naciskiem coraz to większego braku ziemi, coraz to większej konieczności intensyfikacyi uprawy i coraz to bliższego terminu ustania sum wykupowych?

Jest to ostatnie, ale też i najważniejsze pytanie, na które postaramy się odpowiedzieć w następnej, ostatniej, części.

(dok. nast.) *St. Piotrowski.*



Z NIEZNANYCH AUTOGRAFÓW
ADAMA MICKIEWICZA.

II.

Szczątki „Konrada Wallenroda".

Nie posiadamy, niestety, rękopisu „Konrada Wallenroda", nie posiada go nikt w całości, i kto wie, czy nie trzeba wyrzec się nadziei odszukania i złożenia w jedną całość tych rozrzuconych po świecie lub może zatraconych na zawsze oddzielnych kartek i skrawków papieru.

Rękopis „Konrada" otrzymał był w darze od Mickiewicza Józef Jeżowski, jeden z pięciu przyjaciół poety, którym ofiarował pierwsze wydanie swoich „Poezyi" na „pamiątkę razem przeżytych szczęśliwych chwil młodości" [1]).

Rękopis „Konrada" widział jeszcze w Moskwie w roku 1833, gdzie Jeżowski na uniwersytecie w roku 1826 — 7 wykładał język grecki, znany w literaturze rosyjskiej i z pobytu swojego w Warszawie, Piotr Dubrowski, autor książki p. t.: „Adam Mickiewicz. Iz

[1]) Wilno. Rok 1822.

oczerkow nowiejszej polskoj literatury". Petersburg, 1858 (str. 174 i 1 nl.). „Ażeby zrozumieć Mickiewicza — pisze autor rosyjski — począłem wtedy uczyć się po polsku i pamiętam to pełne czci uczucie, które mnie ogarniało, gdym raz przeglądał rękopis znakomitego poety polskiego. Pomnę tem bardziej, bo przechowała się u mnie z tego rękopisu półćwiartka, którą mi Jeżowski darował" [1]).

Rękopis ten, według świadectwa Dubrowskiego, wzbudzał podziw przez to, że wykazywał, z jaką łatwością Mickiewicz tworzył „Konrada". Znać było, że poeta pisał go swobodnie i prędko, gdyż nie miał nawet czasu stawiać znaków przestankowania, które gdzieniegdzie tylko zauważyć można, rzadko zaś zdarzające się poprawki uskuteczniał w chwili samego tworzenia poematu. Jedno wyrażenie przekreślone poeta w tymże samym wierszu zastąpił innem lub powtórzył je znowu. Niekiedy, na całych stronicach nie było żadnych poprawek. Charakter pisma nierówny i niepewny, chociaż dość wyraźny.

Lecz szczęśliwy posiadacz rękopisu „Konrada" nie przywiązywał do niego snać zbyt wielkiej wagi, gdyż wieść niesie, że Jeżowski, kończąc wykłady na uniwersytecie moskiewskim, rozdał wszystkie kartki „Wallenroda" słuchaczom swoim na pamiątkę.

Tych kartek, rozrzuconych tak nielitościwie po świecie, znamy kilka zaledwie i rzadko bardzo spotykamy się z ich opisem...

Najwcześniejszą wiadomość o jednym z tych fragmentów podał właśnie Dubrowski we wspomnianej biografii Mickiewicza, opisawszy autograf, darowany mu przez Jeżowskiego.

Książki tej nie znał prof. Władysław Nehring i nie uwzględnił rzeczonego fragmentu przy wydaniu krytycznem „Konrada Wallenroda" [2]). Z tego więc powodu, jak również z przyczyny rzadkości dziełka Dubrowskiego, uważam za właściwe przytoczyć tu, według jego opisu, tekst tego fragmentu; zarazem nadmieniam, że i przy podaniu następnych autografow zachowuję również pisownię autora, wyrazy przekreślone ujmuję w nawiasy, a w odsyłaczu wykazuję te, które się różnią od pierwszego, w Petersburgu w roku 1828 drukowanego, wydania „Konrada".

---

[1]) Tamże, str. 60.

[2]) Dzieła Adama Mickiewicza, wydanie Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza. Tom III. Lwów, 1893.

1. ALPUHARA,

BALLADA.

(W gruzach) Już w gruzach leżą maurow posady
Naród ich dźwiga żelaza,
Bronią się ieszcze twierdze grenady
Ale w grenadzie zaraza.

Broni się ieszcze z wież alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spize
Rwą się okopy, mur wali
I [1]) z minaretów błysnęły krzyże
Hiszpanie (zamku miasta) [2]) dostali.

Jeden almanzor widząc swe roty
Zbite w upornej obronie
Przerznął [3]) między szable i groty
Uciekł i zmylił pogonie.

W tem miejscu karteczka oddarta, a na jej drugiej stronie po brakujących 17-tu wierszach ciąg dalszy:

. . . .
Że arab że król zwalczony
Swoich zwycięzcow chce zostać bratem
Wassalem obcej krainy [4]).

Hiszpanie męstwo cenić umieją
Gdy almanzora poznali
Wodz go uścisnął inni koleią
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał
Wodza nayczulej uscisną
Objął za szyię, za ręce chwytał
Na ustach iego zawisnął

---

[1]) Zapewne, jak w wydaniu petersb. wyraz: Już, którego Dubrowski odczytać nie mógł, i dlatego wykazuje w autografie po literze I zamiast liter: *uż* znak zbliżony do następującego: ⁓

[2]) W wyd. petersb.: zamku.

[3]) Opuszczono wyraz: się.

[4]) W wyd. petersb.: korony.

A w tem osłabiał [1]) padł na kolana
Ale rękami drżącemi
(Wiązał swoj zawoy do nóg Hiszpana
Cią Wiązac [2]) swoj zawoj do nóg Hiszpana
Ciągnął się za nim po ziemi

Spoyrzał do koła wszystkich . . . .
Zbladłe . . . .

Autograf ten Dubrowski ofiarował bibliotece publicznej w Petersburgu, gdzie też znajdować się powinien. Którykolwiek z literatów tamtejszych mógłby go odszukać, opisać dokładnie i porównać z ogłoszonym przez Dubrowskiego tekstem, który nie wydaje mi się ściśle podanym.

2. Dziwnym trafem końcowe zwrotki „Alpuhary" posiadał do niedawna p. Ludwik Jenike, obecnie zaś ma je p. Zygmunt Wolski w Warszawie. Jest to z kartki ze złoconemi brzegami wydarty urywek, któremu brak początku i końca (szer. $16^1/_2$, wys. $10^1/_2$ centm.). Po 17-u w poprzednim autografie opuszczonych wierszach ballada kończy się w ten sposób:

i śmiech piekielny został na wieki
(do licow li iego przym)
do zimnych liców przymarły
(Hiszpanie s trwogą z miasta uciekli)
(Dzuma za nimi w slad biegła)
(Połowę)
Hiszpanie trwożni z miasta uciekli
Dzuma za nimi [3]) w slad biegła,
(Nim z Alpuhary)
Z gór Alpuhary nim się wywlekli
Reszta ich wojska poległa.„

Tak to przed laty mścili się Maurowie
Wy chcecie wiedzieć o zemscie litwina?
Cożiesli kiedy uisci się w słowie
I przyidzie mieszać zarazę do wina
Ale nie — o nie, dziś inne zwyczaie!
(Xiąze Witoldzie [4]) prawda dziś lit. . .)
. . . .

W tem miejscu kartka oddarta i po 18-tu brakujących wierszach czytamy na drugiej stronie:

---

[1]). W wyd. petersb.: osłabnął.
[2]) W wyd. petersb.: wiążąc.
[3]) W wyd. petersb.: nimi.
[4]) W wyd. petersb.: wszędzie — Witołd.

I zasnął.

Rycerze chwilę w zadumaniu stali
Wiedzą o smutnym nałogu Konrada
Ze gdy się winem zbytecznie zapali,
W dzikie zapały, w bezprzytomność wpada,
Ale na uczcie? publiczna sromota!
Przy obcych ludziach w (tak dziwacznym) bezprzykładnym[1]) gnie-
|wie!
Kto go podniecił, (do) gdzie ow Waydelota?
Wymknął się s cizby i nikt o nim niewie.

Były powieści ze Alban[2]) przebrany
Litewską piosnkę (rycerz) Konradowi spiewał
Ze tym sposobem, znowu chrześciany
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał
Al skąd w Wallenrodzie tak nagł..)
Ale skąd w mistrzu tak nagłe odmiany
Za co się Witold—tak srodze rozgniewał[3]).
. . . .

Dla nabrania pewnego wyobrażenia o rękopisie „Konrada", uważam za właściwe wspomnieć tu choć kilka słowy o dwu jeszcze, wprawdzie ogłoszonych, lecz szerszemu ogółowi zapewne nieznanych fragmentach.

3. Jednym z nich jest urywek z Powieści Wajdeloty, który opisał dokładnie p. Mikołaj Mazanowski w tomie IV „Pamiętnika Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza" we Lwowie (1890 r., str. 212), a podobiznę jednej jego strony dołączył dr. H. Biegeleisen do 1 tomu „Dzieł Adama Mickiewicza" (Lwów, Księgarnia Polska, 1893 r.). Autograf ten jest formatu zwykłej ćwiartki, starannie po lewej stronie odciętej, u góry oderwanej piórem lub ręką od reszty arkusza, pochodzi ze zbiorów po Franciszku Malewskim w Petersburgu i obecnie znajduje się w Zakładzie narodowym im. Ossolińskich we Lwowie (Nr. 3,370, l. 2). Fragment ten zaczyna się od słów: „Albo (na tarcze Winrycha piasek miotałem i) błyszczące Winrycha tarcze deptałem ze wzgardą", kończy się zaś wierszem: „Gdy pacierze z nią mówił. Chciał wszystkiego nauczyć".

---

[1]) Wstawiono zamiast wyrazu przekreślonego.
[2]) W wyd. petersb.: Halban.
[3]) Krótki opis tego autografu i jego podobiznę podałem w tomie III-m „Pamiętnika Tow. Lit. im. A. Mickiewicza we Lwowie" (R. 1889, str. 271) i w № 7 „Tygodn. Illustr. za r. 1890.

4. Następnym ze znanych autografów jest ustęp z VI-go rozdziału p. t.: „Pożegnanie” od słów Konrada: „Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami” — do słów Pustelnicy: „Ja cię mój drogi nie chcę widzieć z bliska” — razem wierszy 67.

Jest to, według opisu p. Władysława Bełzy, posiadacza tego urywku, ćwiartka grubego papieru, bez żadnych znaków wodnych, mająca 21 ctm. wysokości a 16 ctm. szerokości, po obu stronach zapisana. Papier autografu zachowany dobrze, choć znacznie pożółkł przez lata, z trzech boków równo obcięty i ma brzegi złocone, natomiast czwarty jest wystrzępiony i nosi ślady wydarcia z całości. Kartka ma porządkową liczbę 3, położoną u góry ręką Mickiewicza. Tekst i podobiznę podał p. Bełza w tomie VI „Pamiętnika Towarzystwa Lit. im. Mickiewicza” za rok 1898 (str. 315—19).

5. Do nieznanych zupełnie fragmentów z „Konrada” należy kartka z Powieści Wajdeloty, również po obu stronach zapisana, w posiadaniu biblioteki ordynacyi Zamoyskiej w Warszawie. Autograf ten, na ćwiartce zwykłego papieru (szer. 18, wys. 22½ ctm.), rozpoczyna się słowami: „i iak sokoł na ptaki z góry na duchy uderza”, a kończy wierszem: „Które mu (dus) życie słodziło, nawet uczucie miłości”; razem z przekreślonymi wierszy 73.

i iak sokoł na ptaki z góry na duchy uderza.
Kowno w gruzy runęło, Litwa do Kieydan uchodzi;
W gruzach runęły Kieydany Litwa po gorach i lasach
(Broniąc się nie ustąpi kroku bez bitwy upar...)
Broni się Niemcy dalej ciągną plądruią i palą [1]).

Kieystut z Walterem (na czele w obozach na)
pierwsi w bitwach ostatni w odwrocie
(Kiedy ciągną do na)
Nocą gdy iadą w obozy (s połamanemi tarczami)
z wyszczerbionemi miecz
(Z wyszczerbionym orężem . . . krwią)
(I patrzał) porąbaną zbroicą, kurzem, ranami okryci [2])
Kieystut zawsze spokojny — od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyiacielem, wpadać zwyciężać ucieka
Wiedział że iego przodkowie zawsze niemcami walczyli
Idąc w ślady swych przodków bił się i nie dbał o przyszłość
Inne były Waltera myśli, schowany śród Niemców
Znał potęgę zakonu, przyszłość oyczyzny zgadywał [3])

---

[1]) W wyd. petersb.: plądrując i paląc.
[2]) W wyd. petersb. te cztery ostatnie wiersze opuszczone.
[3]) W wyd. petersb.: Znał potęgę Zakonu, wiedział, że Mistrza wezwanie.

Prusy (niegdyś ....[1]) broniły się (dwo) niegdyś starła się przemoc krzyza[2])
Widział niedolę (prusaków) podbitych drzał nad losami (litwinów) rodaków[3])
Synu Kieystut zawołał (przez to) zgubnym ty iesteś prorokiem
(Za coś mi w sercu obudził)
(Za co mi pokazuiesz marę przyszłosci, odiąłeś wiarę)
(Wszelką) Z oczu mi zdarłeś zasłonę — aby przepaści [4]) pokazać
Kiedy ciebie słuchałem zda się ze ręce osłabły
I że z nadzieią zwycięstwa s piersi (mey) uciekła odwada
(Cóż poczniemy z Niemcami)
Cóż my teraz poczniemy — [5]) Oycze (moy wiem) Walter powiadał
Wiem ia sposób na Niemców [6]) słuszny, skuteczny, niestety
Może kiedyś obiawię. Tak rozmawiali w obozie [7]) (po bitwie)
Słucha (Aldona) biedna Aldona, nie zrozumiała wszystkie
Lecz iey serce (zgaduie) przeczuwa (samo) coś okropnego w przyszłość [8])
(Oyciec) Kieystut coraz smutniejszy, Walter iak mocno zmieniony
Dawniej chociaż nie bywał nigdy zbytecznie wesoły
W chwilach nawet szczęśliwych — lekki mrok zamyślenia
(Lice) iego (przysłania) zasłaniał [9]) ale przy (swoiey) w obięciach Aldony
(Zawsze) dawniej miewał (ła ow) pogodne czoło i lice spokoyne
Zawsze ią witał uśmiech, czułym żegnał [10]) weyrzeniem.
Teraz zda się że skryta iakaś [11]) dręczyła go boleść
Siedzi milczący i duma albo w samotność ucieka [12])
(Z rana) Cały ranek na dymy wiosek płonących spogląda
Obłąkanemi oczyma, w nocy porywa się ze snu
I wypiekłszy dalekich łunę pożarów (dostrzega) uważa [13]).

---

[1]) Wyraz przekreślony nieczytelny.

[2]) Między wierszami wstawiono wyraz: Teutonów — W wyd. petersb.:
Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków Teutony,
Litwa pierwiej czy później równej ulegnie kolei;

[3]) W wyd. petersb.: Widział niedolę Prusaków, drżał nad przeszłością Litwinów.

[4]) W wyd. petersb.: Otchłanie.

[5]) W wyd. petersb.: Cóż poczniemy z Niemcami?

[6]) W wyd. petersb.: Wiem ja sposób jedyny.

[7]) W wyd. petersb.: Tak rozmawiali po bitwie
Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom wezwała.

[8]) W wyd. petersb. te dwa wiersze opuszczone.

[9]) W wyd. petersb.: przysłaniał.

[10]) W wyd. petersb.: pożegnał.

[11]) W wyd. petersb.: jakaś skryta.

[12]) Wiersz opuszczony w wyd. petersb.

[13]) W wyd. petersb.:

Cały ranek przed domem z założonemi rękami.
Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i wiosek,
Patrzy dzikiemi oczyma; w nocy porywa się ze snu,
I przez okna krwawą łunę pożarów uważa.

Co ci mężu kochany [1]) pyta ze łzami Aldona
Co mnie? mamże spokoynie czekać aż Niemcy nadbiego [2])
(I zakutego wł) i sennego związawszy w ręce katowskie oddadzą.
(To się nie stanie) Boże uchoway, Walterze [3]) straże pilnuią okopów
Prawda żono nie może stać się (bo mamy oręża dopóki żyjemy [4]).
(Ale) Słuchay (ieśli ia zginę) ieśli starości nędzney starości dożyię
Jeśli (Wasz) Bog nam zdarzy z dziatek pociechę — i Niemcy
Nocą wpadną zabierać synów (iak) uwiozo daleko
I nauczą wypuszczać strzały przeciwko Rodziców [5]).
Ja sam możebym oyca możebym braci mordował
Gdyby nie Waydelota — Drogi Walterze uiedźmy
Dalej w Litwę, skrymy się w lasy i góry od niemcow
— My odiedziem, a inne matki i dzieci zostawim
Tak uciekali Prusacy niemiec ich w Litwie dogonił
Jeśli nas w gorach dośledzi — dalej uiedziem — moi drogi [6])
— Dalej, dalej, nieszczęsna, dalej (pola... Lachowi... w ręce Tatarom)
wyiedziem za Litwy [7])
(Rusz dalej rus)
(Lachom lub albo Polanom wpadniemy)
W ręce Tatarów (lub) i lachów [8]). Na tę (słowa) odpowiedź Aldona
Pomieszana (milczała) umilkła, pierwszy raz słyszy że Litwę
Można całą przeiechać ze dokoła są wrogi, [9])
Załamawszy ręce pyta Waltera, co począć.
Jeden sposób Aldon, ieden pozostał litwiny [10])
(Zr) Skruszyć potęgę Zakonu mnie ten sposób wiadomy
Lecz nie pytaj dla boga; stokroć przeklęta godzina
W której (nas) od wrogi przymuszą chwycisz się tego sposobu[10]).

---

[1]) W wyd. petersb.: Mężu drogi, co tobie?

[2]) W wyd. petersb.: — Co mnie? będęż spokojnie drzemał aż Niemcy napadną.

[3]) W wyd. petersb.: Mężu!

[4]) Nad wyrazami przekreślonymi wstawiono: mam oręż; w wyd. petersb.
Prawda, straże pilnują, czuwam i szablę mam w ręku.

[5]) W wyd. petersb.:
Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję...
— Bóg nam zdarzy pociechę z dziatek — w tem Niemcy napadną,
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko,
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego.

[6]) W wyd. petersb.: Jeśli nas w górach wyśledzi? —Znowu dalej ujedziem

[7]) W wyd. petersb.: dalej ujedziem za Litwę.

[8]) W wyd. petersb : W ręce Tatarów lub Rusi?

[9]) Na boku dopisano: iey się zdawało dotychczas że kraj Litwy iak swiat.. był szerogi;
zaś w wyd. petersb.:
Pomieszana milczała; jej zdawało się dotąd.
Że ojczyzna, jak świat jest długa, szeroka bez końca.

[10]) W wyd. petersb.: Litwinom.

[11]) W wyd. petersb.: W której od wrogów zmuszony chwycę się tego sposobu.

Więcej nie chciał powiadać; (ani te) prośby [1]) Aldony nie słuchał (a)
Litwy tylko nieszczęścia słyszy i widzi przed sobą [2])
Aż nareszcie chęć zemsty (całą) mu duszę obięła [3])
Wszystkie stłumiła [4]) uczucia, nawet (me) jedyne uczucie
Które mu (dus) życie słodziło, [5]) nawet uzcucie miłości

6. Ostatnim wreszcie z nieznanych fragmentów, który tu podać zamierzam, jest początkowy ustęp z „Wojny", spisany po obu stronach na kartce grubego, od starości pożółkłego papieru (szerokość 16½ a wysokość 20½ ctm.). Brzeg górny i lewy równe i złocone, brzeg dolny odcięty, brzeg wreszcie czwarty, wystrzępiony i nierówny, wskazuje, że kartka ta wydarta jest z kajetu lub oprawnego zeszytu. Poszarpanie to jest na boku prawym, licząc od początku autografu. Na boku obcą ręką dopisano: „Autograf Adama Mickiewicza z poematu: Wallenrod", u góry ołówkiem: „Nr. 2". Kartkę tę posiada p. Tomasz Baraniecki w Warszawie.

WOJNA.

Wojna — iuż Konrad hamować nie zdoła
Zapędów ludu i naleganí rady
Dawno już cały kraj o pomstę woła
Za Litwy napaść i Witolda zdrady

Witold co wsparcia u zakonu żebrał
Dla odzyskania Wileńskiej stolicy
Teraz po uczcie, gdy wieści odebrał
Ze w krotce ruszą w pole krzyżownicy
Zmienił zamiary nową przyiaźń zdradził
I swych rycerzy taynie uprowadził.

w Zamki Teutonów leżące po drodze
Zr) Wszedł z wymyślonym od mistrza rozkazem,
A potem oręż wydarłszy załodze
Wszystko wyniszczył ogniem i zelazem
Zakon i wstydem i gniewem zagrzany
Krzyżową wojnę podniosł na pogany.
(Natychmiast)

---

[1]) W wyd. petersb.: prośb.
[2]) W wyd. petersb.: słyszał i widział przed sobą.
[3]) W wyd. petersb.: Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony
Klęsk i cierpień widokiem, wzdął się i serce ogarnął.
[4]) W wyd. petersb.: wytrawił.
[5]) W wyd. petersb.: Dotąd mu żywot słodzące;

Wychodzi Bula; morzem, lądem płyną,
Nieprzeliczone woiowników roie.
Możni Xiązęta, z wassalów drużyna
Czerwonym krzyzem ozdabiaią zbroie.
(Każdy swe życie na jedną poślubił)
A każdy na to swe życie poslubił
Aby pogaństwo ochrzcił — lub wygubił

Poszli ku Litwie [1]) i coz tam sprawili?
Jesliś ciekawy, wynidz na okopy,
Spoyrzy ku Litwie gdzie się dzień nachyli
Zobaczysz łunę co niebieskie stropy
Krwawym (potokiem) płomieni ruczajem obleie.
O to są woien napaśniczych dzieie
Wszystkie podobne! — [2]) rzeź, grabiez, pozoga
I blask, co głupie rozwesela zgraie
A w którym mędrzec z boiaźnią uznaie
Głos wołający o pomstę do boga.

. . . .

W tem miejscu kartka oddarta i brak dalszych zwrotek, razem 29 wierszy, t. j. prawie tyle, ile ich napisać można na jednej stronie tej kartki. Te brakujące wiersze poeta spisał zapewne na innej kartce, a ciąg dalszy skreślił znów na drugiej stronie naszego autografu. Jeżeli więc to nie wynikło ze zwykłej pomyłki lub nieuwagi, to okoliczność ta mogłaby nasunąć przypuszczenie, że rozdziały „Konrada" od Alpuhary kreślone były na kartkach oddzielnych, a nie zaś w ciągu jednego zeszytu.

Oto druga strona autografu:

Dzwignionych znowu potrącą do dołu
Ci ieszcze wleką odrętwiałe nogi,
Ci (nagle) w biegu, nagle przystygli do drogi,
Lecz (wznoszą ręce) ręce wznoszą i stoiące trupy,
Wskazuią w miasto, iak podrozne słupy.

Lud wybiegł z miasta, strwozony, ciekawy,
Lękał się zgadnąć i o nic nie pytał,
Bo całe dzieie (ocz) nieszczęsnej wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy przeczytał, [3])
Nad ich oczyma, (zimna) mrozna smierc (zawisa) wisiała
Harpia głodu ich (twarze) lica wyssała.

---

[1]) Pierwotnie było: na Litwę.
[2]) W wyd. petersb.: Łacno je skreślić.
[3]) W wyd. petersb.: wyczytał.

Tu słychać trąby litewskiej pogoni.
Tam wicher toczy kłąb sniegu po błoni
Opodal wyie chuda psów gromada
A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło, Konrad wszystkich zgubił.
On co z oręza takiei nabył chwały
On co się dawniey rostropnoscią chlubił
W ostatniej wojnie, lękliwy niedbały,
Witolda chytrych sideł nie dostrzegał,
A oszukany chęcią zemsty ślepy
Zagnawszy wojsko na Litewskie stepy
Wilno tak długo tak gnuśnie oblegał.

Kiedy strawiono dobytki i plony
Gdy głód niemieckie nawiedzał obozy,
A nieprzyjaciel w koło rosproszony
Niszczył posiłki przecinał dowozy
Codziennie w nędzy marły niemcow krocie,
Czas było szturmem położyć kres woyny
Albo o rychłym zamyślać odwrocie.
(Wallenrod)
W tenczas Wallenrod uf. . . . .

. . . .

Z porównania opisanych i wzmiankowanych tu autografów wysnuwa się kilka wniosków:

Przedewszystkiem zauważyć można, że kartki, zawierające ustępy z Powieści Wajdeloty, pisane są na papierze zwyczajnym, z nierównemi brzegami, jednakowego mniej więcej wymiaru. Urywki zaś z „Alpuhary”, „Wojny” i „Pożegnania” na papierze nieco mniejszym, lepszym i ze złoconymi brzegami, tak, jakby drugą część poematu poeta tworzył wśród innych może okoliczności, w innem miejscu i czasie. Ten domysł zresztą może mieć pewne uzasadnienie, gdyż wiadomo, że Mickiewicz pisał „Konrada” długo i z pewnemi przerwami w Odesie i Moskwie. Rozpoczął go w roku 1826, a dopiero w styczniu następnego roku zbliżył się ku końcowi i zamknął ostatecznie w sierpniu t. r.

Możliwe też jest przypuszczenie o istnieniu dwu lub więcej redakcyi „Konrada”, jeżeli nie całego poematu, to oddzielnych rozdziałów. I w istocie, sądząc z licznych poprawek i odmian we fra-

gmentach z Powieści Wajdeloty, można dojść do wniosku, że ustępy te należą do najpierwszej redakcyi, czego znów napewno twierdzić nie można o fragmentach dalszych np. „Wojny“ i „Pożegnania“, rzucanych na papier tak swobodnie, że sprawiają wrażenie ustępów przepisanych na czysto. Zresztą może łatwiej było poecie tworzyć wiązaną mową, aniżeli opowieść Wajdeloty ujmować w karby heksametr.

Leopold Méyet.



Zywot Balduina Gallusa,

BISKUPA KRUSZWICKIEGO.

(1066 — 1145).

CZĘSC II.

Kardynał Presbiter Balduin, arcybiskup Pizański.

W otoczeniu papieża Innocentego II wypływa koło r. 1130 jakiś Balduin, który sam przéz się jest zagadką historyczną i osobistością, budzącą w najwyższym stopniu ciekawość historyków. Bo jakkolwiek Balduin był kardynałem, (powszechnie twierdzą historycy kościelni [1]), że nim został na soborze Claromontańskim r. 1130), a następnie arcybiskupem Pizańskim (1038), a zatem w każdym razie osobistością wybitną: żaden historyk nie znał ani pochodzenia, (t. j. rodziny, z której pochodził), ani narodowości jego (t. j. kraju rodzinnego). Już to samo jest bardzo podejrzane.

---

[1]) Np. Angeli Manrique: Annales Cistercienses Lugduni (1642) pod rokiem 1130; za Manrikiem powtarza to cały szereg historyków późniejszych.

Najwięksi historycy kościelni, taki Baronius [2]) i kontynuatorowie jego, podali o osobie Balduina, arcybiskupa Pizańskiego, wiadomości, których mylność wykazali znowu, jak to zobaczymy, Bollandyści [3]). Ale i wiadomości, podane o osobie Balduina, arcybiskupa Pizańskiego, przez Bollandystów, są również mylne, jak to niżej wykażemy.

Tak tedy ten kardynał-presbiter Balduin, który potem został arcybiskupem Pizańskim, jest może jedynym przykładem wysokiego dygnitarza kościoła z pierwszej połowy wieku XII, o którego pochodzeniu i narodowości krytyka historyczna do dziś dnia prawdy domacać się nie może i którego tylko koniec żywota, mianowicie kardynałat i działalność arcybiskupia w Pizie są znane; całą zaś przeszłość jego do dziś dnia gruba pokrywa tajemnica. Przypatrzmyż się więc najprzód temu w pełnem świetle historycznem jaśniejącemu końcowi żywota (1130—1145) tego Balduina, arcybiskupa Pizańskiego, a następnie długiemu sporowi historyków o osobę i pochodzenie jego, poczem wykażemy, że ta cała tajemnica przeszłości i pochodzenia tego arcybiskupa Pizańskiego może tylko być wyjaśnioną zapomocą przypuszczenia, że to był nasz biskup Kruszwicki i hrabia Hennegawii.

Na dyplomatach papieskich podpis „Presbyter Cardinalis tituli S-ae Mariae fundentis oleum, Balduinus", zjawia się po raz pierwszy w czerwcu 1137 r. [3]). W tym samym roku d. 9 lipca występuje kardynał Balduin, jako jeden z rzeczników papieża Innocentego II w sporze przeciw klasztorowi w Monte Cassino przed cesarzem Lotaryuszem w obozie cesarskim nad Lago Pesole, gdzie wyrokiem polubownym cesarza spór miał zostać rozstrzygnięty [4]). Oczywiście, że w nagrodę za usługi, wyświadczone Innocentemu II w walce przeciw Anakletowi i jego stronnictwu podczas wielkiej schyzmy, kardy-

[1]) Annales ecclesiastici, Colonia Agripin. 1613.

[2]) Acta Sanctorum.

[3]) Jaffé: Regesta Pontificum. Petri Diaconi Chronicon Cassinense w Mon. Germ. Hist. Scriptores VII, 814, 822.

[4]) Chodziło o to, czy klasztor w Monte Cassino, który był po stronie antipapieża Anakleta, poddany jest władzy papieskiej, czy też od papieża niezawisły. Cesarz Lotaryusz, oczywiście w interesie władzy cesarskiej, skłaniał się do uznania niezawisłości klasztoru Monte-Cassińskiego od władzy papieskiej. Porówn. Bernhardy, Lothar von Supplinburg, str. 721—733.

nał Balduin mianowany został w roku następnym (1138) arcybiskupem Pizańskim [1]).

Jako taki, uzyskał on od papieża potwierdzenie i rozszerzenie licznych praw i przywilejów metropolii Pizańskiej [2]). Jako głowa dyecezyi Pizańskiej, Balduin wciągnięty był w krwawe walki, które się od stu lat toczyły między współzawodniczącemi miastami: Pizą a Genuą [3]).

Aby zrozumieć stanowisko Balduina, musimy kilku słowy przypomnieć przyczyny i przebieg tych walk pizańsko-genueńskich.

„Chodziło o panowanie nad Sardynią i Korsyką, wyswobodzonemi niegdyś z pod jarzma arabskiego za wdaniem się papieży przez połączone floty Pizy i Genuy. W końcu jednak papieże, którzy przypisywali sobie supremacyę nad temi wyspami, przyznali Pizie pierwszeństwo w panowaniu nad niemi. Biskupi pizańscy zostali wikaryuszami papieskimi w Korsyce i otrzymali legacyę dla Sardynii. Papież Gelazy II (1118—1119) wyniósł biskupstwo pizańskie do godności arcybiskupstwa i potwierdził prawa co do Korsyki. Preferencyą tą Pizy Genua uważała się za skrzywdzoną. Albowiem owa godność duchowna przynosiła wtedy wielkie korzyści materyalne, o które więc toczyły się walki między temi dwoma miastami. Innocenty II, w r. 1130 uchodząc z Rzymu (przed stronnictwem Anakleta) i udając się do Francyi, pogodził strony wojujące. Zaledwie jednak wrócił do Włoch (1132), nieprzyjaźń wybuchła nanowo. Innocenty udał się do Pizy i zwołał tam sobór. Na soborze tym zawarto pokój. Genua otrzymała także arcybiskupstwo, aby nie była upośledzoną wobec Pizy. Nowomianowanemu arcybiskupowi genueńskiemu dano północną część Korsyki (trzy biskupstwa); arcybiskupowi Pizy natomiast przyznano prymasostwo nad Sardynią i nad trzema biskupstwami na Korsyce. Wreszcie także biskupstwo Populonii (na stałym lądzie) przyłączono do arcybiskupstwa Pizańskiego” [4]).

Trafne to przedstawienie ówczesnych stosunków między Pizą a Genuą ułatwi nam zrozumienie bulli Innocentego II do arcy

---

[1]) List kanoników katedry Pizańskiej do Innocentego II z prośbą o zamianowanie arcybiskupa z d. 7/4 1137 wydał Pflugk Hartung w Iter italicum p. 460.

[2]) Dotycząca bulla papieska z 22/4 1138. Pflugk-Hartung, str. 226.

[3]) Porówn. Domenico Santoro. Relazioni tra Pisa e la Sardegna del 1015 al 1165. Roma 1896.

[4]) Bernhardy: Lothar v. Supplinburg. str. 463, 464.

biskupa Pizańskiego [1]). W bulli tej papież poddaje metropolii Pizańskiej nie tylko dwa biskupstwa w obrębie „sędziostwa" Galluryańskiego na Sardynii i biskupstwo Populońskie (we Włoszech), ale nadto przyznaje arcybiskupowi Pizańskiemu obok legacyi sardyńskiej jeszcze prymasostwo nad „prowincyą Turritańską" na Sardynii.

Zobaczymy poniżej, jak ta ostatnia godność arcybiskupa Pizańskiego stała się fatalną dla pośmiertnej jego sławy i przyczyniła się do różnych bałamutnych wiadomości historyków o jego osobie. Arcybiskup Balduin oddawał się z wielką energią zarządowi nietylko duchownych, ale i świeckich spraw swojej metropolii [2]). Wystarał się też arcybiskup Balduin u cesarza Konrada III o potwierdzenie różnych praw i posiadłości metropolii Pizańskiej, o darowiznę niektórych dóbr i nadanie niektórych przywilejów. Stosowny przywilej cesarza Konrada wydany został w r. 1139 za wstawieniem się cesarzowej Beltrudy, brata cesarskiego, słynnego kronikarza Ottona z Freisingen, i Ś-go Bernarda, u których to osób znakomitych oczywiście Balduin musiał być w łaskach [3]).

W r. 1141 poddaje się arcybiskupowi Pizańskiemu i Pizańczykom hr. Guido, oddając im posiadłości w lenno [4]). Na Sardynii rządy Balduina, jak się zdaje, natrafiły na opór, bo Sardyńczycy wogóle supremacyę Pizy niechętnie znosili. Arcybiskup Balduin musiał się osobiście w r. 1145 udać na Sardynię i chwycić się tam energicznych środków w celu wzmocnienia panowania swego i Pizańczyków. „Sędziego" Arborei Comidę II wyklął i z urzędu złożył; na jego miejsce osadził Gonuaria, „sędziego" torreziańskiego [5]). Wkrótce potem, tego samego jeszcze roku 1145 umarł arcybiskup Balduin, a stolicę arcybiskupią w Pizie zajął mianowany przez Eugeniusza III Villanus.

---

[1]) Wydrukowana in extenso u Tronci'ego: Annali Pisani (1682) p. 72, jakoteż u Pflugk-Hartunga: Acta Pontificum.

[2]) W r. 1139 sędziowie pizańscy przysądzają mu posiadanie połowy wyspy Planuzyi, o którą wystąpił, jako powód (Muratori: Antiquitates Italiae, T. III).

[3]) Nadanie to wydrukowane u Tronci'ego str. 74.

[4]) Muratori loc. cit.

[5]) Cod. dipl. Sard., cytowany u Santora: Relazioni str. 69. „Sędziami" nazywano wtedy we Włoszech świeckich naczelników pojedyńczych prowincyi na Sardynii, którzy zajmowali tam stanowiska takie, jak „hrabiowie" lub „książęta" gdzieindziej; dlatego też w znanym owym akcie darowizny Gniezna z końca X w. (Mon. Pol. Hist. I. str. 148) ów ojciec czy opiekun naszego Mieszka I, Dago, nazywany jest „judex".

Przystępujemy teraz do wykazania, że wszystkie wiadomości, podawane dotychczas przez historyków kościelnych i świeckich o pochodzeniu i narodowości arcybiskupa Balduina, są mylne. W szczególności postaramy się wykazać, że następujące, ogólnie przyjęte przez historyków fakty, mianowicie, że:

1. Balduin mianowany został kardynałem na soborze Claromontańskim (1130),
2. że był Cystersem,
3. że był Pizańczykiem,
4. że był uczniem Ś-go Bernarda,

poczęści nie są dostatecznie poświadczone (1-szy), a poczęści (2-gi, 3-ci i 4-ty) nie są prawdziwe, i że twierdzenia te historyków polegają na pomyłkach.

ad 1. Sobór Claromontański.

Prawie wszyscy historycy kościelni, a za nimi najnowszy biograf świętych pizańskich, kanonik pizański, Giuseppe Sainati, twierdzą, że Balduin w r. 1130 na soborze Claromontańskim mianowany został przez Innocentego II kardynałem [1]). Twierdzenie to nie ma dostatecznej podstawy. O soborze Claromontańskim nie mamy żadnych innych współczesnych wiadomości prócz krótkiej wzmianki, którą (za Baluziusem) podaje Mansi w dziejach soborów (tom XXI, str. 437). Między wyliczonymi tam biskupami i kardynałami, z którymi Innocenty II (1130) odprawił ten sobór, niema wymienionego żadnego Balduina. Prócz tej wzmianki u Mansiego zachował się tylko list Innocentego II do Didaka, arcybiskupa Compostelli, w którym papież o odprawieniu tego soboru donosi [2]). O żadnym Balduinie niema w nim wzmianki. Również relacye o dalszej po-

---

[1]) Giuseppe Sainati: Vite dei Santi Beati e servi di Dio nati nella Diocesi Pisana. Pisa, 1884, p. 256. Najnowszy, bardzo uczony dziejopisarz kardynałów rzymskich, Conte Francesco Cristofori (Storia dei Cardinali di Santa Rom. Chiesa. Roma 1888) zdaje się podejrzywać, że twierdzenie Sainatego, jak i jego poprzedników: Manriqua, Oldviniego i innych, jakoby Balduin został kardynałem r. 1130, jest bez podstawy, bo, powtarzając za nimi tę datę, dodaje ze swej strony „?". Ten znak zapytania Cristoforego jest bardzo uprawniony.

[2]) Jaffè: Regesta Pontificum. I, 846. № 7,449. Hüffer (Der heilige Bernhard, I, 194) zauważa słusznie, że „żaden z historyków, twierdzących, jakoby Balduin został kardynałem 1130 r. na soborze Claromontańskim, twierdzenia tego nie popiera żadnym dowodem" — bo też takich dowodów niema.

dróży Innocentego II z Claromontu przez Francyę do Leodium, nie wspominają nic o żadnym kardynale Balduinie. Aż do roku 1137 nie figuruje on na żadnym akcie papieskim. Twierdzenie, jakoby Balduin, późniejszy arcybiskup Pizański, został kardynałem r. 1130 na soborze Claromontańskim, jest domysłem jednego z późniejszych historyków. Prawdopodobne jest tylko, że Balduin Gallus już r. 1130 był w otoczeniu Innocentego II i popierał go (patrz niżej ostatni ustęp, str. 18).

ad 2. Czy Balduin, arcybiskup Pizański, był Cystersem?

Twierdzenie historyków, jakoby Balduin, arcybiskup Pizański, był Cystersem, polega na zamienieniu go z innym Balduinem Cystersem, późniejszym opatem Reatyńskim. Twierdzenie to mylne powtarzane było przez wszystkich prawie historyków za tak zwanem „Exordium magnum", t. j. historyą Cystersów, pochodzącą z XIII w. [1]). Dawniejsze i wiarogodniejsze źródło historyi Cystersów, t. z. „Exordium parvum", nic o żadnym Balduinie nie wspomina.

Nietrudno jednak wykazać źródło, z którego twierdzenie to dostało się do Exordium magnum. Jest to dzieło dawniejsze, z końca XII wieku, Heriberta, arcybiskupa Turretańskiego na Sardynii, „de Miraculis" [2]). Ten Heribert był rodem Hiszpan; około r. 1160 był mnichem w klasztorze Cystersów w Claravalle, gdzie piastował urząd sekretarza u opata Fastrada, następcy Ś-go Bernarda. Arcybiskup Balduin wtedy już od 15 lat nie żył. Claravallis nie miała wtedy z Pizą żadnych stosunków. Słyszał wprawdzie Heribert od opata swego, Fastrada, opowiadania o poprzedniku jego, głośnym opacie Ś-ym Bernardzie, przy której sposobności tołatwo także mógł słyszeć wspominanego Balduina, ucznia i sekretarza Ś-go Bernarda, a więc niejako swojego poprzednika na usługach opata Clarawalleńskiego; mógł o nim słyszeć, że Ś-ty Bernard z żalem tylko z ukochanym tym swoim sekretarzem („exceptor") się rozstał, kiedy tenże powołany został do Włoch na wysoką godność duchowną (został on bowiem opatem klasztoru Cystersów w Reate).

Niedługo potem Heribert zaawansował także. Został kapelanem opata Henryka w Claravalle, potem opatem w klasztorze Moryj-

---

[1]) Wydane w Patrologii Migne'go, tom 185, str. 999—1198.

[2]) Porówn. Hüffer l. c. 171. Vacandard: Vie de S-t. Bernard w Revue de questions historiques Roczn. 22. T. 43 (1888), str. 338.

skim (Moris), a w końcu, około r. 1176 (a więc 30 lat po śmierci arcybiskupa Balduina), arcybiskupem w Torres na Sardynii[1]). Jako taki, podlegał on prymasowi arcybiskupowi Pizańskiemu. Między Sardynią a Pizą ciągłe zachodziły spory. Arcybiskup Torresański pewnie także niechętnie znosił supremacyę prymasa arcybiskupa Pizańskiego. Otóż wiedziano w Sardynii, że to prymasostwo wyjednał sobie niegdyś, ze szkodą arcybiskupa Torresańskiego, od Innocentego II arcybiskup Pizański Balduin. Rządy tego Balduina na Sardynii w złej były pamięci z powodu energicznych środków, jakich się tam jął w celu utrzymania swojej supremacyi, jakeśmy to widzieli. Dla arcybiskupa Heriberta musiał zatem ten arcybiskup Pizański Balduin, jako pierwszy sprawca podległości arcybiskupa Sardyńskiego pod prymasostwo Pizy, być przedmiotem niechęci. Zemścił się też na nim Heribert w sposób, dla pisarza duchownego charakterystyczny. Podobnie bowiem, jak to 300 lat później także Dante czynił z niemiłymi sobie postaciami historycznymi, i Heribert w dziele „de miraculis“ skazał Balduina, arcybiskupa Pizańskiego, na czyściec, aby tam za „grzechy“ swoje pokutował. Mianowicie wymyśla on następującą „wizyę.“ „Jakiś kleryk, powiada, miał raz wizyę, w której Pan Bóg pozwolił mu przypatrzeć się czyśćcowym mękom różnych grzeszników. Aż tu widzi, niby chmurę, pędzoną wiatrem, wysoko w powietrzu unoszącą się postać z rysów mu znajomą. „Biada mi, grzesznikowi, woła kleryk, czyż to nie Ty jesteś, Panie nasz, Balduinie, arcybiskupie Pizański, z Claravalle powołany?“ „Jużciż ja jestem,“ odpowiada postać i, żaląc się, opowiada czyśćcowe męki, jakie przebywa, pokutując za grzechy żywota swego.”

Otóż w tej bajeczce, w której Heribertowi głównie o to chodzi, aby arcybiskupowi Balduinowi, jako sprawcy zawisłości arcybiskupstwa Torresańskiego od prymasa Pizańskiego, przypiąć łatkę, nazywa Heribert mimochodem Balduina, „z Claravalle przywołanego” (de Claravalle assumptus). Pytanie: skąd Heribertowi wzięło się mianować Balduina arcybiskupa Cystersem? Rzecz bardzo prosta. Kiedy jeszcze był sekretarzem opata Fastrada w Claravalle, słyszał, jak wiemy, opowiadania o Ś-ym Bernardzie i sekretarzu jego, B a l d u i n i e, o którym św. Bernard w l i ś c i e do Claravalleńczyków donosi, że „powołany został przez kościół do innej wyższej godności.” List ten chowano w Claravelle wraz z innymi listami św. Bernarda,

---

[1]) Hüffer l. c. 160 i 168.

czytywano i przepisywano go. Miał więc w pamięci Heribert, że jakiś „Balduin", uczeń św. Bernarda, a zatem Clarawaleńczyk, „powołany został przez kościół do wyższej godności." Po latach 30-u Heribert dostał się na arcybiskupstwo w Sardynii. Tam słyszał, że sprawcą zawisłości tego arcybiskupstwa od Pizy, był jakiś arcybiskup Balduin przed 30 laty. Kombinował on sobie więc, że to pewnie ten sekretarz i uczeń św. Bernarda, Balduin, „który powołany został przez kościół na wyższą godność", był tym arcybiskupem Pizańskim. Kiedy mu więc za „grzechy jego żywota" kazał pokutować w czyśćcu i objawić się w wizyi „jakiemuś klerykowi", tytułuje on go Cystersem—„de Claravalle assumptus." Stąd pomyłka—bo uczeń ów i sekretarz św. Bernarda był inny Balduin, który został opatem w Reate. Z Heriberta znów czerpał autor, czyli kompilator dzieła „Exordium Magnum", który założył sobie tylko wysławianie zakonu Cystersów, jako kolebki wysokich dygnitarzy kościelnych. Uganiając się zatem za takimi luminarzami, pochodzącymi z Claravalle, znalazł w Heribercie jakiegoś arcybiskupa Pizańskiego, „de Claravalle assumptus." Wciągnął go więc bez namysłu w szereg wielkich ludzi, wyszłych z Claravalle, sadząc się przytem, zwyczajem kronikarzy 13 w. (podobnie, jak nasz Kadłubek), na obrazy i metafory pełne napuszystości i bombastu. Oto ustęp dotyczący: „Z tłustej gleby łaski niebieskiej, winnica Wszechmocnego Pana Sebaoth, to znaczy kościół w Claravalle, wydała latorośl, aby przesadzoną została poza morza, to znaczy, aby wywyższoną została godnością duchowną po nad różne narody, ojczystej ziemi szczególna chwała (natalis soli specialis gloria") Balduin zajaśniał cudownie, który, idąc za nauką św. Bernarda, świata całego gardząc rozkoszami i przepychem, dla świata umierając, w Claravalle nowe rozpoczął życie... Tutaj, gdy najdoskonalszych mnichów stał się naśladowcą, został za powołaniem Boskiem Pizańskiego kościoła, metropolii Etruskiej arcybiskupem. Gdy wysokiej tej godności zaszczytu dostąpił, w takiem zajaśniał mądrości świetle i z taką godnością urząd swój piastował, że męża takiego winszowali sobie nie tylko zakon Cystersów, ale wszyscy wierni całych Włoch..."

Tak tedy na mylnej podstawie Heriberta Exordium magnum zrobiło Balduina, arcybiskupa Pizańskiego, niewątpliwym Cystersem. Uwagi godne jest przytem, że kompilator, układający Exordium magnum, w zapędzie wypisywania z Heriberta nie mógł się wstrzymać i obok powyższego panegiryku na arcybiskupa Pizańskiego Cystersa, wypisał także całę znaną nam już cudowną wizyę „pewnego kleryka", w której „wielkie światło mądrości", Balduin

pokutuje w czyśćcu za grzechy swego żywota! Na tej pomyłce kompitatora Exordium magnum polega znowu mylne przedstawienie wszystkich późniejszych historyków kościelnych, jakoby arcybiskup Pizański Balduin był Cystersem z Claravalle.

ad 3. Czy Balduin był Pizańczykiem?

Ale teraz jeszcze ciekawsza rzecz. Podobnie jak mimochodem rzucony frazes Heriberta „ex Claravalle assumptus“ wprowadził w błąd autora Exordium magnum, jakoby Balduin, arcyb. Pizański, był Cystersem, tak znowu ten autor Exordium magnum kilkoma słowy, które bezmyślnie wypowiedział ku większej chwale klasztoru w Claravalle, stał się przyczyną, że cały szereg późniejszych historyków zakonnych Cystersów z Balduina „Cystersa“ i Francuza zrobili W ł o c h a i P i z a ń c z y k a. Stało się to w następujący sposób.

Exordium magnum, chcąc podnieść sławę klasztoru w Claravalle, jak widzieliśmy, sławi Balduina, arcybiskupa Pizańskiego. Przytem autor używa następujących słów: „ojczystej ziemi szczególna chwała“ (natalis soli specialis gloria). Przez to autor Exordium magnum chciał powiedzieć, że „ojczysta latorośl“, przeniesiona zamorza, chwałę zjednała „ojczystej ziemi“, to jest F r a n c y i!

Tymczasem późniejszy jakiś historyk—Cysters, obrabiający żywot św. Bernarda (spisany podobno pierwotnie przez jakiegoś Ernalda de Bonavalle, ucznia św. Bernarda[1]), źle zrozumiał powyższy ustęp Exordii magni i odniósł wyrazy „natalis soli“ do Pizy! Chcąc zaś tak pojęty ustęp jaśniej oddać, wtrącił przed wyrazy „natalis soli“, słowa „In Tuscia, Pisis”, poczem więc ustęp, ten wyjęty z Exordium, brzmiał, jak następuje:

„W Tuscyi, w Pizie, ojczystej ziemi, sława i wielkie kościoła światło zajaśniały.“ (In Tuscia Pisis natalis soli gloria et magnum lumen Balduinus effulsit.”) Tym sposobem znów wydawca czy obrabiacz Ernalda, żywociarza św. Bernarda, źle zrozumiawszy ustęp Exordii magni, z Balduina Francuza zrobił Włocha i Pizańczyka. Tak tedy arcybiskup Pizański został nie tylko cystersem, ale już nawet i Pizańczykiem i w tym podwójnym charakterze figuruje

---

[1]) Histoire literaire de la France, XII, 540. Wątpliwem jest, czy Ernald, uczeń Ś-go Bernarda, tę „vita prima S-ti Bernardi“ spisał; że ustęp, w mowie będący, pochodzi z Exordium magnum, a zatem z XIII wieku; o tem powyżej w tekście.

u wszystkich późniejszych historyków kościoła i zakonu Cystersów.

Że zaś ustęp, w mowie będący „natalis soli gloria", do tak zwanej „Vita prima Ernaldi" dostał się z Exordium magnum, spisanego w 13 wieku, to łatwo udowodnić. Zważmy bowiem, że autor Exordium magnum ułożył wielki metaforyczny obraz, w którym najprzód mówi o „latorośli, przeniesionej z winnicy Clarevaleńskiej poza morza" w obcy kraj, która ta latorośl, tam (w obcym kraju) kwitnąc, przynosi sławę „ojczystej ziemi" (natalis soli). Z tego obszernego obrazu w tak zwanym Ernaldzie (Vita prima) znajduje się frazes „natalis soli gloria", a więc sam koniec metafory — początek opuszczony. Ponieważ ten końcowy frazes jest tylko w zakończeniu metafory, więc oczywista, że obrabiacz Ernalda zachwycił tych kilka słów z Exordium magnum, z opuszczeniem całego poprzedniego obrazu, dodawszy dla objaśnienia (t. j. mniemanego objaśnienia!) słowa „In Tuscia Pisis". Nie może więc podlegać kwestyi, że ten ustęp w Ernaldzie wyjęty jest z Exordium magnum, a zatem dopiero w połowie 13 wieku mógł być wtrącony do Vita prima S-ti Bernardi Ernalda. Przez ten zaś wtręt słów „In Tuscia Pisis", które do metafory Exordii magni dostały się, jak Piłat w Credo, Balduin, arcybiskup Pizański, został Włochem i Pizańczykiem,[1]) nawet Pizańczykiem „szlachetnego rodu", choć dziwnym sposobem nikt o tym „szlachetnym rodzie" pizańskim, z którego on pochodzić miał, do dziś dnia nic nie wie, a najnowszy biograf arcybiskupa Balduina żywot jego temi słowy zaczyna: „Błogosławiony Balduin, którego nazwiska rodzinnego nie znamy, urodził się w Pizie z rodziny szlacheckiej i bogatej"!?[2])

ad 4. **Czy Balduin był uczniem św. Bernarda?**

Gdyby twierdzenie, powtarzane przez wszystkich historyków, jakoby Balduin, arcyb. Pizański, był uczniem św. Bernarda, było

---

[1]) Uwagi godnem jest, że tak zwana Vita secunda S-ti Bernardi, spisana przez jakiegoś Alana, „który poprawiał" Ernalda (Hüffer l. c. 143 i Vacandard l. c. 373—377), opuszcza znowu „natalis soli" i zostawia tylko, że Balduinus„ in Tuscia Pisis efulsit". Oczywista więc Alanus, „poprawiający" Ernalda, powątpiewał, czy Tuscia i Piza są ojczystą ziemią Balduina, (zob. Patrologia Migne Tom 175, col. 502.)

[2]) Sainati l. c. p. 255.

prawdziwem, główne nasze przypuszczenie co do osobistości tego Balduina upadłoby, jako chronologicznie niemożliwe. Wtedy bowiem arcybiskup Balduin musiałby być, jeżeli nie młodszym, to przynajmniej w równym wieku, jak św. Bernard, który się urodził 1091 roku. Według naszego przypuszczenia zaś arcybiskup Balduin (ur. 1066) o 27 lat był starszym od św. Bernarda. Klasztor zaś w Claravalle, gdzie św. Bernard był pierwszym opatem, założony został r. 1115 i wcaleby było nieprawdopodobnem, aby nasz biskup kruszwicki w tym lub jakimś późniejszym roku, jako 40-letni mężczyzna, był wstąpił do tak ascetycznego klasztoru i tam został uczniem św. Bernarda, młodego, bo dopiero 24-o letniego człowieka. Otóż przy bliższem rozpatrzeniu okaże się, że twierdzenie historyków, jakoby arcybiskup Pizański Balduin był uczniem św. Bernarda, polega znowu na grubej pomyłce, bo na zamienieniu naszego Balduina z owym drugim Cystersem Balduinem, który potem został opatem w Reate, co wszystko najdowodniej wykażemy poniżej z listów samego św. Bernarda[1]).

Miał wprawdzie św. Bernard ucznia i sekretarza Balduina, o którym wspomina w listach swoich, a z drugiej strony znów w listach tych znajduje się także wzmianka o naszym Balduinie, arcybiskupie Pizańskim: ale właśnie sposób wcale różny, w jaki się wyraża o jednym i drugim, dowodzi jasno, że tylko jeden z nich, t. j. późniejszy opat Reatyński Balduin, był uczniem i sekretarzem jego, drugi zaś, t. j. arcybiskup Pizański, ani Cystersem, ani uczniem jego nie był.

Przypatrzmy się bowiem tym listom.

W jednym z tychże (144-ym), pisanym r. 1137 z Włoch do klasztoru swego w Claravalle, św. Bernard powiada, że wśród łez i łkania list ten dyktuje „drogiemu bratu naszemu Balduinowi, którego kościół powołał do innego urzędu i innej godności“.[2]) Do ustępu tego uczony wydawca Migne w ślad za poprzednikami swymi (za Mabillonem głównie) dodaje uwagę, że ten Balduin to „pierwszy z Cystersów kardynałów, zamianowany przez Innocentego II na soborze w Claromoncie r. 1130, który potem został arcybiskupem Pizańskim.“ Ale to objaśnienie jest zupełnie mylne. Wątpliwość nominacyi Claromontańskiej z r. 1130 znamy już, słowa zaś lis-

---

[1]) Patrologia Migne T. 182, S-ti Bernardi Epistolae.

[2]) List 144 „ad suos Clarevallenses.“

tu „charissimus frater noster“ w żaden sposób nie mogą się odnosić do kardynała Balduina, bo w takim razie wymieniłby go, jako kardynała, a nieprawdopodobnem jest nadto, żeby św. Bernard w Rzymie nie znalazł innego sekretarza do dyktowania mu listu, tylko kardynała.[1]) Zresztą słowa listu: „którego kościół powołał do innego urzędu i innej godności“ nie mogą się odnosić do powołania kardynała Balduina na arcybiskupstwo, bo list ten jest z r. 1137, w którym roku jeszcze poprzednik Balduina na stolicy arcybiskupiej Pizańskiej Humbert żył, Balduin zaś dopiero w następnym roku 1138 mianowany został arcybiskupem. Słowa te raczej odnoszą się do Balduina Cystersa, ucznia i sekretarza św. Bernarda, którego oczywiście nazywa „carissimus frater“ i który wtedy powołany został na opactwo Reatyńskie.

Najlepszy dowód, że rzecz tak się miała, stanowi list późniejszy św. Bernarda (201-y) do tego Balduina cystersa, ucznia i byłego sekretarza swego, którego, „jako jedynaka syna kochał“ i który „zawsze był przy boku“ jego i którego zapewnia, że go i teraz „nieobecnego“ kochać będzie[2]).

Porównajmy teraz z wyżwspomnianymi dwoma listami św. Bernarda (144 i 201) późniejszy list (245), w którym wyraźnie wspomina Balduina, arcybiskupa Pizańskiego, a przekonamy się, że w pierwszych dwu listach niema mowy o Balduinie kardynale, późniejszym arcybiskupie Pizańskim. List ten 245 pisany jest r. 1145 po śmierci arcybiskupa Pizańskiego, a wystosowany do papieża Eugeniusza III. Św. Bernard wstawia się w tym liście za biskupem orleańskim i w tegoż interesie prosi papieża Eugeniusza III, aby nie unieważnił aktu zmarłego arcybiskupa Pizańskiego, Balduina, mianowicie klątwy, rzuconej przez tegoż na „sędziego“ Arborei. Prośbę tę uzasadnia św. Bernard tem, iż „mniema“, że zmarły arcybiskup Pizański był „dobrym człowiekiem i zapewne tylko sprawiedliwie sobie postąpił.“[3])

---

[1]) Okoliczność ta uderza wydawców listów; ale starają się dziwną tę rzecz wytłómaczyć nadzwyczajną „pokorą“ kardynała, który choć „tantus vir“, na takiem stanowisku nie uważał za rzecz poniżającą być sekretarzem św. Bernarda. Wymienione to tłómaczenie jest zbyteczne, bo sekretarzem w tym wypadku nie był kardynał Balduin.

[2]) „Sicut mater unicum amat filium, ita te diligebam, haerentem lateri meo, placentem cordi meo. Diligam et absentem i t. d.

[3]) ..... quia nonnisi juste hoc virum bonum fecisse credimus...“

Zważmy tylko ogromną różnicę tonu, w jakim tutaj św. Bernard przemawia o Balduinie, arcybiskupie Pizańskim, a w jakim w pierwszych dwu listach wyrażał się o Balduinie, uczniu i sekretarzu swoim. Czy tak, jak św. Bernard do papieża Eugeniusza się wyraża o Balduinie Pizańskim („mniema, że tylko sprawiedliwie postąpił sobie ten dobry człowiek“), czy tak się pisze o „najdroższym bracie“, którego się „kocha, jak matka jedynaka“? Nie! tak chłodno, jak o Pizańskim Balduinie pisze się tylko o człowieku, którego się wprawdzie zna, ale z którym się nie jest w większej zażyłości. Ani śladu w liście tym do papieża Eugeniusza, że ten Balduin był „brat“ zakonny, że „drogi był sercu“ św. Bernarda, jak to czytamy w liście 201 o tamtym Balduinie Reatyńskim. Zresztą o Reatyńskim Balduinie św. Bernard nie byłby „mniemał“ (czy „sądził“), że sprawiedliwie postępował, ale byłby pewnie „przekonanany, że nie mógł inaczej postąpić, tylko „najsprawiedliwiej.“ Nadto, gdyby był pisał świeżo po śmierci owego „najdroższego brata“, czyżby mógł nie wyrazić głębokiego żalu z powodu straty przyjaciela, o czem w liście do papieża ani śladu niema?—

Czy po wywodach powyższych potrzebne są jeszcze dalsze dowody, że Balduin, arcybiskup Pizański, nie był Cystersem, nie był uczniem ani sekretarzem św. Bernarda, i że to identyfikowanie tych dwu osobistości polega tylko na pomyłce, popełnionej dłuższy czas po śmierci św. Bernarda przez pisarzy, nieobeznanych z bliższymi jego stosunkami do tych dwu Balduinów?[1])

* *
*

Na domiar jednak znamy jeszcze jeden jaskrawy dowód, że Balduin, arcybiskup Pizański, nie był ani Cystersem, ani uczniem, ani sekretarzem św. Bernarda. Dowodu tego dostarczy nam znaleziony niedawno w Hiszpanii przez Hüffera nieznany dotąd list św. Bernarda do Balduina, arcybiskupa Pizańskiego[2]). Już samo przemówienie, egzorta listu dowodzi, że św. Bernard nie pisze do brata zakonnego, bo nie ma używanego w takim razie wyrażenia „carissime frater“ lub coś podobnego; przemówienie to raczej brzmi „Domino et praecordiali amico B (alduino) D. G. Pisani episcopo.“ Następnie przemawia do niego, nie jak do swojego „brata“

---

[1]) Pomyłkę tę Baroniusa wytknął najprzód kontynuator Baroniusa Pagi, następnie Bollandyści w Acta Sanctorum pod dniem 21/8.

[2]) Ogłoszony przez Hüffera l. c. str. 211.

i ucznia per „ty“, (jak w liście 201-ym), ale per „wy“ (vos); co jest jasnym dowodem najprzód, że to nie do tej samej osoby pisze, do której w liście 201, używa przemówienia „Ty“, podrugie, że do arcybiskupa Pizańskiego jest w stosunku więcej konwencyonalnym i mniejszej zażyłości. Już te dwa momenty formalne zatem dowodzą, że Balduin arcybiskup nie jest ani Cystersem, ani uczniem, ani sekretarzem św. Bernarda, za którego mylnie uważany był dotąd przez wszystkich historyków.

Ważniejszą, aniżeli powyższe dwa momenty formalne, jest dla nas sama treść tego ostatniego listu św. Bernarda, ogłoszonego przez Hüffera. Usprawiedliwi ona bowiem główne nasze przypuszczenie o tyle, że ciemna i zagadkowa treść tego listu tylko zapomocą naszego przypuszczenia może być wyjaśnioną. Przypatrzmyż się więc bliżej osnowie tego listu. Już Hüffer słusznie zauważa, że św. Bernard, przychylając się w tem oczywiście do prośby arcybiskupa Balduina, przyrzeka mu założenie opactwa Cystersów w dyecezyi Pizańskiej. Ale to przyrzeczenie stanowi tylko zakończenie listu. Cała pierwsza przydługa część listu zawiera jakąś perorę, której sensu Hüffer wytłómaczyć nie może. Powiada on, że św. Bernard snuje w tej części ulubiony swój temat. Ale Hüffer nie tłómaczy nam, skąd ten temat (że człowiek nie powinien unikać jawności postępowania i działania swego) bierze się w tym liście, wszak tak ni stąd, ni zowąd św. Bernard nie perorowałby w liście do arcybiskupa, gdyby mu arcybiskup nie dał do tego powodu. Tę zagadkę może nam rozwiązać jedynie tylko nasze przypuszczenie co do przeszłości arcybiskupa Pizańskiego. Wynika bowiem z tej perory św. Bernarda. wyprzedzającej przyrzeczenie względem założenia opactwa Cystersów w dyecezyi Pizańskiej, że nasz Balduin prosił wprawdzie o to św. Bernarda, ale zarazem dodał, że sam nie chciałby w tej sprawie jawnie wystąpić i „świecić.“

Otóż św. Bernard wprost go karci za ten brak jakoby odwagi cywilnej i ten zamiar pozostania w tej sprawie niby za kulisami. „Wszak i was, pisze św. Bernard, Bóg postawił na wysokiem stanowisku. Jeżeli na tem stanowisku świecicie, nie może to pozostać tajnem, chociażbyście nawet nie świecili się. Bo trudno ukryć miasto, położone na wysokiej górze, ani światło na wysokim świeczniku. Miasto takie widne więc jest ze światłem swem i z cieniami swoimi.“ W tym tomie św. Bernard tnie swoją perorę, z której żywości znać pewną irytacyę; przypomina on arcybiskupów w rozmaitych zwrotach, że jest obowiązkiem każdego człowieka

„nie chować światła swego pod korzec" (latere sub modio). Stawia mu za przykład św. Pawła, (którego przeszłość, jak wiadomo, nie była bez skazy), który przecież pomimo swej przeszłości „nequaquam fetebat". Dlatego wzywa on arcybiskupa Balduina, aby otwarcie i jawnie wystąpił: „a światło wasze niechaj świeci przed ludźmi" („luceat lux vestra coram hominibus").

Zwłaszcza, ciągnie dalej Ś-ty Bernard, za sprawą, dla której człowiek się interesuje wewnętrznie, dla której człowiek się „zapalił", powinien także „świecić"; niechajże więc arcybiskup tak postąpi, aby ludzie o nim mówili, że był „światłem, które grzało i świeciło" („diciturque etiam de vobis: ille erat lucerna ardens et lucens").

Po tej perorze przechodzi jeszcze Ś-ty Bernard w drugiej części listu do otwartej nagany „administracyi" arcybiskupa, o czem poniżej jeszcze w innym związku pomówimy.

Wywody powyższe miały na celu wykazać pomyłkę historyków co do osoby arcybiskupa Pizańskiego, Balduina. Nie przyczyniły się one jednak do poparcia naszego przypuszczenia, że arcybiskup Balduin tą samą jest osobą, co Balduin Gallus, kronikarz i biskup Kruszwicki.

W tym celu co najmniej trzebaby wykazać, że te na pozór dwie postacie naszego Balduina: kronikarza Gallusa i arcybiskupa Pizańskiego, wspólne mają pewne charakterystyczne rysy, przemawiające za tożsamością tych dwu niby osób. Postaram się, o ile szczupłe źródła na to pozwalają, dwa takie, obu tym postaciom wspólne rysy wykazać. Mianowicie, jest to co najmniej bardzo uderzające, że z jednej strony historycy nasi jednozgodnie prawie podnoszą rys taki charakterystyczny kronikarza Gallusa, który z drugiej strony uderza historyka włoskiego w osobie arcybiskupa Balduina, i że w końcu rozbierany powyżej list Ś-go Bernarda, w drugiej swej części zawiera naganę arcybiskupa, która również potwierdza spostrzeżenie historyka włoskiego i historyków polskich.

Mamy na myśli zarzucaną kronikarzowi Gallusowi, zarówno jak i arcybiskupowi Balduinowi, —chciwość. Historycy nasi (i także niemieccy, piszący o Gallusie) niejednokrotnie podnoszą, że „ten klecha był bardzo chciwy", albowiem bardzo natrętnie kilkakrotnie upomina się o swoją nagrodę za Kronikę i liczne czyni aluzye do sutych wynagrodzeń, któremi poprzednicy Bolesława raczyli kleryków, stawiając tych poprzedników za wzór Krzywoustemu [1]).

---

[1]) Zaraz na wstępie Kroniki upomina on księcia, aby nagrody dawał zasłużonym (quatenus princeps digna det munera promerenti). Następnie (Lib. III

Rys ten, rażący niemile, uderzył prawie wszystkich historyków, rozbierających kronikę Gallusa [1]).

Nie jestże to dziwne, że tak samo Balduinowi arcybiskupowi wyrzucają wszyscy pewną chciwość dóbr doczesnych? Pierwszy Ś-ty Bernard nieco dyplomatycznie „zarządowi" arcybiskupiemu to zarzuca i arcybiskupa napomina, żeby tego nie znosił, bo dobra sława jego mogłaby na tem ucierpieć [2]). Wiemy także, że w kilkadziesiąt lat po śmierci Ś-go Bernarda i arcybiskupa Balduina arcybiskup Torretański Heribert aż w czyśćcu każe pokutować Balduinowi za pewne grzechy, wynikłe ze zbyt energicznego pilnowania interesów materyalnych.

Ale co najciekawsze, że najnowszy historyk stosunków Pizańsko-Sardyńskich, wspomniany już Santorro, zbadawszy dokładnie i bezstronnie całe postępowanie arcybiskupa Balduina, w końcu oświadcza, że „uznać musi, że Balduin nadużywał władzy duchownej w celach świeckich".

Zestawiliśmy sądy o kronikarzu Balduinie Gallusie i o arcybiskupie Balduinie historyków, tak od siebie oddalonych i niezawisłych, a tak bardzo się zgadzających, w celu poparcia naszego przypuszczenia, ale bynajmniej nie dlatego, aby naszego Balduina potępić, ale owszem, aby podnieść okoliczności łagodzące. Bo jeżeli sobie przypomnimy, że hr. Balduin II Hennegawski prawie cały majątek

---

epistola) upomina się o „fructum mei laboris"; o Bolesławie Chrobrym nie zapomina podnosić, że „clericos canonice cum rebus necessariis ordinabat (Lib. I, cap. 11), a chwaląc powtórnie szczodrobliwość jego względem księży (Lib. I, cap. 16), dodaje, że „takiego i tak wielkiego męża następcy powinni naśladować (talem et tantum virum successores debent virtutibus imitari). Nawet cała bajeczka o Bolesławie „szczodrobliwym", który tyle złota daje księdzu jakiemuś, że mu się aż sutanna drze, w której skarby te chciał unieść, jest oczywistą parabolą, z której wyziera dość wyraźnie „de nos fabula narrat" i zawiera dość niesmaczną pretensyę otrzymania sowitej nagrody od Bolesława III. Przeoczył to znaczenie tej bajeczki prof. Smolka i na seryo bajeczkę tę cytuje na dowód, że Polska za Bol. II była bogatą (Smolka: Mieszko Stary, str. 159).

[1]) Wiszniewski (Hist. liter. II, 48) powiada, że Gallus „trzymał prawdę w garści dla widoków osobistych". Prof. Smolka wrażenie to niemiłe Kroniki Gallusa ujął w następujący sąd o autorze: „dworak i pochlebca, łaszący się zarówno wszechwładnemu księciu, jak i biskupom, marzył zapewne tylko o tem, żeby go kiedy łaska książęca na jakiej stolicy biskupiej osadziła" (Mieszko Stary str. 193).

[2]) W drugiej części rozbieranego już powyżej listu do arcybiskupa Hüffera, str. 213.

swój musiał swego czasu oddać kościołowi, którego się stał lennikiem, to trudno będzie za złe wziąć klerykowi biednemu w Polsce, a następnie arcybiskupowi Pizańskiemu, jeżeli znowu chciaał odszkodować się nieco, a może tym sposobem wesprzeć upadającą fortunę domu swego w Hennegawii — bo trzeba wiedzieć, że Balduin nasz miał w Hennegawii syna i rodzinę, których zostawił w krytycznem materyalnem położeniu. Wreszcie po ludzku się zapatrując, któż potępi arcybiskupa Pizańskiego, Balduina, którego jako hrabiego Hennegawii niegdyś porządnie oskubał arcybiskup Leodyjski Otbert, że i on, dorwawszy się intratnej posady kościelnej, ze swej strony znów skubał porządnie takiego hr. Guidona, który jemu znowu musiał się oddać w lenno, zwłaszcza, jeżeli, jak to przypuszczać wolno, część tych intrat arcybiskupich szło na dźwignięcie podupadłego domu hrabiów Hennegawskich w Hennegawii.

Rozważywszy wszystkie te okoliczności, nie tak surowo sądzić będziemy „biednego kleryka w Polsce”, oczekującego sowitej nagrody za „obronę“ swoją, tak zręcznie napisaną, ani też arcybiskupa Balduina, którego arcybiskup Heribert tak niemiłosiernie na czyśćcowe skazał męki. Zarazem jednak psychologiczne to umotywowanie postępowania Balduina jest jedną nicią więcej, łączącą te trzy odrębne postacie: hr. Hennegawskiego, kronikarza Gallusa i arcybiskupa Pizańskiego Balduina w jedną osobę.

I jeszcze inny rys, znany nam już po części, arcybiskup Pizański ma wspólny z kronikarzem Gallusem, mianowicie spowodowane przeszłością swoją skrzętne ukrywanie i tajenie pochodzenia swego.

Uważaliśmy to na kronikarzu Gallusie, widzieliśmy, jak Ś-ty Bernard wytyka tę tajemniczość i ukrywanie się arcybiskupowi Pizańskiemu. Musiało jednak to ukrywanie własnej osoby i zachowanie tajemnicy co do pochodzenia swego u arcybiskupa Balduina sięgać jeszcze dalej, aniżeli to z listu Ś-go Bernarda się okazuje, skoro włoscy historycy kościelni, począwszy od wieków średnich aż do najnowszego historyka Pizańskiego, kanonika kapituły Pizańskiej, Sainatego, któremu przecież archiwum kapitulne tamtejsze stało otworem, o pochodzeniu tego arcybiskupa niczego dowiedzieć się nie mogli. Tak np. uczony i sumienny bardzo dziejopisarz papieży i kardynałów Ciaconius [1]) zwykł był u każdego papieża i kardynała zaraz po imieniu i nazwisku zapisywać miejsce urodzenia. Nie popada

---

[1]) Ciaconius: Vitae et gesta Pontificum et Cardinalium. Roma 1601, p. 410.

on też względem naszego arcybiskupa Balduina w tak powszechny błąd historyków, uważających go za Pizańczyka; przeciwnie nazywa go słusznie z narodowości „Gallusem" [1]), za jakiego uchodził także w Polsce. Ale miejsca urodzenia jego i Ciaconius dowiedzieć się nie mógł, a nie chcąc wpisać bajki o pochodzeniu pizańskiem, zostawia po nazwisku wykropkowaną lukę: „Balduinus..... Gallus." Zresztą powtarza i Ciaconius ogólnie podaną mylną wiadomość „monachus Cisterciensis, discipulus S-ti Bernardi".

Taka niewiadomość i niepewność względem miejsca urodzenia i narodowości kardynała i arcybiskupa, który żył i urząd swój piastował we Włoszech w XII w., jest jedyna w swoim rodzaju i nie może być inaczej wytłómaczona, jak umyślnem tajeniem tych okoliczności przez arcybiskupa Balduina. Mógł do tego arcybiskup mieć te same powody, jakie miał kronikarz Gallus w Polsce, który wyraźnie to powiada, że nie myśli „sławić ojczyzny lub rodziców swych" [2]). Nie dziw też, że, podobnie jak u nas, historycy do dziś dnia głowy sobie łamią nad zagadką: kim był i skąd pochodził anonim Gallus, pierwszy nasz kronikarz? tak samo historycy kościelni we Włoszech i we Francyi nadaremnie dotąd starali się odchylić tajemniczą zasłonę, pokrywającą pochodzenie i przeszłość Balduina, arcybiskupa Pizańskiego. A kłopotom historyków polskich, włoskich i francuskich co do pochodzenia tych dwu Balduinów, z nad brzegów Szeldy wtórują poważne kronikarzy wątpliwości co do Balduina II Hennegawskiego: „czy zabity został, czy uwięziony, do dziś dnia tego nikt dowiedzieć się nie mógł" [3]).

. . . .

---

[1]) Ciaconius nie był zresztą ani pierwszym, ani jedynym, który wbrew twierdzeniu największych powag historyi kościelnej arcybiskupa Balduina uważał za „Gallusa". Przed nim już Onufrius Panvinius (Epitome pontificum Romanorum, Venetiis 1557, p. 101) nazywa kardynała Balduina G a l l u s e m; później znowu Wion i Frizo Gallusem go mianują. Mylnie zaś Pizańczykiem mienią go Baronius, Annal. Gest. 1613; Oldovini w notach do Panviniusa str. 982; Henriguez: Fasciculus str. 80; Maurique, Annal. Cisterc. str. 213 i Ughelli, Italia sacra, str. 389.

[2]) „. . . patriam vel parentes . . . . exaltarem" Lib. III epistola.

[3]) „utrum occisus aut captus fuerit usque hodie scire nequivit". (Hermani Liber de Restauratione Sancti Martini Tornacensis. Mon. Ger. Script. XIV, p. 283). Gislebert Monteński, zaznaczywszy, że „dotąd niewiadomo, jakiemu wypadkowi uległ Balduin" (cui infortunio succubuerit adhuc ignotum est) opowiada, że żona Balduina, Ida, „niepewna", czy mąż zginął, czy w jasyr się dostał, wybrała się do Małej Azyi w celu wywiedzenia się, skąd jednak „j e s z c z e n i e p e w n i e j s z a wróciła" (unde ipsa prius de viro incerta, incertior rediit). Co może znaczyć użyty w tym wypadku przez Gisleberta stopień wyższy „incer-

W końcu wymienić należy jeszcze jedną okoliczność, popierającą nasze przypuszczenie, że Balduin kardynał, wypływający w otoczeniu Innocentego II w Rzymie, jest Balduinem Gallusem, byłym biskupem kruszwickim.

Otóż, rozpatrując się uważnie w roczniku kapituły krakowskiej, uderza nas niezwykłej treści zapiska pod r. 1130: „Innocenty II został papieżem" [1]). Jest to jedyna zapiska w całym roczniku kapitulnym o objęciu rządów przez nowo obranego papieża. Rocznik kapitulny nie zapisywał nigdy ani przedtem, ani nawet potem wstąpienia nowego papieża na tron apostolski. Skądże ta jedyna data pod r. 1130? Przypuszczenie nasze tłómaczy dziwny i uderzający ten fakt w sposób bardzo prosty.

Nasz Balduin Gallus popierał w Rzymie Innocentego II, który go za to potem mianował kardynałem. Kiedy więc r. 1130 w Rzymie powstała schyzma, a stronnictwo Innocentemu przeciwne wybrało papieżem Anakleta, nasz Balduin, korzystając ze swych stosunków z biskupami polskimi, napisał do nich oczywiście, że tylko Innocenty II legalnie został wybrany i objął rządy papieskie. List ten musiał się znajdować co najmniej aż do czasów Kadłubka w archiwum kapituły krakowskiej, i stąd pochodzi jedyna ta i dokładna o wstąpieniu na tron apostolski data w Roczniku kapitulnym. Że zaś list ten się nie przechował w archiwum kapitulnem, nic dziwnego; bo osobistość Balduina Gallusa od połowy XIII wieku nie licowała już z polityką kościoła katolickiego w Polsce. Jak o Kronice jego Kadłubek nie wspomina, tak też wszelkie ślady osobistości jego w archiwum kapituły zatarte zostały. Li tylko wiadomość, przesłana przez niego z Rzymu w poparciu papieża Innocentego II, zostawiła ślad w niezwykłej zapisce Rocznika kapitulnego pod r. 1130.

---

tior"? Chyba tylko, że, przekonawszy się, że ani nie zginął, ani w jasyr się nie dostał, stopień niepewności jej jeszcze się zwiększył, bo dopiero nie wiedziała, gdzie się podział? Ustęp ten jednak Gisleberta takie robi wrażenie, jakoby Gislebert, kanclerz Balduina V (1171—1195) znał tajemnicę domu Balduinów Hennegawskich, ale mówić o niej nie chciał.

[1]) 1130 Innocencius secundus cepit sedi apostolicae presidere.

Maksymilian Gumplowicz.



ŁIRNIK i NEBABA.

„Pośród puszcz gęstwy, pośród jarów cieśni mściwy Nebaba swoje szyki wiedzie"; a gdy „od wschodu dzień się zapłomienia", na rozkaz wodza drużyna kozacza rozproszyła się po lesie i znikła: „niby zaklętych pochłonęły drzewa przed śmiertelnego słabemi oczyma". Sam Nebaba jeszcze przez chwilę wśród głuszy leśnej „prężył pilne ucho", a potem „się pomknął w sklepienia milczące; wnet drzew sklepienia czczością się zaćmiły, jeszcze przez chwilę echa w czczości biły, — lecz go już teraz nie znajdzie i słońce"...

A jednak nie słońce wcale, ale człowiek śmiertelny znalazł go w tej niedostępnej kryjówce — człowiek stary i ślepy. Ślepiec zbudził atamana ze snu męczącego; bo to złudzenie, że go „przestrachu ocknęło wstrząśnięcie", — brząkanie liry go obudziło; wszak po przebudzeniu ujrzał w tej chwili lirnika, który „tonów próbował, niby przypomnieć piosnkę usiłował"; z pewnością ślepy umyślnie zbudził śpiącego. Gdy kozak groźnie skoczył ku starcowi i krzyknął zgóry: „kto jesteś? co robisz w tym lesie?", ślepy nie dziwił się obecności człowieka, nie zmieszał ani na chwilę, ale odpowiada śmiało i drwiąco, jakby był pewnym, że mu się nic złego nie stanie, że obronić się potrafi czy uciec zdoła. Jakąś bajeczką o zgubionym

kosturze zbywa pytanie kozaka i po chwili na zgodę śpiewa mu piosenkę. I jakiejże treści?—opowiada Nebabie jego własne dzieje, grzech i tragedyę jego życia: uwiedzenie i topienie Kseni. Niby tai imiona: „gdzie się to działo i z kim się to działo, trudno jest wiedzieć, niekoniecznie wreszcie, może i nie chcesz?” Oczywiście nie przypadek nasunął jego lirze ten temat, oczywiście wie, komu śpiewa, drażni go umyślnie, znęca się nad słuchaczem; raz nawet, niby niechcący, imię topielicy z ust mu się wyrwało: „Ksenia... ten język zawsze się wygada...” Z dziwną cierpliwością słucha zuchwały kozak powieści i pieśni i znosi urąganie. Wdzięcznym za tę cierpliwość musi być Nebabie czytelnik poematu, bo bez tej gawędy nicby nie wiedział o historyi Kseni i Nebaby, nie rozumiałby całego groźnego dramatu. Ale dlaczego Nebaba tak długo znosił tę powieść? Z pewnością— zatopiony w myślach o Kseni, a bardziej o Orlice, o blizkiej zemście krwawej, o śnie groźnym, który tak mocno wstrząsnął nim przed chwilą, zapomniał o lirniku; jak mu „ani wzbraniał, ani zezwolił” naśpiewanie piosenki, tak potem nie słyszał jej wcale albo odczuwał tylko niejasno. Aż wreszcie tak mu znany, a tak wstrętny, zwykły okrzyk Kseni: ho hop, ho hop! wywiódł go z cierpliwości: „Słuchaj, przeklęty, czy już nadto żyjesz?” Teraz istotnie niebezpieczeństwo grozi starcowi, ale nagle, jakby cudem, zarżał wrony koń Nebaby i „wezwał nagłej obecności jego”. Nebaba odbiegł lirnika. „Koń, jak wryty, stanął niespokojny: to wzrok zaiskrzy i nozdrze rozszerzy, to znowu zarży, kopytem uderzy, jakby go tchnienie obwiewało wojny”. Widocznie coś poczuł nagle, coś podraźniło rumaka; ale Nebaba nic już nie dostrzegł: „nic tu nie widać, nie słychać nikogo”. Wreszcie nie miał czasu rozglądać się długo, bo lirnik znowu, jak na drwiny, pomimo zakazu „swoje hop zadzwonił”. Nim rozgniewany kozak powrócił pod swój dąb wspaniały, tylko „się zaśmiało w gęstwinie... a dokoła pusto... jakby lirnika ni liry nie było”. Już wtedy przed umysłem Nebaby błysnęło podejrzenie, że to był „szpieg, w starca przebrany kłamliwie”. Gdy ściślej rozstrząsa swoje wrażenia, znajduje dowody pewniejsze: „bo choć się dziadem i ślepym powiada, te drwiącym śmiechem wykrzywione usta, jeśli nie dyabła, zdradzają oszusta: ten głos donośny, sama broda biała, ślepota nawet coś mi się nie zdała”.

Kiedy w pierwszej chwili zjawia się lirnik przed oczami zbudzonego nagle Nebaby, opisuje go poeta bardzo kunsztownie: „człowiek spokojnie siedział sobie z boku; z brody mu siwej długie widać lata, a — że nie widzi, z zapadłego wzroku”; wymienia tu poeta

z widocznym zamiarem jedynie cechy, które w mroku leśnym łatwo złudzić mogły rozmarzonego kozaka.

Nebaba zdziwiony i—nie zatrwożony, bo lękać się nie umiał—ale ostrożny czy rozgniewany, pragnąc odnaleźć starca, zwyczajem kozackim „ukląkł, przyłożył do mogiły ucho: tętnienie konia słychać w ziemi stęku". Szczęśliwa myśl zaświtała teraz w głowie kozaka: z wierzchołka dębu może dojrzy zdrajcę—i po chwili postać jego zajaśniała, gdzie sam szczyt odwiecznego olbrzymiego dębu tonie w ogniach zmierzchu. „Darmo Nebaba wodzi orlim wzrokiem nad różnolistnym gęstych puszcz obłokiem, darmo okrąża po polu szerokiem, zawsze w pustynie czczości wzrok zapada: ani kurzawy po drożynie dziada". Ale po chwili zapomina, po co wszedł na strażnicę; wspaniały widok wywołuje w nim wspomnienia młodości, więc „w zadumaniu cichem i głębokiem puścił się kozak swoich dni potokiem" i snuje te cudne marzenia, dzięki którym w „Panu Tadeuszu" dąb-gaduła znalazł się obok lipy czarnoleskiej. Bo ten dziki kozak był marzycielem i poetą. Już w pierwszej pieśni poematu, kiedy nad brzegiem Dniepru czeka napróżno na Orlikę, występuje na jaw jego marzycielska natura. Nebaba nie był stworzony na wodza; trzeźwy Szwaczka nie dałby się tak wprowadzić w zasadzkę, jak zatopiony w sobie, rozmarzony Nebaba.

Ślepy lirnik znikł doszczętnie z pamięci Nebaby; już o nim zapomniał, gdy „spuścił się z dębu na skrzydłach sokoła". Bądźmyż ciekawsi od bohatera poematu. Kto był ten lirnik, jak wyśledził kryjówkę Nebaby, jaki cud Nebabę odwołał do konia?

Ale przedewszystkiem wypada poszukać lirnika w dalszych losach Nebaby. Czy ten „szpieg, w starca przebrany kłamliwie"—bo już go chyba tak zwać możemy — zniknąwszy z pamięci Nebaby, znikł też zupełnie z poematu, czy może się zjawia ponownie pod inną postacią?

Noc nadeszła wreszcie — Nebaba na czele swych hufców dąży ku zamkowi. „Niezbyt daleko jeszcze odjechali... gdy śpiew się ozwał w międzyleśnej dali... pieśni znajome, ich słowy złożone... Aż i dwu jezdnych, szłapiąc wolnym krokiem, zamajaczyło między czarnym zmrokiem. Ile w ciemności dopatrzeć się można, kozaczą burką opięci się zdają i długie piki, zda się, w rękach mają". Czterech kozaków Nebaby wyskoczyło do nich na wywiady: to niebobitki z pogromu kozaków pod Mosznami; „wymknęli się, upatrzywszy porę, ale ich serce i dziś na bój gore... więc proszą, by u nas mogli być przyjęci". Niebaczny ataman, nie pomnąc, że

zdrada go śledzi, zezwala dość lekkomyślnie: „bodwóchnareszcie ni zyskiem, ni stratą".

Coraz to ciemniej: „chropawym torem w ślepnącej ciemnocie orężny orszak bacznie się posuwa". W tej stanowczej chwili dowódca wciąż w smutnych myślach pogrążony. Już nie przeczucia groźne huczą w jego duszy, ale poprostu beznadziejność; wie dobrze, że, choć zemści się krwawo nad rządcą i Orliką, już miejsca dla niego niema na świecie. „Czegożby marzył po tryumfach noża o błędnem życiu w stepach Zaporoża?" Nagle w ostatnich szeregach oddziału ktoś z pistoletu wystrzelił; — to przypadek prosty, „koń się spotknął w chodzie, przeklęty kurek źle trzyma na zwodzie..." Nebaba wciąż wierzy, nic nie podejrzewa. —„Hej, kto wie drogę, niech jedzie przed nami!" W tej chwili staje kozak, jakby czekał na wezwanie, i aż nazbyt gorąco i ochoczo swoje usługi opleca i prosi, by je przyjęto. Nebaba zezwala, choć odczuwa, że „zanadto mowy".

Już słaby blask miesiąca dozwala w cieniach widzieć cośkolwiek; już pułki polskie niewyraźnie „tem wzgórzem ciemnieją" — „to powyż jaru podnoszą się lasy". Choć Nebaba „zna te strony", choć go dziwią „lasy w tych stronach", ale i ta odpowiedź mu wystarcza — „może". Jakiś słychać szum przytłumiony, — „to aż za Dnieprem biesiadują knieje". Ale już teraz zdrada się wykrywa: zgiełk coraz się wzmaga; „kozak, co przed atamanem jego hufce wiedzie", porzucił swe stanowisko i „z wojskiem połączył się swojem, co już nam odwód przecięło na wzgórki", a na pożegnanie zastrzelił kozaka, co dojrzał niebezpieczeństwo i pierwszy dał hasło. Teraz, zapóźno, spostrzega Nebaba, że to był „czart, zaczajony w kudły naszej burki... Polak, przykryty kołpakiem, by nieostrożnych naprowadzić w siatki".

Oczywiście jednym z tych dwu „Polaków, przykrytych kołpakiem" był ślepy lirnik z poprzedniego ustępu. Wiedzieli oni dobrze, gdzie spoczywają kozacy Nebaby, którędy wyjdą z lasu, a wszak po zniknięciu lirnika słyszał Nebaba, przyłożywszy ucho do ziemi, tętnienie konia; lirnik w innem przebraniu i z nowem podejściem zjawił się pod lasem.

A gdyby te logiczne dowody nie wystarczały, toć kozak, który drogę wojsku Nebaby wskazuje, przemawia słowami lirnika. „A od Kaniowa aż do samej Śmiły wszystkie pod ręką poznam ci mogiły, pień tobie każdy poznam nad mą drogą, każdą murawkę, co nastąpię nogą". Tak o sobie prawi lirnik Nebabie. Tak samo też chwali się przewodnik: „Każda mi znana pod Kaniowem droga; nie jedne wiozłem tu listy, a wprzódy nie raz tu, nie dwa wypasałem trzo-

dy". Wreszcie, jakby na urągowisko, wprost mu przypomina swoje udane kalectwo: „wybierz mi oczy, jeszcze i w tę chwilę, na krzyż przysięgam, że na krok nie zmylę".

A skąd się wziął jego towarzysz, drugi kozak? Był on, oczywiście, w lesie razem z lirnikiem, czuwał nad nim z boku, a w chwili stanowczej podrażnił wronego, aby odwołać Nebabę i dać lirnikowi czas do ucieczki. Bez tego towarzysza nie możnaby pojąć tego nagłego niepokoju konia, wszak „karosz jeszcze nie trwożył mnie próżno". Wprawdzie Nebaba w ziemi stęku słyszał tętnienie konia, nie koni, ale może i wprawne ucho kozacze takiej różnicy nie schwyci.

Bitwa mordercza ma się ku końcowi. Już na czele coraz szczuplejszego orszaku walczy Nebaba z coraz większem męstwem, z męstwem rozpaczy, już gorąco pragnie tylko śmierci, bo „przy niewoli, co u Lachów czeka, sama śmierć widna jest jeszcze powabną".

„Zadrżał ataman; cóż to za zuchwały natrętną szablą przed oczy mu błyska?" Żołnierz gwałtownie naciera na atamana, a gdy stracił szablę, ucieka: „najlepsza tutaj porada przestrachu!" Ale i on „nie taki trwożny, jak się zdaje", odwrócił się w biegu i z pistoletu strzelił do atamana, „a twarz Nebaby, jakby jedna rana, tak ją strzał opluł i szabla strzaskana".

To po raz trzeci występuje ten sam lirnik, ten sam prześladowca Nebaby. Poeta zamiast prostego opisu stawia pytanie, zagadkę: „cóż to za zuchwały?" Jest on tak samo tajemniczy, tak samo nienawiścią tchnie ku Nebabie, tak samo jest przebiegły i nieustraszony, jak lirnik i kozak, zbiegły z pogromu pod Mosznami — to ta sama osoba w trzeciej metamorfozie, w swej właściwej postaci.

Cofnijmy się obecnie do poprzednich wypadków. Zaledwie Nebaba swą wymową, pełną zapału i rozumu, oderwał kozaków od dawnego wodza i uprowadził, już w tej chwili wojsko polskie go odkryło. Jeden z kozaków, co pilnował skrzydła, „między drzew szumem słyszał otrąbianie, — czyżby Polacy tak blizko być mieli?" Nebaba swoim zwyczajem pominął przestrogę i nie zważał na nią. A istotnie Polacy to byli. Na zamek do pana rządcy przybiegł goniec „z oddziału, co krążył Szwaczkę u Rosi nadbrzeża: bez hasła bitwy, bez jednego strzału znikł on z obozem, jakby wpadł do zie-

mi; ...aż go odkryto między lasy tymi, i wkrótce przyjdzie do rozprawy z niemi".

Z tego to oddziału wyszedł zapewne tajemniczy wróg Nebaby. Podjął się wyśledzić kozaków i wprowadzić w zasadzkę; z pomocą towarzysza zamiar uskutecznił, a śmiertelnem zranieniem Nebaby swą nienawiść i zemstę nasycił.

Ale skąd ta zawziętość? Pieśń lirnika wykazuje obrazę i powód nienawiści. Nie sprzeczności społeczne czy narodowe wiodły go przeciw Nebabie, ale zemsta za Ksenię. Zapewne to nie kochanek tej dziewczyny „z nie pełnym rozumem", raczej brat albo krewny. Ale czy to był kozak, walczący w szeregach polskich, jakim przed kilku tygodniami był jeszcze sam Nebaba, czy może Ksenia była Polką?— Niema w poemacie żadnych nici, któreby doprowadzić mogły do rozwiązania tej zagadki. Z pewnością najłatwiej poznałby go sam Nebaba, gdyby nie było tak ciemno albo gdyby patrzał z uwagą.

Nebaba był skazany na zagładę; nawet bez przebiegłości lirnika wojsko polskie nie dopuściłoby go do zamku — już wreszcie przez Szwaczkę spalonego; ale sam ułatwił, przyśpieszył swą klęskę przez nieopatrzność. Mściciel Kseni był mężny i przebiegły, ale nietrudne miał z Nebabą zadanie.

Ataman Nebaba, „pierwszy z kozaków starosty nadwornych", miał czarny wąsik, pięknie w drobny pierścień zwinięty, miał jasne oczy pod brwiami ciemnemi i kształtną, wspaniałą postawę; był namiętny, był duszą dziewcząt, które na zabój w nim się kochały, to też gwałtowna i ponura miłość wypełnia jego życie; był dumny, nawet przed panem, a w zemście, jak żelazo, twardy; był odważny, nawet zuchwały; ognistą wymową porywał słuchaczy; odziany zawsze w wykwintny strój atamański umiał i lubił wywoływać wrażenie — ale nie umiał być wodzem. W czyje ręce ludzie składają swe życie i swą wolę, ten musi zapomnieć o sobie i z całem wytężeniem spoglądać wokoło, z każdego słowa i zjawiska wyprowadzać wnioski, usuwać niebezpieczeństwo, a z czego można, pożytek wyciągać.

Tak ze wzrokiem przed siebie utkwionym i cały nazewnątrz siebie stał kozak na straży w obozie Szwaczki. „Słucha i patrzy, nic w tym puszczy zmroku nie ujdzie jego ni ucha, ni wzroku: niech strzępek szronu na uschły liść padnie, niechaj ptak klaśnie gałązką zdaleka, niech pies w dalekim futorze zaszczeka,— już on to schwycił w gwarnym borów szumie i pochwycone wnet rozróżnić umie".

Inaczej zgoła szyldwach zamkowy swą wartę odbywał; widział, jak „nad miastem jekieś dymy rosną i zasłyszane wrą tam jakieś gwary", — ale tumanił sam siebie, byle spokojnie zasnąć na broni: „czy zaraz każde ma trwożyć zjawisko... w niemem łonie nocy próżnych mar siedlisko; com wziął za oręż, za tętnienie koni, ani to konie, ani błysk oręży..." To też zgubił zamek i siebie.

Kiedy na początku poematu czeka Nebaba wieczorem niecierpliwie na Orlikę, ulega ciągle złudzeniom i w każdem zjawisku widzi upragnioną: „już po sto razy wzrokiem wypatrzonym witał — wstające nad wzgórzem obłoki, już po sto razy rozeznał jej kroki — w blizkiego zamku zgiełku przytłumionym". Gdy przez gałęzie bezlistnej osiki przedarły się promienie zorzy i zadrżały w wodzie, Nebaba widzi w nich żywe oczy Orliki i wnet przed napiętą wyobraźnią, jawi się postać jej cała.

W owej chwili Nebaba nie stał na straży, więc mógł wyobraźni swobodne puścić wodze. Ale gdy go wodzem okrzyknięto, pozostał tak samo rozmarzonym, jakby zahypnotyzowanym, z myślą jedynie o zdradzie Orliki, o niezaspokojonej swojej miłości, nie o tych, co bezpieczeństwo swoje, swą wolę i swe zamysły oddali w jego ręce. Nadaremnie, ale słusznie, radził mu rubaszny, zatyły, opity, choć dzielny Szwaczka: „zapomnij z biesem o twojej Orlice!" Rozdraźnił tylko tą radą atamana, na siebie nową zemstę skierował; lecz go nie nauczył.

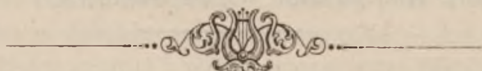
Szwaczka miał umysł daleko płytszy, uczucia słabsze i mniej szlachetne; nie umiał żyć życiem wewnętrznem, nie pojmował miłości, zwróconej wytrwale i wyłącznie do jednej dziewczyny. Ale tem łatwiej mógł własne uczucia stłumić i dzielniej sprawy powszechne prowadzić. Życie wewnętrzne każdego człowieka jest dramatem, walką osobistych interesów i instynktów ze sprawami publicznemi i instynktem społecznym. Im kto wyżej w ustroju społecznym jest postawiony, tem mocniej musi zgłuszyć i przytłumić swe namiętności. Stanowisko naczelne, stanowisko wodza — tak ponętne zdaleka — wymaga wielkiej ofiary z uczuć osobistych. Tej ofiary namiętny i dumny Nebaba nie umiał ponieść. Oddanie się wyłączne i całkowite jedynej myśli o zawiedzionej miłości czyni go pokrewnym Gustawowi; iskrę życia obu „zapaliło oko niebianki", u obu ta iskra „trawi się w sobie, świeci sama sobie". Tylko że umysłowy i etyczny nastrój Gustawa uczuciom i czynom jego inny dał kierunek, i ostatecznie Konrad zabił w nim Gustawa.

Te wszystkie stosunki osób, wszystkie najdrobniejsze poruszenia tak wyraźnie występują w poemacie, że może komentarz jest zupełnie zbyteczny. Ale mówiłem z wieloma czytelnikami poematu, z wielkimi nawet znawcami literatury, którzy niezupełnie jasno pojmowali powieść, — zdawała im się mętną i chaotyczną. „Zamek Kaniowski" jest utworem tak żywej wyobraźni, że dzieł podobnych bardzo niewiele jest w literaturze powszechnej, a w naszej jeden „Pan Tadeusz" pod tym względem nad Zamkiem góruje, a „Marya" do niego się zbliża. Goszczyński świat swej wyobraźni widział z pewnością tak wyraźnie, tak jasno, jak my świat rzeczywisty widzimy cielesnemi naszemi oczyma, a dusze swych bohaterów przenikał do głębi, odczuwał ich najgwałtowniejsze uczucia i pojmował im samym tajne sprężyny ich czynów. Świat jego wyobraźni stał przed nim, jakby od niego niezależny, oderwany. Przecie po dłuższej przerwie w pisaniu szuka poeta w tym świecie urojonym swego bohatera, jak gdyby go sam do życia nie powołał, jakby on samoistne wiódł życie: „puszcza wzrok wieszczy za jeźdźcem z g u b i o n y m", aż go znajduje nareszcie.

Z tego świata nie wszystko, co widział, wprowadził poeta do swego utworu, jak opowieści ze świata rzeczywistego obejmują tylko oddzielne sceny i wypadki, które myślą dopełnić i powiązać musimy. Takie same trudności przezwyciężyć musimy, chcąc dobrze zrozumieć poemat, jak kiedy z istotnych stosunków ludzkich chcemy sobie dokładnie zdać sprawę.

Goszczyński przytem, jak każdy prawdziwy poeta, jest bardzo zwięzły. Sam wreszcie koloryt poematu, wieczna noc, a prawie ciągle noc czarna, w której malowane są sceny „Zamku Kaniowskiego", pozwala dojrzeć tylko niewyraźne zarysy przedmiotów, — ludzie rozpoznają się wzajemnie raczej po głosie, niż z postaci. Bohaterowie poematu mylą się też i łudzą; można powiedzieć, że noc sama jest jednym z bohaterów poematu; w blasku dziennym wypadki potoczyłyby się zgoła innym torem. Czytelnicy mają przed oczyma ten sam ciemny, czarny, niewyraźny obraz, jak osoby poematu. Dlatego, ażeby powieść zrozumieć, trzeba się w nią wczytywać cierpliwie, i z pewnem natężeniem sceny poematu w wyobraźni swojej odtwarzać. Potrzeba się wpatrywać długo i uważnie w tę wspaniałą wizyę kozackiego wieszcza.

Zygmunt Kramsztyk.



LEGENDA
o Wahlu u Żydów.

Legenda o Saulu Wahlu, efemerycznym „królu" polskim, ożyła w ostatnich czasach wśród Żydów. W roku 1899 wydano w Wilnie „powieść historyczną" w dwu częściach, w języku żargonowym, p. t. „Król Polski, Rabi Szaul Wahl". Nadto miesięcznik hebrajski „Haszyloach" zamieścił ciekawą notatkę historyczną o Wahlu, opartą na dokumencie, znalezionym przez niejakiego p. Wetsteina w krakowskiem archiwum miejskiem.

Zajmiemy się najprzód treścią „powieści historycznej", o której autor twierdzi, że nie zawiera żadnych zgoła szczegółów, zaczerpniętych z fantazyi. W przedmowie p. Miller, po hebrajsku zwany „Isruel, syn uczonego I. M. z Grodna", pisze, że początkowo zamierzał opracować tę historyę w języku hebrajskim, „mowie boskiej", na prośbę atoli wydawcy, p. Zusmana z Nieświeża, który dowodził, iż hebrajszczyzna, „język święty", nie jest przystępna dla wielu Żydów, — autor zgodził się opisać wszystko w języku „żydowsko-niemieckim, używanym przez miliony naszych braci i sióstr". Na karcie tytułowej mamy napis, opiewający: „Opowieść historyczna o wszelkich utrapieniach, jakie Żydzi znosili od państwa polskiego, do r. Szaula

Wahla, który panował czas krótki". Już to jedno, że książka jest przeznaczona dla „milionów" Żydów, zachęca nas do zapoznania czytelników z jej zawartością. Zresztą jest to przedmiot, o którym pisali Lelewel, Maciejowski, Kraushar, Nusbaum.

* * *

Joachim Lelewel w wydanej w Poznaniu roku 1846 „Polsce wieków średnich" pisze: „Powszechnie jest między Żydami powtarzane, że jeden z nich był dorywczym, jednodziennym królem polskim. Stąd w Niemczech między nimi przysłowie: *Das wird nicht länger dauern, als Saul Wahl's Königthum*".

Dalej pisze Lelewel, iż „uczony Jolowicz wyczytał w rękopismach biblioteki oksfordzkiej i w niejakich drukach, że był w swoim czasie we Włoszech, w Padwie, rabbi Samuel Juda, którego syn Saul, w nauce paduańskiej wyćwiczony, udał się do Polski, gdzie, w Brześciu litewskim ożeniwszy się, do wielkiej zamożności i niezwykłej doszedł wziętości. I zdarzyło się, że któremuś Radziwiłłowi w podróży zabrakło pieniędzy w Padwie, zwierzył się ze swym kłopotem Samuelowi, a ten chętnie Radziwiłła znaczną sumą zaopatrzył, czem zobowiązany Radziwiłł przyrzekł wiele dobrego czynić dla Żydów, a zwłaszcza okazać względy dla Saula. Jakoż wróciwszy, zaraz go do siebie zaprosił i w zażyłość z nim zaszedł, a gdy w nadeszłem po Zygmuncie Auguście bezkrólewiu (1572 — 1574) magnaci nie mogli się zgodzić na obiór, na wniosek Radziwiłła wynieśli miłowanego przez siebie Saula na prezydenta elekcyi i interrexa, na jednonocnego tymczasowego króla, i powierzyli mu akta koronne".

Przytoczywszy jeszcze zdanie współczesnego historyka brukselskiego, Eliasza Carmoly'ego, który uważa ten wypadek za „powieść wydowcipowaną", Lelewel dochodzi także do wniosku, że ta cała historya jest tylko „baśnią".

Wacław Aleksander Maciejowski, pisząc o Saulu Wahlu, kończy hypotezą, że „był on faktorem Radziwiłłów i Jana Zamoyskiego, i że oba ci panowie, o czem nie wątpić, dobrze mu życzyli", a dalej: „nigdy mowy być nie mogło o królowaniu Żyda w Polsce" (tom II: Okres Jagielloński, 1866).

Dwaj ostatni pisarze wraz z Lelewelem wspominają o potomku Saula, w Londynie zamieszkałym, którego nazwisko brzmi: Denis Moses Samuel Esq. Staraniem tegoż potomka i na podstawie

jakichś rękopisów ukazały się w językach angielskim i hebrajskim biografie Saula, którym się szczyci rzeczony Żyd angielski. Po angielsku tytuł tej książki brzmi: *The greatness of Saul and progeny of Dawid, being a biografy of the eminent Saul Wahl etc.* Po hebrajsku zaś tytuł brzmi pompatycznie: „Wielkość Saula, wybrańca Boga, zawiera dzieje spraw jego, rządzenie jego i wielkość, i szczęście u książąt i panujących na ziemi za jego czasów, i honor jego bogactwa, i dzieci licznych, i wspaniałość jego rodziców, człowieka wielkiego, księcia między Żydami, jego chwały pełna ziemia, dowódcy i rozkaźcy narodom wśród królów Polski i Litwy, rabina, uczonego Szaula Wahla, niech jego dusza będzie w raju, ze świętej gminy Brześcia Litewskiego, syna „gaona", wielce rozumnego, uczonego Szmuela Jehudy Kacenellenbogena, starszego i „ojca sądu" gminy Padwy i gminy świętej Wenecyi w kraju Italii. 614" (Roku 1854). Obie książki wyszły w Londynie; autorem, a raczej kompilatorem ich jest niejaki Hirsz Edelman, prawdopodobnie powolny wykonawca zlecenia, sowicie opłaconego przez wspomnianego wyżej bogacza angielskiego, Denisa Mosesa Samuela Esq., rzekomego potomka Saula.

Kraushar w przypisku do uwag swych nad Saulem zaznacza: „Dziełka Hirsza Edelmanna o Saulu Wahlu, w języku angielskim i hebrajskim wydanego, pomimo starań otrzymać nie mogłem. Łaskawej uczynności zawdzięczam tylko odpis tytułu tego dziełka, w zbiorze jednego z tutejszych bibliopolów się znajdującego". Kraushar jednak wymienia tylko krótki tytuł angielski, nie znając widocznie dłuższego hebrajskiego, który przytoczyliśmy powyżej.

Ze znanego nam oryginału hebrajskiego nie uważamy jednakże za właściwe korzystać, ponieważ całość robi niesmaczne wrażenie apologii płatnej, na obstalunek wykonanej. Zaznaczyć natomiast winniśmy niektóre dokumenty, zawarte w przedmowie do tej książki, do których autor nie przywiązuje wielkiej wagi, jako do rzeczy, nie apoteozującej „wielkości Saula".

Otóż zasługuje na uwagę list niejakiego Eliezera Rozentala z Hanoweru, który w imieniu rabina z Siemiatycz opowiada, że sejm ówczesny zażartował sobie wprost z Saula. Gdy wyborcy nie mogli jakoś dojść do ładu, Radziwiłł pozwolił sobie na żart płochy, proponując obiór swego „faktora" (jak go nazywa Maciejowski). Zebrani ku uciesze własnej przystali chętnie na urządzenie takiej krotochwili, i deputacya z późniejszym Zygmuntem III na czele podała koronę Saulowi. Ten jednak zrozumiał, że to komedya, i koronę włożył wręcz na głowę dowodzącego deputacyą. Zapytany potem

przez Radziwiłła, dlaczego jemu nie ofiarował korony, którą miał chwilowo do rozporządzenia, Saul odrzekł dowcipnie, iż, gdyby tak uczynił, ściągnąłby podejrzenie na Radziwiłła, że w zmowie z Saulem zaproponował niby żartem powierzenie Saulowi korony, jako własnemu protegowanemu. Odpowiedź ta bardzo podobała się Radziwiłłowi, więc rzekł: „Masz słuszność, Żydzie, masz słuszność" i odtąd darzył Saula jeszcze większem zaufaniem.

Ten sam rabin z Siemiatycz dodaje, że na własne uszy słyszał niejednokrotnie, jak nawet naród prosty w Polsce, posprzeczawszy się z Żydem i uniósłszy się gniewem, mówi: „Żyd jest tylko zdatny na królowanie jednej nocy". „Jeszcze mi w uszach dzwonią słowa takie — mówi dalej rabin — jakiemi mnie raz prześladowali chłopcy chrześcijańscy, wołając tak za mną głośno".

Na innem miejscu w przedmowie książki hebrajskiej o „Wielkości Saula" znajdujemy kilka argumentów, doprowadzających do absurdu przypuszczenie, że Saul był istotnie królem, nawet chwilowym. Między innemi czytamy o postanowieniu, zawartem w *Pacta conventa*, że królem polskim może być tylko rzymski katolik. Jan III, król szwedzki, mając nadzieję, że syn jego Zygmunt, potomek Jagiellonów po kądzieli, posiądzie tron polski, w młodości jeszcze ochrzcił go na katolika rzymskiego. August II, książę saski, starając się o tron polski, musiał przejść na wiarę rzymsko-katolicką. Król szwedzki, Karol XII, zwyciężywszy Piotra Wielkiego i króla polskiego Augusta w roku 1700 i strąciwszy tego ostatniego z tronu, dlatego nie wziął korony polskiej, że był protestantem, lecz koronował Stanisława Leszczyńskiego. Prawo koronowania królów polskich należało do prymasa. Gdy ten jednak odmówił tym razem koronacyi, dokonał jej pod naciskiem Karola XII arcybiskup lwowski, za co papież rzucił nań klątwę. O tem wszystkiem znajdujemy mimochodem wzmianki w rzeczonej książce hebrajskiej, gdzie mowa także o tem, że rota przysięgi, ustanowiona dla króla, nie mogła być w żaden sposób odczytana przez Żyda.

Nadto znajdujemy tam hypotezę tej treści. W sejmie zasiadał Saul Wahl, jako jedyny przedstawiciel ludności żydowskiej. Mogło się tedy zdarzyć, iż on, jako przypadkowo najstarszy wiekiem w zgromadzeniu, zagaił raz posiedzenie elekcyjne sejmu; stąd „baśń" o jego królowaniu.

Legenda, wedle tejże książki, opiewa, iż Zygmunt III pragnął jakoby ożenić się z córką Saula, nader piękną. Lecz i ta „baśń" jest zwalczona słuszną uwagą, że jednak Naruszewicz w swem „Ży-

ciu Zygmunta" (Warszawa, 1819) nie wzmiankuje nawet o fakcie podobnym.

Pozostaje nam jeszcze zaznaczyć jeden szczegół, zaczerpnięty z tego samego źródła, a odnoszący się do wrzekomej pożyczki, którą miał zaciągnąć Radziwiłł w Padwie u ojca Saulowego, o czem wspomina też Lelewel. Strona legendowa tej „baśni" występuje dość jasno, gdy ją porównamy z podobną historyą o Karolu XII, opowiedzianą przez rabina Szmula z Krotoszyna w Poznańskiem. Według tej opowieści Karol XII, król szwedzki, po licznych tryumfach wojennych, poniósłszy klęskę zupełną od Rosyan pod Połtawą w r. 1709 (podług książki hebrajskiej w r. 1712), uciekł samotny do Poznania bez grosza pieniędzy. Tutaj wstąpił do oberży, w której usługiwał kelner żydowski. Nie dając się poznać, zapytał kelnera, czy tu nie mieszka jaki „wekslarz". Kelner dał mu adres niejakiego Icka z Krotoszyna. Karol XII udał się do niego, poprosił go do osobnego pokoju, gdzie tajemniczo odezwał się do Icka: „Zabij mnie, to będziesz miał dużo pieniędzy, bo wrogowie moi dadzą ci wiele za głowę moją". Ickowi włosy na głowie najeżyły się ze strachu. A Karol XII mówił dalej: „Jeżeli mnie zabić nie chcesz, to mi pożycz pieniędzy, bo nie mam nic". Ta propozycya bardziej przypadła do gustu Ickowi, lecz prosił o — pewną ewikcyę. Tą miały być ordery z drogimi kamieniami. Icek oddał Karolowi „cały" swój majątek, a Karol, wróciwszy do swego kraju, odesłał mu sumę podwójną i odtąd taką samą sumę przysyłał Ickowi dwa razy rocznie. I stał się Icek tak potężnym mężem, że, gdy we Frankfurcie nad Menem wydano jakąś „gzajrę" (prawo wyjątkowe) na Żydów, Icek pojechał sam, powołał się na swój stosunek z Karolem XII i wymógł zniesienie „gzajry".

Bardzo wiele podobieństwa z tą „baśnią" ma jej siostrzyca, w której Icka z Poznania zastępuje ojciec Wahla z Padwy, a Karola XII — Radziwiłł. Lecz czas już powrócić do „opowieści historycznej" w 2-u częściach, wydanej w żargonie dla „milionów" czytelników żydowskich.

* * *

Opowieść to wielce znamienita, boć idzie w niej o „króla polskiego", a rzecz sama opiera się na „znanych rękopisach największych bibliotek europejskich". Przytem autor, potępiając w przedmowie wszelkie powieści zmyślone i karcąc ostremi słowy pisanie dla Żydów romansów, istną będących „hańbą i wstydem" literatury

żydowskiej, — zachęca wszech wobec i każdego z osobna do studyowania owej opowieści o Szaulu Wahlu. Zwabieni obietnicą i zaciekawieni tematem historycznym zajrzyjmy do tego arcydzieła.

W rozdziale pierwszym mamy wstęp, omawiający położenie ówczesne Żydów w Polsce. „W tych czasach ciężkich Żyd był bezustanną ofiarą wszelkiego złego", pisze autor, dodając w nawiasie, że tak było ciągle, aż do czasu, kiedy „Polską zawładnęła Rosya".

Lecz już nieco dalej twierdzi, że „wielu Żydów" było szczęśliwych w owych czasach; magnaci polscy dawali Żydom dobre zarobki; wszystkie „geszefty" były w rękach Żydów, a rozumie się, że „Żydzi umieli korzystać". Takie świadectwo w ustach autora żydowskiego brzmi nieco dziwnie.

Za owych tedy czasów „dobrych — złych" zesłał Bóg Żydom z Padwy przybyłego Szaula, zbawcę, „kometę światłą", aby się odtąd Żydom dobrze działo. Stało się to zaś w ten sposób, że młody Szaul przeniósł się do Polski, by tutaj studyować w „wielkich jeszywach" talmud według systemu, któremu początek dał sławny rabin, Jakób Polak. Przybył do Lublina, posiedział kilka lat w „jeszywie", a potem wrócił do domu. Znów jednak przyjechał do Polski i do Brześcia Litewskiego, gdzie także była słynna „Jeszywa". Oprócz teologii żydowskiej Saul studyował języki: włoski, łaciński, francuski, niemiecki i polski, mając zaledwie lat 15. I w medycynie był bardzo biegły, bo „uczył się jej w Italii", jak autor zapewnia, zanim jeszcze ukończył lat 15. Ojcu Saula śniło się już wtedy w Padwie, że syn jego nosi koronę na głowie, a trzeba wiedzieć, iż talmud twierdzi, jako sen „cadyka" równa się $^1/_{60}$ proroctwa.

W tym czasie „egzystował" w Polsce pewien książę, nazwiskiem „Radziwiłł Wielki" (Mowa tu o Mikołaju Radziwille, wojewodzie wileńskim, kanclerzu i hetmanie wielkim litewskim, z przydomkiem Rudy, *Rufus*, 1512 — 1588). Opisawszy czyny okropne, jakich się wrzekomo dopuścił Radziwiłł względem Żydów, *rab* Isruel Miller z Grodna dochodzi do wniosku, że Żydom najgorzej się działo w Polsce, poczem mówi, iż „Opatrzność Stwórcy, błogosławione Jego imię", zniszczyła z tego powodu Polskę, która była kiedyś największem państwem w Europie". Stwierdziwszy zaś dalej, że obecnie Żydom dzieje się lepiej, autor w nawiasie po hebrajsku składa dzięki Bogu słowami: „Błogosławiony dotrzymujący obietnicy Izraelowi..."

Po takim wylewie żółci i nienawiści literat żydowski opowiada, że książę Radziwiłł, zestarzawszy się, począł żałować swych czynów występnych i pojechał do papieża po odpust. Papież zalecił mu trzyletnią tułaczkę w przebraniu żebraka. Po upływie terminu pokuty Radziwiłł znalazł się w Padwie, nie mając grosza na powrót do kraju. Gdy tak stał bezradny w mieście, ujrzał go przez okno rabin miejscowy, ojciec Saula. Byłby nie zwrócił uwagi na niego, gdyby nie wiatr, który uniósł do góry odzież wierzchnią żebraka, i oto rabin ujrzał „kostyum, obszyty złotymi sznurkami". Rabin posłał wnet „meszuresa" po tego nieszczęśliwego człowieka. Książę nie dał się długo prosić, wszedł, najadł się, napił, przespał, a potem zwierzył się rabinowi, kim jest. Ten bowiem sądził, że ma do czynienia z wyklętym przez papieża hrabią włoskim.

Na tem miejscu autor wtrąca opowiadanie o Henryku IV, wyklętym przez papieża, przyczem historyk, znający tak wybornie przyczyny upadku Polski, za który składa Bogu podziękowanie, — nie wie nawet o tem, że pokuta Henryka IV odbyła się w Canossie, bo pisze, iż papież przez cztery dni nie wpuścił go do Watykanu w Rzymie.

Razi również w opowiadaniu autora obłuda rabina, zapewniającego Radziwiłła, iż przygarnął go i nakarmił jedynie dlatego, że „nasza" religia tak każe, a w rzeczywistości uczynił to, jak autor pisze na innem miejscu, dopiero wtedy, gdy ujrzał „kostyum ze złotymi sznurkami".

Dużo miejsca autor poświęca polemice, pełnej niedorzeczności, między rabinem a Radziwiłłem. Wynikiem owej wymiany zdań jest scena wielce naciągana, w której książę całuje ręce rabina (? !) i mówi: „Teraz widzę, iż prawdą jest, co napisano w świętych księgach: „któż jeszcze jest ludem takim, jakim są Żydzi?" Daję ci teraz, święty rabinie żydowski, słowo honoru, że na przyszłość wszystko naprawię i w swym opisie podróży przedstawię tylko dobre strony Żydów. Lecz wspieraj mię teraz pieniędzmi: podróż moja będzie kosztowała bardzo dużo, gdyż podróżować będę „z całą firmą", jak przystało Radziwiłłowi, a jeśli mi pożyczysz pieniędzy, kochany rabinie, to ci odeślę dziesięć razy więcej".

W uwadze do tych słów księcia, umieszczonej w odsyłaczu, czytamy: „Książę był wielkim uczonym i opisał pięknie Żydów w księgach, które stworzył". Lecz i tutaj myli się autor albo przekręca daty i osoby. Mikołaj Radziwiłł bowiem nic nie pisał, ani drukował. Uczynił to dopiero Mikołaj Czarny Radziwiłł, brat stryjeczny poprzedniego, autor listu do nuncyusza Lippomana i wy-

dawca biblii, zwanej radziwiłłowską. Syn jego, Mikołaj Krzysztof Sierotka, także pisał i drukował. On to, walcząc za Stefana Batorego pod Połockiem w roku 1579, otrzymał ciężką ranę w głowę i w chorobie uczynił ślub odbycia pielgrzymki pobożnej do Ziemi Świętej. Ślub swój spełnił w roku 1582, czyli w lat 10 z górą po śmierci Zygmunta Augusta i po epoce, do której legenda odnosi wybór Wahla. To też zdaje się, że ten ślub i ta pielgrzymka Radziwiłła Sierotki były pobudką dla autorów żydowskich do stworzenia powyższej opowieści, będącej oczywiście rażącym anachronizmem. Radziwiłł Sierotka opracował opis swej podróży, który wydrukowano w językach: polskim, łacińskim, niemieckim i rosyjskim (Petersburg, 1787).

W dalszym ciągu tak opowiada autor historyę Saula. Radziwiłł, rozstając się z jego rodzicami, wziął z sobą ni mniej ni więcej, tylko „fotografie" rodziców i Saula. Wiek XVI i — fotografie! Z pomocą fotografii Radziwiłł odszukał Saula w Brześciu pośród uczniów wielkiej „Jeszywy", wziął go do swojego pałacu, gdzie dał mu mieszkanie, służbę, utrzymanie i strój, jakby dla „dziecka królewskiego". Wszystko to Radziwiłł robił przez wdzięczność dla jego ojca. Później ożenił go z córką bogacza brzeskiego, Dawida Drukiera, Deborą (Dwojrole).

Opis wesela zajmuje kilkanaście stronic książki dużego formatu. Wyprawił je Radziwiłł własnym kosztem, wyposażył też hojnie młodą parę. Opis zawiera treść przemówień rabina i „marszelika". Na weselu było mnóstwo książąt polskich i hrabiów. Ku uciesze zebranych Radziwiłł kazał sprowadzić ze swej menażeryi dwie papugi, które złożyły życzenia młodej parze po polsku i francusku; wielkiego orła, który miał pod skrzydłami listy z powinszowaniami; białego niedźwiedzia, przybranego w pancerz, a tańczącego ze sługą; dwie małpy, które latały po stołach i ławkach i tańczyły „punktualnie, jak damy dzisiejsze", — mówi elegancki autor.

Wreszcie docieramy do faktu głównego: elekcyi króla polskiego, o której mowa dopiero na str. 16 części drugiej książki. I tutaj mamy opis, niezgodny z tem, co podaje Lelewel. Według niego bowiem, historya z Saulem zdarzyła się po śmierci Zygmunta Augusta, podług zaś książki żydowskiej — po zgonie Stefana Batorego. Zdaniem autora, Saul był przez kilka miesięcy prezydentem elekcyi, przez noc jedną — królem, poczem wręczył koronę Zygmuntowi III, zdążywszy wpisać przez tę noc w akta koronne dogodne dla Izraela postanowienia. O tym ostatnim fakcie wspomina także Lelewel.

Papiery i akta, ogłoszone na korzyść Żydów, nosiły na sobie „pieczęć księcia Radziwiłła, prezydenta Rebi Szaula Wahla i wielkiego kanclerza państwa, Jana Zamoyskiego", którego imię i nazwisko brzmią w książce żydowskiej: „Johan Camuski", a który był jakoby „adjutantem prezydenta Wahla".

Nie dosyć na tem. Saul, zdaniem autora, dobrowolnie, nieomal wspaniałomyślnie sam zrzekł się prezydentury, ponieważ trudno mu było dłużej sprawować ten urząd, wymagający czasami podpisywania aktów w soboty i święta żydowskie (co też powierzyć musiał „chrześcijaninowi"), zrozumiał przytem i poznał ducha Polaków, w których — pisze autor — „rzecz dobra trwać nie może długo". Zwołał tedy sejm elekcyjny, na którym wybuchła walka między stronnikami kandydatów Maksymiliana rakuskiego i Zygmunta szwedzkiego. Gdy nie można było dojść do porozumienia, walka się wzmogła i doszła prawie do krwi rozlewu, Saul zgodził się w celu uśmierzenia niesnasek przyjąć koronę, przyczem zrobił to poświęcenie głównie dla Żydów, bo chciał potwierdzić pieczęcią królewską wpisane w akta koronne prawa, dla Izraela dogodne. Nie spał z tego powodu całą noc i przykładał pieczęć: „Saul, król polski". Dokonawszy tych czynów, rozstrzygnął spór między stronnictwami, oddając koronę polską Zygmuntowi III.

Aby wykazać całą bezpodstawność tej baśni, podanej za prawdę niezbitą przez autora „opowieści historycznej", żeby całą tę legendę sprowadzić do absurdu, wystarczy przytoczyć treść autentycznego dokumentu „Metryk Litewskich", który w dosłownem brzmieniu staropolskiem podaje historyk rosyjski, profesor Berszadzkij, a za nim powtarza go H. Nusbaum w V części swej historyi, p. t. „Żydzi w Polsce". Sposób, w jaki Zygmunt III traktuje Saula Judycza w nadanym mu przywileju, wyklucza wszelkie przypuszczenie, aby ten „Żyd miasta Brześć" był chociażby przez chwilę jedną jego poprzednikiem na tronie.

Albowiem już w roku 1588, czyli po upływie zaledwie jednego roku od obioru Zygmunta III, tenże wydaje w Krakowie dnia 11-go lutego „przywilej", w którym czytamy: „Za zaleceniem od niektórych Panów Rad Naszych uczciwych spraw Saula Judycza, Żyda miasta Brześć, kiego yz on za królowania świętey pamięci przodków Naszych w sprawach mytnych, poborných y celnych, częstokroć dowcipem i umiejętnością swą wiecznie życzliwie y pożytecznie skarbowi Naszemu służył i pracował..."; dalej czytamy: „Dla zacho-

wania Saula w dalszej użytecznej działalności dla skarbu państwa oddajemy mu na 10 lat niektóre dochody, należące do zamku brzeskiego, t. j. pobór mostowego, groblanego, dochód od młynów, słodowcu i sprzedaży wódki".

Oto istotna rola, jaka przypada Saulowi w historyi, a stwierdzona dokumentalnie. Niczem więcej, tylko bogaczem, dzierżawcą lub „faktorem", jak go nazywa Maciejowski, u Radziwiłłów i Jana Zamoyskiego, Saul nie był i być nie mógł. „Cóś podobnego ten tylko twierdzić może, kto nie wie, czem byli ówcześni Zamoyscy, czem polska szlachta, czem Radziwiłłowie," — pisze dalej Maciejowski.

Znając obyczaje żydowskie, możemy też przypuścić, że przydomek „król", przyczepiony do imienia „Saul", jest jedynie grą słów, powstałą wskutek wspomnienia biblijnego o „Saulu królu", pierwszym żydowskim królu palestyńskim. A ponieważ ów Szaul z Brześcia obok swych zdolności finansowych, jako poborca podatków, był jeszcze słynnym w nauce „Tory" rabinem, Żydzi zaś mają przysłowie hebrajskie: *Man malche rabunon*, co znaczy: „Kto to królowie? Rabini", — przeto nic dziwnego, że do imienia „Saul" człowieka, który był i rabinem, i wielkim finansistą, dodawano skwapliwie tytuł: *Hamelech* (król), i stąd po dłuższym czasie powstała legenda o „Saulu królu", jako reminisencya króla biblijnego *Szaul Hamelech*.

Że zaś za przesadą idzie przesada, a za bajką — bajka, więc Żydzi snuli w dalszym ciągu baśń saulową, przenosząc ją również na córkę „króla żydowskiego", którą jakoby pragnął poślubić Zygmunt III. A przecież o tej historyi niema nigdzie wzmianki autentycznej, zaprzecza jej nawet jakiś rabin żydowski w książce „Wielkość Saula", o której pisaliśmy powyżej. Pomimo to autor naszej „opowieści historycznej" rozpisuje się także o tym „fakcie", jakby był historycznie stwierdzonym.

Po śmierci królowej Anny, arcyksiężniczki austryackiej, pierwszej żony Zygmunta III, owdowiały król pragnął koniecznie pojąć za żonę pannę „Henele", córkę Saula. Uplanowano nawet porwanie Żydóweczki, przewidując, że ze względów religijnych *rebe* Szaul nigdy się nie zgodzi na związek córki z „chrześcijaninem". Znalazł się jednak dworak Zygmunta III, co za pieniądze zdradził plan tajemniczy Saulowi. Ojciec w ostatniej rozpaczy znalazł tylko jeden sposób uratowania swej córki „z rąk chrześcijańskich". Zaślubił ją mianowicie na prośbę Saula na poczekaniu 70-letni rabin

miejscowy, który wtedy także był owdowiał. Rabin ten miał jeszcze z Saulówną syna, który jest podobno protoplastą rodziny Szorów, późniejszych Wołowskich. Kiedy Saul przyszedł do starego rabina z propozycyą oddania mu córki, przyszły zięć Saula studyował ustęp z talmudu, odnoszący się do orzeczenia Eklezyasty: „I wieczorem rąk nie opuszczaj", co ma znaczyć: jeśliś miał żonę za lat młodych, to bierz ją także na starość. To oczywiście miało związek proroczy z życzeniem Saula. Kiedy więc Zygmunt III przysłał po Henele, już była mężatką.

Ta świeża legenda, związana ściśle z pierwszą baśnią, rzuca właśnie światło na wartość „historyczną" obu klechd żydowsko-rabinicznych.

Po co jednak literat hebrajski tak nieopatrznie szerzy bajdy, wymyślone wśród szerokich warstw ludu żydowskiego, podając je w dodatku, jako prawdy historyczne? Wytłómaczenie tej zagadki znajdziemy prawdopodobnie w owej „niechęci", że powiemy łagodnie, autora do] dawnej Polski, niechęci, nazbyt często spotykanej w piśmiennictwie hebrajskiem.

* * *

Teraz słówko jeszcze o nowem odkryciu lingwistycznem w sprawie nazwiska „Wahl". Lelewel sądzi, iż „przyczyną zjawienia się baśni był przydomek *Wahl*, co po niemiecku znaczy w y b ó r. Tegoż zdania jest i Kraushar. Inni mówią, że Żydzi polscy w swym dyalekcie wymawiają tak nazwisko znanej rodziny *Weil*. Jeszcze inni twierdzą, że *Wahl* to to samo, co po polsku *Wól* = *wół* = *szor*, bo rodzina, z którą się powinowacił, nosiła to nazwisko słynne.

Wszystkie te przypuszczenia nie podobają się p. Wetsteinowi, który z całą stanowczością twierdzi, iż nazwisko *Wal* znaczy *Włoch* po niemiecku, tak naprzykład orzech włoski to po niemiecku *Walnuss*. Na poparcie swych słów p. W. przytacza treść dokumentu z archiwum krakowskiego, w którym nazwisko *Wal* tłómaczą przez *Włoch*. Dokumentem tym jest weksel w języku polskim z roku 1623, opiewający, że Żyd „Marcus Włoch" z Krakowa pożyczył od chrześcijanina, Wojciecha Chodrowicza, 2,500 złotych polskich, na co wierzyciel otrzymał hypotekę domu i ruchomości Żyda. Na tym akcie figuruje podpis hebrajski: „Meir, syn swego pana i ojca Iszai Jochna, nieboszczyka, Niemiec (Aszkenazy), zwany Meir

Wal". Widoczna więc, że Meir Wal nazywał się po polsku „Markus Włoch".

Z nazwiska *Włoch* powstał z czasem *Bloch*, zdaniem p. W., a nawet wtedy już na stemplu Żyda, podpisanego na wekslu, figurowały inicyały łacińskie: *Me. B.*, co ma znaczyć: *Meir Bloch* vel *Włoch*.

W temże archiwum krakowskiem znajdują się jeszcze inne podpisy i stemple polsko-żydowskie z lat: 1539, 1543 i 1544.

Jerzy Ohr.



Rozbiory i Sprawozdania.

Zygmunt Gloger. *Encyklopedya Staropolska ilustrowana.* Tom I. Warszawa, 1900.

Antiquam exquirite matrem — badajcie macierz dawną, oto jaki napis należałoby położyć na czele tak różnolitej, a tak cennej pracy. Zbieranie pomników materyalnych, od siekierek i okrzosów przedhistorycznych aż do rękopisów i książek; zbieranie wszelakich tradycyi i właściwości ludowych, od pieśni polskiej i jej melodyi aż do wyrazów gwarowych; zbieranie dawnych podań od najpoważniejszych aż do facecyi Żery; nie tylko jednak zbieranie i uleganie bibliomanii, leksykomanii czy jakiejś tam innej manii, lecz przedewszystkiem spławianie i przetapianie dawnej rudy na korzyść i wzmocnienie dzisiejszego pokolenia: oto stałe zadanie i wielka zasługa sympatycznego autora. Wychodząc z założenia: „obce rzeczy wiedzieć dobrze jest, swoje — obowiązek“, stara się on o spoufalenie publiczności z tradycyami i dziejami, ludowemi, umysłowemi, dawnemi. a popularyzuje rzeczy krajowe tak wytrwale i wszechstronnie, jak mało kto przed nim. Popularyzacya taka zaś jest nieodzowną: znajomość bowiem dawnych rzeczy wobec braku podręczników i wobec innych braków bywa u nas nieraz bardzo powierzchowna; powtarzamy dawne terminy, często nie wiedząc, co one właściwie kryją.

Wymienione w nagłówku dzieło, przeróbka, znacznie rozszerzona, poprawiona, wzbogacona, krótszych, dawniejszych tego rodzaju, np. Słownika rzeczy starożytnych z roku 1896, odda każdemu, nie tylko dyletantowi, ale i pracownikowi samodzielnemu walną usługę. Niepodobna bowiem, żeby, nie mówiąc już o beletryście, filolog nawet lub historyk literatury czy dziejów krajowych obejmował cały zasób potrzebnej wiedzy, żeby równie dokładnie znał i pamiętał znaczenie każdej instytucyi, każdego szczegółu z życia domowego, szkolnego, wojskowego, kościelnego, publicznego. W wielkich encyklopedyach toną z natury rzeczy takie

szczegóły w olbrzymich rozmiarach wydawnictwa, obejmującego ludzkość, nie polskość; w obcych literaturach istnieją też już oddawna takie „słowniki realne“ do „starożytności“ klasycznych, germańskich i t. d., encyklopedya dla średniowiecza i dla czasów nowszych, fachowe i ogolniejsze. Zastąpi nam je wydawnictwo p. Glogera, cenne ze wszech miar.

Pierwszy jego tom obejmuje wyrazy od *Aaron* do *Denar*. Uwzględniono tu wszystkie działy dawnej umysłowości, kultury, życia Rzeczypospolitej i Królestwa do roku 1830: od afiszów teatralnych, gazet najdawniejszych, archiwów i bibliotek aż do terminów publicznych i prawnych, do szczegółów ubioru i broni, ekonomicznych (np. o bartnictwie albo o mennicy), do architektury krajowej, do pieśni kościelnej i tańca świeckiego; znajdziemy więc tutaj i obszerną rozprawę o „Bogurodzicy“, o bractwach miłosierdzia, o różnych zakonach aż do wiadomości o „cenarze“, o bobrach lub o dębach historycznych. Szczegóły czerpie wydawca z rozległej wiedzy własnej, z ksiąg pomocniczych (które wyliczyćby należało), z prac specyalistów wreszcie, zasilających jego pracę; przedstawia je zwięźle, jasno, dokładnie; powołuje się nieraz na literaturę przedmiotu; przytacza chętnie przysłowia; daje wyjaśnienia etymologiczne; tworzy jednem słowem całość, nie tylko arcyużyteczną, ale miejscami nawet piękną, podnoszącą ducha, przejętą nawskroś uczuciem ciepłem, ceniącem wszystko swojskie i przelewającem tę miłość w serce czytelnika.

Praca ta, jak na jednego człowieka, aż nazbyt wielka, odrazu doskonałą być nie może; każde nowe wydanie musi ją wzbogacać nowemi pozycyami i zaokrąglać, obcinać zarazem szczegóły mylne lub zbędne. Wskażmyż kilka; nieraz bowiem jedną rzecz opracowano zbyt obszernie, drugą zbyt krótko; np. A b r e w i a c j e — wystarczałaby tu króciutka definicya, przecież łacińskich rękopisów średniowiecznych i inkunabułów nie z Encyklopedyi czytać się nauczymy — a są tu i błędy, gdyż nie „w XII i XIII wieku skracanie doszło do najwyższego stopnia“: każdy rękopis XIII wieku, starannie pisany, odczyta uczeń gimnazyum, dopiero przed niejednym rękopisem XIV lub XV wieku, choćby najstaranniej pisanym, i poważny uczony stanie, „jak fizyk“, o czem nieraz się przekonywałem. Za to np. pod C h o r o b a mowa tylko o chorobach ocznych. Mylne szczegóły zawiera np. piękny zresztą artykuł B o g u r o d z i c a: wiemy przecie oddawna, że nadanie Melsztyńskiego dla altaryi krakowskiej z obowiązkiem odśpiewywania Bogurodzicy (z roku 1386) jest późnym falsyfikatem. Bardzo starannie wyliczono dawne publikacye peryodyczne w artykule C z a s o p i s m a p o l s k i e — jest ich tu do roku 1830 nie mniej, jak 324, ale opuszczono 325-e, jedną z ciekawych pozycyi, mianowicie „Pocztę królewiecką“, wychodzącą od „6 Augusti“ roku 1718 przez cały rok 1719 i 1720 tygodniowo, a kończącą się smutną odezwą wydawcy, „Cenkiera, drukarza polskiego“: „Mnie wielce Mości Panowie! barzo licha była tego roku obrywka z Gazetów Polskich, bo barzo mało było Ichmościów, którzy się w nich kochali, więc przyjdzie mi tego roku ich poniechać“ i t. d. Komplet tego czasopisma, z biblioteki Fryderyka Wilhelma I, posiada biblioteka królewiecka; „Poczta“ upadła, bo przynosiła więcej wiadomości z rewii poczdamskich i berlińskich w Lustgartenie, niż krajowych; korespondencye polskie bywały bardzo suche, np. z Poznania 29 listopada roku 1719 piszą: „w ziemi naszej nie słychać, chwała Bogu, nic o powietrzu“; to i cała korespondencya! Umieszczał je p. Zankier (bo i tak się pisał) zwykle na końcu numeru, tłómaczonego po większej części żywcem z niemieckiego.

Jedne wyrazy objaśnia wydawca (nieraz mylnie, np. A r c h a n d y a, po-

chodzi nie z greczyzny, lecz z tureckiego terminu wojskowego: a k i n d ż i; albo B a r y c z to nazwa miejscowości, nie z włoskiego); innych wcale nie tłómaczy, np. a n d r u t y (z włoskiego *anedrotti*, częste w Makaronach Folengi), c e n a r (taniec z niemieckiego *Zeuner*; był to rodzaj kotyliona z figurami, jak uczy wzmianka u Mazura St. Witkowskiego w Apophtegmatach z roku 1615, „że, co jedni, to drudzy też w tańcu działali, c y n a r o w y m go zowią“), b o r y s (chleb gruby, nie od b o r u, str. 235, lecz od *św. Borysa* przezwany) i in. Wybór niektórych pozycyi bywa całkiem dowolny; rozprawia autor np. o *Dantiscus* (pseudominie ks. Czartoryskiego); o D ę b o ł ę c k i m; o C i e m n o g r o d z i e (należałoby nieco więcej o treści książki wspomnieć); o B a c e (nie wspomniano o tem, czy też żartobliwy filut Rajmund Korsak nie skomponował sam tego Baki — jak wiadomo, oryginalnego wydania, niby z roku 1766, nikt dotąd nie widział, rzecz więc nieco podejrzana); o B a n i a l u c e — a o iluż to innych dziełach i autorach nie wspomniano! Podobnie ma się rzecz i z datami historycznemi; jest mowa o C h r z a n o w s k i e j, o karle B o r u s ł a w s k i m, o A n n i e A l o j z i e C h o d k i e w i c z o w e j (i o rocznicy chocimskiej — tylko niema mowy o samym Chodkiewiczu), o każdym poszczególnym herbie szlacheckim, ale nie mówi się nic o żadnej rodzinie—a nam się zdaje, że wzmianka, kiedy np. Czartoryscy albo Radziwiłłowie albo Sapiehowie najpierw się wznieśli najwyżej, a kiedy upadli lub zmaleli, dla „Encyklopedyi“ zbytecznaby nie była, chociaż nie myślimy z niej słownika biblio- czy biograficznego układać.

Nadzwyczajnej cenności nabiera Encyklopedya przez podobizny i ryciny, z rękopisów i druków, z materyi i zbroi, z budynków i z przyrody. Z prawdziwą rozkoszą i rozrzewnieniem patrzymy na podobiznę tekstu najstarszego Bogurodzicy, na sale arsenału warszawskiego, na pierwsze afisze teatralne, na bilety wizytowe posłów sejmowych, na najdawniejszego „Merkuryusza polskiego“ z roku 1661 na ostatniego cymbalistę warszawskiego Fajermana, na dęby odwieczne, na bramy krakowskie, na amfiteatr warszawski, na Alwara, na kazalnice i t. d. Niektóre ryciny są fantastyczne, np. Bracia ślubni (Kossaka); inne niepewne, np. pieczęć cechu złotników warszawskich nie może z roku 1438 pochodzić, gdyż w roku 1438 takich cyfr i liter wcale nie znano, jakie na niej widzimy, może w roku 1738 ją zrobiono. Zresztą wybór rycin jest bardzo trafny; życzylibyśmy tylko sobie widzieć ich więcej.

Dalszemu ciągowi tej najcenniejszej i najsympatyczniejszej publikacyi życzylibyśmy uwzględniania liczniejszych pozycyi; w tomie pierwszym brak przecież — Częstochowy!! (a należało ją koniecznie umieścić nie tylko dla obrazu i pątników, dla Paulinów i Kordeckiego, ale choćby dla dyalogów i rymów częstochowskich). Dalej prosimy strzedz się etymologii, jak ognia; to broń bardzo ostra, i nią się u nas zawsze tylko kaleczą; np. czytamy na str. 297: ć w i k i e m nazywają człowieka rumianego, czerwony, jak ćwik, stąd i buraki czerwone nazywają się ćwikłą — ależ, na litość Boską, ć w i k ł a to słowo greckie! Albo na str. 180: słowo p o b ł a ż a ć, pochodzące od tego, że b ł a z n o m wszystkie ich psoty p o b ł a ż a n o, odejmuje wszelką tragiczność stosunkowi społeczeństwa polskiego do błaznów, — ależ p o b ł a ż a ć jest częstotliwem od p o b ł o ż y ć i pochodzi od b ł o g i, a b ł a z e n nigdy się o b ł o g i e g o nie ucierał! Kiedy już mowa o błaznach, wspomnijmy, że Statut Dzwonkowskiego nie „jest jedyny utwór w piśmiennictwie naszem, poświęcony trefnisiom nadwornym“—napisał przecież ksiądz St. Grochowski wcale ciekawą „Pamiątkę nagrobną Samuela Głowy“ (błazna kardynała Maciejowskiego, zmarłego ruku 1608), którąby przedrukować wypadało,

gdyż w Pismach Grochowskiego zbiorowych wydano tylko jej część. Wogóle wywody słowne uważamy za zbyteczne, np. pod czecheł wystarczało powiedzieć, co to znaczy, nie zaś wywodzić jeszcze, czy słowo to z perskiego czy z niemieckiego poszło, tem bardziej, że ani jeden, ani drugi wywód nie jest prawdziwy! Jak najmniej więc leksykografii — należy ona do Słownika wyrazów obcych p. Karłowicza — jaknajwięcej zaś artykułów rzeczowych!

Publiczności szerszej najgoręcej polecamy wspieranie tego dzieła, obejmującego na wielką skalę starożytności krajowe (piękny artykuł Czary i Czarownice np. liczy aż 17 kolumn) w najszerszem znaczeniu tego słowa, przedstawione krytycznie (trafnie odrzucił np. autor tradycye o Borucie, jako nie ludowe), a z sympatyą i czcią dla tej wielkiej przeszłości, cenne choćby dla — autorów powieści historycznych i gorliwych ich admiratorów, wreszcie dla każdego, komu miłe, co swojskie — a komuż z nas ono nie miłe? *A. Brückner.*

Dr. Zygm. Gargas. *Handel obnośny a państwo.* Kraków, 1900, str. 224. Nakład Spółki Wydawniczej Polskiej.

Jest to praca, wywołana przez austryacki projekt rządowy reformy przepisów o handlu obnośnym i przeciw niemu wymierzona, więc bezpośrednio obchodząca tylko austryackich, zwłaszcza galicyjskich mężów stanu, ekonomistów i publicystów. Ponieważ jednak łączy wywody polityczno-administracyjne z wykładem treści społecznej badanego zjawiska, zasługuje przeto na uwagę powszechną, tem więcej, iż o handlu obnośnym pisano stosunkowo niewiele i dość pobieżnie, a już nigdy prawie nie wyłączano go z pomiędzy ogółu czynności gospodarczych, objętych mianem „przemysłu wędrownego“ (*Wandergewerbe*). Obok handlu obnośnego (*Hausierhandel, colportage de marchandises*), który jest „zawodowem pośrdeniczeniem w obrocie dóbr rzeczowych... polegającem na alienacyi, wykonywanej przez obnoszenie towarów, względnie przynoszenie ich samym konsumentom“ (str. 8), mamy tu jeszcze sprzedaż obnośną wyrobów przemysłu domowego lub przemysłu drobnego przez samych wytwórców, dalej domokrąstwo w celu nabywania towarów i wreszcie właściwy „przemysł“ wędrowny czyli krążenie w celu zaspokojenia potrzeb gospodarczych lub duchowych przez świadczenie usług osobistych. Dr. Gargas zajmuje się jedynie handlem obnośnym w znaczeniu, wyżej podanem, korzystając z materyału, zebranego przez Stowarzyszenie Polityki Społecznej (*Verein für Socialpolitik*) w roku 1900, biorąc przytem stamtąd li tylko dane o Przedlitawii. Skutkiem tego praca dr. Gargasa, już w założeniu specyalna, staje się jeszcze specyalniejszą, brak zaś wszelkiego materyału porównawczego czyni z niej okolicznościowy traktat z charakterem sprawozdania komisyjnego. I, jeżeli traktatu tego niepodobna nazwać przyczynkiem do poznania kwestyi handlu obnośnego, bo nie jest on pracą źródłową, nie podaje cyfr nowych ani faktów nieznanych, to jednak trudno mu odmówić znaczenia i wagi, skoro z jednej strony sprostować może i rozjaśnić sądy zainteresowanych prawodawców, z drugiej zaś daje do myślenia każdemu czytelnikowi.

Trzeba bowiem pamiętać, że handel obnośny znajduje się pod pewnym względem w takiem samem położeniu, jak rzemiosło, przemysł domowy, drobne gospodarstwo rolne, drobne przedsiębiorstwo handlowe i t. p., to znaczy, że jest on w dzisiejszym ustroju kapitalistycznym „przeżytą“ poniekąd kategoryą ekonomiczną. Wystarcza to, jak wiemy, dla wielu do wróżenia mu upadku, do lekceważenia go i do obojętnego przechodzenia mimo bezpodstawowych i bezcelowych

przepisów prawodawczych, które handlowi obnośnemu wyrządzają dotkliwą szkodę. Dr. Gargas bardzo słusznie wypowiada przekonanie, że niema poprostu słusznego powodu ograniczać i krępować tej formy handlu, z pewnością ani gorszej, ani lepszej od form pozostałych. Prawda, że obnoścy sprzedają częstokroć towar lichy, nie inaczej wszakże postępują mali, średni i wielcy kupcy; dodać zaś musimy od siebie, że „lichota“ nie jest pojęciem bezwzględnem: groszowe perkaliki lub tombakowe spinki tak samo będą liche w oczach człowieka średnio-zamożnego, jak półwełniane korty lub pierścionek z turkusem w opinii warstw najbogatszych. Prawda, że ceny towaru, stanowiących przedmiot handlu obnośnego, są względnie wysokie, jednak niższe bywają one u kupców osiadłych często dlatego tylko, iż ci, zaspakajając klientelę zamożniejszą, muszą liczyć się ze zmianami gustu i mody, muszą baczyć na dobrą sławę swej firmy, sprzedając z ustępstwem bardzo znacznym artykuły niemodne, wybrakowane i wadliwe, choćby naprawdę były równie dobre i trwałe, podczas gdy obnośca potrafi zbyć łatwo towar taki po cenie realnej. Co się tyczy zarzutu najpospolitszego, jakoby obnoścy wtykali do rąk odbiorców swoich przeważnie rzeczy zbyteczne, wmawiając ich użyteczność i niezbędność, odpowiedzieć można, iż zazwyczaj dzieje się wprost przeciwnie: nabywca, otoczony rodziną, może dokładnie obejrzeć towar i zastanowić się nad nim.

O rozmiarach handlu obnośnego trudno wyrobić sobie pojęcie dokładne, zwłaszcza w Austryi, gdzie skutkiem kłopotliwych i kosztownych formalności przy wyrabianiu pozwoleń oraz sporych opłat pieniężnych, istnieje nader wielu obnośców nielegalnych. Z rejestrów urzędowych dowiadujemy się, iż w roku 1890 uprawiało ten rodzaj handlu 18,233 osób („stałą jest przecież tendencya zniżkowa“ — str. 114), z tego na Galicyę przypadało 617 certyfikatów, a 1,145 obnośców obecnych (3, 4% i 7,6%) wobec 6,608,000 ludności i 75,843 kupców osiadłych, co czyni 1 obnoścę na kilometr kw. Najwięcej (w Austryi), bo 5,827 obnośców sprzedawało towary lniane, bawełniane, wełniane i niciane, dalej galanteryjne i bławatne, nakoniec „inne łokciowe“ (?), bieliznę, ubranie, koronki i t. d. „W najwyższym stopniu niewątpliwie z handlem obnośnym jest związany drobny przemysł domowy“, tak, iż „w wielu wypadkach wprost byt danej gałęzi produkcyi jest od niego zawisły“ (str. 128), ale i przemysł fabryczny, „ta tak nowożytna forma produkcyi korzysta z usług jego“: „w Pradze obnośca stanowi często środek ratunku dla przedsiębiorstw fabrycznych w razie przesileń, hyperprodukcyą spowodowanych“ (str. 131). Typem obnoścy jest obnośca samoistny (str. 139); zysk przeciętny wynosi 10 — 15%, tak, iż „rzadko tylko sam handel obnośny wystarcza na utrzymanie“ (str. 180); dlatego też warunki życia obnośców są mniej, niż skromne, czyniąc z nich najuboższych chyba przedsiębiorców samoistnych.

Pomijając całą tę część książki, gdzie autor podaje historyczny i dogmatyczny wykład prawodawstwa austryackiego względem obnośców, oraz te rozdziały końcowe, w których jest mowa o zmianach, proponowanych przez nowelę rządową, przechodzę na zakończenie do przymiotów zewnętrznych pracy, wyrażając z góry ubolewanie, iż szpecą one w sposób rażący dzieło tak pracowite i sumienne. A naprzód o języku. Barbaryzmy i prowincyonalizmy spotykamy na każdej niemal stronnicy, jak oto: przedłożyć, zaistnienie, sprecyzować, przydzielić (=powierzyć), czasokres, syngularny, derogować, orzecznictwo, dekadencya, dokonuje się, zrektyfikować, presumtywnie, we Wiedniu, znachodzić się, napotkać na sprzedaż, zaprzyczynować, popyt za towarami, zastępować (= przedstawiać), wymogi, oglądnąć, przestępność i t. d. A przytem ileż zwrotów niepolskich! Podmiot po orzeczeniu, przyimek „dla“ zamiast 2-go przypadku: stowarzyszenie dla polityki, po-

wody dla walki! I wreszcie nieznośna forma: „tą“ zamiast „tę“! Już na karb drukarni (drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego!) złożyć trzeba najokropniejszą korektę, nieraz utrudniającą zrozumienie tekstu—kogo zaś obarczyć winą błędów w przecinkowaniu, nie wiem, natomiast wiem, iż jakieś dziwne nieporozumienie sprawia, że ludzie u nas całkiem przestają dbać o znaki pisarskie. Oto próbka z książki dr. Gargasa: „Z chwilą, gdy po raz pierwszy, tworzy się gospodarstwo społeczne.... dąży do rozwiązania pytanie, czy handel obnośny, pożyteczne pełni funkcye“. *Jan Stecki.*

Józef Tretiak. *Szkice literackie.* Serya II. Kraków, 1901. 8-o, str. 346.

Więcej, niż połowę seryi drugiej „Szkiców literackich“ prof. Tretiaka (pierwsza ukazała się w r. 1896), zajmują dwa studya z literatury obcej: indyjskiej i fińskiej. W pierwszem — „O dramacie staroindyjskim“ — na podstawie dzieł Lassena (Indische Alterthumskunde), Wollheima (National-Literatur sämmtlicher Völker des Orients), Kleina (Geschichte des Dramas), Wilsona (Theater der Hindu's) i Maxa Müllera (Essays) autor, podawszy charakterystykę stosunków społecznych i religii Indusów aż do X wieku po Chrystusie, na tem tle dopiero charakteryzuje dramat staro-indyjski, poczytując za główne jego cechy: intrygę miłosną, bierność charakterów, pogodne rozwiązanie i luźność oraz rozwlekłość akcyi (wskutek nadmiaru liryzmu opisowego); poczem, poświęciwszy jeszcze kilka słów poetyce i sceneryi indyjskiej, streszcza szczegółowo utwory trzech najwybitniejszych dramaturgów indyjskicb: Kalidasy, Sudraki i Bhawabuti'ego, uwydatniając za pomocą obfitych cytat cechy istotne twórczości każdego z tych trzech poetów i obznajmiając czytelnika z wewnętrznem życiem staroindyjskiego świata. Szkic ten ukazał się po raz pierwszy w r. 1879 (w „Przewodniku naukowym i literackim''); autor przedrukował go obecnie bez zmian, a stąd nie uwzględnił nowszej literatury o dramacie staro-indyjskim, (jak np. dzieła E. Windisch'a: Der griechische Einfluss im indischen Drama (Berlin, 1882, w rozprawach V kongresu oryentalistów) i dlatego też — wbrew wywodom Windisch'a — kwestyonuje wpływ dramatu greckiego na indyjski (str. 30). Wogóle rozprawa prof. Tretiaka, jako oparta na źródłach z drugiej ręki, nie posuwa naprzód nauki; niemniej przeto na przedruk zasługiwała, jako dająca dokładne pojęcie o dramacie indyjskim czytelnikowi polskiemu, który w swoim języku innej monografii o tym ciekawym przedmiocie nie posiada (studyum Matuszewskiego „Ieeał bohaterstwa w dramacie staroindyjskim“, jak sam tytuł wskazuje, dotyka jednej tylko strony przedmiotu).

Z tego samego względu zasługiwał na przedruk szkic o „Kalewali, epopei fińskiej“; po raz pierwszy pisała u nas o tej epopei Seweryna Duchińska (w „Bibliotece Warszawskiej“ r. 1869), lecz streściła tylko cztery pierwsze pieśni, o studyum zaś F. Jezierskiego (tamże, r. 1880) zapomniano zupełnie, jak o większości rozpraw, nie przedrukowanych z czasopism. Prof. Tretiak, posługując się badaniami J. Grimma (Über das finnische Epos), M. A. Castrena (Vorlesungen über die finnische Mythologie, übers. von A. Schefner) i Léouzon Le Duc'a (Le Kalewala, epopée nationale de la Finlande, traduit par...), po kilku uwagach wstępnych bardzo szczegółowo streszcza Kalewalę, podając, jak w poprzednim szkicu, cały szereg cytat w pięknym przekładzie (z francuskiego), które nie tylko ułatwiają czytelnikowi zrozumienie treści, lecz nadto wtajemniczają go w piękności czarującego swoją poezyą arcydzieła epiki ludowej Finnów.

Z sześciu następnych szkiców seryi drugiej największą wartość naukową

posiadają trzy — o „Panu Tadeuszu“, o Krasickim i o pieśni żołnierskiej XVII wieku.

Przedmiotem pierwszego są „Obrazy nieba i ziemi w Panu Tadeuszu“. Autor bardzo trafnie zaznacza różnicę pomiędzy krajobrazami w „Dziadach“, „Grażynie“ i „Sonetach krymskich“ a obrazami natury w „Panu Tadeuszu“; w analizie „obrazów nieba“ pełno bystrych spostrzeżeń (uosobienie natury zapomocą porównań, harmonia pomiędzy krajobrazami a akcyą, opisy bezpośrednie i porównawcze, pełnia powietrzna pejzażów mickiewiczowskich), natomiast analiza „obrazów ziemi“ (mieszkania ludzkie, ogrody, pola i lasy) jest mniej subtelna i nie wyczerpuje przedmiotu. Szkic prof. Tretiaka jest cennem uzupełnieniem świetnej rozprawy Witkiewicza „Mickiewicz, jako kolorysta“ w książce „Sztuka i krytyka u nas“) i studyum Gostomskiego („Przyroda w Panu Tadeuszu“ w „Ateneum“, 1892).

Nowe dane do biografii Krasickiego przynosi wyborna rozprawa „Ignacy Krasicki, jako prezydent trybunału“. Na podstawie listów Krasickiego, znajdujących się w Muzeum Czartoryskich w Krakowie, autor odtwarza działalność przyszłego księcia biskupa wamijskiego, jako prezydenta trybunału we Lwowie, wykazując jego zasługi, położone na tem stanowisku, jego walkę z przedajnością i nadużyciami sędziów, sumienność i pracowitość, bezstronność i sprawiedliwość, dbałość o odpowiedni poziom umysłowy i moralny kolegów deputatów. Szlachetny i zacny charakter Krasickiego ukazuje się tutaj w pełnem świetle [1])

Treścią szkicu „Dawna pieśń żołnierska“ (przedrukowanego z „Ateneum“, 1899) jest rozbiór wcale pięknej „Dumy ukrainnej“ z XVII wieku, która, jak to wykazuje autor, powstała za panowania Zygmunta III lub wkrótce po jego śmierci, na Ukrainie, pod wyraźnym wpływem artystycznym „Sobótki“ Kochanowskiego. Ciekawa, jako jeden z niepozbawionych pewnego artyzmu zabytków poezyi polskiej XVII wieku, jest nadto „Duma ukrainna“, jako forma i rodzaj poezyi, ciekawym przyczynkiem do poetyki historycznej: jedna to z najwcześniejszych „dum“, tem mianem nazwanych, jeżeli nawet nie najwcześniejsza (bo może powstała wcześniej od „Dumy powiatowej“ Wojciecha Rakowskiego w „Pobudce zacnym synom korony polskiej do służby wojennej“, Kraków, 1620. Ob. Wójcicki, Hist. lit., I, 1845, str. 96).

Trzy inne szkice są już — w porównaniu z trzema omówionymi — mniej ważne.

W „Powieści historycznej“ autor zdaje sprawę z dwu powieści: Kaczkowskiego „Olbrachtowych rycerzy“ i Krechowieckiego „Veto“, poprzedzając recenzyę kilku uwagami o powieści historycznej w ogóle.

„Studyum o Kraszewskim“ jest recenzyą obszernej monografii prof. Chmielowskiego, a właściwie recenzyą tylko części piątej rozdziału X, zawierającej w sobie charakterystykę Kraszewskiego, jako człowieka i jako pisarza. Prof. Tretiak słusznie modyfikuje nieco sąd prof. Chmielowskiego, poczytując za główne

---

[1]) Ciekawem jest przytoczone przez prof. Tretiaka zdanie Krasickiego o korespondentach warszawskich do pism prowincyonalnych: „Korespondenci warszawscy, *gente di galera*, jak mówią Włosi, ukrzepczają *pravitatem* bajeczności tutejszych; trzebaby na nich mieć oko, bo ich baśnie takową tu czynią impresyą, że z wielką trudnością prawda się tu gwałtownie prawie wciskać musi.“

źródło czynów i twórczości Kraszewskiego „jego temperament o nadzwyczajnej wrażliwości i nadzwyczajnej łatwości uzewnętrzniania chwilowych stanów duszy“.

„Na jubileusz Asnyka“ jest to szkic, napisany w r. 1896 z powodu jubileuszu trzydziestoletniej działalności poety. Nie wyczerpuje w nim autor przedmiotu w całości, t. j. nie daje odpowiedzi na wszystkie pytania, które zadał sobie na str. 311, nie wyprowadza z przeglądu twórczości Asnyka ogólnego wniosku — (który brzmiałby zapewne, że poezya Asnyka jest „myślą całej epoki“, bo odźwierciedla wszystkie główne prądy myślowe i uczuciowe społeczeństwa po r. 1863); lecz zarówno ogólna charakterystyka Asnyka, jak zaznaczenie głównych faz w rozwoju jego poezyi, są bardzo trafne; szczególnie zwraca na siebie uwagę zwięzły rozbiór sonetów „Nad głębiami“.

Zamykają książkę dwa referaty, odczytane — pierwszy na zjeździe literatów i dziennikarzy polskich we Lwowie (1894), drugi na zjeździe historyków w Krakowie (1900); obydwa są z sobą w ścisłym związku. W pierwszym roztrząsa prof. Tretiak sprawę „Rodzimości i wpływu obcego w literaturze“ i z uwag swych wysnuwa trzy wskazówki praktyczne — w zastosowaniu do krytyki (która powinna wykazywać wpływy obce na dzieło sztuki), do dziennikarstwa (które powinno informować czytelników o życiu zagranicą i uczyć, co z zagranicy da się przeszczepić na grunt rodzimy z pożytkiem dla społeczeństwa) i do literatury pięknej. Tę ostatnią wskazówkę, na którą piszemy się najzupełniej, przytaczamy w całości: „Współczesne prądy w literaturze Zachodu, przedewszystkiem w literaturze francuskiej, która mocą wykwintnej formy i swej ruchliwości nie przestaje oddziaływać na inne europejskie, mało mają w sobie zdrowego powiewu, mało żywotności Pesymizm, egzotyzm i symbolizm są wytworami społeczeństwa, chorego moralnie, potężnego materyalnie. My, przeciwnie, jesteśmy społeczeństwem słabem materyalnie, to jest politycznie i ekonomicznie, a nierównie zdrowszem moralnie. Tak samo neochrystyanizm, neobuddyzm i tołstoizm są poniekąd zbytkiem dla społeczeństwa, gdzie jest tyle zadań i trosk ciężkich, nieznanych ludom Zachodu, gdzie religijność w wielkich masach gorąca, gdzie poezya Mickiewicza rozlewa tyle ciepła religijnego, i gdzie ci, co chcą wrócić do Chrystusa, mają daleko bliższą drogę, niż przez Buddę lub Tołstoja. Nie mniej przeto powieściopisarze nasi mogą wiele korzystać pod względem artyzmu, realizmu przedstawienia i pogłębienia psychologicznego postaci i od Tołstoja, i od Lotiego, i od Zoli. Tylko, kształcąc formę, rozszerzając horyzont swoich wyobrażeń, powinni strzedz ducha rodzimego, to jest stać mocno na gruncie rodzimego życia i czuć mocno jego potrzeby“.

W drugim referacie—o „Podziale historyi literatury polskiej na okresy“ — autor dowodzi, że podstawą podziału powinien być stosunek wzajemny rodzimości i wpływów obcych; na tej podstawie dzieli prof. Tretiak historyę literatury polskiej na trzy epoki: 1) od przyjęcia chrześcijaństwa aż do r. 1543, t. j. aż do ukazania się „Krótkiej rozprawy“ Reja; 2) od r. 1543 do 1820 (mniej więcej), to jest aż do wydania „Wiesława“ Brodzińskiego i powstawania pierwszych utworów Mickiewicza; 3) od r. 1820 do chwili obecnej. Każdą epokę podzielić można na drugorzędne okresy. Referat ten był przedmiotem dość żywej dyskusyi na zjeździe historyków; nie wszyscy się godzili na taką podstawę podziału, przyznano jednak ogólnie, że, przyjąwszy już taką podstawę, nie można inaczej dzielić historyi literatury. W stosunku do historyi literatury polskiej, która przez ciąg dzie-

sięciu wieków rozwijała się w mniejszym lub większym stopniu zależności od literatury zachodnio-europejskiej, za takim podziałem wiele względów przemawia: nieprędko jednak da się on szczegółowo uzasadnić, ponieważ badania porównawcze nie zdążyły jeszcze wykazać całokształtu wpływów obcych, a więc i stopnia rodzimości naszego piśmiennictwa, innemi słowy, nie zdążyły jeszcze zbadać wszechstronnie podstawy projektowanego podziału.

Na tem kończymy sprawozdanie z drugiej seryi „Szkiców literackich" prof. Tretiaka. Metoda naukowa, sumienność w korzystaniu ze źródeł, trzeźwość, bezstronność i szczerość sądu, krytycyzm estetyczny, jasność myśli i świadomość celu, w połączeniu z pięknością, przejrzystością i przystępnością wykładu, oto główne zalety studyów zasłużonego badacza. *Ign. Chrzanowski.*

Dante Alighieri. *Boska komedya* w przekładzie **Edwarda Porębowicza**. II Czyściec. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1899. 16-o str. 332, z wizerunkiem poety.

A więc w sześć wieków od chwili powstania „Boskiej komedyi" zdobywamy się na nowy, trzeci całkowity polski przekład tego arcydzieła. Z dzieł, dotyczących Dantego, pisanych w językach: niemieckim, francuskim, angielskim i włoskim, dałaby się złożyć obszerna biblioteka. Na półce, przeznaczonej dla prac uczonych polskich o poecie włoskim, znalazłoby się tam tylko znakomite dzieło Juliana Klaczki: „Wieczory florenckie". Dopiero niedawno ukazała się monografia Cezarego Jellenty, zawierająca życiorys i wizerunek duchowy poety.

Bibliografia przekładów o wiele jest obfitsza. Przedewszystkiem wymienić należy zapomniane całkowite tłómaczenie „Nowego Życia", dokonane przez Gustawa Ehrenberga (Bibl. Warsz. 1880. II. 1, 120). Piękną i sumienną tę pracę należałoby przedrukować, usunąwszy tylko liczne błędy drukarskie. Rzecz prosta, że z dzieł Dantego przedewszystkiem „Boska komedya" zajmowała i publiczność naszą i tłómaczy. Godnie wprowadził ją do piśmiennictwa polskiego Mickiewicz, który z niezrównaną mocą i plastyką słowa przełożył parę wyjątków z „Piekła", między innemi część pieśni XXXIII, zawierającą opowiadanie Ugolina o śmierci głodowej, poniesionej wraz z dziećmi z rozkazu arcybiskupa Ruggiera. Przekład ten jedną ma tylko słabą stronę: niezachowanie formy tercyny. Z poetów naszych pracowali jeszcze nad tłómaczeniem arcydzieła dantejskiego: Asnyk, który w wykonanym wytworną tercyną przekładzie pieśni trzeciej Piekła stanął na wysokości zadania; Gustaw Zieliński, który przełożył ustęp z V pieśni Piekła (Bibl. Warsz. 1855 III 215), Teofil Lenartowicz, J. N. Jaśkowski, J. I. Kraszewski, który dał wierne, potoczyste tłómaczenie trzech ostatnich pieśni (Bibl. Warsz. 1868 I 389), wreszcie Felicyan Faleński, wielce zasłużony w sprawie spopularyzowania u nas Dantego, przełożył, oprócz dwunastu jego sonetów, dwadzieścia trzy pieśni Boskiej komedyi, zachowując misterną formę tercyny i dokładnie odtwarzając to siłę i lapidarność w miejscach tragicznych, to znowu w lirycznych rzewność i miękkość. Na Faleńskim, od którego spodziewamy się czwartego całkowitego przekładu Boskiej komedyi, wyczerpuje się szereg tych poetów, co ją częściowo przekładali. Obowiązek sprawozdawczy nakazuje nam jednak jeszcze zanotować przekłady: Krajewskiego, który świetnie tłómaczy ballady Schillera i pierwszą część Fausta, a mniej dobrze Wędrówki Childe Harolda, Ludwika Kamińskiego, tłómacza Torkwata Tassa, Popego i Byrona (B. K. Cz. I. Bibl. Warsz. 1853 I 343), wreszcie F. Wicherskiego (Bibl. Warsz. 1856 III 259).

Juliuszowi Korsakowi i Antoniemu Stanisławskiemu zawdzięczamy całkowite przekłady Boskiej komedyi. Pierwszy z nich, znakomity tłómacz Byrona,

tak się przejął myślą wzbogacenia piśmienictwa ojczystego pierwszym całkowitym przekładem Dantejskiego arcydzieła, że, nie znając języka włoskiego, począł go pilnie studyować dla uwieńczenia pracą tą piśmienniczej swej działalności. Podjęta i wykonana z wielkim pietyzmem praca stała się przedmiotem ogólnego zachwytu. I nic dziwnego: sama myśl, żeśmy wreszcie posiedli Dantego, stłumiła krytyczne głosy. Dziś jednak przyznać musimy, że tłomaczenie jego, dokonane wprawdzie wierszem, lecz nie tercyną, pomimo wielu miejsc, pięknie oddanych, grzeszy brakiem ścisłości i wprost nieraz dowodzi niezrozumienia oryginału. Przytem Korsak, który doskonale odtwarzał nastrój Byrona, z Dantem pod tym względem radzić sobie nie umie; tak być musiało: bez dokładnej znajomości stosunków ówczesnych i piśmiennictwa można być tylko *tradittore*, nie zaś *traduttore*. Drugim z kolei, który sięgnął po laury całkowitego przekładu Boskiej komedyi jest Stanisławski, i, gdyby nie biały wiersz, który tercyny zastąpić nie może, laury te należałoby mu przysądzić, oddaje bowiem doskonale szczery, czysty liryzm Dantego i, posługując się niewyszukanym językiem, trzyma się ściśle oryginału.

Wszystkie przymioty, które powinien posiadać tłómacz Dantego, zjednoczyły się dopiero w osobie Edwarda Porębowicza. Przedewszystkiem jest on urodzonym poetą i artystą, a następnie jedynym u nas, doskonałym znawcą wszystkich niemal literatur południowych. Gdyśmy czytali pierwsze jego przekłady trubadurów prawansalskich, uważaliśmy je za stopień, prowadzący do pracy nad Dantem.

I przewidywania nie zawiodły nas. Po Don Juanie, Marino Falierim i Dwu Foscarich — Byrona, po dramatach Kalderona i lirykach Leopardiego oraz wielu innych poetów, przeważnie romańskich [1], poczęły ukazywać się tu i owdzie po pismach rozrzucone pojedyncze pieśni Boskiej komedyi. W roku 1899 — wyszło w całkowitym przekładzie „Piekło", z której to pracy „Ateneum" we właściwym czasie pomieściło sprawozdanie; niebawem ukazał się „Czyściec" — przekład „Raju" ukaże się w najbliższej przyszłości. Porębowicz dokonał pracy swej, opierając się na tekście i komentarzu Fraticellego, uzupełnionym objaśnieniami, które w swych najnowszych wydaniach podaje G. A. Scartazzini.

Sam przedmiot Boskiej komedyi sprawia, że nie wszędzie w niej krynica poezyi z jednakową tryska siłą. Dla najszerszego koła czytelników najbardziej zajmującą jej częścią zawsze będzie „Piekło". Jest tu najwięcej życia dramatycznego, ponieważ grzesznicy pozostali takimi samymi, jakimi byli na ziemi. Przed naszemi zdumionemi oczyma cisną się oni w nieskończonym szeregu mniej albo więcej wykończonych, nieraz tylko naszkicowanych scen, których jasność i różnorodność nigdy nie przestaną być przedmiotem naszego podziwu. Dusze, zaludniające czyściec, pod wielu jeszcze względami przypominają dusze potępione. Ale nie powodują się już tak, jak one, ziemskiemi namiętnościami, bo wyzwalają się z nich, a stąd pozbywają się w znacznej części właściwości ludzkich; to też w „Czyśćcu" nie może się rozwinąć to barwne życie, które uderza nas w obrazach Piekła. I tam wprawdzie mamy szereg wspaniałych scen, lecz coraz to częściej przeplatają je dysputy naukowe i teologiczne, które w raju zajmują już bardzo wiele miejsca, przyczem poeta usiłuje zwalczyć niemożliwość odtworzenia nadziemskości ziemskiemi barwami, zmagając się z trudnościami, często posługuje się symbolizmem, do którego musiał uciec się już w „Czyśćcu" dla oddania wewnętrznych przejść. O geniuszu Dantego świadczy i tu szereg wspaniałych obra-

[1]) Patrz: „Obraz literatury powszechnej", ułożony przez P. Chmielowskiego i E. Grabowskiego. Warszawa, T. Paprocki i S-ka.

zów, najpiękniejsze jednak są te miejsca, w których Dante, jako człowiek, nawiązuje stosunki pomiędzy ziemią a błogosławionymi, kiedy ci w pełnych siły wyrazach odzywają się o świecie i jego sprawach.

* * *

Przygotowanie naukowe i pietyzm, z jakim Porębowicz pracę swoją traktuje, sprawiły, że przekład jego posiada najwyższą zaletę: przedziwnie odtwarza nastrój oryginału. Jędrność i dosadność wyrazu nigdzie nie przechodzi w pospolitość, a przytem tłómacz ściśle trzyma się pierwowzoru i na żadne wtręty sobie nie pozwala. Płynny, potoczysty wiersz, ujęty w misterną, wycyzelowaną tercynę, bez której Dantego wyobrazić sobie nie podobna, gdzie niegdzie tylko nosi na sobie nieznaczne ślady tych trudności, z jakiemi tłómacz musiał się łamać:

Agli occhi miei ricominciò diletto,
Tosto ch'io usci fuor del *aura morta*
Che m'avea contristati gli occhi e il
[petto.

Radość mym myślom wróciły z wys oka
Skoro wyszedłem z *martwych wiatrów*
[*kadzi*,
Ciężkich dla piersi i smutnych dla oka.
(*Porębowicz*).

Znowu mi oczy pieściła rozkoszą,
Skoro wyszedłem z *grobowego mroku*,
Który mi smutkiem dręczył wzrok i duszę. (*Stanisławski*),

Questa isoletta intorno ad imo ad imo
Laggiù, colà dove la batte l'onda
Porta de'giunchi sovra l'molle limo

Na oddalonym, co widać, ostrowie
Któremu brzegi ciągle fale piorą,
W miękim namule wyrasta sitowie.
(*Porębowicz*).

Owa wysepka, o którą dokoła,
Tam, tam w oddali *roztrąca się* fala,
Na miękkim ile rodzi to sitowie. (*Stanisławski*).

Drobne te skazy na czystym krysztale pracy Porębowicza nie mogą ująć wartości jego dziełu i są najzupełniej usprawiedliwione trudnościami, które ma do przezwyciężenia tłómacz Dantego. Lecz właśnie i ze względu na piękność całego przekładu, a także i wielkie zasługi Porębowicza w piśmiennictwie naszem, jako tłómacza, wolelibyśmy ich nie wytykać. Jak zresztą mało jest tych usterek i jak nieznaczne są one, dowiedzie najlepiej zestawiony tu z oryginałem przekład opowiadającej spotkanie z Beatryczą może najpiękniejszej z całego Czyśćca XXX pieśni, w którym zaledwie jedna daje się dostrzedz skaza.

Już ten siedmiogwiazd pierwszej Nieb
[dziedziny,
Co nie zna Wschodu, ni Zachodu, ani
Innych mgieł nie zna, oprócz mgławic
[winy,

Sam zaś naucza, co czynią poddani
Swej powinności: jak ster Niedźwiedzicy
Uczy żeglarza, gdzie szlak do przystani,

Quando il settentrion del primo Cielo,
Che nè occaso mai seppe nè orto,
Nè d'altra nebbia, che di colpa velo,

E che faceva li ciascuno accorto
Di suo dover, come il più basso face
Qual timon gira per venire a porto,

Stanął; dwadzieścia czterej przodownicy,
Co w ślad świecznika szli za świętym ptakiem,
Do Woza przyszli, do miru stolicy.

Jeden z nich, jakby Niebios był śpiewakiem,
„Pójdź, oblubiona z Libanu, pójdź!" woła.
Reszta wtór pieniem zawodzi jednakiem.

Jak w dzień ostatni na głos Archanioła
Błogosławiona gromadka powstanie
Z odzyskanego jestestwa wesoła,

Tak w stu powstali na świętym rydwanie,
Posłuszni haslu, które ich przyzywa,
Posłowie, wróżbę śląc na zmartwychwstanie:

„Błogosławiony ten, który przybywa",
Śpiewali, kwiaty rzucając obficie:
„Kwieciem lilii niech się pookrywa!"

Jako się niebo ogląda o świcie,
Że wschodnia strona płonie barwą róży,
A reszta stoi w bladawym błękicie;

Tarcz słońca w parach porannych się mruży
I we mgle swego nie broni widoku,
Tak, że jej oczy mogą wstrzymać dłużej,

Podobnie tutaj w kwiatowym obłoku,
Którym okryły Wóz anielskie dłonie
Sypiąc dokoła i z góry i z boku;

Z wieńcem oliwnym na białej zasłonie
Stała Niewiasta w płaszczu barwy ziela,
Pod którym szata, jak żar żywy, płonie.

Stęsknił się duch mój, że od lat tak wielu
Cudem jej wdzięków nie był czarowany:
Cudem, co wabi i co onieśmiela.

Więc, gdy mi błysnął kształt jej ukochany,
Przez moc tajemną, która od niej biła,
Dawnej miłości poczułem kajdany.

A gdy ujęła mię ta można siła,
Co poraz pierwszy, kiedym był młodziutki
Chłopczyna, zmogła mię i zniewoliła,

Fermo si affisse, la gente verace,
Venuta prima tra il grifone ed esso,
Al carro volse sè, come a sua pace:

E un di loro, quasi dal Ciel messo,
„Veni sponsa di Libano", cantando,
Gridò tre volte, e tutti gli altri appresso.

Quale i beati al novissimo bando
Surgeran prestio gnun di sua caverna,
La rivestita carue alleviando;

Cotali, in su la divina basterna,
Ci levar cento „ad vocem tanti senis",
Ministri e messaggier di vita eterna.

Tutti dicean: „Benedictus qui venis";
E, fior gittando di sopra e d'intorno,
Manibus o date lilia plenis.

So vidi già non cominciar del giorno
La parte oriental tutta rosata,
E l'atro ciel di bel sereno adorno,

E la faccia del sol nascere ombrata,
Si che per temperanza di vapori
L'occhio la sostenea lunga fiata:

Così dentro una nuvola di fiori,
Che dalle mani angeliche saliva,
Ericadera giù dentro e di fuori,

Sovra candido vel cinta d'oliva
Donna m'apparve, sotto verde manto,
Vestita di color di fiamma viva.

E lo spirito mio, che già cotanto
Tempo era stato, ch'alla sua presenza
Non era di stupor tremando affranto,

Sanza degli ochi aver più conoscenza,
Per occulta virtù che da lei mosse,
D'antico amor sentì la gran potenza.

Tosto che nella vista mi percosse
L'alta virtù, che già m'avea trafitto
Prima ch'io fuor di puerizia fosse,

W lewo się zwracam, z tej samej pobudki,
Co dziecko, kiedy pod matczyne ramię
Ucieka koić wielki strach lub smutki.

Volsimi alla sinistra col rispitto
Col quale il fantolin corre alla mamma,
Quando ha paura, o quando egli è afflitto,

Chcę Wergilemu rzec: „*W serdecznej jamie*
Krwi kropli nie mam, ażeby nie drżała;
Dawnych płomieni rozpoznaję znamię“.

Per dicere a Virgilio: Men che dramma
Di sangue m'è rimasa, che non tremi;
Conosco i segni del antica fiamma.

Ale Wergili zniknął: moja cała
Radość, Wergili, co mi stał na straży,
Wergili, piastun duszy mej i ciała.

Ma Virgilio n'avea lasciati scemi
Di sè, Virgilio dolcissimo padre,
Virgilio, a cui per mia salute die'mi:

Nawet te cuda rajskich wirydarzy
Pomódz nie mogły, by zmyte od rosy
Znów nie sczerniały kolory mej twarzy.

Nè quantunque perdeo l'antica madre,
Valse alle guance nette di rugiada,
Che lagrimando non tornassero adre.

A ona rzekła: „Dante, chciały losy,
Byś sam pozostał; nie bądź żalem zdjęty:
Płakać cię zmuszą jeszcze inne ciosy“.

Dante, perchè Virgilio se ne vada,
Non pianger anco, non pianger ancora,
Che pianger ti convien par altra spada.

Przypominamy sobie drukowany przed dziesięciu laty w krakowskim „Świecie“ częściowy przekład „Orlanda rozszalałego“ Aryosta, dokonany przez Porębowicza wspaniałą oktawą Piotra Kochanowskiego — dzieło w jednolitości swej niezrównane. Otóż, pomimo wszystkich niezaprzeczonych zalet przekładu Boskiej Komedyi, wyżej nadeń stawiamy tłómaczenie Aryosta — i to właśnie dla tej jednolitości. Tercyna, do przekładu Dantego przez Porębowicza użyta, korzysta od czasu do czasu z archaicznych zwrotów i form językowych, stosowanych zresztą z właściwem temu tłómaczowi wysokiem poczuciem stylu; ma to jednak miejsce dość rzadko, tak, że nieraz przeczytamy kilkadziesiąt tercyn, a nawet i pieśń całą, nie spotykając nigdzie tej patyny. Wrażliwemu na taki *makaronizm* czytelnikowi owe gdzie niegdzie w toku współczesnej polszczyzny spotykane formy archaiczne wydają się kontuszowymi guzami przy nowoczesnym kostyumie. Wprawdzie z wyjątkiem nielicznych tercyn Jana Kochanowskiego brak dla tej formy w poezyi naszej z XVI w. tego pierwowzoru, jaki oktawa posiada w przekładzie „Jerozolimy Wyzwolonej“ Piotra Kochanowskiego, jednak, przy takiej znajomości drukowanych i rękopiśmiennych zabytków naszego piśmiennictwa, jaką odznacza się Porębowicz, nie trudnoby mu było i dla archaicznej polskiej tercyny pierwowzór wynaleźć. Przypuśćmy zresztą, że wszelkie poszukiwania zawiodłyby; to nawet i wtedy artyzm Porębowicza oraz poczucie stylu pozwoliłyby mu stworzyć archaiczną tercynę i zastosować ją z jaknajlepszym skutkiem w przekładzie Boskiej komedyi. Przekład taki nie przyczyniłby się zapewne do spopularyzowania Dantego, zadowoliłby jednak najzupełniej to nieliczne u nas koło czytelników, które w pismach nieśmiertelnego Florentczyka szuka czegoś więcej ponad chwilowe zadowolenie ciekawości. Jak należy tłómaczyć Dantego, ażeby go uprzystępnić i możliwie spopularyzować, widzimy to z dokonanego przez Asnyka przekładu trzeciej pieśni piekła, w którym nowożytna, dla wszystkich zrozumiała polszczyzna uprzystępnia i jaśniej wykłada bardziej zawiłe miejsca oryginału. Trudno powiedzieć, który z tych dwu rodzajów tłómaczeń jest doskonalszy i bardziej pożądany. Oba mają racyę bytu. Najeżony trudnościami, pożądany przez

prawdziwych miłośników Dantego, archaiczny przekład ich tylko samych zadowolić może; jeśli zaś chodzi o szersze koła czytelników, należy pójść śladem Asnyka, co również nie jest rzeczą łatwą. Porębowicz, miast zdecydować się na jedną z tych dwu dróg, obrał ścieżkę pośrednią.

Trudno wszakże nie uznać wielkich zalet jego pracy, która w szeregu przekładów Dantego odrazu naczelne u nas zajęła miejsce. Jest to, jak wspominaliśmy, dopiero trzecie w piśmiennictwie naszem całkowite tłómaczenie „Boskiej Komedyi", a właściwie pierwsze,—dokonane tercyną. Niemcy posiadają około pięćdziesięciu przekładów, u nas zajęcie się Dantem o wiele skromniej się przedstawią; czemu np. tacy artyści słowa, jak Zagórski i Miriam, nie poświęcą swego pióra temu pięknemu przedmiotowi?

Szkoda, że Porębowicz, o którym powiedzieć można, że w czasach ostatnich dał naszemu piśmiennictwu najwięcej pięknych, bardzo pożądanych przekładów, nie zbierze prac swych w jedną książkę albo też nie ogłosi ich w szeregu antologii; taka np. antologia poezyi włoskiej dałaby się ułożyć z istniejących już przekładów i wymagałaby nieznacznego tylko dopełnienia. Powinnyby w niej znaleźć miejsce i piękne jego przekłady z włoskiej poezyi ludowej, której próbki zbyt szczupłe, niestety, ogłosił w Upominku dla Orzeszkowej. Różnostronność i pracowitość, jakiemi odznacza się Porębowicz, obowiązują go przecie do większej dbałości o los tych przekładów, których piśmiennictwo nasze bynajmniej zawiele nie posiada.

Książka, starannie wydana, stanowi jeden z tomów „Biblioteki miniaturowej"; wolelibyśmy jednak czytać przekład Porębowicza, wydany w formacie większej ósemki; sam charakter poezyi Dantego nie wydaje nam się właściwym do tego rodzaju miniaturowo-salonowych wydawnictw. Na uznanie natomiast zasługuje zdobiąca książkę staranna reprodukcya doskonałego w wyrazie wizerunku poety. Jest to najstarszy, zdaje się, autentyczny portret Dantego, skopiowany z fresku Giotta, odkrytego dopiero w r. 1840 w dawnym pałacu podesty we Florencyi. Zapewne z powodu małego formatu książki nie widzimy na reprodukcyi kwiecia granatu, który poeta trzyma w ręku — a szkoda, sam bowiem wizerunek wiele wskutek tego utracił ze swego charakteru.

W następnym i zarazem ostatnim tomie przekładu radzibyśmy widzieć reprodukcyę pomnika, wzniesionego w roku 1483 na grobie poety w Ravennie podług szkiców Piotra Lombarda przez weneckiego podestę tego miasta, Bernarda Bembo, który był ojcem kardynała Piotra. *Wł. N.*

Chimera. № 1. Styczeń, 1901.

„Niemasz na tej ziemi znikomych ani życia bez grzechu, ani dzieła sztuki bez pewnej niedoskonałości, stanowiącej koniecznością swoją tragiczność wnętrzną samego dzieła".

„Coś pięknego ujrzeć i uznać jest jedną z najwyższych ducha rozkoszy, lecz takowej zabraniają sobie zwykli krytycy".

„Krytyka jest siłą o dwu kierunkach. Jeden nazwałbym dodatnim, drugi ujemnym" (Krasiński. „Kilka słów o Juliuszu Słowackim").

Zrodziła się w duszy poety z miłości piękna, z żądzy doskonalenia estetycznych wzruszeń człowieka, z nadziei, że cześć dla sztuki, gorejąca ogniem krwi serdecznej na ołtarzu nielicznych jeszcze u nas piękna kochanków, roznieci ogniska

w suchej umysłowości społecznej i dusze żywem uczuciem dla nowej, aczkolwiek wiecznie tej samej sztuki rozpłomieni.

Tak, bo sztuka, lubo wciąż się odnawia i rozszerza, jest przecie zawsze tą samą, co, przyszedłszy na świat w zaraniu cywilizacyi, żyje dziś i żyć będzie wieki. Czyż fortepian, któremu dorobiono parę nowych klawiszów, przestaje już być przez to tym samym starym kochanym fortepianem, co nas niejednokrotnie melodyą kołysał, co nam smutki rozpraszał, uciszał bóle, grał pobudki rzeźwiące? Czy nowe klawisze przeszkodzą nam upajać się harmonią starych akordów na klawiszach starych, czyli tylko skalę tonów muzycznych rozszerzą? Czy my, dzieci XX stulecia, zamykamy już oczy na wspaniałą czystość i boską powagę dłuta greckiego? Czy do nas obeliski i aleje sfinksowe już nie przemawiają?

Czy zapał dla prerafaelizmu osłabił w czemkolwiek kult dla pędzla starych mistrzów Odrodzenia? Czy uznanie genialnej subtelności Boticellego przeszkadza nam kochać słodycz i grecką pogodę Rafaela, odurzać się tytanizmem Michała-Anioła, oślepiać się świetnością del Sarta, Tycyana, Werończyka, Velaskeza, Murilla?...—Bynajmniej.

Czy romantyzm stłumił epickie tony bohaterskiej lutni Homera, czy umniejszył Danta, ujął co Petrarce i Bokacyuszowi? A czy wspaniały rozkwit realizmu zdołał choć odrobinę przyćmić dla nas słońce romantyczne!... Czy naturalizm współczesny pogrąża się już w mroki na odgłos nowych trąb, nowego prądu?... — Bynajmniej.

Staremu fortepianowi niejednokrotnie już dorabiano nowe klawisze. Za każdym razem rozszerzała się klawiatura sztuki; nowe instrumenty zlewały się z tonami wielowiekowej orkiestry, a ludzkość zyskiwała na rozszerzeniu skali wrażeń artystycznych oraz wzmocnieniu instrumentacyi — potężnej, od wieków niemilknącej kapeli piękna, jaką jest sztuka. — Tak było zawsze, — tak i dzisiaj będzie.

„Chimera“ stworzoną została dobrą wolą jednostki, jednego ducha marzycielskiego wysiłkiem, powstała w warunkach naszych, a więc niepomyślnych, jest czynem energii i męstwa, dziełem prędzej utopijnego idealizmu, niż trzeźwości, sprawą bezinteresowną i szczerą mimo pozornej nieszczerości prospektu. „Sztuka jest dla nas jedną z rzeczy najwyższych i najświętszych; mówić o niej możemy jeno słowami świętemi, solennemi i pełnemi patosu, który nie jest pozą i nienaturalnością, ale sprzężeniem się uczucia aż do męki i rozkoszy zarazem“ (Chimera, str. 148).

Ruskin książki swoje wydawał starannie i ozdobnie: na pięknym papierze, w ślicznych okładkach, z winietami. Dlaczego? Bo nie śmiał poświęcać pięknu czegoś innego prócz rzeczy skończenie i sumiennie pięknej, bo pobożny szacunek ideału, któremu przez długie dni żywota służył, nakazywał mu przystrajać uroczyście świątynie, gdzie się mieściły górne pragnienia jego, kochania i myśli. Zresztą sam instynkt estetyczny dążył do zharmonizowania piękna wewnętrznego — treści książki z jej zewnętrznością — i wskazywał potrzebę przybrania w szlachetne, estetyczne szaty dzieł, poświęconych celom świętym i myślom ukochanym. Z tych samych względów Morris założył swoją rozgłośną „Kelmscott Press“ i powołał do dekoracyi książek takich mistrzów, jak Burne-Jones i Walter Crane.

Kosztowna wytworność „Chimery“ — to, naszem zdaniem, nie wybryk zbytku artystycznego, nie kaprys wyrafinowania, nie zachcianka wyróżnienia się i oryginalności. I tu również domagały się tego: tkliwy szacunek dla sztuki, kult piękna oraz psychologia wrażliwości estetycznej. Cały wykwint zewnętrzny,

prześliczny światłodruk dodatkowy, kunsztowność winiet, wreszcie druku staranność i papieru dobroć — wszystko to razem zdaje się być jedną pieśnią hołdu, składanego pięknu. A treść?...

Ciekawa, różnorodna i bogata, może dla nieprzyzwyczajonego czytelnika trochę niedostępna na razie, ale darząca go rozkoszą, gdy potrafi wejść w nią, sięgnąć jej istoty, gdy zespoli duszę swoją z natchnieniami autorów. Tak, bo wszelka rzecz głębsza, nowsza i mniej znana jest zamknięta i posiada swój klucz. Od nas samych zależy odszukać go i skarby otworzyć.

„Poezya jest to poddanie zapomocą wyobraźni szlachetnych podstaw do wzruszeń szlachetnych“ (Ruskin). „Celem sztuki jest realizacya piękna, rozbudzenie przez wrażenia rzeczywistości wszystkich wzruszeń duszy, rozżarzenia, rozentuzyazmowania i w końcu porwania jej aż ku wzniosłym szczytom idei (str. 148).

I „Chimera“ rzeczywiście z małymi wyjątkami jest taką. Poemat Zeyera przemawia do głębi duszy tężyzną myśli, śpiżowością formy, majestatem nastroju. „Pieśń wieczorna“ Kasprowicza przejmuje niezmiernego bólu tragizmem, jakiemś łkaniem stłumionem, męczarnią i grozą upadków, uczuciem nędzy i lichoty całego padołu myślącego wobec mistycznej, bezmiernej, twórczej świata Potęgi. Pełen myśli ironicznej, głębokiej, a trafnej, pełen sarkazmu i goryczy jest utwór zapoznanego Cypryana Norwida „Ad leones“. Doskonale przełożone przez Porębowicza pieśni norweskie powołują do obcowania z nami ducha tego surowego ludu północy, ukazują nam jego duszę naiwną, prostą i zabobonną, pierwotność poetyczną oraz życiowo rozsądną i pełną spokoju epickiego, mistycznych tajemnic, kornego podziwu i lęku wobec nieznanych, a groźnych dla człowieka zanimizowanych sił natury, co rządzą nim wszechwładnie i kapryśnie, jak los, jak przeznaczenie. Wysoce psychologiczny i niezmiernie smutny początek „Synów ziemi“ Przybyszewskiego. Może rozwlekły nieco i nazbyt scholastyczny, ale z pewnością głęboki, barwny i oryginalny pod względem sytuacyi i obrazów — utwór hr. de Villiers de L'Isle Adam p. t. „Axel“, stanowiący pierwszy akt dramatu. Piękne sonety, a pośród nich „Żal“ Lemańskiego, wyróżniający się doskonałością plastyki opisowej, dyskretnym liryzmem, pysznym nastrojem leniwego południa wiosennego i zrywających się w duszy jakichś nawpół określonych marzeń, snów i tęsknot. Wreszcie szereg treściwych, zwięzłych, z gruntowną znajomością rzeczy i talentem pisanych artykułów krytycznych z dziedziny sztuki — oto mniej więcej cała treść pierwszego zeszytu „Chimery“.

A dysonanse?... Są, aleć to przecie nieodzowny podobno warunek całej „harmonii“ nowoczesnej. Zresztą nie ujmują one wcale „Chimerze“, jako całości, a może uwydatniają jeszcze doskonałość akordów takiej np. niezrównanej „Pieśni wieczornej“ Kasprowicza.

Do usterek, zdaniem naszem, zaliczyć należy, po pierwsze, niewłaściwy i zbyteczny zupełnie, bo przekraczający granice podmiotowości estetycznej, egotyzm w hołdzie, złożonym pamięci Zeyera; po drugie, pobieżne, jednostronne, a przez to wadliwe oświetlenie warunków życia społeczeego w artykule. „Los geniuszów“; po trzecie, pewna logiczna sprzeczność pomiędzy pragnieniem oddźwięku w duszy nielicznego choćby myślącego ogółu, chęcią wpływania na jego kulturę estetyczną, czego objawem widocznym jest wydanie „Chimery“, — a kilkakrotnem zapewnianiem, że się służy jeno czystemu pięknu, jeno ideałom, jeno absolutom i nie liczy się wcale z czytelnikiem; następnie, niesmaczną jest medytacya Czerkaskiego o dramacie mydlarza w „Synach ziemi“ Przybyszewskiego; dalej — nieu-

miarkowany entuzyazm dla pędzla p. Pieńkowskiego, zaliczonego naraz do towarzystwa takich olbrzymów, jak Leonardo da Vinci i Dürer, wreszcie parę innych drobnych, o których wspominać nie warto.

Jako miesięcznik, poświęcony sprawom sztuki i natchnienia, „Chimera“ dodatnie i poważne wywiera wrażenia. Wywoła z pewnością, jak wszelka rzecz oryginalna i nowa, sporo niezrozumienia, dużo nieukontentowania jawnego, więcej jeszcze skrytego. Ockną się śpiące od pewnego czasu urągania, sarkania, dąsy, może niechęć i oburzenie na sztukę. Nie nowa to rzecz, nie rzadka i nie wyjątkowo nasze społeczeństwo cechująca: wszelkie masy są bierne, leniwe w przyjmowaniu kultury — to też źle usposobione dla tych, co chcą wrzekomo „poruszyć z posad ziemię“.

Brak tolerancyi, brak życzliwości dla tego, co „wschodzi i rośnie“ — to cecha wszystkich społeczeństw. „Świeżym nadziejom, świeżym snom, świeżej młodości i wiośnie“ „błogosławić“ umieją tylko „wyżsi“, a tych jest zawsze garstka szczupła.

I nie można za to winić społeczeństwa: człowiek stwarza warunki i sam jest tych warunków wytworem. Pamiętać o tem należy. Cóż winne są „bezmyślne“ tłumy, że nie czują. nie rozumieją, że w poziomości grzęzną i nad arcydziełami zasypiają? Cierpliwa. staranna praca około duszy zbiorowej, łagodna wyrozumiałość, a nie sarkazm i pogarda, miłość ogółu, przetapiająca nieufność otoczenia na wiarę, szacunek i uznanie — oto kagańce, co rozświecać powinny drogę obrońcom estetycznej ducha swobody, szerzycielom nowego piękna.

Bądźcie, jak nauczyciele prawdziwi, i promieniujcie światło, rozpraszajcie mroki, tłómaczcie, kształcie stopniowo, powoli podnosząc umysł i serce społeczne ku wyżynom, ale nie odurzajcie nagle podzwrotnikową egzotycznych kwiatów wonią, która zmysły mroczy, ani oślepiajcie błyskawic czerwienią, po których jeszcze ciemniej. Wówczas ideały wasze zrodzą wam zboże złote, a nie piołunu chwasty, a społeczeństwo zawoła, być może, słowami proroka angielskiego: „Pójdźcie, zjawcie się pomiędzy mną a naturą (świata i człowieczą), wytłómaczcie mi ją, niechaj patrzą na nią waszem okiem, niechaj jej słucham uchem waszem i niechaj mi spłynie pokrzepienie i oparcie z uroczych duchów waszych“ (Ruskin, Modern Pointers III). *Edward Milewski.*

Marya Czesława Przewóska. *Z nowych dni.* Syntetyczny zarys końca stulecia. str. 329. Warszawa, 1901. Nakładem księgarni Dubowskiego.

Książka p. M. Przewóskiej jest, między innemi, „dość wymownym protestem przeciwko wężowym uściskom materyi, nad duchem tryumfującej...“ Podług autorki, żyjemy obecnie w okresie „monstrualnych przeciwieństw“, wytworzonych przez walkę ducha z wrogiem jego — materyą, ducha, co „z przedziwnej melancholii wyrazem spogląda teraz na świat myśli, który nie był jej dziełem ..“

Filozofia dziejów, którą autorka wyznaje, da się streścić w sposób następujący. Duch ludzki podlega d z i w n y m przemianom... U m y s ł o w o ś ć nasza bywa w harmonii ze wzlotami d u s z y albo w niezgodzie z nimi. Są okresy w dziejach myśli, w których dusza występuje, jako czynnik sterowniczy umysłu, są inne, — w których usuwa się od spraw świata zewnętrznego, kiedy dusza, jakby nadmierną akcyą znużona, działać przestaje i zasypia... Obecnie dusza, „wiekuista twórczyni i entuzyastka“, ocknęła się, weszła w okres zapasów z „trzeźwomyślącym“ rozumem naszej pozytywistycznej doby i, podług zapewnień autorki,

rzuca złoty most, nad przepaściami wzniesiony, po którym wejdziemy w sfery jasne „odrodzenia z ducha...“

Jest to niewątpliwie poezya dziejów ludzkości, nie zaś ich ścisłe, socyologiczne traktowanie. Wszystko, co mówi autorka o „nowych drgnięciach ducha“, zapowiadających dla nas jakąś błogosławioną epokę w dziejach duszy ludzkiej, w której wyrwie się ona na zawsze z wężowych uścisków materyi, wszystko to, w istocie, należy brać przedewszystkiem, jako osobisty wzlot duszy autorki, jako jej utęsknienie i nadzieję. To wszystko może mieć sporo uroku dla dusz czytelników, których pierś bije tętnem bratniem z piersią autorki; dlatego wszystkiego można mieć szacunek, uznanie, w końcu sympatyę, — nie uwalnia to nas wszakże od jasnego zdawania sobie sprawy z błędów, które popełnia wyobraźnia autorki, rozpłomieniona „brzaskami odrodzenia“.

Błędy te prócz tego wynikają również ze sposobów pisarskich autorki; zbyt często rozstrzyga ona wszystko zapomocą ładnego frazesu, przenośni, obrazu malowniczego, zbyt często zapał i przeczucia własne stawia wyżej ponad wszelkie dowody psychologiczne i historyczne. Przytem niepotrzebnie bawi się w proroctwa, w przepowiednie.

W artykule „Brzaski Odrodzenia“ przepowiada np. zupełną zamianę twórczości realistycznej w sztuce na twórczość idealistyczną. Nie zewnętrzne przejawy istoty bohaterów — powiada — będą przedmiotem uwagi twórczej, ale głównie, jeżeli nie wyłącznie, dziedzina w e w n ę t r z n o ś c i, sfera duszy i jej wyłaniania się na zewnątrz... Co do mnie, zawsze cieszy mnie bardzo, gdy spostrzegam w sztuce dążność do wchodzenia w głąb duszy ludzkiej, znajomość wszakże procesów twórczych i względna rozmaitość organizacyi psychicznej twórców nie pozwala mi łudzić się nadzieją, że twórczość ludzka skrystalizuje się ostatecznie w jednym kierunku, kładącym wyłącznie nacisk na dziedzinę „wewnętrzności“, jak się wyraża autorka. Przedewszystkiem — byłoby to zwężeniem dziedziny twórczej; podrugie — znam twórców realistycznych, którzy zapomocą z e w n ę t r z n y c h przejawów istoty bohaterów doskonale wtajemniczali nas w głąb ich duszy (Balzac np.); dalej mniemam, że w zewnętrznych przejawach czyjejś istoty i wogóle w tak zw. świecie zewnętrznym tkwi nieraz sporo pierwiastków, pochodzących z głębi duszy, słowem, że, kto chce badać „wewnętrzność“, nie powinien tego wszystkiego pomijać. W końcu sądzę, że raz na zawsze powinniśmy dać spokój rugowaniu jednych rodzajów twórczych, a wyłącznemu intronizowaniu innych, gdyż jest to praca jałowa. Jedni na podstawie właściwości odrębnych swej natury twórczej mają większą skłonność i zdolność do badania i ujmowania świata zewnętrznego—niech robią, byle dobrze; inni bardziej są przydatni do badania głębin duszy — niech również trzymają się właściwej sobie drogi; jeszcze inni lepiej się poruszają wśród własnych marzeń i przeczuć — pozwolimy także śnić im i roić... Wyłączaniom zaś wszystkim położymy kres, bo to jaknajmniej jest zgodne z zapowiadanym wciąż przez nas tryumfem duszy nad materyą... W szkicu P r z e b u d z e n i e s i ę d u s z y mniema autorka, że cywilizacya nasza po świeżo przeżytej chwili „snu dziejowego“ wkracza obecnie w epokowy jakiś, zda się, okres „przebudzenia się duszy...“

Wolno zapytać: jak długo trwała chwila „snu dziejowego“, kiedy właściwie dusza w nim się pogrążyła i od jakiego momentu, jakiego wypadku rozpoczął się okres jej „budzenia się“? Nie sądzę, żeby autorka erę „przebudzenia się duszy“ datowała od chwili wydania „Skarbu cichych“ M. Maeterlinck'a albo od innego tej treści i piękności dzieła, współcześnie ogłoszonego. Z jej wszakże przedstawie-

nia rzeczy można nabrać przekonania, że „przebudzenie się duszy“ zawdzięczamy podobnym wypadkom. Nie było duszy w Grecyi i upadającym Rzymie — powtarza za Maeterlinck'iem autorka... Cóż na to powie „boski“ Platon? co powiedzą stoicy: Epiktet, Marek Aureliusz i t. p.? Nie było jej w wieku Odrodzenia... jakże wobec tego mamy traktować duszę Savonaroli, Michała Anioła, Fra Angelica, Botticeli'ego i t. p.?

Natomiast w starożytnym Egipcie była prawdziwa dusza i jest oczywiście w naszej dobie, zaczęła się przebudzać, co się zowie, z chwilą wystąpienia takich najpewniej umysłów, jak: Papus, Sr Peladan i t. p. znawcy sposobów „wyłaniania się duszy“ w cywilizacyi Egiptu i Indyi...

Wstrząśnienia, „budzące duszę“, pochodzące od zjawisk, zaznaczonych przez autorkę, bezwątpienia należą do znamiennych dla naszych czasów i coś zapowiadają, a przynajmniej wyrażają, jak jednak to wszystko jest nieznaczne w zestawieniu z tem odwiecznem, olbrzymiem, jak ocean, i, jak on, zmiennem falowaniem duszy ludzkiej, z tem jej nieustannem wznoszeniem się i opadaniem, budzeniem się i pogrążaniem w letarg. Tym jej rytmem, kolejnem następstwem stanów przytłumienia życia duszy i jej ocknięcia się wypełnione są dzieje XIX wieku — pomijając poprzednie. Wzloty ducha, reakcye, wiary i negacye, ostre stany świadomości i letargiczne znieczulenia plączą się tu wciąż z sobą, ścierają się, istnieją nieraz w jednej dobie, — jakże tu więc można rozprawiać o jakichś wyodrębnionych okresach snu albo wskazywać widoczne punkta wyjścia dla stanowczego „przebudzenia się duszy“? Wszystko tu zlewa się ostatecznie w jeden wysiłek odwieczny...

„Syntetyczny zarys końca stulecia“ nie byłby zupełnym, gdyby nie uwzględniał dążności kobiety dzisiejszej i nie odsłaniał rąbka zasłony, przykrywającej oblicze kobiety przyszłości. I autorka więc „Z nowych dni“ poświęciła sprawie kobiecej sporo miejsca w swej książce. W studyum I n t u i c y a k o b i e c a w ś w i e t l e n o w e j w i e d z y usiłuje dowieść, że kobieta posiada niezwykłą przewagę nad mężczyzną, dlatego, że obdarzona jest właściwością „intuicyjnego wpatrywania się w wielkie oblicze zagadki bytu“. Tu należy zaznaczyć, że autorka zapomniała zupełnie o tyle drogiej jej cywilizacyi starożytnego Egiptu i Indyi, w której wytwarzaniu męskie „intuicyjne zdolności wpatrywania się w wielką zagadkę bytu“ — niemały brały udział. Ale mniejsza o to!

S t w i e r d z i w s z y, że kobieta odznacza się wyższą „transcendentalną“ świadomością, podczas gdy mężczyzna skazany jest na wieczyste posiłkowanie się niższą — „zmysłową“, autorka twierdzi, że dzięki właśnie owej „transcendentalnej świadomości“ kobieta w lot „odgaduje“ i „odczuwa“ to, do czego mężczyzna drogą skomplikowanych czynników umysłowych, po wielu trudach dochodzi mozolnie lub wcale, co gorsza, nie dochodzi. Ona, ta urodzona wizyonistka, rozwiązuje o c z y m a d u c h a i d r e s z c z a m i s e r c a rozumowe łamigłówki swego towarzysza życia... Stąd też postęp ludzkości zawdzięcza intuicyi kobiecej, iż nie jest martwym wyrazem... Tak wygląda „transcendentalna świadomość“ w świetle nowej wiedzy! Jest to oczywiście ładna fantazya. Zmieńmy tu jednak wyrazy: „kobieta o d g a d u j e“ na — „kobieta z g a d u j e“ — a wszystko da się należycie zrozumieć. W istocie, tyle podniosła „intuicya“ kobieca jest, zdaniem wybitnych i oddanych sprawie kobiet myślicieli (p. Ward'a „Psychiczne czynniki cywilizacyi“, J.K. Potockiego „Współzawodnictwo i współdziałanie“ i t. p.) niczem innem, jak tylko n a ł o g o w e m z g a d y w a n i e m, wywołanem niezupełnością życia i rozwoju umysłowego. Łatała niem kobieta braki swego umysłu

Rozwiązywanie rozumowych łamigłówek swego towarzysza życia było dla kobiety rzeczą przypadku. Jak tu można w czemś podobnem upatrywać wyższość umysłu kobiecego?

Prócz tego należałoby jeszcze wykazać, jakie to właściwie „łamigłówki rozumowe swego towarzysza życia" kobieta rozwiązała „oczyma ducha i dreszczami serca?" Byłoby to w istocie bardzo pożyteczne studyum, podnoszące znaczenie kobiety w dziejach cywilizacyi...

O tem znaczeniu rozwodzi się autorka w studyum „K o b i e t a i p o s t ę p l u d z k o ś c i", tu wszakże o „łamigłówkach", rozwiązanych przez kobietę, autorka także nie wspomina. Natomiast, wezwawszy na pomoc Klemensa Aleksandryjskiego, St. Milla i Maeterlinck'a, stara się znowu dowieść, że kobiety „wiedzą rzeczy, o jakich my (mężczyźni) nie wiemy, i są one w posiadaniu tych świateł, któreśmy postradali..." Czekajmy cierpliwie, zanim te światła, będące w posiadaniu kobiety, zabłysną na mrocznym horyzoncie istnienia ludzkiego, czekajmy na ziszczenie się proroctw autorki, a tymczasem zrobimy jej uwagę, że niepodobna „dziejów ludzkości" i „łamigłówek" rozumowych rozwiązywać zapomocą samych „dreszczów serca" i ściągać kultury ludzkiej do walki dwu wrogich pierwiastków: kobiecego i męskiego, gdyż to „intuicyę" kobiecą mocno kompromituje...

Ze wszystkich studyów, zawartych w książce p. M. Przewóskiej, do najlepiej opracowanych zaliczam studyum o Fr. Nietzsche'm, rzecz, pisaną bezstronnie i pozwalającą czytelnikowi wybrnąć z gołosłownych poglądów na doktrynę głośnego myśliciela, — i studyum p. t. „A n a r c h i z m d u c h a a i n d y w i d u a l i z m", w którem przeprowadzoną została trafna paralela pomiędzy temi dwoma, często wikłanemi ze sobą pojęciami i kierunkami.

Nie możemy tu wdawać się w ściślejszy rozbiór ciekawych tematów, poruszanych przez autorkę. Sporo w tem wszystkiem błędów, za wiele frazeologii i stylowej egzaltacyi, ale winniśmy dodać, że książka ta natchniona została prawdziwie szlachetnym duchem, że autorka jej odczuwa subtelnie bolesne dzieje szarpania się i jałowej rozterki umysłów współczesnych, że szuka dla nich wyjścia i nie wątpi o skuteczności szczerych i bezinteresownych wysiłków ducha ludzkiego. Książka jej przeto, jako wyróżniająca się powagą treści i szlachetnością natchnienia, winna zatrzymać uwagę czytelnika... *Wł. Jabłonowski.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ruch etyczny. — Powstanie jego u nas. — Konkurs cnoty. — Pomysły p. de Montyon i p. Jana Gadomskiego.— Opinie p. B. Prusa, E. Orzeszkowej, W. Gomulickiego i in. — Dalsze szczegóły o reformie sądów gminnych. — Egzamina w seminaryach duchownych katolickich. — Sprawa terminu godzenia i odprawiania służby folwarcznej. — *Chimera.* — Nasze zebrania publiczne. — Maszyński i Gerson. — Poświęcenie tablicy pamiątkowej Adolfa Pawińskiego.

Fatalny znak zapytania!

Tyle potu, spływającego z czoła, tyle powiek, nabrzmiałych od łez, tyle wiary, rozpierającej piersi, tyle okrzyków: *fiat lux* — i zdaje się, że wszystko napróżno...

Jeżeli się nie mylę, pod takim znakiem rozpoczął się odwrót od wiary w skutki reformy instytucyi i urządzeń społecznych i apelacya do indywiduum. Udoskonalaj się! Wierz, módl się i kochaj! Wszystko zależne jest od ciebie. Więc nie skarż się, nie wątp, nie czekaj, lecz pracuj nad samym sobą, abyś się stał godnym królestwa Niebieskiego.

Nie jest-li to nowem złudzeniem?

Kierunek etyczny, pokładający wiarę w doskonalenie się człowieka wyłącznie drogą wysiłku osobistego, jest taką samą jednostronnością, jaką były marzenia reformatorów społecznych. Lecz mimo to jest on pożyteczny i pożądany, ponieważ uzupełnia drugą

część pracy społecznej, zaniedbanej przez socyologów. Zawsze pozostanie nieprzejrzane pole działania dla tych, którzy pragną usunąć przestarzałe więzy i ułatwić postępowi pochód, niepodobna wszakże zaniedbywać pracy wychowywania ludzi, choćby na tych właśnie reformatorów społecznych. Są jednostki, które zanadto uginają się pod brzemieniem losu, do których wolno apelować, aby, nie czekając na skutki reform społecznyeh, same jęły się pracy. Więc praca moralizatorów nie jest stracona, więc wzniosłe nauki idealizmu etycznego nie przebrzmią bez echa, przykłady cnoty, wytrwałej woli i poświęcenia się nie pozostaną bez naśladowców. „Ruch etyczny" jest prawowity, jest nową dźwignią postępową, i witamy go na nowym gruncie z przyjaźnią i radością.

* * *

Wielkie powodzenie książki Sheldono p. t. „Ruch etyczny", wydanie kilku jeszcze prac w tym zakresie, zaprowadzenie działu „etycznego" w „Głosie", wreszcie inne objawy, o których będzie niżej, każą się domyślać, że i u nas głos reform moralnych znalazł wrażliwych słuchaczów. Najcharakterystyczniejszym wszelako przejawem tego zainteresowania się jest, jeżeli się nie mylę, „konkurs cnoty", pomyślany i ogłoszony przez p. Jana Gadomskiego, redaktora „Gazety Polskiej".

Myśl była nowa tylko w naszym kraju. Przed niezbyt dawnymi laty Francuz, pan de Montyon, powiedział sobie: nie mogę kruszyć złego, nie mam mocy osuszać łez, nie umiem kazać, gromić lub nawoływać do opamiętania; lecz mogę pomagać ludziom cnotliwym. Jest to jeden z lepszych środków walki ze złem. I przekazał swój znaczny majątek Instytutowi francuskiemu z obowiązkiem wypłacania corocznie kilkunastu nagród — od 500 do 2,000 fr. — cnotliwym rodakom, których czyny wyrosły ponad miarę zwykłą. Ograniczeń żadnych nie czynił, rozumiał wyraz „cnota" w najszerszem jego znaczeniu. Tylko prosił o uwzględnienie dwu warunków: aby laureat Instytutu był biedny i aby był Francuzem.

Przykład ten rychło znalazł naśladowców. Według sprawozdania z r. 1899, Akademia rozporządza obecnie stu kilkudziesięciu nagrodami, zapisanemi przez blizko trzydzieści osób. Więc są zapisy pp. de Sussy, Camile Favre, Marie Lasne, Lange, Savourat-Thénard, Buisson, Souriau, Gémond, Laussat, Lelevain, Gabiou-Charbon i w. w. in.

Jakże wyglądają „nagrodzeni" przez „nieśmiertelnych?"

Leon Ludwik Périer z Hawru, rotman portowy, ocalił 29 osób, często z niebezpieczeństwem własnego życia. Przed 6 laty, w grudniu, podczas przejmującego zimna ten 64-letni człowiek rzucił się jeszcze do wody, aby ocalić jakiegoś nieszczęśliwego, tonącego w głębiach. W roku 1893 Périer otrzymał krzyż legii honorowej, w r. 1895 jedną z nagród Akademii.

Marya Colombet cały swój majątek poświęca sierotom, całe swe życie i wszystkie trudy ich wychowaniu.

Joanna Charbonier od r. 1858 oddaje się pielęgnowaniu chorych, nieszczęśliwych i niemowląt. W czasie najstraszniejszego tyfusu w roku 1864 dni i noce spędza przy łóżkach chorych. W chwilach wolnych uczy bezinteresownie czytać, pisać i katechizmu.

Pani Crouzet z Chalençon, akuszerka, matka jedenaściorga dzieci, z których siedmioro żyje, wypełniła całe swe życie aktami poświęcenia i miłosierdzia. W roku 1870, w czasie panowania epidemicznego ospy, dała dowody niesłychanej odwagi i zimnej krwi. Bez względu na porę dnia, drogę, zimno, burze, zawieje śnieżne i deszcze ulewne widziano ją śpieszącą pieszo na pomoc chorym.

August Fraenzel, biedny nauczyciel języka niemieckiego, poświęcił się wychowaniu dzieci z klasy robotniczej. Więcej, niż 200 dzieci, zawdzięcza mu uniknienie niebezpieczeństw ulicy i stanie się dzielnymi, światłymi, pracowitymi robotnikami.

W r. 1899 Akademia rozdała 115 nagród, w roku 1898 — 123. Więc byli tam ojcowie, którzy wyzbywali się ostatniego mienia, aby wychować swe dzieci uczciwie i rozumnie; siostry, które wyrzekały się własnego życia rodzinnego, aby pracować na braci; synowie i córki, pielęgnujący troskliwie sparaliżowanych od wielu lat rodziców; sługi wierne aż do poświęcenia; pracodawcy, myślący tylko o współpracownikach; księża, chodzący boso; siostry miłosierdzia z wieczną łzą miłości w oku; robotnicy, rzucający się w otchłanie morza lub płomieni po życie bliźniego; dziewice—przedziwne pocieszycielki chorych...

Takie mając przykłady przed oczami, „Gazeta Polska" w końcu r. z. wystąpiła ze swym konkursem na „opis szlachetnego czynu z życia Polaka lub Polki", wyznaczając 200 rb. dla bohatera opisu—na własny jego użytek lub „do rozporządzenia". „Niema to być — pisano tam — nagroda za czyn, ale raczej fundusz do rozporządzenia ludzi szlacehtnych. Kto umie się poświęcać dla bliźnich, ten będzie umiał użyć dobrze środków, jakie otrzyma, a w interesie ogólnym leży, żeby takie ręce miały jaknajwięcej środków do roz-

porządzenia". Do 31 stycznia r. b. nadesłano ogólnie 51 opisów, z tych redakcya wybrała 12, podając je głosowaniu czytelników.

Brak miejsca nie pozwala mi na dosłowne powtórzenie wszystkich opisów, chociaż zasługują na to. Ograniczę się tylko streszczeniem trzech, głównie wyróżnianych przez osoby, biorące udział w głosowaniu.

I. „Załamał się lód, i czternastoletni łyżwiarz, syn zamożnego obywatela, wpadł do rzeki. Widział to z mostu młody młynarz z tej wsi. Biegnie do miejsca wypadku i rzuca się w otwór, powstały w lodzie. I zaczął szukać topielca pod lodem. Drętwiejące od zimna nogi i ręce do tego stopnia odmawiają mu posłuszeństwa, że, kiedy natrafił na ciało młodzieńca, chwycić go mógł jedynie zębami za ubranie. Potem nadludzkim niejako wysiłkiem opuszczających go sił przebił lód, wyszedł z wody i padł razem ze zdobyczą na brzegu rzeki wśród pustego pola. Przy 7-miostopniowym mrozie obaj omdleni niedługo prawdopodobnie czekaliby na śmierć. Ale przechodząca drogą kobieta dała znać do dworu o wypadku. Po dłuższej kuracyi obaj młodzi powrócili do zdrowia. Rodzice niefortunnego łyżwiarza, wdzięczni za ukochanego syna, zdolni byli narazie oddać jego zbawcy wiele z tego, co posiadali. Lecz kiedy pan X. zwrócił się do młynarza: — „żądaj od nas, czego chcesz, a co tylko będziemy mogli, to uczynimy dla ciebie", młynarz nie przystał na żadne wynagrodzenie, chociaż od chwili wypadku niedomagał ciągle na zdrowiu".

II. „Panna X., utrzymująca się z szycia i haftu, osoba zupełnie uboga, z elementarnem zaledwie wykształceniem, w roku 1875, kiedy cholera nawiedziła Mławę, zabierając setki ofiar, gromadziła pozostałe po nich sieroty i około 70 dzieci uchroniła od nędzy i głodu". Założyła następnie ochronę.

III. „Mając lat 8, skutkiem choroby straciła zupełnie słuch. Po utracie słuchu sama własną intuicyą nauczyła się czytać i pisać i wynalazła wyłącznie swój sposób rozmowy zapomocą pisma palcem, przez co rozmowa z każdym stała się możliwą. Miała lat 14, kiedy rodzina jej straciła ojca i cały dość znaczny majątek; wówczas stanęła na czele domu, składającego się z 7 osób: dwu babek, rodziców, dwu sióstr, z których starsza od niej była idyotką, i przygarniętego na wychowanie sieroty krewnego, 4-letniego chłopczyka. Sama stworzyła sobie metodę krawiecką, bo wówczas nie było żadnych jeszcze szkół; otworzyła niemal pierwszą na prowincyi pracownię. Znalazła uznanie i za cenę szalonej pracy i wysiłków utrzymała przyzwoicie całą rodzinę; siostrze młodszej dała świetne wy-

kształcenie, sierotę-wychowanka oddała do gimnazyum, następnie na politechnikę do Karlsruhe i Monachium. Mimo kalectwa trafiały się jej świetne materyalnie partye małżeńskie; odmawiała, powtarzając: „Ja jestem ich wszystkich chlebem, odbierać go im nie mogę". Przy pracowni swojej zawsze miała jedną lub dwie sieroty, które brała pod swój dach, dając chleb, naukę, odzienie, póki nie zdołały już same na siebie zapracować. 18-tu sierotom zapewniła w ten sposób byt uczciwy. Obecnie jest sama jedna na świecie. Siostry za mąż wydane. Rodzice i babki nie żyją: wszystkich swoich najbliższych, najdroższych, cały swój świat serdeczny w grób złożyła. Wychowanek po skończeniu politechniki przepadł bez wieści. Ci, którym pomagała, zapomnieli o niej. Oszczędzony maleńki kapitalik straciła przez niesumienność ludzi, u których był ulokowany. Złamana moralnie stratami, spracowana fizycznie, sama jedna, mimo kalectw, bez służącej nawet, mieszka w osadzie fabrycznej, cierpiąc nędzę. Z resztek mienia odarli ją w ostatnich czasach złodzieje, którzy, korzystając z jej głuchoty, ograbili mieszkanie. Sąd zajął się tą sprawą, gdy jednak pokazało się, że złodziei tych naprowadziła panna do szycia, pomagająca jej w pracy, zażądała umorzenia całej sprawy, mówiąc: „Ma dopiero 17 lat, może się poprawić, a tak byłaby napiętnowana na całe życie".

Ogółem nadesłano 3,300 odpowiedzi, wyróżniono 1,300 głosami opis, podany poniżej pod znakiem III (życie panny Lochmanówny z Ostrowca). Pokaźną ilość głosów otrzymał również czyn młynarza, dla którego znalazła się nadprogramowa, nadesłana przez czytelników, przeszło 100-rublowa suma.

W głosowaniu wzięły także udział najwybitniejsze jednostki ze świata literackiego. Przytem motywowały swe opinie. El. Orzeszkowa w obszernym „liście otwartym do redaktora" między innemi tak pisała: „W przekonaniu mojem ogłaszanie publiczne wielkich czynów cnoty z blizka spokrewnia się z wystawianiem pomników mężom wielkim. Pomniki te są nieruchome, jednak posiadają tę właściwość, że budzą w ludziach omdlałe uczucia i uśpione słowa; są one nieme, jednak przemawiają do ludzi hieroglifami, zawierającymi w sobie największe wyrazy ludzkiej mowy i duszy. Bardzo zdrowo jest dla wzrostów miernych podnosić twarze ku szczytom tych pomników, bo, czyniąc to, rosną w wysokość. Padające z nich skry niewidzialne wnikają do wązkich piersi i czynią je szerszemi. Tkwią w tem przyczyny, dla których nie zgadzam się w zdaniu o pomnikach z bardzo czcigodnym i sympatycznym współtowarzyszem moim w pracy pisarskiej. Nie mam tekstów pod ręką

nie mogę więc w tej chwili dosłownie przytoczyć powszechnie zresztą znanego zdania Bolesława Prusa, które wyraża: że niemądrze postępuje naród, gdy wielkim mężom swym wznosi pomniki, mając jednocześnie chłopów, którzy źle jadają i nie mają dostatecznej ilości szpitali, jakoteż innych instytucyi pożytecznych. Otóż, nie lekceważąc bynajmniej dobrego odżywiania się chłopów ani jakichkolwiek instytucyi pożytecznych, utrzymuję, że taki tylko naród na jedno i na drugie zdobyć się może, który znajduje się na odpowiednim poziomie nie tylko umysłowego, ale także i przedewszystkiem moralnego wykształcenia. Nie lekceważę też ekonomicznej strony interesów kraju, ani żadnej rzeczy, która jej jest, lecz dla wznoszonych przez nią gmachów proponuję fundament taki, jaki jedynie poręczać może ich wartość i trwałość. Bo dajcie społeczeństwu niewykształconemu moralnie miliony nad milionami, a zobaczycie, jak ono ładnie urządzi samo swe ekonomiczne stosunki, jakie piękne wzniesie szpitale i jak wyborną żywność chłopom swym zapewni. Kolei żelaznych, przenoszących szybko do źródeł zysków i rozkoszy, pobuduje ono najpewniej moc wielką, lecz że nie uczyni z nich Pogotowi ratunkowych, to również wątpliwości nie ulega. Na armię potężną i jaknajlepiej uzbrojoną przy okolicznościach sprzyjających zdobędzie się też niezawodnie, lecz armia ta, zwłaszcza dla narodów ościennych, nie stanie się również niezawodnie Armią Zbawienia.

„W tem miejscu proszę, aby królowa czasów naszych, Ironia, nie kłuła mię żadną ze swych szpileczek, albowiem nie myślę utrzymywać, że pomniki wielkich mężów mogą same jedne obdarzyć naród wykształceniem moralnem; wyrażam tylko zdanie, że wywierane przez nie wpływy w niejakiej mierze do niego się przyczyniają. Wspólnie z mnóstwem czynników innych sprawiać one mogą to, że ludzie stają się szlachetniejszymi, odważniejszymi, o wielkość duchową więcej dbałymi, czyli, wszystko razem biorąc, lepszymi; a chociaż zaprzeczeniu najmniejszemu ulegać nie może to, że chłopi powinni odżywiać się dobrze i że w kraju istnieć powinna dostateczna ilość szpitali i innych urządzeń pożytecznych, to jednak nie należy nigdy zapominać o tem, że te i inne dzieła dobre sprowadzać na świat i utrzymywać na świecie w zdrowiu i całości mogą tylko ludzie dobrzy. Ponieważ zaś stawianie pomników mężom wielkim, w małej choćby mierze, popycha naprzód sprawę ulepszania się ludzi, więc wznośmy pomniki, chociażby przez to ekonomia poniosła chwilowe ujmy. Opłacą się jej one potem obficie. Jest to kapitał,

umieszczony na procencie bardzo wysokim, który bliższa lub dalsza przyszłość wypłaci niezawodnie.

„Ustanawiajmy też konkursy dla czynów wysokiej cnoty. Opisy tych czynów, rozważanie ich przez ogół, zajmowanie się nimi serc i wyobraźni ogółu, sprowadzi wzruszenia, natchnienia i porywy, pokrewne tym, które spływają z pomników, upamiętniających wielkie charaktery i umysły. I więcej jeszcze, bo, jak ze słusznością zupełną utrzymuje pan w przedmowie do konkursu swego, obudzą one przekonanie, że nie tylko w żywotach świętych i w powieściach heroicznych spotkać się można z obrazami uczuć i cnót wielkich, ale że usiewają one nakształt pereł wszystkie poziomy społeczne i wszystkie momenty czasu, nie wyłączając nawet tych momentów, w których cześć dla nich i starania o nie są najrzadsze.

„Dlaczegóż geniusze serc mają przebywać w cieniach najgłębszych, gdy geniusze głów jaśnieją na najwyższych szczytach? Ocean życia jest tak burzliwy, skłębiony i ciemnościami powleczony, że nie może być nigdy zawiele tych latarni, które przyświecają żeglującym po wodach jego mewom. I niesprawiedliwością jest składać hołdy wielkim twórcom w dziedzinie prac umysłowych i artystycznych, a pomijać wzrokiem tych, którzy symfonie, dramaty, poematy i obrazy nie wygrywają, nie wypisują, nie wymalowują, ale miłością, męstwem, wytrwaniem i znojem wypracowują, wypłakują, wywalczają na samych sobie i na opornym im świecie.

„Powiadają, że cnota wówczas tylko jest cnotą, gdy działa w ukryciu, i to jest prawdą, ale gdy już sferę czynu przebyła, nic nie przeszkadza temu, aby obraz jej wyszedł z ukrycia na jasność dzienną. Owszem, sprawiedliwą i dobroczynną jest ręka, która, z obrazu świętego zrzucając zasłony, ukazuje ludziom, że jest to świętość i że należy się jej hołd. W słowie „należy się" zamkniętem jest pojęcie nagrody czyli nowy kamień obrazy i okazya dla królowej Ironii do wetknięcia szpileczki w konkurs cnoty. Wszakże cnota nie potrzebuje nagrody, bo znajduje ją w samej sobie i t. d. i t. d To prawda; cnota prawdziwa działa samorzutnie, z serca, z natchnienia, z porywu, bez myśli o nagrodzie. Ale czy przeto nie należy się jej nagroda? Kwestya to jeszcze niewyjaśniona i otwarta.

„Zdaniem mojem, zależy to od rodzaju nagrody i od myśli, zawartej w nagrodzie. Przecież i prawdziwa twórczość pisarska i artystyczna nie działa pod wpływem pobudek interesowanych i przez głębokie zadowolenie, które sprawia, sama dla siebie jest nagrodą; jednak, w znacznej większości wypadków odpłacamy jej czyli wynagradzamy ją monetą naszej czci i miłości.

„Taką zapłatę czy nagrodę cnota również przyjąć może bez rumieńca na świętem swem obliczu, i my ją złożyć możemy bez ubliżenia jej majestatowi. A jeżeli idzie o monetę — mamonę, to tak samo, jak majestatu cnoty, byłaby ona niegodną twórczości pisarskiej lub artystycznej, gdyby nie przedstawiała tylko symbolu, widomego symbolu uczuć, które, dostatecznie ujawnić się nie mogąc, w potrzebie ujawniają się za jej pośrednictwem. Do takiego symbolu uczuć wzniosłych podniesioną być może licha mamona w stosunku do czynów wielkiej cnoty, a nic nie wydaje mi się sprawiedliwszem i wszechstronniej dobrem nad to, aby na uznojone czoła i w poranione piersi geniuszów serca spływały krople balsamów i słodyczy z dłoni i serc narodu, którego są one wykwitem, zaszczytem i upewnieniem, że w duszy jego nie zanikł ten najważniejszy z jego składników, którym jest dobro". . . . .

. . . .

Bolesław Prus kilkakrotnie zabierał głos w sprawie konkursu. W jednej ze swych kronik tygodniowych w „Kuryerze Codziennym" mówi:

„Napozór zbyt wiele miejsca poświęcamy konkursowi o „nagrodę cnoty", ale tylko napozór. Konkurs ten bowiem stanowi ważny objaw społeczny. Kwestya „nagród za cnotę" już wisiała w powietrzu w naszem społeczeństwie, i „Gazeta Polska", ogłaszając tego rodzaju konkurs, nie dopuściła się „śmiesznej reklamy", ale urzeczywistniła ważną ideę społeczną. Czyny cnotliwe, o ile są prawdziwymi i użytecznymi— powinny—być nagradzane, jak wszelki „czyn użyteczny", i, mojem zdaniem, człowiek zwyczajny dopiero wówczas zacznie rozumieć dostojeństwo cnoty i dopiero wówczas będzie miał choćby słabą podnietę do jej pełnienia. Tylko, ponieważ dzisiejsze społeczeństwa zbyt wiele pieniędzy wydaje na utrzymanie zbrojnego pokoju, więc i dzisiejsze nagrody za cnotę muszą być bardzo skromnemi: zredukują się do paruset rubli, do pamiątkowego zegarka, może nawet do piśmiennego podziękowania... W mojej wyobraźni, może mylnie, przyszłe społeczeństwa będą posiadały następujące fundusze publiczne:

„na początkową naukę i wychowanie wszystkich dzieci ubogich i wszystkich młodzieńców wyjątkowo zdolnych;

„na emeryturę dla wszystkich niezdolnych do zajęć pracowników;

„na hojne nagrody za każdy czyn cnotliwy, który wybiegapo-

za granicę obowiązków. Nagroda zaś powinna być tem większa im sprawca dobrego czynu więcej włożył pracy i poświęcenia w dzieło swoje i im więcej przyniósł niem pożytku.

„Wtedy dopiero zaczną się prawdziwe „wyścigi o cnotę!...” Miejmy nadzieję, że konkurs „Gazety Polskiej” będzie posiewem, z którego kiedyś narodzą się w naszem społeczeństwie dopiero co wymienione poglądy”.

Wiktor Gomulicki uważa konkurs za „jeden z najpiękniejszych i najważniejszych czynów dziennikarstwa polskiego”. Albowiem „zaniedbano u nas kształcenie charakterów. Oddawna już nie zajmują się tem: ani szkoła, ani prasa, ani teatr, ani literatura. W sztukach pięknych wszelka tendencyjność moralizatorska została wprost wyśmiana. Dobrze zatem, że znaleźli się publicyści, co tę sprawę pierwszorzędną podnieśli, bo przy okolicznościach pomyślnych dać mogą początek nowemu zwrotowi w umysłowem i społecznem życiu naszego narodu”.

Na uwagę również zasługuje w sposób trzeźwy uzasadniona, w dobre argumenty zaopatrzona opinia „Przeglądu Tygodniowego”.

Oto jaki ruch myślowy wywołała idea konkursu cnoty. Lecz od samego pomysłu należy odróżnić skutki, jakie on wywołał, te przynajmniej, które się ujawniły przez udział czytelników w głosowaniu, kierunek tego głosowania, uwagi w listach, nadesłanych przez czytelników z najróżnorodniejszych sfer społecznych i umysłowych, i t. d. i t. d. Należy mniemać, że redakcya „Gazety” publikować będzie te ważne dla psychologii społecznej dokumenty po każdym konkursie, który, jak wiadomo, ma się powtarzać rokrocznie.

* * *

W zeszycie lutowym „Ateneum” zapoznałem czytelników z wnioskami ogólnymi komisyi, powołanej do opracowania projektów reformy instytucyi sądowych. Obecnie „Warszawskij Dniewnik” w dalszym ciągu podaje szczegóły z biegu narad komisyi nad ustawą o sądach gminnych w Królestwie Polskiem.

Do przepisów o cenzusie majątkowym, wymaganym od kandydatów na sędziów, komisya zaprojektowała wprowadzenie takiej zmiany, ażeby każdy kandydat, władający zagospodarowaną osadą, zgodnie z ustawą obszaru conajmniej 6 morgów, był w jej posiadaniu conajmniej od dwu lat przed terminem wyborów. W artykule 478 ustawy, gdzie jest mowa o kwalifikacyach kandydatów na ła-

wników, wyrażenie, iż na te urzędy mogą być wybierani „ci z pośród piśmiennych mieszkańców gminy", zaprojektowano zastąpić wyrażeniem: „ci z umiejących czytać i pisać po rosyjsku mieszkańców gminy". Motywy tego wniosku są następujące:

„Art. 478 ust. sąd. głosi, że ławnicy mogą być wybierani z pośród piśmiennych mieszkańców gminy. Tak nizkiego cenzusu wykształcenia komisya — zgodnie z opinią st. prezesa i prokuratora izby sądowej warszawskiej — nie uznaje za możliwe podwyższyć, ponieważ wykształcenie wśród włościan w guberniach okręgu warszawskiego nie jest dość rozpowszechnione, tymczasem zaś jest pożądane i konieczne, ażeby grono ławników składało się przeważnie ze sfery włościańskiej. Piśmienność, wymagana przez ustawę do prawa wyboru na ławnika, jest niewątpliwie piśmiennością w języku rosyjskim, nie zaś w jakimkolwiek narzeczu miejscowem, ponieważ uwaga do art. 464 ust. sąd. pozwala używać w trakcie sądzenia spraw w sądach gminnych narzeczy miejscowych tylko w takim wypadku, gdy strony i osoby, uczestniczące w sprawie, nie zaś sędziowie lub ławnicy, nie posiadają języka rosyjskiego. Przytem słowo „piśmienny" (gramotny) nie dość ściśle określa rzecz, ponieważ używane bywa zarówno względem osób, umiejących tylko czytać, jako też tych, które umieją i czytać, i pisać. Z tej racyi oraz ze względu, że ławnicy w wypadkach, przewidzianych przez prawo, obowiązani są pełnić obowiązki sędziego, trudno więc ograniczyć się wymaganiem, ażeby umieli czytać po rosyjsku".

W zatwierdzaniu ławników i ich zastępców na stanowiskach gubernator działać będzie w porozumieniu nie tylko z prokuratorem miejscowego sądu okręgowego, jak dotąd, lecz również w porozumieniu z prezesem tegoż sądu.

Nadmienić jeszcze należy o usiłowaniach komisyi ściślejszego zespolenia sądów gminnych z instytucyami sądowemi ogólnemi, co ma nastąpić przez poddanie tych sądów juryzdykcyi nowopowstających oddziałów powiatowych i miejskich miejscowego sądą okręgowego.

* * *

Przed paru tygodniami „Lublinskija Gubernskija Wiedomosti", organ urzędowy gubernii Lubelskiej, wydrukowały następującą wiadomość, dotyczącą egzaminów w seminaryach duchownych rz.-katolickich.

„Zgodnie z instrukcyą specyalną, zatwierdzoną przez ministra

oświaty dn. 23 listopada 1900 r., ustanowione zostały stałe przepisy co do egzaminów przejściowych i ostatecznych z języka rosyjskiego, literatury i historyi rosyjskiej w seminaryach duchownych rzymsko-katolickich kraju Nadwiślańskiego. Na zasadzie wspomnianych przepisów egzaminy przejściowe w tych seminaryach bywają ustne, a ostateczne — ustne i piśmienne, przyczem te ostatnie poprzedzają pierwsze. Wszyscy wychowańcy ostatniej klasy seminaryum duchownego mają zadane wypracowanie piśmienne na jeden i ten sam temat, wybierany i wyznaczany przez naczelnika dyrekcyi naukowej, który też ocenia wspomniane wypracowania tych wychowańców seminaryum duchownego, którzy kończą kurs. Podczas przejściowych egzaminów ustnych naczelnik dyrekcyi naukowej sprawdza, czy wypełnione zostały i w jakim stopniu programy języka rosyjskiego, literatury i historyi rosyjskiej, czy wychowańcy seminaryum duchownego gruntownie znają te przedmioty, jako też czy wśród wychowańców seminaryum duchownego robią stałe postępy w umiejętności władania językiem rosyjskim i czy przy końcu nauki mogą dość płynnie mówić po rosyjsku. Na ostatecznym egzaminie ustnym z języka i literatury rosyjskiej prócz powyższych postępów zwraca się również uwagę na znajomość i rozumienie przez wychowańców seminaryów duchownych wzorowych utworów nowej literatury rosyjskiej w granicach ustanowionego programu, a na egzaminie ostatecznym z historyi rosyjskiej naczelnik dyrekcyi naukowej sprawdza, o ile wychowańcy seminaryum duchownego posiadają gruntowną znajomość historyi rosyjskiej w tym zakresie, jaki wskazany został w programie tego przedmiotu, a zwłaszcza zwraca uwagę na znajomość nowszej historyi rosyjskiej wśród stających do egzaminu. Wychowańcy seminaryum duchownego na pytanie naczelnika dyrekcyi naukowej z języka, literatury i historyi rosyjskiej na egzaminach przejściowych i ostatecznych obowiązani są odpowiadać samodzielnie, bez wszelkiej pomocy nauczyciela tych przedmiotów. Ocena odpowiedzi wychowańców seminaryum duchownego na egzaminach przejściowych i ostatecznych z języka, literatury i historyi rosyjskiej dokonywaną bywa przez naczelnika dyrekcyi naukowej słowami: nader zadawalająco, zadawalająco i niezadawalająco. Po ukończeniu egzaminów naczelnik dyrekcyi naukowej wraz z wypracowaniami piśmiennemi z języka rosyjskiego stających do egzaminu składa szczegółowe sprawozdanie kuratorowi okręgu naukowego o rezultatach egzaminów przejściowych i ostatecznych wychowańców seminaryów duchownych. Egzaminy przejściowe i ostateczne wychowańców seminaryum du-

chownego z języka, literatury i historyi rosyjskiej odbywają się w obecności naczelnika gubernii i z uwzględnieniem jego wskazówek wogóle".

* *
*

Stara sprawa terminu godzenia i przyjmowania służby folwarcznej zmartwychwstała znowu. Właściwie nie zamiera ona nigdy, tak jest pilna i dolegliwa. W ostatnich dniach wniósł ją na porządek dzienny w sekcyi ludowej Towarzystwa Hygienicznego p. Stanisław Chełchowski, prezes sekcyi rolnej Tow. pop. przem. i handlu. Dotychczas jest zwyczajem prawie powszechnym u nas, że służbę folwarczną godzi się na Nowy Rok. „Na święty Szczepan każdy se pan" — mówi przysłowie, być może, na tym zwyczaju oparte. Termin ten, dogodny może dla właścicieli, bo około N. R. robota w gospodarstwie nie jest tak pilna, posiada bardzo złe strony dla służby, przedewszystkiem ze względu na stan dróg i powietrza. Doskonale to przed kilku tygodniami uwydatnił w „Głosie" p. Alfred Węgliński, sam ziemianin, a więc znawca stosunków rolnych. Według p. Chełchowskiego, byłoby bardzo pożądane, aby termin noworoczny zmienić „na św. Wojciech", t. j. 23 kwietnia, albo lepiej nawet na 1 kwietnia. Reforma nie byłaby zbyt trudna, zwłaszcza, że już obecnie w okolicach, położonych blizko granicy pruskiej oraz w blizkości miast, termin kwietniowy miewa dość częste zastosowania.

Przeciwko p. Węglińskiemu, który scharakteryzował był nieco karykaturalnie, lecz w ogólnych zarysach prawdziwie stosunek właściciela ziemskiego do służby, wystąpił w „Gazecie Polskiej" p. Jan Plebański, który z większą dozą pewności siebie, niż przyzwoitości polemizując z p. W., zgadza się również, że termin noworoczny „nie jest dla służby odpowiedni"; zdaniem jego wszakże „rolnicy sami zmienić tego terminu nie są w stanie, musi to nastąpić z góry ze sfer administracyjnych, dla powodów natury praktycznej, które wyjaśniać przechodziłoby miarę tego (t. j. pana Plebańskiego) artykułu".

Szkoda, że p. Plebański wyjaśniać nie chce. My bo zgoła nie przenikamy owych „powodów natury praktycznej". Natomiast wiemy, że są zresztą nieliczni ziemianie, którzy, nie oglądając się na nic i na nikogo, przedsięwzięli dużo pożytecznych reform w swych gospodarstwach i może — nie wyszli na nich źle. Sprawa terminu najmu służby wcale nie nadaje się do rozstrzygania przez sfery administracyjne, tak samo, jak wcale nie jest trudna do załatwienia.

Tylko niech nasi konserwatorzy nie stawiają jej przeszkód natury formalnej.

„Dlaczego jednak czeladź gospodarska tak często zmienia służbę i naraża się na przeprowadzkę z małemi dziećmi w porze mroźnej?" — pyta w dalszym ciągu p. Pleb. i zaraz odpowiada sobie bez zająknięcia: „powody te są tak błahe, iż przyczyny szukać należy w ciemnocie i niemoralności naszego ludu". Raz wsiadłszy na tę łysą kobyłę, autor hasa bez upamiętania: „parobek — pisze on — przeprowadza się nawet z dobrego mieszkania dlatego, że w tym dworze jest lepszy dozór i nie pozwalają mu próżnować i broić, a w tamtym odwrotnie; przeprowadza się czasem dlatego, że tam dostał o 1 rubla więcej pensyi, niż tu; przeprowadza się nawet dlatego, że tam mu zachwalili, a tu zganili". A dalej: „Porządny parobek, pracowity, uczciwy, mający uczciwą rodzinę, pozostaje zwykle wiele lat na jednem miejscu. Włóczą się tylko od komina do komina jednostki gorsze, niżej pod względem moralnym stojące. Parobek, na jednem miejscu dłużej siedzący, ma się wiele lepiej, jest zamożniejszy, gdy tymczasem przeciwnie ten, który co rok zmienia służbę, jest w nędzy i biedzie".

Dosyć. Powtórzmy z Kochanowskim:

„Nie przeto pytam, Pietrze, gdzie się chcesz przechodzić,
Abych się miał na jedną drogę z tobą zgodzić,
Ale gdziekolwiek ty chcesz, to mnie tam nie w drogę.
Bo twego kiepstwa słuchać już dalej nie mogę".

Nie, panie Plebański, taką tautologiczną frazeologią już sprawy łatać nie można. Zagadnienie stosunku do służby folwarcznej, zaostrzające się z roku na rok, wymaga szczerego traktowania, i na tę drogę już znaczna część naszych rolników wchodzi. Na posiedzeniach Towarzystw rolniczych i w kołach ziemiańskich niekiedy mówi się bez ogródek, że wynagrodzenie służby jest liche, że ordynarya wydawana jest w złym gatunku i nieregularnie, że mieszkania są w stanie opłakanym, że traktowanie osobiste pozostawia dużo do życzenia... Brak tylko odwagi powiedzenia prosto w oczy, że, jakkolwiek trudności finansowe są znaczne, trzeba będzie jednak zacząć od ofiar pieniężnych, bo inaczej najemnicy... pójdą do Prus.

* *
*

Kto inny pisze w „Ateneum" o pierwszym numerze nowopowstałego miesięcznika literackiego i artystycznego p. t. „Chi-

mera". Pozwólcie mi tylko wyrazić radość z powodu narodzin pisma, które ma iść w służbę nowym potrzebom naszej kultury narodowej.

Tak! Kiedy niemowlę poczyna przecierać oczy, nie można mu proponować zapalenia bodajby najwonniejszego cygara. Zanim młode pisklęta poczną się wzbijać w niebo, należy je uczyć fruwać. Lecz czego innego potrzeba organizmowi dojrzałemu, czy dojrzewającemu. Jemu nie przystoi wstrzemięźliwość w nauce i doświadczeniach, jemu nie wolno cofać się przed zgłębianiem wszystkiego, co jest l u d z k i e. Sztuka nie tylko należy ściśle do kultury narodowej, ale ją koronuje. W społeczeństwie naszem jest materyał przedmiotowy i podmiotowy do jej uprawy, jest też tego potrzeba, jeżeli akord ma być pełny, dźwięczny i trwały. Tylko w społeczeństwach „stawających się", że tak powiem, przewódcy i kierownicy ruchu rozwojowego mają prawo obawiać się wpływu sztuki, mogącej zaabsorbować siły klasy przodującej, działającej i myślącej. A nuż zerwałaby się kolej stopniowego dźwigania się po szczeblach, a nuż zasłoniłyby się widnokręgi demokratyzacyi zarządzeń ekonomicznych, społecznych, politycznych?!

Co do nas, możemy sobie pozwolić nawet na „czystą" sztukę. Byle tylko była szczera. Byle tylko wiało od niej talentem, tężyzną i światłem. Kierownik „Chimery" talentów rodzić nie może, lecz może przygarniać, zachęcać, ogrzewać to wszystko, co z jakichkolwiek względów opieki nigdzie znaleźć nie mogło. W ten sposób powstanie nowe ognisko, rozpalone i rozdmuchane przez kulturę i dla kultury.

* * *

Marek Twain, znakomity humorysta amerykański, był obecny na odbytem niedawno zebraniu dorocznem szkoły rzemiosł dla dziewcząt w New-Yorku. Kiedy prezes wezwał obecnych, aby w testamentach swych pamiętali o szkole, Marek Twain wstał i wygłosił krótką przemowę, w której nakłaniał uczestników zebrania, żeby lepiej odrazu obdarowali szkołę, gdyż inaczej zapał minie. Następnie opowiedział, co mu się zdarzyło raz podczas kazania: „Ksiądz mówił tak wzruszająco, że postanowiłem całą swoją gotówkę, w kwocie 400 dolarów, ofiarować na kościół. Ale ksiądz mówił bez końca, i entuzyazm mój minął, tak, że ostatecznie nie tylko nie dałem tych 400 dolarów, ale zabrałem jeszcze dziesięć centów z talerza, na którym zbierano składki".

Historyę powyższą przytaczam dla tych, którzy odznaczają się zbyt gorliwą wymową na zebraniach publicznych. Ludzie gadatliwi musieli snać bardzo już dokuczyć czynnemu ogółowi, kiedy coraz częściej odzywają się przeciwko nim protesty. Najpierw skarżyły się dzienniki, i tego nikt zanadto nie brał do serca, ponieważ dziennikarze, jak wiadomo, są niekiedy bardzo wymagający. Ale świeżo czytaliśmy, że sprawę umiejętnego rozprawiania na zebraniach publicznych podjęto przed paru tygodniami w... spółce rolnej radomskiej. Mówca, bar. Heydel, utyskiwał na rozwlekłe i banalne przemówienia i proponował zaostrzenie regulaminu obrad.

Wszystkie te kroki, przedsiębrane celem pohamowania rozkiełzanych mówców, są chwalebne, powinniśmy jednak być ostrożni, aby nie wpaść w przesadę. Retoryka niema u nas pola do rozwoju, więc nie należy przykładać zbyt surowej miary do stosunków, które są w fazie wyrabiania się. Wiemy wszyscy z doświadczenia osobistego, jak często zebrania kończą się milczącą aprobatą wszelkich sprawozdań i wniosków, ponieważ nikt z obecnych nie umiał opanować lęku przed przemawianiem publicznem. Ludzie gadatliwi mają przynajmniej to za sobą, że łamią pierwsze lody.

W każdym razie coraz częściej powtarzające się protesty, o jakich wyżej, dowodzą, że mnoży się zastęp ludzi czynnych, którzy pragnęliby prowadzić robotę pozytywną w instytucyach publicznych.

Jakże oni mają jednak pracę utrudnioną! W ostatnich tygodniach kilka zebrań nie przyszło do skutku, bo nie stawiła się w pierwszym terminie dostateczna ilość członków. Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby chodziło o instytucye humanitarne: zapisywanie się do nich uważane jest u nas za akt filantropii, a nie obowiązku i interesowania się sprawami żywotnemi. Ale obojętność ta dotyka tak samo stowarzyszeń ekonomicznych i społecznych. Zdaje się, że potrzeba będzie wielu jeszcze lat na uszlachetnienie, ucywilizowanie naszych poglądów na pracę publiczną.

* * *

W ubiegłym miesiącu zmarło dwu ludzi, gorliwie pracujących na polu malarstwa polskiego. Dn. 14 lutego zmarł Julian Maszyński, malarz względnie młody, bo 53 lata mający; dn. 24 t. m. zmarł Wojciech Gerson.

Maszyński nie miał wyższych lotów; zdaje się, że głównie, jako pedagog, w swojej specyalności zasłużył się społeczeństwu. Inaczej Gerson. Była to, bądź co bądź duża, postać, która w dziejach

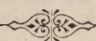
naszego malarstwa pozostanie. Według słów fachowego krytyka, p. T. Jaroszyńskiego, „od Gersona zaczęło się dopiero malarstwo polskie". On i współcześni mu Kossak, Tepa, Kostrzewski, Henryk Pillati zaczęli wczuwać się w bicie tętna narodowego i starać się dla niego o najbardziej znamienny i bezpośredni wyraz. „Przyszli potem potężni geniuszem twórcy, co utrwalili to państwo sztuki; ale Gerson był tym, który wołał: oto się zbliża godzina".

Nie do mnie należy ocena szczegółowa działalności zmarłego artysty, jako malarza i profesora. Pragnąłbym tylko zwrócić uwagę na jedno. Warunki, w których znajdował się nasz kraj w chwili rozpoczęcia przez Gersona pracy samodzielnej, bynajmniej nie były sprzyjające dla sztuki. Zdawało się, że poprostu niema dla niej miejsca wśród gorączkowych zabiegów organicznych z jednej strony, trudności zaś wyrażania uczuć — z drugiej. Trzeba więc było posiadać wielkie i różnostronne zasoby duchowe, aby siekierę pionierską podjąć i nie rzucić jej w połowie drogi. Gerson, jak wiemy, ani na chwilę jej nie opuścił, choć ręka mdlała...

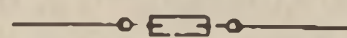
* * *

D. 27 z. m. liczny zastęp wielbicieli, byłych kolegów i uczniów ś. p. prof. Adolfa Pawińskiego († 1896) przybył o godzinie 11 z rana do kościoła pokarmelickiego, aby uczestniczyć przy poświęceniu tablicy pamiątkowej znakomitego historyka. Pomnik ten umieszczono na filarze drugim, po lewej stronie kościoła, w miejscu widocznem i oblanem dobrze światłem. Tablica złożona jest z czarnej płyty marmurowej, na której umieszczono bronzowy portret zmarłego z dużym złoconym napisem: „Ś. p. Adolfowi Pawińskiemu, badaczowi dziejów ojczystych, 1840 — 1896". U spodu widać księgę w starożytnej oprawie z klamrą i napisem: „Lex", kałamarz z piórem i kilka liści laurowych. Na kałamarzu wyryty jest napis: „Staraniem i kosztem wielbicieli i rodziny tablicę wykonał L. Wasilkowski". U dołu zwiesza się pieczęć z datą 1900.

Bolesław Koskowski.



POLEMIKA.



Jeszcze w sprawie nauczania historyi literatury polskiej. Odpowiedź pani J. Moszczeńskiej.

Z odpowiedzi p. Moszczeńskiej na moją rozprawkę „W sprawie nauczania historyi literatury polskiej“ („Ateneum“, grudzień, 1900 rok) w № 4 „Przeglądu Pedagogicznego“ r. b. dowiaduję się przedewszystkiem, iż różnica naszych poglądów na sprawę, będącą w mowie, nie jest tak wielka, jak mnie się to wydawało; możemy więc dojść do porozumienia. I owszem. Tem łatwiej mi zgodzić się na to, iż w „odpowiedzi“ p. M. skrajność swych zapatrywań znacznie złagodziła. Ostatecznie bowiem, chociaż komentarze są rzeczą „dodatkową, pomocniczą — czasem nawet zbyteczną“, obejść się jednak bez nich nie zawsze można: i krytyka tekstu, i komentarze językowe, i wiadomości z biografii poetów, i wreszcie, jakem się wyraził, „życzliwa ręka doświadczonego przewodnika“, kierująca wyborem rzeczy prawdziwie pięknych dla podawania młodzieży wrażeń estetycznych zdrowych i szlachetnych, wszystko to — co mi przyznaje p. M. — nie może i nie powinno być zbytecznem. Sądzę, że p. Moszczeńskiej w pierwszym artykule chodziło o wytknięcie zbytku gorliwości ze strony nauczyciela w komentowaniu arcydzieł — na to zgoda; ale p. M. wpadła w drugą ostateczność, twierdząc, że czytanie utworów literatury bez komentarzy jest o wiele mniej niebezpieczne, niż ustawiczne „komentowanie komentarzy“ (!?). Skoro jednak p. M. w „odpowiedzi“ schodzi na drogę pośrednią, o nic mi już więcej nie chodzi. *Medio tutissimus ibis.*

Nie zaprzeczy chyba p. M., że umysł dziecięcy nie jest jeszcze zdolny do zrozumienia i przejęcia się utworami poezyi nawet nowoczesnej. Przeciwniczka moja chciałaby, aby dzieci słuchały „w skupieniu, z zapartym oddechem, tak, jak niegdyś słuchały bajek swej niańki“. Słusznie, ale, niestety, tak bezpośrednio do serc młodocianych trafiać tylko mogą rzeczy najprostsze formą i treścią: po „Bajkach“ i „Myszeidzie“ Krasickiego—„Wiesław“ Brodzińskiego, „Dumki“ Zaleskiego, „Gawędy“ Syrokomli, „Lirenka“ Lenartowicza, „Ballady“, „Pan Tadeusz“ Mickiewicza; co do „Dziadów“, większości utworów Słowackiego, wszystkich—Krasińskiego zachodzi poważna obawa, że dzieci będą ich słuchały — jak o żelaznym wilku.

Nie mówię już o utworach XVI—XVII wieku, bo co do tych niema sporu, że bez komentarzy się nie obejdą; a chociaż p. M. twierdzi, że „Bogarodzica“ i „Odprawa posłów greckich“ są dla nas (t. j. dla dorosłych) tylko historycznie ciekawe (! czyż „Treny?“ i „Kazania sejmowe?“), jednakowoż zaznajamiać dzieci z niemi należy. A tu dziecko choćby z najbystrzejszym wrodzonym smakiem estetycznym samo nic sobie nie poradzi.

W drugiej połowie swej odpowiedzi stawia mi p. M. o wiele poważniejsze zarzuty. Zestawiwszy kilka cytat z mojej rozprawki, p. M. odkrywa, że chcę rozgrodzić „świat myśli ludzkiej kordonami i komorami celnemi“, aby „cłem protekcyjnem własne miernoty osłonić“. Odkrycie to wprawia p. M. w zdumienie, które wyraża się szeregiem wykrzykników i znaków zapytania. „Jakto? Więc sława Szekspira, ktora przetwała już wieki, jest rzeczą przypadkową? Więc genialni

poeci, którzy przeszli do historyi, w których tysiączne pokolenia późniejszych wieszczów natchnienie czerpały, których sława przeżyła istnienie ich własnego narodu, tylko przypadkowi swe znaczenie zawdzięczają? tylko jednego narodu własność stanowią? Więc Homer tylko u Greków ma znaczenie, a inne narody wielbiły go tylko przez ślepe naśladownictwo?“ i t. d.

Mogę uspokoić p. Moszczeńską, że nic podobnego nie pomyślałem; i ona sama zapewne, gdyby zechciała pilniej zważyć moje słowa, nie wyciągnęłaby z nich tak potwornych wniosków. Przedewszystkiem zaprotestować muszę przeciw tendencyjnemu cytowaniu jednych moich zdań, przemilczaniu innych; tak np. mówi p. M., iż Faustowi przeciwstawiam „rubachę-zawadyakę Twardowskiego“, ale nie dodaje, iż temuż Faustowi prócz Twardowskiego przeciwstawiam również „potężnego płomiennem uczuciem Konrada“, — a to brzmi zupełnie inaczej.

Toż samo i w danym wypadku. Wykrzykniki i znaki zapytania byłyby zbyteczne, gdyby p. M. przypomniała sobie to, co mówiłem o arcydziełach wszechludzkich: „są one przedewszystkiem wyrazem charakteru, temperamentu, składu uczuć pojedyńczego narodu i tylko dzięki pewnej wspólności cywilizacyjnej narodów Europy mogą przejść i do literatur obcych, nie tracąc mimo to swego narodowego charakteru“.

P. Moszczeńska chętnie cytuje Taine'a; zapewne więc wie o wpływie klimatu, otoczenia, rasy na jednostki genialne. Czyżby więc przypuszczała, że każde arcydzieło, np. „Faust“ lub „Dziady“, może narodzić się w każdym czasie i w każdem miejscu? że Szekspir, pisząc Hamleta, myślał o tem, jak on będzie wyglądał na scenie w Madrycie, Warszawie czy w Chicago, że Sienkiewicz, wkładając w usta Zagłoby żartobliwy okrzyk: „zaskrzetuszczą wojsko z kretesem“, dumał nad tem, jak przetłómaczą ten zamaszysty zwrot na angielski lub włoski? Zależność jednostki twórczej od tego, co nazwałem kompleksem warunków społeczno-historycznych, jest dwojaka: daje on jej materyał, pewien podkład psychiczny i — umożliwia oddziaływanie na tłumy; czemże bowiem utwór jest wielki, jak nie tem, że porywa i czaruje tysiące? a porywać i czarować może tylko wtedy, jeżeli jest przedewszystkiem narodowym, t. j. jeżeli w formie skończenie pięknej oddaje to, co każdy z członków społeczeństwa czuł w głębi duszy, choć nie umiał wypowiedzieć.

Nie twierdziłem wcale, jak to p. M. usiłuje wmówić we mnie, iż należy porozgradzać narody rogatkami i poobstawiać komorami celnemi. Bynajmniej! wielkie prądy myśli i literatury europejskiej oddziaływają i powinny oddziaływać na każde piśmiennictwo — bez tego nie ruszymy się z miejsca; chodzi tylko o to, ażeby nie zadowolnić się bezkrytycznem naśladownictwem. Nie zaprzeczy mi chyba p. M., że romantyzm niemiecki a polski—to dwie rzeczy zgoła różne, często w dążnościach swych sprzeczne. Bierzmy z Europy zachodniej to, co jest tam najpiękniejszego i najszczytniejszego, ale, idąc wzorem tych, co zawsze wzorami pozostaną, — Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego — przekształcajmy je tak, aby nie stało się sprzecznem z tem, czego nam, jako społeczeństwu, w danej chwili potrzeba: niechaj Korsarz przeradza się w Wallenroda, Manfred w Kordyana, Faust w Konrada, Hamlet w Szczęsnego Kossakowskiego.

Czyż, żądając tego, popełniłem jaką herezyę?

Ostatni zarzut p. Moszczeńskiej ściąga się do mojego określenia estetyki, jako nauki nie opisowej, lecz teoretycznej. Przyznam się, że nie rozumiem dobrze, o co chodzi.

Czyżby estetyka wraz z logiką i etyką były naukami opisowemi? To bowiem

co mówi dalej p. M., sprowadza się znów do stosunku jednostki a grupy społecznej, otoczenia, rasy (nie krytyków i teoretyków literatury, jak znowu wmawia we mnie p. M.). Jednostka tworzy, nie oglądając się na krytyków, a najczęściej wbrew krytykom, — mówi moja przeciwniczka — np. Mickiewicz wbrew „recenzentom warszawskim". To prawda; ale czyby Mickiewicz był tak wielkim, gdyby np. głosił hasła upadku ducha i zniechęcenia?

Powtarzam: nie chodzi mi o stosunek twórcy do teoryi krytyków i estetyków, lecz do potrzeb i dążeń własnego społeczeństwa.

Dalsze rozstrząsanie kwestyi stosunku jednostki do gromady zaprowadziłoby nas za daleko; trzebaby przebiedz wszystkie teorye historyozofów od heroizmu Carlyle'a do „siły gromadnej" Tołstoja, wobec której Napoleon tyle wart dla historyi, co ostatni z ciurów obozywych. Poprzestanę więc na powyższem wyjaśnieniu.

Henryk Galle.





Wydawca: ***Wł Spasowicz.***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***

KSIĄŻKI, NADESŁANE DO REDAKCYI
„ATENEUM".

= **Barszczewski Jan.** Spuścizna po dziennikarzu. W Kastelu, Warszawa, 1901 (Borkowski).

= **Baudouin de Courtenay Janina**. Nowele. Warszawa, 1901 (Bronisław Natanson).

= **Bieńkowski Petrus**. De simulacris barbararum gentium apud Romanos, corporis barbarorum prodromus. Cracoviae-Vindobonae, MCM.

= **Bohowityn**. Słoneczniki, powieść, Warszawa-Kraków, 1901 (Gebethner i Wolff).

= **Cerchowie-Kopera.** Pomniki Krakowa, zeszyt XI—XII. Kraków-Warszawa, 1901.

= **Chociszewski Jan.** Historya Polski, wydanie drugie poprawione, Warszawa, 1901 (Borkowski).

= **Godlewski M. X.** Archeologia biblijna, oparta na ostatnich archeologicznych odkryciach na Wschodzie. Tom I: Geografia biblijna, Warszawa, 1901.

= **Hergenröther Józef Karol**. Historya powszechna kościoła katolickiego, tom II (Biblioteka dzieł chrześcijańskich, marzec, 1901) Warszawa, 1901.

= **Jelinek J.** Prawo mniejszości, Warszawa, 1901.

= **Karwowski D-r.** Na pokładzie „Kanclerza" i „Itapariki", ze wspomnień lekarza okrętowego, Warszawa, 1900 (Gebethner i Wolff).

= **Kozłowski Stanisław dr. med.** Co wiemy o żywieniu ludu naszego? Warszawa, 1900.

= **Lange Antoni**. Fragmenta, poezye wybrane, Warszawa-Kraków (Gebethner i Wolff), 1901.

= **Łuniewski Tymoteusz.** Brona Podlaska, przyczynek do historyi rolnictwa w Polsce. Warszawa, 1901.

= **Mercier D.** Biblioteka neo-scholastyczna, logika, zeszyt 7-my, Warszawa, 1901 (Fiszer).

= **Orwicz Jerzy.** Okruchy życia, Warszawa, 1901.

= **Osterloff Natalia.** Podręcznik do nauki języka francuskiego. Warszawa, 1901 (Borkowski).

= **Paulsen Fr.** J. Kant i jego nauka, z 3-go wydania niemieckiego przełożył i wypisami z „Krytyki czystego rozumu" oraz innych dzieł Kanta uzupełnił J. Wł. Dawid, zeszyt I, Warszawa, 1901 („Głos").

= **Paź.** Obrazki, Kijów, 1901 (Idzikowski).

= **Rosenzweig Józef.** Crescendo, na tle podróży, tom I, Warszawa, 1901 (Fiszer).

= **Schopenhauer A**. Psychologia miłości, Warszawa 1901 (Borkowski).

= **Sheldon Karol M.** W Jego ślady. „Jakby Chrystus postąpił", z ang. oryginału przełożył Wojciech Szukiewicz. Kraków, 1901 (G. Gebethner i Spółka).

= **Słownik języka polskiego,** wydaw. pod redakcyą J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego, zeszyt IX, obejmujący wyrazy od Kiecka do Korowód, na 160 stronach ósemki większej.

= **Smoleński Władysław.** Pisma historyczne, tom I i II, Kraków, 1901 (G. Gebethner i S-ka).

= **Staff Leopold.** Sny o potędze, Warszawa-Kraków, 1901 (Gebethner i Wolff).

= **Suszczyńska A.** Przekonana, powieść, Petersburg, 1901 (Grendyszyński).

= **Trzciński T.** Riwiera—Korsyka, kartki z podróży, Warszawa, 1901 (Gazeta Polska).

= **Walewska Cecylia.** Bez duszy, fantazya powieściowa, Warszawa, 1901 (Paprocki).

= **Wizel Adam dr.** Stosunek psychologii do psychiatryi, studyum krytyczne, Warszawa, 1901.